



Wiem
o tobie
wszystko

Pragnę cię

Kocham cię

Nie uciekniesz
przeze mną

CLAIRE KENDAL

CLAIRE KENDAL

**Wiem
o tobie
wszystko**

przełożył Piotr Lewiński



*Mojemu ojcu, który podarował mi
moją pierwszą książkę z baśniami.
I mojej matce, która nauczyła
mnie czytać.*

Ten zaś malutki klucz otwiera drzwi do gabinetu w końcu korytarza na najniższym piętrze. Możesz otwierać wszystko i wchodzić, gdzie chcesz, ale zabraniam ci przekraczać próg tego gabinetu. Jeśli jednak przyjdzie ci do głowy otworzyć te drzwi, pamiętaj, nic cię nie uchroni przed moim gniewem.

Charles Perrault, *Sinobrody*
Przeł. Aleksandra Michałowska

Tydzień pierwszy

Wirująca dziewczyna

Poniedziałek, 2 lutego, godzina 7.45

To jesteś ty. Oczywiście, że ty. To zawsze jesteś ty. Ktoś mnie dogania, wtedy się odwracam i widzę ciebie. Wiedziałam, że to będziesz ty, a jednak tracę równowagę na zamarznętym śniegu. Podnoszę się chwiejnie. Na pończochach widać plamy wilgoci. Rękawiczki mam przemoczone.

W tak lodowaty poranek każdy rozsądny człowiek siedziałby w domu, gdyby miał wybór, ale nie ty. Ty jesteś na dworze, wyszedłeś się przejść. Wyciągasz ręce, by mnie podtrzymać, pytasz, czy nic mi nie jest, ale odsuwam się od ciebie, nie tracąc ponownie równowagi.

Zdaję sobie sprawę, że musiałeś mnie obserwować, odkąd wyszłam z domu. Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem ci pytania, co tu właściwie robisz, choć wiem, że nie udzielisz prawdziwej odpowiedzi.

Twoje powieki znów drgają. Jak zawsze, gdy jesteś zdenerwowany.

– Po prostu przechodziłem, Clarisso.

To nieważne, że przecież mieszkasz w miejscowości odległej o osiem kilometrów. Bledną ci wargi. Zagryzasz je, jakbyś się domyślał, że straciły tę odrobinę koloru, jaką zwykle mają, i próbował pobudzić znów dopływ krwi.

– Twoje zachowanie w piątek w pracy, kiedy

wysłaś podczas przemowy, było dziwne, Clarisso. Wszyscy byli tego zdania.

Sposób, w jaki za każdym razem wymawiasz moje imię, sprawia, że chce mi się krzyczeć. Twoje imię stało się dla mnie czymś nieprzyjemnym. Usiłuję nie dopuszczać go do świadomości, jakby mogło to jednocześnie usunąć je jakoś z mego życia. Ale ono wciąż się wślizguje. Wciska się. Zupełnie jak ty. Raz za razem.

Druga osoba czasu teraźniejszego. Oto, czym jesteś. Pod każdym względem.

Moje milczenie cię nie zraża.

– Przez cały weekend nie odbierałaś telefonu. Dostałem tylko odpowiedź na jeden z SMS-ów, i wcale nie była przyjazna. Dlaczego wychodzisz z domu w taki poranek, Clarisso?

Mogę teraz myśleć tylko o działaniach na krótką metę. Muszę cię spławić. Żebyś przestał łązić za mną na stację i wypytywać, dokąd się wybieram. Ignorowanie cię nie zapewni mi pożądanego teraz rezultatu; ta rada z broszurek nie sprawdza się w realnym życiu. Wątpię, czy w twoim przypadku cokolwiek się sprawdza.

– Jestem chora. – To kłamstwo. – To dlatego wysłałam w piątek. Musiałam zdążyć na ósmą do lekarza.

– Poza tobą nigdy nie spotkałem w życiu kobiety, która wygląda pięknie, nawet gdy jest chora.

Naprawdę robi mi się niedobrze.

– Mam gorączkę. Wymiotowałam przez całą noc.

Unosisz dłoń do mego policzka, jakbyś chciał sprawdzić temperaturę, a ja się uchylam.

– Pójdę z tobą. – Twoja ręka zawisa w powietrzu niczym niezgrabne przypomnienie tamtego fałszywego ruchu. – Nie powinnaś zostawać sama – dodajesz, opuszczając ciężko rękę.

– Nie chcę cię fatygować. – Mam nadzieję, że nie robię wrażenia zaniepokojonej.

– Zajmę się tobą, Clarisso. Jest mróz, nie powinnaś wychodzić na dwór, i to z mokrymi włosami. To ci może zaszkodzić. – Wyjmujesz telefon. – Zamówię dla nas taksówkę.

No i znów mnie osaczyłeś. Mam za plecami czarne żelazne bariery, więc nie mogę dalej się od ciebie odsuwać; nie chcę się pośliznąć i wypaść przez przerwę między nimi – metr niżej biegnie jezdnia. Robię krok w bok, zajmując nową pozycję, ale ty ciągle nade mną górujesz. Wydajesz się taki ogromny w szarej puchowej kurtce.

Nogawki twoich dżinsów są na dole mokre od śniegu. Ty także o siebie nie dbasz. Jest mróz, uszy i nos masz zaczerwienione. Z moimi musi być tak samo. Twoje brązowe włosy są ulizane, choć pewnie świeżo umyte. Wciąż zaciskasz usta.

Zaczynam odczuwać wobec ciebie litość, bez względu na to, jak bardzo się przed nią bronię. Ty też

pewnie nie dosypiasz. Odezwać się nieprzyjemnie, nawet do ciebie, byłoby wbrew zasadom uprzejmości, które wpoili mi rodzice. Zresztą szorstkość też by cię teraz nie przegoniła. Wiem aż za dobrze, że i tak za mną pójdziesz, udając, że nie słyszysz, a to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę.

Wystukujesz cyfry na komórce.

– Nie. Nie dzwoń. – Twoje palce nieruchomieją, gdy słyszysz mój ostry ton. Idę za ciosem. – Tu niedaleko jest lekarz. – Wyrażam się teraz jaśniej. – Nie wsiądę z tobą do taksówki.

Wciskasz czerwony guzik i chowasz telefon do kieszeni.

– Napisz mi swój numer stacjonarny, Clarisso. Chyba go zgubiłem.

Oboje wiemy, że nigdy ci go nie dawałam.

– Kazałam go wyłączyć. Używam teraz tylko komórki. – Kolejne kłamstwa. Odmawiam w myślach modlitwę dziękczynną za to, że jakimś cudem nie znalazłeś mojego numeru, gdy byłeś u mnie w domu, i nie zapisałś go sobie. To zdumiewające, że przepuściłeś taką okazję. No i pewnie nie możesz sobie tego darować. Ale przecież byłeś wtedy zajęty.

Wskazuję szczyt wzgórza.

– Spróbuj przejść się tamtędy, górą. – Gram na twoim pragnieniu, by mnie zadowolić. Bezduzne posunięcie, ale jestem zdesperowana. – To jedno z moich ulubionych miejsc, Rafe. – Twoje imię

wyduszam z siebie po zbyt długiej pauzie, jednak wymawiam je i jedynie to zauważasz; nie przychodzi ci do głowy, że rzuciłam ci ten kasek w nadziei, że skłoni cię do odejścia.

– Z chęcią, jeśli to dla ciebie szczególne miejsce, Clarisso. Zależy mi tylko na tym, żeby cię uszczęśliwić, wiesz? Jeśli tylko pozwolisz. – Próbujesz się uśmiechnąć.

– Do widzenia, Rafe. – Znow zmuszam się, by zwrócić się do ciebie po imieniu, a gdy twój uśmiech staje się szerszy i bardziej prawdziwy, czuję zdumienie i lekkie wyrzuty sumienia, że taka prymitywna sztuczka się udaje.

Nie śmiać uwierzyć, że zdołałam umknąć, ostrożnie schodzę ze wzgórza, sprawdzając co jakiś czas, czy odległość między nami wzrasta. Za każdym razem odwracasz się i unosisz rękę, więc w odpowiedzi muszę zamachać bez entuzjazmu.

Odtąd będę rano jeździć na stację taksówką i sprawdzać przez okna, czy za mną nie podążasz. A jak się następnym razem na ciebie natknę, to przyjmę strategię długofalową i zastosuję rady z broszurek. Nie zgodzę się na rozmowę albo powiem ci, po raz nie wiem który – i to bez owijania w bawełnę – żebyś się ode mnie odczepił. Nawet moja matka przyznałaby, że takie okoliczności stanowią usprawiedliwienie dla złych manier. Co nie znaczy, że przyszłoby mi do głowy niepokoić rodziców opowieścią o tobie.

Stoję na peronie, szczękając zębami, niespokojna, że się zmaterializujesz, gdy słucham przepaszających komunikatów o pociągach odwołanych i opóźnionych wskutek ekstremalnych warunków pogodowych.

Opieram się o ścianę i gryzmołę jak najszybciej w moim nowym notesie. To mój pierwszy wpis. Notes jest malutki, żebym zawsze mogła nosić go przy sobie, jak radzą broszurki. Kartki ma poliniowane, spięte drucianymi kółkami. Okładkę – matowoczną. Ludzie z telefonów zaufania mówią, że będzie potrzebny pełny zapis. Że nie powinnam niczego pomijać i starać się zapisywać wszystko jak najszybciej po każdym incydencie, choćby najdrobniejszym. Ale incydenty z tobą nigdy nie są drobne.

Gwałtownie dygocę, żałując, że nie wysuszyłam włosów. Wybiegłam z domu, by się nie spóźnić, ponieważ zasnęłam po nocnych koszmarach – z tobą w roli głównej jak zawsze. Zdążyłabym wysuszyć włosy, choć nie mogłam tego przewidzieć w sposób równie doskonały, jak zawsze mogę się domyślać, że się pojawisz. Moje włosy działają teraz jak lodowa różdżka, kierując chłód przez skórę do żył niczym zaklęcie, które mrozi ciało na kamień.

Musi istnieć jakiś świat, gdzie jego nie ma, i pomyślała, że może nareszcie do niego wkroczyła. Portrety sędziów o surowych obliczach wisiały na ścianie naprzeciw marmurowych schodów. Wchodząc na pierwsze piętro, Clarissa odnosiła wrażenie, jakby na nią patrzyli; ale nie

mogła wyrzec się nadziei, że może jest to miejsce, gdzie jej nie szpiegowano, gdzie on nie ma wstępu.

Pozwoliła, by funkcjonariusz sądowy sprawdził jej paszport i różowe wezwanie, a potem usiadła na jednym z niebieskich wyściełanych krzeseł. W pomieszczeniu panowało rozkoszne ciepło. Odmarzały jej palce stóp. Wysychały włosy. Miejsce wydawało się magiczne, niedostępne dla jego oczu. Wpuszczano tam tylko sędziów przysięgłych, a ci musieli wystukać kod na klawiaturze, żeby przejść przez drzwi.

Aż podskoczyła, gdy zatrzeszczał mikrofon funkcjonariusza sądowego.

– Proszę, by następujące osoby weszły i stawily się na dwutygodniowy proces, który rozpocznie się w sali rozpraw numer sześć.

Całe dwa tygodnie w bezpiecznej przystani sali sądowej. Całe dwa tygodnie z dala od pracy i z dala od niego. Serce waliło jej szybko, gdy czekała, pełna nadziei, że usłyszy swoje nazwisko. Rozczarowana, osunęła się znów na krzesło, gdy to nie nastąpiło.

W porze lunchu postanowiła opuścić sanktuarium gmachu sądu; musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Zawahała się tuż za obrotowymi drzwiami, lustrując ulicę. Martwiła się, że on może kryć się między dwiema furgonetkami służb sądowych, zaparkowanymi kilka metrów dalej. Przemknęła szybko obok, wstrzymując oddech. Widząc, że nie przykucnął przy zderzaku, z ulgą wypuściła powietrze.

Przeszła przez bazarek pod gołym niebem, patrząc, jak miejscowi pracownicy kupują na stoiskach gotowe porcje zdrowego jedzenia albo lunchy kuchni etnicznych. Kątem oka dostrzegła adwokatów siedzących wokół wielkiego stołu w drogiej włoskiej restauracji.

Oglądając się przez ramię, zniknęła w swoim komfortie sklepu krawieckiego. Jak zawsze ciągnęło ją do tkanin dla dzieci. Syrenki unosiły się z roztargnieniem, a małe dziewczynki pływały za nimi jak urzeczone. Wyobraziła sobie sukieneczkę dla maluchów: w wiejskim stylu, z pasami morza w kolorach na przemian śliwki i fuksji.

Henry'emu na pewno nie przypadłoby to do gustu. Cukierkowata, powiedziałyby. Sentymentalna. Za ładna. Pozbawiona oryginalności. Najlepsze są proste kolory, dodałyby. Może po prostu oddaliły ich od siebie zakończone niepowodzeniem próby poczęcia dziecka.

Zdecydowanym krokiem skierowała się ku ekspozycji nici, następnie poszukała w swojej torebce skrawka bawełny na poszewkę na kołdrę w kolorze „zieleń mchu”, z wzorem w karmazynowe kwiatki. Znalazła kawałek materiału, dobrała nić najlepiej pasującą odcieniem do tła tkaniny i ruszyła z dwiema szpulkami do kasy.

– Co pani będzie szyć? – spytała dziewczyna.

Clarissa zobaczyła powieki drgające pod jasnobrązowymi rzęsami; spojrzenie, przed którym nie mogła uciec; wargi ociekające pianistą śliną: migawki z jedynej nocy, którą Rafe spędził w jej łóżku.

Musiała odpędzić wspomnienie o nim.

– Nową pościel – odpowiedziała.

Będzie cudowna w dotyku. Zaskoczyła ją zabawna iskierka własnego zaciekawienia, z kim będzie może kiedyś spać pod tymi karmazynowymi kwiatkami.

Poniedziałek, 2 lutego, godzina 14.15

Próbuję poskładać to wszystko w całość. Zapelnąć luki. Zebrać razem wszystko, co zrobiłam przed tym porankiem, gdy zaczęłam prowadzić notatki. Nie chcę pominąć nawet najdrobniejszego szczegółu – nie mogę sobie na to pozwolić. Ale robienie tego zmusza mnie, by przeżywać to na nowo. Trzyma cię przy mnie, czyli dokładnie tam, gdzie nie życzę sobie siebie mieć.

Poniedziałek, 10 listopada, godzina 20.00 (trzy miesiące temu)

To właśnie wieczór, gdy popełniam ten ogromny błąd i idę z tobą do łóżka. Jestem w księgarni. Jest otwarta jedynie dla gości zaproszonych przez ciebie, dla uczczenia wydania twojej nowej książki na temat baśni. Zjawili się tylko kilkoro twoich kolegów z wydziału anglistyki. Zachęceni moją obecnością, jadowicie poszeptują na temat Henry’ego. Udaję, że tego nie zauważam, biorę do ręki książki, robiąc wrażenie, jakby mnie niezmiernie zainteresowały, choć ich słowa wydają mi się pomieszane i równie niezrozumiałe, jak greka.

Wciąż nie jestem pewna, dlaczego przysłałam i co każe mi pić na zmianę czerwone i białe wino, które we mnie wmuszasz. Zapewne samotność i poczucie

straty: Henry właśnie wyprowadził się z Bath, by objąć profesurę w Cambridge, do czego dążył przez całe życie. Pewną rolę odgrywa też i współczucie: wysłałeś mi trzy zaproszenia.

Będę mogła wyjść dopiero po twoim odczycie. Ostatecznie siedzę w tylnym rzędzie, słuchając, jak recytujesz urywki rozdziału ze swojej książki, zatytułowanego *Testowanie prawdziwej narzeczonej*. Kończysz, a garstka kolegów zadaje uprzejme pytania. Nie jestem nauczycielem akademickim, nie odzywam się. Ledwie milkną zdawkowe oklaski, wymykam się do drzwi, ale powstrzymuje mnie twoja prośba, żebym jeszcze została. Zakradam się do działu sztuki i siadam na brudnej beżowej wykładzinie, trzymając książkę o Munchu. Otwieram ją na *Pocałunku*, wczesnej wersji obrazu, w której kochankowie są nadzy.

Wyraźnie wzdragam się, gdy twój cień pada na tę stronę, a twój głos przeszywa ciszę opustoszałego pierwszego piętra.

– Gdybym cię nie znalazł, mogłabyś tu zostać zamknięta na całą noc. – Stoisz nade mną, spoglądając jakby z wielkiej wysokości, i uśmiechasz się.

Szybko zamykam i odkładam Muncha.

– Nie wiem, czy to byłby taki straszny los: spanie z artystami. – Macham twoją ciężką książką niczym aktorka przesadzająca z użyciem rekwizytów. Boli

mnie od tego nadgarstek. – To wspaniałe. Jak miło z twojej strony, że dałeś mi egzemplarz. No i znakomicie czytasz. Bardzo mi się spodobał wybrany przez ciebie fragment.

– A mnie bardzo się spodobał wybrany przez ciebie obraz, Clarisso. – Odkładasz wypchaną teczkę, którą trzymasz w jednej ręce, i odstawiasz dwa kieliszki wina, którymi balansujesz w drugiej.

– Trzymasz w tej teczce jakieś zwłoki? – śmieję się.

Obrzucasz spojrzaniem kodowany zamek te czki, jakbyś sprawdzał, czy jest należycie zamknięty, a mnie się wydaje, że skrywasz tajemnice, z którymi wolałbyś się nie zdradzić. Ale też się śmiejesz.

– Tylko książki i papiery. – Wyciągasz rękę. –

Wyjdź z kryjówki. Odprowadzę cię do domu. Jest ciemna noc, nie powinnaś chodzić sama.

Unoszę dłoń, pozwalając, żebyś mi pomógł wstać. Nie puszczasz mojej ręki. Cofam ją delikatnie.

– Dam sobie radę. Nie musisz iść na kolację, profesorze?

– Nie jestem profesorem. – Drga ci powieka. Wibruje kilkakrotnie, szybko, raz za razem, jakby wewnątrz krył się malutki owad. – Henry dostał profesurę, i to w roku, gdy ja się o nią starałem. Małe szanse wobec nagradzanego poety. Bycie szefem wydziału też mu nie zaszkodziło.

Henry aż nadto zasłużył sobie na profesurę, ale tego oczywiście nie mówię. Stwierdzam tylko:

– Przykro mi. – Po kilku krępujących chwilach milczenia dodają: – Muszę wracać do domu. – Wydajesz się taki zdruzgotany, że mam ochotę cię pocieszyć. – Rafe, to naprawdę ciekawa książka. – Staram się złagodzić efekt nieuchronnej perspektywy mojego wyjścia. – Możesz być z niej dumny.

Podnosisz kieliszki i podajesz mi jeden.

– Wznieśmy toast, Clarisso. Zanim sobie pójdiesz.

– Za twoją piękną książkę. – Trącam moim białym o twoje czerwone i upijam łyk. Wydajesz się taki zadowolony z tego drobiazgu. Wzrusza mnie to i zasmuca. W ciągu następnych kilku miesięcy będę odtwarzać ten moment w pamięci zbyt wiele razy, mimo że wołałabym go tam nie dopuścić.

– Wypijmy do dna. – Łykasz duszkiem swoje wino, jakby to była demonstracja.

A ja idę za twoim przykładem, chociaż wino ma smak słono-słodkiego lekarstwa. Ale nie chcę odbierać blasku twojej uroczystości, która i tak wypadła blado.

– Odprowadzę cię, Clarisso. Wolę pójść z tobą, niż uczestniczyć w jakiejś nudnej kolacji.

Chwilę później otacza nas chłodne powietrze późnej jesieni. Chociaż jestem lekko oszołomiona po winie, waham się, nie wiedząc, co dalej mówić.

– Myślałeś kiedyś o pierwszej żonie Sinobrodego? Nie wspomniano o niej, ale to musi być jedna z tych martwych kobiet wiszących w zakazanym pokoju.

Uśmiechasz się wyrozumiale, jakbym była jedną

z twoich studentek. Jesteś ubrany niczym szpanerski amerykański profesor – to u ciebie nietypowe. Tweedowy blezer, jasnobrązowe sztruksowe spodnie, koszula w biało-niebieskie prążki, granatowa kamizelka z dzianiny.

– Wyjaśnij, proszę – wyrzucasz te słowa władczo, jak to pewnie robisz podczas swoich seminariów z literatury angielskiej.

– No bo skoro już na samym początku był sekretny pokój, a on zakazał pierwszej pani Sinobrodej do niego wchodzić, to nie było tam jeszcze żadnych zamordowanych żon. Nie było kałuży krwi, w którą upuściłaby klucz, ani plamy na nim, która by ją zdradziła. Więc niby co go skłoniło do pierwszego zabójstwa? Zawsze mnie to intrygowało.

– Może wymyślił historię z pokojem, gdy pojawiła się żona numer dwa. Może żona numer jeden popełniła coś jeszcze bardziej niewybacznego niż wejście do tamtego pokoju. Najgorszą formę nieposłuszeństwa: niewierność, jak pierwsza żona w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*, i to dlatego ją zabił. A potem musiał poddać próbie każdą następną, by się przekonać, czy okaże się godna zaufania. Tyle tylko, że żadna się nie okazała. – Wszystko to mówisz tonem lekkim, niefrasobliwym.

Powinnam była wówczas zrozumieć, że wcale nie żartujesz. Ty nigdy nie bywasz niefrasobliwy. Gdybym nie przyjęła trzeciego kieliszka wina, może bym to

zauważyła i zapobiegła wszystkiemu, co się później stało.

– Mówisz, jakbyś uważał, że jej się należało.

– Ależ skąd – odpowiadasz zbyt szybko, zbyt natarczywie, co wskazuje, że kłamiesz. – Wcale tak nie myślę.

– Ale mówiłeś o „nieposłuszeństwie”. – Czyżby tylko mi się wydawało, że zaczynam się chwiać? – To przerażające słowo. Przy tym nigdy nie była to uczciwa obietnica. Nie można prosić kobiety, żeby nigdy nie wchodziła do pokoju, który stanowi część jej domu.

– Mężczyźni potrzebują sekretnych miejsc, Clarisso.

– Doprawdy? – Doszliśmy do opactwa w Bath. Zachodni front budynku jest podświetlony, ale nie mogę się skupić na moich ulubionych upadłych aniołach wyrzeźbionych do góry nogami na drabinie Jakuba. Zawroty głowy, które zaczynam odczuwać, muszą doskwierać także im w ich odwróconym świecie.

Ujmujesz mnie za ramię.

– Clarisso? – Z uśmiechem machasz mi ręką przed oczami. – Zbudź się, śpiochu.

Przypomina mi to, do czego zmierzam, choć muszę się szczególnie skoncentrować, żeby sformułować zdania.

– Ten pokój musiał kryć jakieś naprawdę straszne tajemnice. To był przybytek jego fantazji, które tam urzeczywistniał.

Mijamy łaźnie rzymskie. Wyobrażam sobie, że posągi cesarzy, namiestników i wodzów, stojące na wysokim tarasie, spoglądają na mnie spod zmarszczonych brwi, pragnąc wciągnąć mnie do wielkiego zielonego basenu pod nimi. W ustach czuję siarkowy smak jak po wodzie mineralnej z fontanny w pijalni w Bath.

– Lepiej rozumiesz *Sinobrodego* niż którykolwiek z krytyków, Clarisso. Powinnaś zostać profesorem. Powinnaś dokończyć ten doktorat.

Kręcę głową, by zaprzeczyć. Nawet gdy moja głowa nieruchomieje, świat nie przestaje się kołysać. Mało komu opowiadam o zarzuconym doktoracie. Niepewnie zastanawiam się, skąd o nim wiesz, lecz raptem przestaję. Moją uwagę przykuwa pierścionek w witrynie sklepu – platynowy twist lśniący diamentami. Dawniej marzyłam, że Henry zaskoczy mnie nim kiedyś, ale nigdy tego nie zrobił. Ruchome światła migoczą i pobłyskują w klejnotach niczym jasne słońce na błękitnym morzu. Oślepiają mnie biało-złote lampki obramiające okno.

Odciągasz mnie od szyby, a ja mrugam, jakbyś mnie obudził. Gdy mijamy pozamykane sklepy w ciemnozłocistych budynkach w stylu georgiańskim, nie stawiam już kroków po linii prostej. Otaczasz mnie ręką w talii, kierując we właściwą stronę.

Prawie nie pamiętam, jak przeszliśmy przez przejście podziemne, ale już pniemy się po stromym

wzgórzu i brak mi tchu. Obejmujesz mnie mocno, lekko popychasz lub pociągasz, na poły niosąc. Powracają błyski diamentów i kolorowych światełek, niczym drobne punkciki przed moimi oczyma. Jak to możliwe, że już stoimy przed drzwiami starego domu, którego górne piętro zajmuję?

Chwieję się delikatnie jak komiczna szmaciana lalka. Krew uderza mi do głowy. Pomagasz mi znaleźć klucze, wejść po schodkach na drugie piętro i wsunąć jeszcze dwa klucze w zamki moich drzwi frontowych. Stoję tam, lekko oszołomiona. Nie wiedząc, co dalej robić.

– Nie zaprosisz mnie na kawę?

Twoja manipulacja działa niezawodnie, odwołujesz się do mojego dobrego wychowania. Przychodzi mi na myśl Królowna Śnieżka o oczach idiotki otwierająca drzwi złej królowej i wrywająca jej z ręki zatrute jabłko. Oraz Jonathan Harker, który z własnej nieprzymuszonej woli przekracza próg domu Drakuli. I ponownie Sinobrody z jego krwawą komnatą. Czy przenosił każdą nową pannę młodą przez próg do swego zamku, gdy już wpadła mu, szczęśliwa, w ramiona? A potem pojawiała się sala tortur, której nawet sobie nigdy nie wyobrażała.

Próbuję się uśmiechnąć, ale moja twarz nie porusza się jak należy.

– Ależ owszem. Oczywiście, że tak. Musisz zająć na kawę i się rozgrzać. Zamówię ci taksówkę. Jak to

miło, że odprowadziłeś mnie do domu w tak szczególny dla ciebie wieczór – trajkoczę. Wiem, że trajkoczę. Stoję przed zlewem i napełniam czajnik wodą. – Przepraszam. – Moje słowa wydają się rozmazane, jakbym mówiła w języku, którego prawie nie znam. – Śmiesznie się czuję.

Utrzymanie się na nogach wymaga wielkiego wysiłku. Czuję się niczym wirujący bąk. A może to pokój się kręci? Mam wrażenie, jakby moje ciało było cieczą. Spływam na dół, nogi uginają się pod mną z przyjemną gładkością i nagle siedzę już na łupkowych płytkach mojej kuchni. Czajnik wciąż trzymam w rękach, z dziobka chlapie woda.

– Bardzo chce mi się pić. – Choć woda bryzga mi na sukienkę, nie mam pojęcia, co zrobić, żeby trafiła do moich ust.

Znajdujesz szklanekę i ją napełniasz. Klękasz przy mnie, pojąc mnie, jakbym była dzieckiem pijącym z kubka niekapka. Ocierasz mi kroplę z podbródka palcem wskazującym, potem przykładasz go sobie do ust. Moje ręce wciąż ściskają czajnik.

Znów się podnosisz, żeby odstawić szklanekę, i zakręcasz kran. Pochylasz się, by odebrać ode mnie czajnik.

– Przykro mi, że mi nie ufasz. – Czuję twój oddech na włosach, kiedy mówisz.

Podtrzymując moje bezwładne ciało, unosisz mnie do pozycji pionowej. Moje nogi prawie nie

współdziałają, gdy prowadzisz mnie do sypialni. Sadzasz mnie na brzegu łóżka i przykucasz przede mną, przechylając mnie ku sobie, żebym się nie przewróciła. Nie jestem w stanie utrzymać równowagi. Płaczę.

– Przestań – mówisz cicho. Gładzisz mi włosy, szepcząc, że są takie miękkie, i scałowujesz łyzy ciekące mi po twarzy. – Położę cię do łóżka. Wiem, co trzeba z tobą zrobić.

– Henry... – usiłuję powiedzieć. Mówienie wydaje się takie trudne, jakbym zapomniała, jak to się robi.

– Nie myśl o nim. – W twoim głosie pobrzmiewa chyba gniew. Patrzysz mi głęboko w oczy, więc muszę je zamknąć. – Wiem, że oglądając tamten obraz Muncha, myślałaś o nas, wyobrażałaś sobie, że jesteśmy razem. Oboje o tym myśleliśmy.

Jestem kompletnie bezwładna. Czuję się, jakbym się składała z fal. Opadam na plecy. Chcę się tylko położyć. W głowie mi szumi, jakby morze. W uszach dudni bęben, to moje serce, coraz głośniejsze.

Twoje dłonie są na mojej talii, na brzuchu, biodrach, krzyżu, wędrują po mnie, gdy rozpinasz mi kopertową sukienkę.

Miał jej dotykać tylko Henry. Sprawiał ją sobie na kolację urodzinową, na której byłam z nim siedem miesięcy temu. Chociaż oboje już wiedzieliśmy, że wszystko skończone, nie chciał, żebym samotnie weszła w trzydziesty ósmy rok życia. Nasz ostatni

wspólny wieczór. Pożegnalna kolacja z pożegnalnym seksem. Ta sukienka nie była wcale przeznaczona dla ciebie.

Usiłuję cię odepchnąć, ale jestem słaba jak dziecko. Rozchyłasz mi do końca sukienkę i zsuwasz z ramion. Potem pokój wiruje, a wszystko, co działo się dalej, pozostaje mglistym wspomnieniem, urywanymi obrazami z koszmaru, którego wołałabym nie pamiętać.

Była tak pochłonięta pisaniem, że chrypienie mikrofonu funkcjonariusza sądowego wytrąciło jej z ręki długopis; wystrzelił w spokojną przestrzeń, w której siedziała.

– Proszę następujące osoby o wejście i stawienie się na proces, który ma się rozpocząć w sali rozpraw numer dwanaście. – Jej nazwisko wywołano jako pierwsze, co odczuła jak wstrząs elektryczny. Schowała notes do torebki, jakby stanowił obciążający dowód, z którym wołała się nie pokazywać.

Dwie minuty później spieszyła z innymi za woźnym sądowym. Otworzyły się gwałtownie ciężkie drzwi, znaleźli się w ukrytych wnętrzach gmachu. Pokonali kilka pięter krętych betonowych schodów, pełnych przeciągów. Przeszli cicho po linoleum niewielkiej, zbyt jasno oświetlonej poczekalni, potem wkroczyli nagle przez kolejne drzwi. Zamrugła kilkakrotnie, gdy zdała sobie sprawę, że znaleźli się na sali rozpraw. Znów wywołano jej nazwisko. Usiadła w ostatnim rzędzie.

Henry odmówiłby przyjęcia Biblii, ale Clarissa bez wahania wzięła ją od woźnego sądowego. Z całą powagą

traktowała każde słowo przysięgi, choć wypowiedziała ją słabym głosem.

Miejsce obok niej zajmowała ładna, pulchna ciemnowłosa kobieta, której naszyjnik prezentował jej imię literami z białego złota: „Annie”. Clarissa dyskretnie zerknęła bardziej w prawo, gdzie zaledwie parę metrów dalej siedziało pięciu oskarżonych pilnowanych przez policjantów. Annie przyglądała im się z nieskrywanym zainteresowaniem, jakby rzuciła wyzwanie, by na nią spojrzeli.

Sędzia zwrócił się do przysięgłych:

– Ta rozprawa potrwa siedem tygodni.

Siedem tygodni. Nawet nie marzyła o takim szczęściu.

– Jeśli istnieją ważkie przyczyny, dla których nie mogą państwo zasiadać tu, w ławie przysięgłych, proszę przekazać pisemną informację woźnemu sądowemu przed opuszczeniem sali. Jutro oskarżyciel publiczny przedstawi uwagi wstępne.

Sięgnęła po torebkę, wstała, obciągając spódnicę, aby mieć pewność, że nie podjechała do góry, i ruszyła chwiejnym krokiem za innymi. Mijając ławę oskarżonych, zauważyła, że gdyby najbliższy z nich i ona wyciągnęli ręce, to prawie mogliby się dotknąć.

Gdy znalazła się w pociągu, ściągnęła rękawiczki, usiadła na ostatnim wolnym miejscu i wyjęła komórkę. Ogarnęła ją fala mdłości. Cztery SMS-y. Jeden od matki. Reszta od Rafe’a. Wprowadziła ograniczenie na wiadomości od niego do trzech.

Nie uśmiechnęła się, jak to normalnie bywało, odczytując

słowa matki: *Kawa to nie śniadanie*. Nic jej nie mogło uodpornić na serie jego krótkich wiadomości, jakkolwiek nieszkodliwe by się one wydawały komuś innemu.

Mam nadzieję, że śpisz. I śniesz o mnie.

Odbieraj pocztę głosową. Zadzwoń później.

Będiesz potrzebować soków, owoców i witamin.

Przyjdę do twego mieszkania.

Potrzebowała przyjaciółki, do której mogłaby się zwrócić; której mogłaby pokazać te SMS-y; która poradziłaby jej, co ma dalej robić. Miewała przyjaciółki, zanim Henry i kuracja niepłodności wypełnili bez reszty jej życie; zanim pozwoliła, by żonaty mężczyzna zostawił dla niej żonę; zanim inne kobiety przestały jej ufać; zanim zbyt trudne stało się dla niej oglądanie ich pełnych dezaprobaty spojrzeń i odbitego w nich własnego zdumienia tym, jak postąpiła.

Henry i jej przyjaciółki nie znajdowali wspólnego języka, ale i tak powinna była znaleźć jakiś sposób, by stosować kardynalną zasadę, że nie wolno dopuścić, aby związek kolidował z przyjaźniami. Teraz Henry już odszedł, a Clarissa była zbyt zażenowana, by starać się odzyskać przyjaciółki. Nie miała nawet pewności, czy na nie zasługuje i czy kiedykolwiek jej wybaczą.

Przyszła jej na myśl najdawniejsza przyjaciółka: Rowena. Nie widziały się od dwóch lat. Ich matki poznały się na oddziale położniczym, gdy tuląc swoje noworodki, spoglądały na morze przez okna górnego piętra szpitala. Umawiały się na wspólne zabawy dzieci, gdy córki były niemowlakami, potem maluchami. Dziewczyny przyjaźniły się

przez całą szkołę. Ale Rowena należała do tych jej przyjaciółek, które nie były w najlepszych stosunkach z Henrym. Z drugiej strony, gdy obie dorosły, bardzo się już różniły, więc może Henry tylko przyspieszył sprawę, a ich drogi i tak by się rozeszły.

Próbowała się otrząsnąć z uzalania się nad sobą. Będzie się musiała bardziej starać nawiązać nowe znajomości. A skoro chwilowo nie miała przyjaciółek, których mogłaby się poradzić, istniały przynajmniej telefony zaufania. Ich broszurki informacyjne dostarczono pocztą w sobotę, zaledwie dzień po tym, jak pierwszy raz z nimi rozmawiała.

Odpowiedziała mu SMS-em: *Nie przychodź. Nie chcę Cię widzieć. Bardzo zaraźliwe.*

Ledwie wcisnęła klawisz „wyślij”, pożałowała tego, przypomniawszy sobie radę powtarzaną na wszelkie możliwe sposoby w każdej z broszurek. *O ile to możliwe, nie rozmawiaj z nim. Nie wdawaj się w żadne rozmowy.* Wiedziała, że jej utracone przyjaciółki powiedziałyby to samo.

Żałowała, że dała mu swój numer komórki. Ale nic innego nie pozwoliłoby jej pozbyć się go tamtego ranka po jego imprezie z okazji publikacji książki. Ani mdłości, ani ból głowy, chociaż połknęła na jego oczach trzy tabletki przeciwbólowe. Nawet jej widoczne drżenie nie przekonało go, że Clarissa czuje się tak źle, że powinien sobie pójść. Uciekła się do środka ostatecznego, żeby go spławić, i przekupiła go numerem telefonu – gdyby tylko wykazała się przezornością i wymyśliła fałszywy, zamiast podawać

prawdziwy. Ale była wtedy zbyt chora, by jasno myśleć.

Wystukała numer Gary'ego. Ważkie powody, powiedział wtedy sędzia. Na przykład jakie? Może ciąża. Albo karmienie piersią. Nie miała żadnych ważkich powodów. To, że jej nieobecność będzie dla jej przełożonego stanowić lekką niedogodność, nie liczyło się jako ważki powód.

Clarissa postarała się, by jej głos zabrzmiał żałościwie, jakby spotkało ją coś wstrząsającego.

– Myślałam, że to zajmie tylko dziewięć dni. Najwyżej dwa tygodnie. Tak jest napisane we wszystkich tych materiałach, jakie nam przysyłają. A tu nagle wybrano mnie na proces siedmioletniowy. Tak mi przykro.

– Nie dali ci szansy wyjaśnić, że nie możesz? Jesteś niezbędna na uniwersytecie.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Niezbędna? Ależ skąd. Nie tak jak lekarze czy nauczyciele. Nawet oni nie mogą się od tego wymigać. Nawet sędziowie. Sekretarka kierownika studiów doktoranckich nie jest istotnym pracownikiem, choć oczywiście jestem wzruszona, że aż tak doceniasz moją rolę.

– Ale nie odpowiedziałś na moje pytanie. – Przy rzadkich okazjach Gary podczas rozmowy z nią potrafił się zdobyć na poważny ton zwierzchnika. – Nie dali ci szansy wywinąć się?

– Nie – skłamała bez skrępowań. Była prawie w domu, pociąg wjeżdżał na stację w Bath. Poczła gęsią skórkę, co zwykle stanowiło niezawodne ostrzeżenie, że jest obserwowana. Wiedziała jednak, że Rafe'a nie ma w wagonie.

Nie zobaczyła go też na peronie. – Nie, nie dali.

Oczy piekły ją od spalin samochodowych. Szła z dworca Bristol Temple Meads do sądu, a ulice były takie szerokie i wszystkie tak do siebie podobne, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zgubiła drogi.

Próbowała skupić się na swojej trasie, na ledwie znanych elementach miejskiego krajobrazu – na pewno zapamiętała wczoraj ten purpurowy mur po prawej – ale całą resztę jak zwykle wypierał z jej umysłu Rafe.

Piątek, 30 stycznia, godzina 10.00
(cztery dni temu)

To mój ostatni dzień w pracy przed udziałem w procesie w roli członka ławy przysięgłych. Ostatni dzień, gdy muszę cię unikać. W poniedziałek zniknę w gmachu sądu i nie będziesz wiedzieć, gdzie się podziałam.

Moje dokumenty i raporty kładę na jednym z drewnianych krzesel przytwierdzonych na stałe w wielkim audytorium, a torebkę – na drugim. Zajmuję miejsce między nimi, mając nadzieję, że te drobne fortyfikacje zniechęcą cię do tego, by zająć miejsce obok mnie. Taki widoczny znak mojej potrzeby przestrzeni zadziałałby na każdego innego. Ale na ciebie nie. Oczywiście, że na ciebie nie. Na ciebie nic nie działa.

Stajesz nade mną i mówisz:

– Cześć, Clarisso. – Jednocześnie przekładasz

moje papiery na podłogę i siadasz. Jestem niesłusznie, irracjonalnie wściekła na Gary'ego za to, że nalegał, bym wzięła udział w tym zebraniu. Zajmujesz miejsce od strony przejścia, co mi utrudni ucieczkę; głupio, że tego nie przewidziałam.

Wbijasz we mnie spojrzenie, drżą ci powieki. Nie mam się gdzie schować przed twoim wzrokiem. Mam ochotę ukryć twarz w dłoniach. Twoje policzki robią się nagle szkarłatne, potem białe, i znów szkarłatne, z wyrazistością kierunkowskazów samochodowych. Nie cierpię oglądać na twoim ciele tak wyraźnych oznak tego, jak na ciebie działałam.

Ani tego, jak ty działasz na mnie. Robi mi się coraz goręcej, czuję taki ból w piersi, że boję się, że przestanę oddychać. Mogę zemdleć na oczach wszystkich albo dostać mdłości. To musi być napad paniki.

Sufit jest wysoki. Świetlówki są upstrzone wyschniętymi trupkami much. Choć żarówki znajdują się wysoko nad moją głową, wypalają mi czaszkę. Nawet zimą tym muchom udaje się przetrwać w ciepłej przestrzeni na strychu budynku. Słyszę, jak jedna z nich syczy i się smaży, niezdolna umknąć z pułapki lampy, w której się znalazła. Boję się, że na mnie spadnie. Ale lepiej, żeby to była mucha niż ty.

Dotykasz mego ramienia, a ja się wzdrygam, starając się robić to jak najmniej gwałtownie. Szepczesz:

– Wiesz, kocham twoje włosy, takie odgarnięte z szyi. Masz taką piękną szyję, Clarisso. Zrobiłaś to dla mnie, prawda? No i ta sukienka. Wiesz, jak cię uwielbiam w czerni.

A ja po prostu nie mogę już tego znieść. Podrywam się do góry niczym pokrywka szybkaru wypchnięta przez parę, zostawiam papiery i potykam się o twoje nogi. Wykorzystujesz to – jak zawsze, oczywiście – i ujmujesz mnie dłońmi w talii, udając, że chcesz mnie podtrzymać. Odtrącam twoje palce, nie dbając o to, czy nie obrażę rektora, który przerywa uwagi wstępne, gdy wszystkie głowy na sali odwracają się, by popatrzeć, jak pospiesznie wychodzę. Chce mi się krzyczeć, bo wiem, że sprawia to wrażenie, jakbym to ja nie panowała nad sobą, a nie ty.

Jakimś cudem wymykam się z kampusu, dostaję się do centrum Bath i niepewnym krokiem, prawie bezwiednie, docieram do budynku, w którym mieszczą się Sale Asamblowe. Nie schodzę jak zwykle do mroźnego oświetlonego podziemia, mojego ulubionego miejsca, gdzie znajduje się ekspozycja strojów sprzed setek lat; są tam lśniące jedwabiem brokaty przetykane srebrną i złotą nicią, ozdobione szlachetnymi kamieniami. Zamiast tego przecinam hall wejściowy w kolorze zieleni szaławii, przechodząc między kolumnami z białomiodowego marmuru, i zatrzymuję się tuż przed wielką oktagonalną salą.

Jest zamknięta. Tabliczka wyjaśnia, że później tego

samego dnia ma się tam odbyć prywatna uroczystość. Wślizgnę się jednak przez podwójne drzwi, jakbym była upoważniona, i zamykam je za sobą. Jest tu cicho i spokojnie, otacza mnie te osiem kamiennych ścian, łagodne światło pada na mnie przez panelowe okna. Wyjmuję telefon, robię głęboki wdech i wybieram numer 999.

– Pogotowie policyjne. – Powitanie operatorki brzmi dziarsko i śpiewnie, jakby ona pracowała w sklepie z kieckami, a ja jakbym była potencjalną klientką.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Dzień dobry – wyduszam tylko, choć ciężko dyszę. Musi to przypominać anonimowy telefon.

– W jakiej sprawie pani dzwoni?

Królowa Charlotta kieruje na mnie łagodne spojrzenie z wysoko umieszczonego portretu, jakby dla zachęty.

– Dziś rano w pracy... Kolega...

– Czy w pani miejscu pracy doszło do wypadku?

Próbuję wyjaśnić.

– On siadł przy mnie podczas spotkania, kiedy ja tego nie chciałam. Szeptał mi dwuznaczne rzeczy. Naruszył moją przestrzeń osobistą. Wyprowadził mnie z równowagi.

– Rozumiem. Czy ten mężczyzna jest teraz z panią?

Spojrzenie królowej Charlotty podąża za mną z troską, gdy krążę po sali.

– Nie. Ale on wciąż mi się naprzykrza. Nie mogę się go pozbyć.

– Czy zrobił pani krzywdę?

Rodzina Drake'ów jest zbyt szczęśliwa w ozdobnej, złotej ramie, upozowana z idealnie grzecznymi dziećmi w ich wypielęgowanym osiemnastowiecznym krajobrazie.

– Nie.

– Czy kiedykolwiek maltretował panią fizycznie?

Słodkie maleństwo Drake'ów, siedzące na kolanach matki, nie powinno tego słyszeć.

– Nie – mówię znów po długiej pauzie.

– Czy kiedykolwiek bezpośrednio pani groził?

I znów się waham.

– Nie, bezpośrednio nie. Ale sprawia, że czuję się zagrożona.

– Czy w tej chwili znajduje się pani w niebezpieczeństwie?

Unoszę wzrok coraz wyżej i wyżej, ponad elegancki fryz z poskręcanych wici roślinnych, wyciągając szyję. Kapitan William Wade, pozujący w czerwonym stroju mistrza ceremonii, wpatruje się we mnie z dezaprobatą.

– Nie.

– Słyszę, że jest pani bardzo wzburzona, to rozumią. Ale nie występuje tu zagrożenie życia. Numer 999 jest przeznaczony dla takich przypadków.

Sala robi nagle wrażenie mniejszej, jakby ściany w gustownie przytłumionym odcieniu żółci zbliżyły się

do siebie.

– Przepraszam. – Wysoki sufit nie wydaje się już tak wysoki. Brakuje tu tlenu.

– Nie ma za co. Ale myślę, że sama pani sobie bardziej pomoże, jeżeli się pani uspokoi. – Najwyraźniej bierze mnie za histeryczkę.

W wielkiej oktagonalnej sali są cztery pary podwójnych brązowych drzwi. Jedne z nich nagle się otwierają. Do środka wpada turysta w średnim wieku, obrzuca mnie spojrzeniem i szybko się wycofuje, zamykając je za sobą.

– Jestem spokojna. – Słowa te dobywają się ze mnie niczym piskliwy skrzek.

– Widzę, że dzwoni pani w dobrej wierze. – Wyraźnie uważa, że jestem szaloną zanudzaczką.

Twarz mam czerwoną i rozpaloną.

– Nie wiedziałam, gdzie jeszcze mogłabym się zwrócić. Myślałam, że pani jest od takich rzeczy.

– Jest pani wyraźnie zdenerwowana. A nie myślała pani o wizycie u lekarza rodzinnego? – Oczywiście uważa mnie po prostu za pomyloną.

Przyciskam skroń do wystającej sztukaterii na jednym z kominków.

– Mój lekarz rodzinny nie skłoni go, żeby się ode mnie odczepił.

Jej głos jest uprzejmy, wręcz przepraszający.

– Policja nie może podjąć działania, jeśli nie ma dowodów, że popełniono przestępstwo. Z tego, co pani

mówi, wnoszę, że do tego nie doszło. Nie mówię, że pani nie wierzę, ale nie ma pani dowodów. Chciałabym pani pomóc, ale nie grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo, więc w tych okolicznościach nie mogę do pani nikogo wysłać.

Jerzy III odwraca spojrzenie.

– Czy chce pani powiedzieć, że on musi mnie skrzywdzić, żeby mi pani pomogła?

– Chcę powiedzieć, że na tym etapie nic się nie da zrobić. Istnieją wyspecjalizowane organizacje i telefony zaufania, które mogą pani poradzić, jak dokumentować uporczywe nękanie przez osobę prześladowającą. Jeśli pani chce powstrzymać jego działania, musi pani aktywnie gromadzić materiał dowodowy. Proszę się z nimi skontaktować. To w chwili obecnej najlepszy sposób postępowania.

Wciskam klawisz kończący połączenie i siedzę przez kilka minut pośrodku porysowanej drewnianej posadzki. Nade mną wisi ogromny kryształowy żyrandol. Myślę, że mógłby spaść mi na głowę. Wstaję, kolana mam sztywne i obolałe, i wychodzę pośpiesznie z oktagonalnej sali, rzucając ostatnie spojrzenie na królową Charlotte, zanim mnie znajdą i wyrzucą.

Poczuła ulgę, gdy widok gmachu sądu wyrwał ją z tych wspomnień. Jakoś jej się udało, choć złe wspomnienia tak ją rozproszyły, że przeoczyła skręt w lewo i szła przez dwadzieścia minut, zanim spostrzegła, że musi się cofnąć. Był

to dopiero drugi dzień, ale martwiło ją, że sędzia może się okazać surowy w kwestii spóźnień i wywali ją, zanim jeszcze proces na dobre się rozpocznie. I znowu dosłownie w ostatniej chwili wpadła do ławy przysięgłych.

Na pulpicie, który dzieliła z Annie, leżał segregator. Otworzyły go wspólnie i przeczytały listę zarzutów. *Porwanie. Bezprawne zatrzymanie. Gwałt. Zmowa przestępcza w celu dostarczenia twardych narkotyków.* Wstrząsające, dramatyczne słowa. Słowa, które kazały jej się zastanowić, jakim cudem znalazła się w takim miejscu.

Prokurator Morden nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Zmarszczki wokół jego oczu znamionowały człowieka dobrodusznego, ale gdy zwrócił się do członków ławy przysięgłych, wyglądał śmiertelnie poważnie.

– Opowiem państwu historię – zaczął. – Historię prawdziwą. I wcale nie piękną. Jest to historia Carlotty Lockyer, a to, co ją spotkało, nie było bajką.

Czterech oskarżonych umyślnie spuściło wzrok, jakby przez uprzejmość starało się nie podsłuchiwać rozmowy, która nie ma z nimi nic wspólnego.

– Półtora roku temu, w ostatnią sobotę lipca, Samuel Doleman wybrał się z kilkoma przyjaciółmi na przejażdżkę.

Szare oczy Dolemana patrzyły po wojskowemu wprost przed siebie, chociaż twarz mu pobladła. Rude włosy miał obcięte tak krótko, że prześwitywała przez nie skóra. Wydawał się dzięki temu taki bezbronny. Podobnie jak dzięki piegom.

– Zawiózł ich furgonetką z Londynu do Bath. Wyruszyli

na polowanie. Ich zdobyczą miała być Carlotta Lockyer.

Clarissa dokładnie pamiętała, co robiła tamtego dnia. Zastanawiała się, czy podobnie mogło być jeszcze z kimkolwiek z obecnych na sali rozpraw, poza oskarżonymi. Skończyła wtedy czwartą próbę zapłodnienia in vitro. Dwudziesty ósmy lipca to data, kiedy jej ostatni test ciążowy dał wynik negatywny. W sobotę wczesnym rankiem ponownie odbyła pełną napięcia przejazdzkę do Londynu, by zjawić się w laboratorium na pobranie krwi. Może nawet ona i Henry jechali za furgonetką oskarżonych, gdy wracali tamtego popołudnia do Bath: Clarissa rozszlochana po telefonie, który otrzymała z kliniki, Henry milczący i zamyślony.

– Jeśli spojrzą państwo na ekrany, zobaczą obrazy oskarżonych z kamer monitoringu przed wejściem do mieszkania pani Lockyer.

Clarissa próbowała otrząsnąć się ze wspomnień, by skupić uwagę. Chciała, by jej serce zwolniło. Znała to mieszkanie. Budynek stał dziesięć minut drogi od jej domu. Gdyby rano poprzedniego dnia Rafe dogonił ją kilka minut później, staliby tam.

Choć obraz materiału filmowego był ziamisty i urywany, widziała, jak mężczyźni chodzą tu i tam, krążą niespokojnie, zaglądają przez szklane drzwi, walą w nie pięściami, szarpiają klamkę.

Wyobrazila sobie, jak Rafe robi to samo z jej drzwiami. Pani Norton mogłaby coś o tym powiedzieć, gdyby się odważyła. Była to drobna staruszka z mieszkania na parterze.

W budynku mieszkały tylko Clarissa i pani Norton. Lokal na pierwszym piętrze stał wciąż pusty. Jako nieruchomość inwestycyjna należał do bogatego Australijczyka, który prawie z niego nie korzystał.

– Pani Lockyer najwyraźniej nie ma w domu. Niestety dla niej, Doleman i jego koledzy niełatwo rezygnują.

To samo można by powiedzieć o Rafie. Poczowała skwaśniały smak porannej kawy.

– Poszukali jej. Odnaleźli ją. Poszli jej tropem. Rzucili się na nią. Zawlekli ją w przerażającą podróż z Bath do Londynu, w mrok ich sadystycznego świata.

I znów wyobraziła sobie, że idzie na policję złożyć na niego skargę. I znów ujrzała aż nazbyt wyraźnie, co się stanie, jeśli tak postąpi: tamci dojdą do przekonania, że sama to na siebie sprowadziła.

Powiedziałby, że lubiła być przedmiotem zainteresowania. Że poszła na jego imprezę i chciała się z nim przespać. Że zaprosiła go do domu. Istniały zapewne nagrania monitoringu pokazujące, jak owego wieczoru podchodzą oboje na wzgórze, a on obejmuje ją ramieniem.

Znów pomyślała o przestrogach z broszurek. *Jeśli istnieją jakiegokolwiek wątpliwości co do szczerości twoich intencji, może to zaszkodzić twojej sprawie i podważyć wiarygodność.* W rzeczywistości jednak było jej słowo przeciwko jego.

Przypomniła sobie coś, co zwykle pozostawało zagrzebane w pamięci. Powrót do domu ze szkoły z Roweną, gdy miała piętnaście lat. I tę dziwną dziewczynę na bulwarze

nadmorskim, która walnęła Clarissę pięścią w brzuch, złapała jej torbę, a ją samą obaliła na ziemię, po czym odbiegła. Wydawało się, że wszystko to wydarzyło się jednocześnie. Clarissa mogła tylko próbować złapać oddech, gdy Rowena przykucnęła przy niej, obejmując ją rękoma.

Rodzice zaprowadzili ją na posterunek policji i kazali opisać incydent, ale funkcjonariuszka o skwaszonej twarzy wyraźnie uważała, że była to sprzeczka uczennic niewarta jej czasu, i wciąż się dopytywała, czym Clarissa mogła to sprowokować. Czy szpanowała? Popisywała się cennymi przedmiotami wobec dziewczyny mającej mniej szczęścia w życiu? Pokłóciła się o chłopaka? Clarissa opuściła posterunek z pąsowymi policzkami i palącą twarzą, czując się jak kryminalistka.

Przypadkowy akt przemocy. Tak to nazwała Rowena, trzymając ją potem za rękę. Ale Clarissa nie miała takiej pewności. Musiało być w niej coś, co zwróciło uwagę tamtej dziewczyny. I coś w Clarissie zwróciło też uwagę Rafe'a. Jeśli chodzi o niego, to z pewnością nie było to nic przypadkowego.

Bolały ją oczy; zacisnęła je na chwilę. Barki jej zeszywniały. Mężczyzna siedzący przed nią był irytująco wysoki, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt; musiała wyciągać szyję, by ponad jego głową o krótko przyciętych brązowych włosach widzieć twarz mecenasa Mordena. Tak samo było wczoraj. Po siedmiu takich tygodniach dobrze jej zrobi wizyta u kręgarza.

Mężczyzna wstał i skinął głową w jej kierunku, czekając,

aż wyjdzie przed nim z sali rozpraw. Zwróciła uwagę na jego postawę: stał twardo, stopy rozstawione na pół metra, dokładnie równolegle, ciężar ciała na piętach, ręce skrzyżowane na piersi. Nigdy jeszcze nie widziała, by ktoś wydawał się tak wyprostowany, a zarazem rozluźniony.

W teatrze sali rozpraw numer dwanaście wszelkie podziękowania musiały być przyciszone, ale wydawało się ważne, by w takim towarzystwie nie rezygnować z drobnych nawyków kurtuazji. Wyszła więc, lekkim skinieniem głowy i nieznacznym uśmiechem odpowiadając na jego publiczny pokaz dobrych manier w podobny sposób.

Wtorek, 3 lutego, godzina 18.00

Nie trwa to długo. Oczywiście, że nie. To i tak zdumiewające, że kłamstwo na temat choroby zapewniło mi choć jeden dzień wolności od twoich spojrzeń. Minęły tylko trzydzieści cztery godziny, a jednak od tygodni była to najdłuższa przerwa w kontaktach z tobą.

Powiedziałbyś, że to list miłosny. Ja nazywam to pocztą nienawistną. Tak czy inaczej, stoi oparty na półce w niewinnej brązowej kopercie, umieszczony tam starannie przez zawsze czujną panią Norton.

Żaden inny mężczyzna nie zrobi Ci tego, co ja mogę. Żaden inny nie będzie Cię kochać tak jak ja.

Tym razem chcę, by twoje przepowiednie się sprawdziły.

Środa, 4 lutego, godzina 8.00

Gdy otwieram drzwi frontowe, stoisz tak blisko, że wdycham zapach twego mydła i szamponu. Pachniesz świeżo i czysto. Pachniesz jabłkiem, lawendą i bergamotą – lubiłabym te zapachy, gdyby nie były twoje.

– Lepiej się czujesz, Clarisso?

Uczciwość nie jest czymś, co rozumiesz. Ani czymś, na co zasługujesz. Ale będę uczciwa, zwracając się do ciebie ten ostatni raz, zanim odmówię dalszych rozmów z tobą. Dzisiejszy ranek będzie zupełnie inny niż poniedziałkowy.

Mówię do ciebie spokojnie, uprzejmym głosem. I nie robię tego bynajmniej po raz pierwszy.

– Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Żadnej formy kontaktu. Żadnych listów. Żadnych prezentów. Żadnych telefonów. Żadnych wizyt. Nie zbliżaj się więcej do mego domu.

Moja przemowa jest doskonała. Dokładnie taka, jak to przygotowałam. Oddalam się szybko, nie patrząc na ciebie, choć mam w głowie na tyle jasny obraz twojej osoby, by móc potem jak świadek przedstawić dokładny rysopis.

Masz metr osiemdziesiąt wzrostu, jesteś grubokościsty. Twój brzuch był kiedyś płaski, ale

pewnie więcej pijesz, bo już taki nie jest. Biodra też się poszerzyły w ciągu ostatniego miesiąca. Twój nos widać zwykle na rozmytym tle nalanej krągłej twarzy, która straciła ostrość rysów.

Ale przede wszystkim jesteś blady. Masz blady umysł. Błądą duszę. Blade ciało. Twoja skóra jest tak blada, że łatwo się czerwienisz, przechodząc błyskawicznie od bieli do rumieńca. Twoje bladobrązowe włosy są proste i krótkie i wcale nie rzedną. Jak na mężczyznę są niezwykle miękkie i jedwabiste. Brwi masz bladobrązowe. Oczy blade, wodnistoniebieskie. Małe. Wargi cienkie. Też blade.

Dotykasz mojej ręki, a ja cię odtrącam, idąc po ścieżce do czekającej taksówki.

– Przeszedłem dowiedzieć się, co z tobą – mówisz, jakbym się w ogóle nie odezwała. – Twój telefon jest wciąż wyłączony. Martwię się, jak nie mam z tobą kontaktu.

W twoim towarzystwie droga po ścieżce między zimującymi krzakami róż pani Norton wydaje się daleka, ale już jestem przy taksówce i dotarłam tam chyba szybko.

Otwieram tylne drzwi i wsiadam, próbując zamknąć je za sobą, ale ty chwytasz je wcześniej.

– Posuń się, Clarisso. Pojadę z tobą. – Pochylasz się. Głowa i tors są w środku. Czuję zapach twojej pasty do zębów. Silnie miętowy. Pewnie użyłeś też płynu do płukania ust.

Tak starannie ćwiczone opanowanie znika.

– Ten facet nie jest ze mną – mówię do kierowcy, tego samego, który wiozł mnie wczoraj rano. – Nie chcę, żeby wsiadał.

– Przestań się jej naprzykrzać. Wynocha z mojego wozu, bo wezwę policję – mówi taksówkarz.

Matka powtarzała mi przez całe moje dorosłe życie, że taksówkarze uważają opiekuńczość za element swojego zawodu. Wiedzą, że właśnie dlatego kobieta płaci za taksówkę. Moja matka często ma rację, a mnie tym razem się poszczęściło. W matczynych wizjach taksówkarzy jako bohaterskich wybawicieli są to zawsze wielkie i krzepkie chłopy.

Ten jest kobietą, niską, w średnim wieku, ale mocną, twardą i wyraźnie nieustraszoną. Ma pięknie przycięte, nastroszone siwe włosy. Na pewno nigdy jej nawet nie przyszło do głowy, by je farbować. Nosi dzinsy i puszysty sweter z pomarańczowej wełny. Nie okazuje jowialnej serdeczności, która wypełniała jej auto podczas wczorajszej krótkiej podróży. Otwiera drzwi po swojej stronie, pokazując, że gotowa jest wprowadzić słowa w czyn.

Wycofujesz głowę i tors, stoisz ledwie kilka centymetrów od drzwi, gdy zamykam je z trzaskiem, podobnie jak taksówkarka swoje.

Walisz pięścią w dach.

– Jak możesz mnie tak traktować, Clarisso?

Kierowca wciska guzik, by opuścić przednie okno

po stronie pasażera, krzyczy coś groźnie i odjeżdża.

– Clarisso? Clarisso! Nie zasługuję na to!

Wciąż nie chcę na ciebie spojrzeć. Tak bardzo się staram stosować do tej rady, robić to właściwie. Kątem oka widzę, jak biegniesz obok taksówki do końca ulicy, waląc otwartą dłonią w mijane drzewa i latarnie. Słyszę, jak wykrzykujesz moje imię. Taksówkarka mamrocze pod nosem, jaki z ciebie porąbany idiota. Przeprasza za swój język, a ja za to, że przysparzam takich kłopotów. Mówimy sobie wzajemnie, że nie ma za co, choć wiem, że ona jest po prostu uprzejma, a ja mam za co. Dziękuję jej, że jest taka miła.

Wysiadam z wozu, ale wcześniej biorę od niej wizytówkę: kobieta może zostanie kiedyś świadkiem przeciw tobie.

Choć mimo chłodu poranka plecy i czoło mam pokryte potem, w kwestii radzenia sobie z tobą był to jednak całkiem udany początek dnia.

Gdy sunę przez stację, oszołomiona, pika mój nowy telefon, oznajmiając, że przyszedł e-mail. Zerkam na wyświetlacz niczym mała dziewczynka odważająca się spojrzeć w ciemności w lusterko, przestraszona, że ukaże się oblicze potwora. O dziwo, e-mail wysłała nieodzywiająca się od dawna Rowena. Przyjeżdża dziś wieczorem do Bath, chce, żebym przyszła do francuskiej restauracji. Nigdy tam nie byłam, ale Henry mówił raz, że to okropne miejsce. Odpowiadam: *Będę tam* i dwa całusy. Potem wyłączam telefon i wsiadam

do pociągu, który wiezie mnie do Bristolu.

Najwyraźniej miejsce dla świadka umieszczono tak, by zajmująca je osoba stała twarzą do ławy przysięgłych. I tak jednak ta kobieta wydawała się bardzo odległa. Przed przysięgłymi znajdowało się miejsce, gdzie zasiadało dwunastu adwokatów w perukach i czarnych togach. Clarissa musiała patrzeć ponad ich głowami, żeby widzieć świadka.

Była nim kobieta niezwykle szczupła, niemal niepokojąco krucha. Wystające kości policzkowe. Mały prosty nos. Wargi jak pączek róży. Delikatny podbródek. Łagodnie wygięte brwi. Drobne muszelkowate uszy jak u wróżki. Ciemnoblond włosy związane w krótki kucyk.

Ale im dłużej Clarissa się przyglądała, tym bardziej widziała, że coś zepsuło eteryczną urodę tej kobiety. Jej skóra była zbyt cienka, za bardzo przezroczysta. Zaciśnięte usta i zmarszczki wyżłobione wokół ogromnych zielonych oczu klóciły się z domysłem Clarissy, że tamta dobiega trzydziestki. Przytłaczało ją jakieś nienaturalne brzemie.

– Podobna do ciebie – szepnęła Annie. – Gdyby trochę zapuściła włosy, mogłybyście uchodzić za bliźniaczki. Ale ona jest tą wredną wersją. Twarda jest.

I przypuszczalnie dziesięć lat młodsza ode mnie, pomyślała Clarissa.

Kobieta upiła łyk wody ze szklanki, którą nalał jej woźny sądowy, i podziękowała słabym skinieniem głowy. Jej skóra była tak bardzo pozbawiona krwi, że wydawała się niewiele ciemniejsza niż biała gaza bluzki. Bluzka nie była dość ciepła:

kobieta dostała pewnie gęszej skórki. Ręce jej się trzęsły, gdy trzymała Biblię. Głos drżał podczas składania przysięgi.

– Proszę nie wyciągać żadnych wniosków na temat oskarżonych – pouczył sędziego – na podstawie faktu, że świadek Lockyer jest przed nimi zasłonięta przez niebieski ekran. To w sądzie zupełnie zwyczajny widok, chodzi po prostu o to, żeby świadkowie czuli się swobodniej. Nie ma to żadnej innej wymowy.

Clarissa kiwnęła potwierdzająco głową w kierunku wysokiego stołu sędziego. Widziała, że inni obrócili się w lewo, by zrobić to samo. Nie była jednak pewna, czy mu wierzy.

– Ten świadek będzie potrzebować przerwy co czterdzieści pięć minut – dodał sędzia.

Kobieta skinęła mu z wdzięcznością głową i wtedy naprawdę się zaczęło. Wydawało się, że Carlotta Lockyer jest jedyną osobą obecną na sali. I choć mecenas Morden też się odzywał i zadawał pytania, on i wszyscy inni jakby zniknęli. Został tylko głos Lockyer.

Zaczęłam dilować dla Issaca Sparkle’a w lecie dwa lata temu, żeby zarobić na narkotyki. W tydzień wszystko to sama wypaliłam, a winna mu byłam pieniądze. Pomyślałam, że jak będę to ignorować i spróbuję go unikać, nie będzie sprawy.

W sobotę dwudziestego ósmego lipca wracałam do domu. Wyszłam coś zwędzić w sklepie, ale nic mi się nie udało zdobyć. Na mojej ulicy stała biała furgonetka, częściowo na chodniku. Kiedy się z nią zrównałam, z przodu

wysiadł Antony Tomlinson, jeden z kurierów Sparkle'a. Sparkle wysiadł z tyłu, z dilerem Thomasem Godfreyem.

Sparkle powiedział: „Bierzcie ją, kurwa, do wozu”. Złapali mnie i wsadzili siłą do środka.

Sally siedziała z tyłu. To prostytutka, też ćpunka. Furgonetka zatrzymała się po jakichś pięciu minutach. Godfrey powiedział do Sally: „Wypierdalaj”. Drzwi z tyłu nie miały klamek. Sally musiała przeleźć między przednimi siedzeniami, nad Tomlinsonem, i potem przez przednie drzwi od strony pasażera. Wrzeszczałam, błagałam, żeby mnie puścili, ale oni wjechali na autostradę.

Godfrey kazał mi się przymknąć. Walnął mnie z boku dłonią w głowę. Potem wyjął taką zieloną jednorazową zapalniczkę. Płomień był wysoki. Przyłożył mi do prawego kolczyka. Czułam, jak kółko się nagrzewa, naprawdę paliło. Płakałam. Błagałam, żeby przestał.

Zatrzymaliśmy się po drodze, żeby wziąć jeszcze jednego mężczyznę. Wsiadł do furgonetki i powiedział: „Macie ją. Dobrze”. Kierowca wozu, Doleman, powiedział: „Ktoś jej powinien zerznąć tyłek. Dać jej nauczkę”.

Wzięli mnie do mieszkania w biednej dzielnicy Londynu. Bez elektryczności. Panował tam straszny ziąb. Było tylko światło latarni za wysokim oknem. Chłopak, którego zabrali po drodze, puścił muzykę ze swojego telefonu. Wrzeszczeli: „Rozbieraj się i tańcz”. Błagałam ich, żeby mnie nie zmuszali. Godfrey wyrznął mnie pięścią w żołądek. „Zrób to”. Płakałam, ale jakoś inaczej; zatkało mnie po tym ciosie.

Zdjęłam ubranie i tańczyłam. Brak mi słów, jaka się czułam

poniżona. Jakbym była zwierzęciem występującym przed nimi.

„Musimy cię nauczyć dyscypliny, tak jak mnie uczył mój ojciec”, powiedział Sparkle.

Musiałam stać na jednej nodze z rękami wyciągniętymi przed siebie. Byłam ciągle naga. Pokrzykiwali, jakby byli na meczu piłkarskim. „Patrzcie, jak jej się zderzaki trzęsą. Zobaczcie, jaką ma kudłatą cipę”. Chciałam się zasłonić, pochylić, ale jak mi ręce opadły albo postawiłam nogę, walili mnie szczotką.

Tak bardzo chciałam się ubrać. Żeby przestali się na mnie gapić. No ale i dlatego, że dłużej niż zwykle nie miałam heroiny albo cracku, a po odstawieniu człowiekowi robi się jeszcze zimniej.

Powiedzieli, że jak chcę odzyskać ubranie, muszę robić nago pompki. Za każde dziesięć pompek dostanę jedną rzecz, ale muszę to na siebie włożyć w dziesięć sekund. Odliczali razem, wykrzykując liczby. Musiałam zacząć następne pompki, jak tylko doszli do dziesięciu. Dostałam stanik i majtki. Bluzkę i džinsy. Nie miałam czasu porządnie niczego założyć.

Tomlinson i Doleman wyszli do miasta zabalować. Posadzili mnie w fotelu. Godfrey i ten chłopak, którego wzięli po drodze, położyli się spać na tapczanie, a Sparkle na drugim fotelu. Drzwi były zamknięte na klucz. Nie śmiałam się ruszyć.

Była gdzieś trzecia nad ranem, jak wrócił Tomlinson z Dolemanem. Tomlinson chwycił mnie pod pachami,

Doleman – za nogi i zanieśli mnie do sypialni. Rzucili mnie na materac i Tomlinson przytrzymał mi klatkę i ręce, gdy Doleman ściągał mi dzinsy i majtki. Wciąż powtarzałam „nie” i błagałam, żeby przestali. Ale nie przestali. Zgwałcili mnie.

Doleman w pochwę, Tomlinson w usta. Potem się zamienili miejscami. Doleman powiedział, że poharata mi twarz nożem, jak go ugryzę. Kazał mi to połknąć, jak skończył. Przez cały czas mnie zmuszali, przytrzymywali.

Gdy było po wszystkim, powiedziałam, że muszę do toalety, a Tomlinson na to: „W porządku, idź”. On skończył mi w twarz. Wytarłam to dzinsami i T-shirtem – nie zdjęli mi koszulki. Piekło mnie, jak sikałam. Nie było tam w ogóle gorącej wody ani mydła czy ręcznika. Umyłam pochwę zimną wodą, wytarłam dzinsami.

Majtki zrobiły mi się lepkie i wilgotne, jak tylko je założyłam. Nie widziałam, bo było za ciemno, ale bałam się, że to krew, a jeżeli znów każą mi się rozebrać i zobaczą, to będą się nabijać. Stał tam jakiś kredens, więc schowałam za nim majtki. Włożyłam dzinsy, miałam nadzieję, że nie będzie już żadnej krwi, którą mogliby zobaczyć.

Lockyer ukryła twarz w dłoniach. Ramiona jej dygotały. Nie wydobył się z niej żaden dźwięk.

Sędzia odesłał ich na resztę dnia do domu.

– Proszę wyprowadzić podsądnych z ławy oskarżonych, żeby świadek mogła wyjść – polecił.

Serce Clarissy biło bardzo szybko, jakby dopiero co obejrzała jakąś przerażającą scenę w filmie grozy. Wiedziała, że ma zaczerwienioną twarz. Łzy wzbierały jej w oczach, ale

powstrzymała się i nie otarła ich, nie chcąc, by ktokolwiek to zauważył.

Skierowała się prosto do szatni, by wydmuchać nos, złapała płaszcz z szafki, zbiegła po schodach i wyszła przez obrotowe drzwi, wystawiając twarz na podmuch mroźnego powietrza. Przeszła zaledwie kilka metrów, gdy z podziemia gmachu sądu wyjechał powoli samochód. Zatrzymał się, tarasując chodnik; kierowca czekał, aż będzie miał wolną drogę, by skrócić w lewo w ulicę.

Coś skłoniło Clarissę, by zajrzeć do środka. Na tylnym fotelu siedziała oparta o okno Carlotta Lockyer. Płakała. Spojrzała Clarissie w oczy, na jej twarzy pojawił się przelotnie wyraz zaskoczenia, jakby ją poznała, potem samochód odjechał.

Środa, 4 lutego, godzina 20.00

Gdy ściskam Rowenę w restauracji, tuż przy wejściu, jej piersi odskakują ode mnie sprężyste, ani trochę się nie rozplaszczając. Są nieprawdopodobnie sterczące, urosły chyba o dwa numery miseczki.

Pierwsze słowa, które do mnie kieruje, stanowią odpowiedź na moje niewypowiedziane pytanie.

– Owszem. Zrobiłam sobie cycki. – Jej klatka piersiowa połyskuje, przyprószona iskrzącym proszkiem. – Ciało nosi się codziennie. Trzeba być w nim szczęśliwym.

Rowena prowadzi własną jednoosobową firmę. Jest analitykiem dyskursu. Ogląda każdą deklarację programową, reklamę i logo, jakie tworzy dane

przedsiębiorstwo. A potem im mówi, jaki jest ich prawdziwy przekaz. Może Rowena pracowała dla jakiegoś chirurga plastycznego i dała się uwieść jego broszurkom, które miała poddać krytyce.

– Z tego, że mamy trzydzieści osiem lat, wcale nie wynika, że musimy na tyle wyglądać. – Bada swoją twarz w składanym lusterku, a wydaje się przy tym tak zatroskana, że kojarzy mi się z królową z *Królewny Śnieżki* z jej okropnym zwierciadłem. Czoło Roweny jest lśniąco gładkie. Nie pasuje do szczęki i policzków.

Chcę, żeby wyglądała na mniej smutną i napiętą, więc trochę kpiąco, ale też z czułością pytam, jak osiąga ten blask, świeży jak rosa.

– Staram się nie unosić brwi i ograniczać mimikę. Ruch dodaje zmarszczek.

Ona nie jest inteligentna, powiedział kiedyś Henry.

Są różne rodzaje inteligencji, odparłam.

Wspomnienia o Henrym też nie dają mi spokoju, ale nie tak bardzo jak te o tobie. Szybko go dystansujesz.

Mimo mroźnej nocy i śliskich chodników Rowena ma na sobie wydekoltowaną, ciemnopurpurową aksamitną suknię bez rękawów i pantofle na szpileczkach. Uznaję to za trochę dziwne, bo takie wysilanie się tylko dla mnie zupełnie nie jest w jej stylu. Mówię jej, że sukienka jest piękna.

– Tyle kobiet przywyka do tego, że wciąż wygląda tak samo – odpowiada, a ja jestem prawie pewna, że ma na myśli mnie.

Czy to jest ta Rowena, która przynosiła mi ukradkiem swoje ulubione ciuchy, ilekroć chciałam włożyć na siebie coś, czego nie uszyła mi matka?

Rzucam okiem na swoje odbicie w oknie. Włosy zebrane na czubku głowy i spięte srebrnymi geometrycznymi spinkami, choć wokół twarzy i szyi wymknęło się kilka blond pasemek. Stanik i rękawy ciemnografitowej sukni ściśle dopasowane, spódnica przypomina odwróconą czaszę kieliszka do wina, rąbek tuż powyżej kolan.

Rowena zerka na swoją klatkę piersiową.

– Nie chodzi tylko o to, żeby pociągać mężczyzn. –

Emocje związane z tym ostatnim zdaniem są zbyt silne; jej usta drgają, gdy walczy, by nie zmarszczyć brwi. – To dla mnie. Należy mi się to. A te nowe cycki wcale się nie ruszają. Są tak jędrne i sterczące, że nawet nie potrzebują stanika.

Myślę o oskarżonych szydzących z Lockyer. „Patrzcie, jak jej się zderzaki trzęsą”.

„Jędrne i sterczące” to nie są słowa Roweny. Kiedy się nimi stały?

Moja przyjaciółka ciągnie dalej, najwyraźniej po to, by przekonać bardziej siebie niż mnie.

– Kobiety w mojej siłowni zawsze pytają: „Kto ci robił twarz? Kto ci robił cycki?”. – Mówi, jakby części jej ciała mógł kupić każdy, niczym nową suknię czy torebkę.

Oskarżeni mówią „zderzaki”. Rowena mówi „cycki”.

Ja mówię „piersi”. Nie wiem, jak ty mówisz. Nie chcę wiedzieć. Wiem za to, że te różnice się liczą.

– To ogromny komplement. Clarisso, powinnaś spróbować botoksu. Przynajmniej tego. Inaczej zbudzisz się pewnego ranka, wyglądając jak sflaczały balon.

Ona nawet nie jest dla ciebie miła, powiedział Henry. *Dobrze się czuje, będąc ze mną szczerą*, odpowiedziałam.

Nie macie ze sobą nic wspólnego, dodał.

Kilka razy mocno mrugam, jakby miało to przeczyścić mój wzrok, aby wróciła do mnie Rowena, o której sądziłam, że ją znam. Jej obecna wersja pewnie doradziłaby Henry’emu przeszczep włosów. Już sobie wyobrażam jego odpowiedź, gdyby się na to poważyła: bez słowa uniósłby brwi, pogardliwie, z niedowierzaniem. Myślę, że Henry jest piękny taki, jaki jest, nawet jeżeli nie mogę już o nim myśleć jako o swoim.

– Rozważę to. Ale czy dobrze się czujesz? Doszłaś do siebie po tych operacjach?

– Jedyne minus to to, że nie czuję już sutków. – Rowena mówi to kpiąco, jak osoba na diecie, która wprawdzie zrezygnowała z czekolady, ale i tak nigdy za nią nie przepadała. Z trudem staram się ukryć mój smutek z powodu Roweny. I przerażenie, że okaleczyła w ten sposób siebie i swoją zdolność doznawania rozkoszy. – Blizny są okropne. Ale chirurg ma nadzieję,

że nastąpi poprawa.

Czy to ta Rowena, która z zamkniętymi oczyma unosiła się w morzu, kołysana prądami, nucąc pod nosem i udając, że jest syrenką?

Wyobrażam sobie jej sutki przyszyte jak guziki, z ciemnym pierścieniem wokół. Przez kilka sekund czuję pieczenie i mrowienie własnych.

– Z całą pewnością. To pewnie po prostu musi potwać.

Przygląda się mojej twarzy.

– Masz podkrążone oczy. Powinnaś to tuszować. Albo pomyśleć o liftingu powiek. To bardzo odmładzające. Znacznie lepiej się ze sobą poczujesz. Jeśli ludzie, z którymi pracujesz, będą widzieć, że wydajesz się zmęczona, uwierzą, że tak jest. Uwierzą, że nie wykonujesz swoich zadań efektywnie, profesjonalnie.

Wiele kobiet nie ma chęci mówić innym, co się z nimi dzieje.

Przygryzam wargę.

– Ostatnio nie za dobrze sypiam, Roweno. To z powodu tego mężczyzny.

Nie rozumie mnie.

– Chcę wszystko o nim usłyszeć. Ale to chyba może poczekać?

Czy to jest ta Rowena, która pędziła z Edynburga do Londynu, żebym mogła wypłakać się w jej ramionach, kiedy chłopak ze mną zerwał, jak byłam na

drugim roku studiów?

– Oczywiście – potwierdzam.

Ona zawsze mówi tylko o sobie. Ty jej nie interesujesz, powiedział Henry.

Ale ja nie wspominałam o najważniejszych rzeczach, odparłam, żeby jej nie przerywać. Jak się może mną interesować, skoro nie wyjawiam podstawowych spraw z mojego życia?

Obaj mężowie Roweny twierdzili, że nie chcą dzieci, a potem ją zostawili, by je mieć z inną kobietą. Nigdy mi nie wybaczyła, że odebrałam Henry'ego jego żonie. Czasem zastanawiałam się nawet, czy to nie moje poczucie winy z tego powodu powstrzymuje mnie jakoś przed zajściem w ciążę. Te próby poczęcia dziecka na pewno jeszcze bardziej rozwścieczyłyby Rowenę. Henry o tym wiedział, więc pomagał mi to ukrywać, choć bąkał coś, jaka to jednostronna przyjaźń.

Rowena znów gruntownie sprawdza swój wygląd w składanym lusterku, a ja uświadamiam sobie, że to zapewne nieudane małżeństwa uczyniły ją tak podatną na ten kult chirurgii plastycznej.

– Czy słusznie zrobiłam to ze swoją twarzą? –

Pudruje skórę nad brwiami, które wydają się teraz wyższe niż dawniej.

– Absolutnie słusznie. Wyglądasz jak gwiazda amerykańskiej opery mydlanej. – Moje słowa przywołują na jej wargi coś, co wygląda prawie jak uśmiech. Wargi, które, jak właśnie zauważyłam, są

teraz pełniejsze. – Jeśli to sprawia, że czujesz się szczęśliwa, bardziej pewna siebie, to tylko to się liczy. Tylko to widać.

Kiwa entuzjastycznie na znak zgody.

– Zdecydowanie bardziej młodzieńczy, wyrazisty wygląd. – Henry skrzywiłby się na to, ale ja nie.

Kelner prowadzi nas do stolika w rogu. Na ścianach restauracji wiszą obrazy nagich kobiet w stylu udającym art déco. Łatwo ich nie zauważyć w słabo oświetlonej sali. Moją uwagę zwraca jeden, przedstawiający tancerkę. Przypomina mi znowu tamtych mężczyzn na ławie oskarżonych i to, jak zmusili Lockyer, aby się przed nimi rozbierała i tańczyła.

– Dlaczego wybrałaś to miejsce?

– To nie ja.

– No to kto?

Ignoruje moje pytanie.

– Sądzisz, że to wygląda naturalnie?

Drżenie w jej głosie sprawia, że robi mi się jej żal.

Migoczące światło świec nadaje znieruchomiałej twarzy Roweny iluzję ekspresyjności, choć jestem zatruwona tym, jak wydatne stały się jej policzki. I przestraszona, że to, co wstrzyknęli jej technicy od urody, może jej zaszkodzić.

– Owszem. Jakbyś była w naprawdę wspaniałym spa.

Czy to jest ta Rowena, która bawiła się moimi

włosami i łaskotała mnie w ręce, gdy urządziłyśmy imprezy z nocowaniem, a potem zamieniałyśmy się rolami, żebym ja mogła robić jej to samo?

– Uważam, że każda z nas odpowiada za to, by wyglądać jak najlepiej niezależnie od wieku.

Kim ty jesteś i co zrobiłaś z Roweną? – zapytuję w myślach.

Ujmuję upierścienioną dłoń przyjaciółki, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– Muszę z tobą pogadać. O czymś bardzo złym.

Spogląda ku wejściu do restauracji i nagle jakby ktoś wcisnął przełącznik: na jej twarzy wykwita olśniewający bielą uśmiech typu „wszystkie kamery na mnie”. Nie próbuje go powstrzymać.

Podążam za jej spojrzeniem i prawie zachłystuję się łykiem wody, który właśnie wypłam. Świergoczący francuski jazz staje się jakby głośniejszy, a ciemnawa sala prawie pogrąża się w mroku. Czy oni zrobili coś, by oświetlenie stało się jeszcze gorsze? Bo nie jestem w stanie przetrwać tego, co widzę.

A widzę ciebie. Krocysz ku mnie, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Gdy wychodziłam z mieszkania, nigdzie cię nie było widać. Podobnie gdy wysiadałam z taksówki. Ani śladu ciebie aż do teraz. Skąd się dowiedziałeś, że tu jestem? Wiedziała o tym tylko Rowena.

Ale ty uśmiechasz się szeroko. Wydajesz się promiennie szczęśliwy, tak szczęśliwy, że ze

zdumieniem zauważam lekkie uklucie smutku, że to właśnie ja muszę zepsuć ci tę szaloną radość. Do czego zmuszasz mnie raz za razem. Nie rozumiesz, jakie to wyczerpujące? Czy ciebie to nie męczy?

Poruszasz ustami, wypowiadając słowa, których nie rozumiem. Stajesz obok Roweny. Pochylasz się, by pocałować ją w oba policzki.

– Nie d-d-dotykaj jej. – Nigdy w życiu się nie jąkałam, ale teraz robię to przez kilka sekund. – Oddejdź.

Rowena zachęcająco wysuwa krzesło stojące obok niej.

– Rafe do nas dołączy.

Skąd ona zna twoje imię? To wszystko nie ma sensu.

– On nie może.

– Zaprosiłam go. – Rowena kładzie dłoń na twojej. Pierwszy ją cofasz, ale ona wyraźnie tego nie zauważa. – Siadaj, Rafe.

Mój odruch walki prawie wyciąga mnie z krzesła, ale nie chcę zostawiać przyjaciółki samej z tobą, a ona wcale nie wygląda, jakby zamierzała rychło za mną wyjść.

– Jak sobie życzysz. – Wieszasz płaszcz na oparciu krzesła, odmawiając kelnerce, która proponuje, że go zanieś do szatni. Jestem pewna, że masz w kieszeniach coś, z czym boisz się zdradzić. Jak również tego, że chcesz mieć swoje rzeczy pod ręką,

by chwycić je szybko i móc mnie ścigać, gdy wybiegnę.

Patrzę tylko na Rowenę, jakby stanowiła dla mnie linię ratunkową.

– Nie rozumiem.

– Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę. – Rowena poprawia brązowe włosy ze starannie koloryzowanymi pasemkami.

Staram się wyteńczyć umysł, i to szybko. Odgaduję, w jaki sposób skojarzyłeś ją ze mną. To musiało być podczas tej ceremonii wręczania nagród dla kobiet biznesu przed ośmiu laty. Rowena była wówczas w trakcie rozwodu, więc to ja jej towarzyszyłam. Gdy wywołali jej nazwisko, klaskałam tak mocno, że piekły mnie dłonie, i uśmiechałam się tak bardzo, że aż rozboleła mnie szczeka. Opublikowano potem zdjęcie, na którym jestem z Roweną, z nazwiskami obu w podpisie. To jedyna informacja na mój temat, którą można znaleźć w internecie.

– Sądziłeś, że cię ucieszy, że się znamy z Rafe'em. – Rowena wydaje się dotknięta, ale moje przerażenie jest silniejsze niż zwykła skłonność, by ją pocieszać i uspokajać.

– Skąd? – Przystaję ostro widzieć w tej głupio ciemnej sali. – Skąd wiesz?

– Spotkaliśmy się pierwszy raz twarzą w twarz dziś podczas lunchu. Ale mejlowaliśmy ze sobą od dwóch miesięcy. To zdumiewające, jak można się zbliżyć,

pisując do siebie. – Odsyła gestem nadchodzącą kelnerkę. – Rafe śledzi mój blog biznesowy. Każe go czytać swoim studentom, żeby zwiększyć ich szanse zatrudnienia. Ale zauważył na moim profilu wzmiankę o ambicjach twórczych, więc skontaktował się ze mną. Doradza mi w sprawie pamiętnika, który zawsze chciałam napisać.

Krew pulsuje mi w głowie.

– To był cyberstalking.

– Jesteś melodramatyczna. I paranoiczna. –

Przeprasza cię: – Clarissa nie mówi tego na serio.

– Ależ owszem. – Wszystko spowijają cienie.

Potrząsam kilka razy głową, próbując rozjaśnić myśli, a potem zmuszam się, by skupić uwagę na tobie, czyli zrobić właśnie to, czego nienawidzę. – Nie masz pojęcia o pisaniu pamiętnika. Jesteś tylko krytykiem literackim. – Ostatnie dwa słowa wypowiadam tak, jakby to była największa obelga, jaka mi przychodzi do głowy.

– Posiadam szereg talentów i zainteresowań, których jeszcze nie odkryłaś, Clarisso.

No i znowu cały ty. Cudacznie kończysz każde zdanie moim imieniem. Dlaczego Rowena nie widzi, jakie to osobliwe? Łkanie wyrwa mi się z gardła, zanim mogę je powstrzymać.

– Roweno, przecież ty go nie potrzebujesz. Możesz dołączyć do kółka pisarskiego. On cię wykorzystuje, żeby się dobrać do mnie.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie. Co za niewiarygodna arogancja. Już nie mówiąc o tym, że to śmieszne. Raptem kilka tygodni temu odkryliśmy z Rafe'em, że jesteś naszą wspólną znajomą.

Zaciskam oczy, potem znów je otwieram, nie dbając o to, jak dziwnie przy tym wyglądam.

– Cóż za zbieg okoliczności.

– Nieprawdaż, Clarisso? – mówisz.

– Obojgu nam na tobie zależy – wtrąca Rowena.

– Bardzo – potwierdzasz.

– Czy powiedział ci, co się stało dziś rano? Kiedy czekał przed moim domem? Kiedy taksówkarka musiała zagrozić mu policją? Kiedy się dowiedział, że nie chcę go tam widzieć?

Kręcisz głową, a ta mała pantomima ma pokazać, jaki jesteś urażony i niezrozumiany. Twój przekaz jest jasny mimo mrocznych oparów tej okropnej sali.

– Clarisso – mówisz. – Och, Clarisso. Jak możesz tak myśleć?

Ledwo się powstrzymuję przed chluśnięciem ci w twarz wodą z lodem z dzbanka stojącego obok.

Rowena dotyka mojego ramienia.

– Rafe martwi się o ciebie. To dlatego przyjechałam.

Nie uchodzi mojej uwagi ironia faktu, że odezwała się po dwóch latach milczenia tylko ze względu na ciebie.

Rowena przygląda mi się z rozczarowaniem.

– Powiedział mi, że ostatnio nie jesteś sobą. Że

w pracy dziwnie się zachowujesz. Prosiłam go, by miał cię na oku, dopóki nie będę mogła tu przyjechać. Nigdy bym nie pomyślała, że możesz być dla niego tak niemila.

Żyłka zaczyna mi pulsować na czole, gdy w pełni pojmuję, ile trudu sobie zadałeś, by to zorganizować, ile czasu spędziłeś, spiskując i manipulując, ile musiałeś wcześniej planować, ile cierpliwości i samodyscypliny wymagało od ciebie oczekiwanie na dzisiejszy wieczór. Rowena stanowiła dla ciebie idealny cel. Jest wyraźnie zraniona, jej bezbronność i desperacja skłoniły ją do poprawienia sobie piersi i twarzy. Przygotowałeś ją. Kompletnie ją wymanewrowałeś. Prawdę mówiąc, oczarowałeś ją.

Jeśli macie wspólnych przyjaciół, on może nastawić ich przeciwko tobie, lekceważąc twoje niepokoje albo twierdząc, że zachowywałaś się wobec niego w nierozsądny sposób.

Zupełnie jak gdybyś i ty czytał broszurki uczące obrony przed stalkingiem i wykorzystywał wszystkie te informacje przeciwko mnie. Nie mamy wspólnych przyjaciół, więc zrobiłeś kogoś takiego z Roweny.

Ściska mnie w gardle, ale widzę już jaśniej.

– Nie tak było.

Uśmiechasz się teraz z wyższością, zadowolony z siebie: walczą o ciebie dwie kobiety. Postawiłeś mnie w sytuacji, gdy muszę z tobą rozmawiać, patrzeć na

ciebie i zwracać na siebie uwagę. Już mnie zmusiłeś do złamania decyzji o milczeniu, podjętej zaledwie dziś rano.

– Nie możesz mi nie wierzyć, Roweno. – Jeśli moja przyjaciółka bardziej wierzy w twoją historię niż w moją, jeśli rzeczywiście uważa, że jesteś wiarygodny, to nie ma nadziei, że policja kiedykolwiek potraktuje mnie poważnie. Nie ma też nadziei dla Lockyer.

Ssiesz oliwkę i obserwujesz mnie. Wyjmujesz z ust pestkę, powoli i zmysłowo. Na wargach połyskuje ci oliwa. Wzdragam się i odrywam wzrok, żałując, że widzę wszystko tak niesamowicie wyraźnie.

Rowena klepie mnie delikatnie po rękę.

– Zmieńmy temat, Clarisso, i wróćmy do naszego wieczoru. Zawsze namawiałaś mnie, żebym była kreatywna, a Rafe zachęcił mnie do pisania o moim dzieciństwie. Myślałam, że będziesz zadowolona. Opowiedziałam mu o rzeczach, które wyczyniałyśmy razem jako nastolatki. Pisałam o tym, jak pobiła cię dziewczyna na bulwarze nadmorskim. Pamiętasz, jaka straszna była potem dla ciebie tamta policjantka?

Na ścianie za mną jest gorący kaloryfer, ale ja dygocę w swojej wełnianej sukience. Dostaję gęsiej skórki na rękach. Ostatnia osoba, wobec której mam teraz ochotę psychicznie się obnażyć, zna ze wszystkimi szczegółami ostatnią historię, którą chciałabym komukolwiek opowiedzieć. Otwieram usta, by się odezwać, ale nic nie mówię.

Rowena jest zbyt podekscytowana, żeby to zauważyć.

– Najważniejsza jest tu otwartość; Rafe chce to ze mnie wydobyć. Pamiętasz, jak cię odprowadziłam do domu i pomogłam ci się ogarnąć?

– Owszem – mówię cicho. – Nikt by mi tak nie pomógł jak ty.

– To wspaniała historia. Clarissa będzie z ciebie dumna, jak ją przeczyta.

Kopnęłabym cię pod stołem, ale nie chcę cię dotykać nawet butem i nie zamierzam pozwolić ci dowieść Rowenie, że jestem niezrównoważona. Ku mojemu zdumieniu wstajesz. Przez sekundę lekkomyślnej nadziei myślę nawet, że chcesz opuścić lokal. Ale oczywiście tak nie jest. Idziesz tylko do baru.

Podnoszę się, gotowa wyjść, ale prawie natychmiast znów siadam. Nie zostawiłabym z tobą mego najgorszego wroga, a co dopiero najstarszej przyjaciółki, choć akurat teraz Rowena gra raczej tę pierwszą rolę niż drugą. Kimkolwiek by była, jestem córką moich rodziców, którzy aż za bardzo mi wpoili, jak ważna jest lojalność wobec przyjaciół i rodziny, nawet kiedy – zwłaszcza kiedy – ta lojalność jest poddawana próbie. Rowena, którą kochałam, musi wciąż istnieć, choć teraz jest pogrzebana tak głęboko, że nie mam pewności, czy zdołam ją kiedykolwiek odnaleźć ani czy w ogóle chcę tego próbować.

To zupełnie tak, jakby zaprezentowała ci moją

szufladę z bielizną. Ale wiem, że muszę się wypowiedzieć spokojnie, żeby mieć jakiegokolwiek szanse dotarcia do Roweny.

– Nie chcę, żebyś rozmawiała z nim o mnie. Nie rób tego, proszę.

– To moja historia. Ty po prostu się w niej znalazłaś. Nie masz prawa mną dyrygować.

– Może chcesz, żeby on tu był, ale ja nie. Postawiłam sprawę jasno. Każdy normalny mężczyzna uszanowałby moje życzenie. Nie rozumiesz tego?

Nie odpowiada. Przez moment myślę, że jednak rozumie. Uszy Roweny zawsze robią się czerwone, gdy jest zdenerwowana, i takie są właśnie teraz. Ich intensywniejszy kolor pozwala mi zauważyć blizny tuż przed nimi, więc odwracam wzrok, by nie dostrzegła, że je widzę.

– Podstępem skłonił mnie do przyjścia tutaj. Wiedział, że nigdy bym tego nie zrobiła, gdybyś mnie uprzedziła, że on z nami będzie. Nie wydaje ci się dziwne, że prosił cię o zachowanie tajemnicy?

Waha się, namyśla, ale pokonuje być może kielkujące w niej wątpliwości i wyrzuca słowo:

– Nie.

Nie chcę mówić tego, co zaraz powiem, ale wiem, że muszę.

– Ty go wcale nie interesujesz.

Usta Roweny wyginają się w wyrazie wściekłego niedowierzania.

– Nie każdy mężczyzna na świecie kocha się właśnie w tobie. Nie możesz odebrać ich wszystkich. –
Może domyśliła się prawdy o Henrym. A może ty jej po prostu powiedziałaś. Pewnie pozwoliłaś, by wymknęło ci się to niby niechcący podczas rozmowy na inny temat. To do ciebie podobne.

– W jego przypadku to nie jest miłość. To przeciwieństwo miłości – mówię łagodnie, delikatnie, jak najczulej. – To jest tak, jakby on próbował mnie wykraść. A teraz wykrada mi ciebie.

– Nie jestem twoją własnością, którą można ukraść. Od lat nie byłaś ze mną szczerą. Masz tyle tajemnic, że już cię prawie nie znam. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo mnie to rani? – Jej głos załamuje się przy ostatnim zdaniu.

Kładę rękę na jej dłoni, wzruszona tym przebłysem uczucia, jakie dawna Rowena żywiła wobec mnie.

– Wiem. I żałuję tego. Ale teraz próbuję zapobiec zranieniu ciebie. Tylko dlatego tu siedzę, chociaż jedyne, czego chcę, to wybiec przez te drzwi. On to wie. Dlatego to zaaranżował.

Rowena wyrywa rękę.

– Jak to wspaniałomyślnie i bezinteresownie z twojej strony – mówi głosem zimnym i urywanym. – Nie chcesz go, więc zostaw go mnie.

– On jest niebezpieczny. Robi z mojego życia piekło. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

Trudno mi teraz komukolwiek zaufać. Natychmiast złożyłabym na niego doniesienie na policji, ale nie stanęłabyś wtedy po mojej stronie, prawda?

– Zachowujesz się histerycznie. On został tu zaproszony. Chyba jesteś chora. Dobrze go znam.

– Nie masz pojęcia, jaki on jest. On cię po prostu wykorzystuje, żeby mnie szpiegować.

– Jesteś najbardziej egotyczną kobietą, jaką znam. Wróciłeś już ze swoim uśmiechem wyższości.

– Bellini z brzoskwinia – oznajmiasz dumnie. – To szczególnie wieczór. Tutejszy barman jest świetny. Właśnie dlatego zaproponowałem to miejsce.

Rowena znów się rozpromienia.

– Uwielbiam bellini. – Ona naprawdę cię lubi.

Próbuję spojrzeć na ciebie jej oczyma. Henry uważał cię za bufona, ale przyznawał, że studentki czasem się w tobie durzą. Masz dziś na sobie czarne dżinsy i wyrzuconą na spodnie ciemnoniebieską koszulę. To mój ulubiony odcień niebieskiego. Błękit północy. Właściwie podoba mi się twoje ubranie. Mam wrażenie, że Henry czasem się tak ubierał, a ty rozmyślnie go naśladujesz.

Stawiasz na stole dwa bellini i butelkę francuskiego piwa dla siebie.

– No, a teraz bawmy się wszyscy. – Ale ty już to robisz: to dla ciebie najlepsza zabawa od listopada. – Mam nadzieję, że i ty lubisz bellini, Clarisso. –

Spoglądasz na mnie, a potem na nagą kobietę na

ścianie ponad stolikiem.

Kobieta siedzi na stołku, z nogami złączonymi w kolanach, by wizerunek nie był zbyt obrazowy. Ma na sobie tylko pas do pończoch, pończochy, pantofle na szpilkach i nic poza tym. Na jej kolanach leży szpicruta. Wskazujesz gestem obraz i układasz twarz w grymas fałszywego zażenowania.

– Przepraszam. Zapomniałem o tutejszym wystroju.
– Oboje jednak wiemy, że rajcuje cię ta publiczna pornografia: widok mnie otoczonej przez te obrazy. Właśnie dlatego wybrałeś to miejsce.

– Moim zdaniem jest piękny. Gustowny. – Rowena sięga po kieliszek.

Znów się zastanawiam nad tym winem, którym nawiązałeś mi w listopadzie.

– Nie pij tego. – Łapię ją za rękę, ale ona się wrywa. Próbuję jeszcze raz, wtedy ona dosłownie uderza mnie dłonią w nadgarstek, i to mocno, i podnosi kieliszek. Po absurdalnej walce wylewam jej bellini z brzoskwinią na koszyk wyschłych kromek bagietki.

– Jesteś niespełna rozumu, Clarisso – mówi Rowena. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

– Myślę, że Clarissa źle się czuje. – Udajesz zasmuconego. – Potrzebuje naszego zrozumienia i wsparcia.

– Potrzebuje również profesjonalnej pomocy – dodaje Rowena.

Podnoszę drugie bellini z brzoskwinią. Nie chcę go

zostawić na stole teraz, kiedy wzbudziłam w Rowenie taką determinację, by je wypić. Chwytam torebkę i płaszcz z oparcia krzesła. Podobnie jak ty – i z twojego powodu – mam zwyczaj trzymać swoje rzeczy pod ręką, żeby móc się szybko wymknąć. Zastanawiam się, czy nie wybiec z restauracji, ale wiem, że podążysz za mną i że skończę samotna z tobą w ciemnej ulicy. Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, skąd mogę wezwać taksówkę i ukryć się tam, dopóki nie przyjedzie. Mam pewien plan, który naszkicowałam w myślach dopiero podczas ostatnich sekund. Wymaga on stanięcia z tobą twarzą twarzą po raz kolejny, samodzielnie, ale jest względnie bezpieczny, a z uwagi na Rowenę nie widzę innej możliwości.

Zaczynasz wstawać, więc unoszę ostrzegawczo rękę gestem policjanta z drogówki.

– Nie waż się iść za mną. – Liczę na to, że zignorujesz moje życzenie. Zawsze tak robisz. Zachowuję się tak głośno, że siedzący przy stolikach wokół spoglądają na nas. Wyduszam pożegnanie do Roweny, ale ona nie odpowiada. Spieszę ku metalowym schodom wiodącym spiralnie do podziemia, gdzie znajduje się toaleta.

Wisi tam inny obraz porno w stylu podróbki art déco, tuż obok toalety. Ten przedstawia parę – mężczyznę i kobietę – aby zaznaczyć, że przybytek jest koedukacyjny. Podobnie jak na innych tutejszych

dziełach oboje są nadzy. On stoi, patrząc na nią z góry. Ona klęczy przed nim. Ukazano ją od tyłu, tak że jej głowa zasłania środek jego ciała.

W toalecie panuje jakże modny półmrok, znów czuję się jak oślepią. Ruszam ku ubikacjom, chlując po drodze bellini z brzoskwinia do chromowanej umywalki. Ubikacje mają drzwi bez szczelin u góry i dołu, żeby nie dało się wczłgać pod spód ani zajrzeć góra. Dzwonię po taksówkę. Dyspozytor informuje, że kierowca podjedzie za dziesięć minut. Zamierzam pozostać za tymi zaryglowanymi drzwiami przez pierwsze dziewięć.

Gdy wychodzę, stoisz w pomieszczeniu, tak jak się spodziewałam. Blokujesz wyjście. Mdły dym palonych tu kadzidełek utrudnia oddychanie, przyciemniając i tak słabe światło. Dudni mi w głowie, może wskutek wysiłku oczu albo dlatego, że duszą mnie trujące opary syntetycznego jaśminu. Przypominam sobie, że lada chwila taksówkarz zjawi się w restauracji, pytając o mnie. Zanim tu zesłam, wykalkulowałam sobie, że ktoś może wejść, więc pewnie nie zaryzykujesz żadnych nazbyt niekontrolowanych zachowań. Jednak nie zamierzam tkwić tu na tyle długo, by to sprawdzić: zainscenizowałam to zderzenie z tobą jak najdokładniej, pozostawiając sobie możliwie najkrótszy czas, by powiedzieć to, co chciałam, pod nieobecność Roweny.

Z miejsca przechodzę do rzeczy.

– Nie zamierzam więcej utrzymywać kontaktów z Roweną. Bądź sobie z nią, ile chcesz. Nic mi do tego. Nie pomoże ci to zbliżyć się do mnie. – Znam cię. Wiem, że Rowenie nie grozi z twojej strony żadne realne niebezpieczeństwo. Ona leci na ciebie. A ciebie nie interesują kobiety, które cię chcą. Tylko te, które wyraźnie nie chcą.

– Zależy mi na tym, na czym tobie zależy, Clarisso. Chcę, by twoje przyjaciółki były moimi. Chcę pomóc Rowenie. Dla ciebie, Clarisso. Ona interesuje mnie tylko dlatego, że interesuje ciebie. Nie bądź zazdrosna.

– Nie jestem... – Jego ostatnie stwierdzenie jest tak bezczelne, że chcę mu zaprzeczyć, ale udaje mi się urwać w pół zdania. Zaczynam raz jeszcze, możliwie chłodno i obojętnie. – Nasze drogi z Roweną się rozeszły. Za dużo czasu minęło. Ona mnie już nie interesuje. Już jej nawet nie lubię.

Ledwie wypowiedziałam te wymuszone słowa zdrady, chcę je zdezawuować. Ale nie mogę, mimo przyływu żalu wobec Roweny. Nie jestem w stanie jej pomóc, jak przystało na przyjaciółkę. Ani ona nie może pomagać mnie. Nie teraz, kiedy ją sobie przywłaszczyłeś. Wypowiedzenie tych słów to jedyne, co mogę dla niej zrobić: muszę mieć pewność, że ona jest dla ciebie bezużyteczna. Ale ona mi za to nie podziękuje.

Robię mały krok w stronę drzwi.

– Zejdź mi z drogi.

Nie ruszasz się.

– Jak mi nie zejdziesz z drogi, zmuszę cię do tego.

– Brzmi to absurdalnie. Oboje wiemy, że nie mogę cię do niczego zmusić.

Uśmiechasz się pobłaźliwie.

– Urocza jesteś, kiedy się złościś, Clarisso.

Moja dłoń obejmuje dozownik na mydło z matowego szkła. Jest ciężki. I nedorzeczny, jak wszystko inne w tej nastrojowej w zamyśle, irytująco trendy, koedukacyjnej toalecie.

– Cieszy mnie, że jesteś zazdrosna, Clarisso. Chcę ci wyjąć te spinki, przeciągnąć po włosach palcami i pocałować cię. Chcę zobaczyć, co masz na sobie pod sukienką.

Unoszę dozownik na mydło, jakby to była broń.

Śmiejesz się głośno.

– Nie jesteś w stanie mnie zranić, Clarisso. Znam cię.

Moja ręka odmawia posłuszeństwa. Dozownik na mydło wyślizguje mi się z palców i roztrzaskuje jak bomba na monochromatycznych kafelkach podłogi dokładnie w chwili, gdy główne drzwi toalety walą w ciebie, pchnięte przez Rowenę. Chwiejesz się, a potem ślizgasz na pałce płynu i szkła. Odzyskujesz równowagę, dopiero łapiąc się umywalki. Cały ten wieczór był surrealistycznym koszmarem, ale obecna niezamierzona choreografia wywołana wejściem Roweny to już po prostu komedia slapstickowa.

– Roweno, muszę iść.

Ona wyraźnie nie wie, co robić. Na moment jej twarz łagodnieje, a oczy napęlniają się łzami, które udaje jej się powstrzymać. A potem mówi:

– Nikt cię nie zatrzymuje.

Wspinam się chwiejnym krokiem po krętych schodach i wychodzę z restauracji do czekającej taksówki. Na ustach mam smak soli, ponieważ płaczę; dociera do mnie, że musiałam zagryzać wargi, bo te łzy mnie pieką. Rowena jest dla mnie stracona. Stracona dla siebie. Zrozumiałam to podczas pierwszych kilku minut spędzonych w jej towarzystwie. Jeszcze zanim wszedłeś i zrobiłeś to, co zrobiłeś.

Czwartek, 5 lutego, godzina 8.02

Dziś rano kolejna koperta od ciebie czeka na mnie na wycieracze po wewnętrznej stronie frontowych drzwi. Musiałeś ją wepchnąć przez szczelinę bardzo wcześnie, żeby nie zwrócić uwagi pani Norton. Spieszę po ścieżce do taksówki, czując ulgę, że przynajmniej ciebie tam nie ma.

Gdy samochód zjeżdża krętą drogą ze wzgórza, dzwonię do hotelu Roweny. Ona wraca dziś do Londynu. Niedostępna dla ciebie, mam nadzieję. Ale też i dla mnie.

Odbiera, mówiąc niewyraźnie:

– Co?

– To ja.

– Nie ma go tu, jeśli dlatego dzwonisz. Został w restauracji tak długo tylko po to, by mi powiedzieć, że nie może mi więcej pomagać w pisaniu ani mieć ze mną nic wspólnego. Mówi, że nie będzie wchodzić między dwie przyjaciółki na całe życie.

Ale już to zrobiłeś: Rowena rzuca słuchawkę i połączenie zostaje przerwane.

Przynajmniej wiem, że jest bezpieczna. Przynajmniej odsunąłeś się od niej, jak przewidywałam. Dostałeś, czego chciałeś. Dostałeś od niej tyle mnie, ile ci mogła dać.

Rozdzieram kopertę od ciebie. W środku jest bilet

na balet. Na dzisiejsze przedstawienie. I list:

Musisz być zestresowana, Clarisso. Wiem, że nie zamierzasz traktować mnie niemiło. Nie możesz naprawdę myśleć tych okrutnych rzeczy, które powiedziałaś. Pragnę Cię tylko uszczęśliwić. Chciałem, żeby wczorajszy wieczór był dla Ciebie szczególny, żeby odnowił Waszą przyjaźń, ale jak widzę, źle to oceniłem. Przyrzekam nie spotykać się więcej z Roweną. Pozwól mi zatrzeć złe wrażenie, zabierając Cię gdzieś. Tylko Ciebie. Tylko we dwoje. Jestem cały Twój. Żadnych przyzwoitek. Wiem, że spodoba Ci się *Kopciuszek* Prokofiewa. Tyle nas łączy, Clarisso. Spotkajmy się w foyer o siódmej. I nie zapomnij biletu! Wypijemy najpierw drinka. A potem zjemy późną kolację.

Pozdrawiam, Rafe

Nawet nie wiem, od czego zacząć dekonstrukcję szaleńczej logiki twojego listu. Nie słyszysz tego, co ci mówię – nie, nie i nie – i ile razy jeszcze? Chyba nie przyjmujesz tego do wiadomości; padasz ofiarą jakiejś opętającej skłonności do przeinaczania sensu słów, nawet przerażająco szczyrych.

Czyżbyś grzebał w moich płytach CD i DVD podczas wizyty u mnie w mieszkaniu? Bo owszem, masz rację, odgadując, że wręcz uwielbiam ten balet. Ale nie możesz sobie wyobrazić, jak bym go nie

cierpiała w twoim towarzystwie. W przypadku innego mężczyzny ten gest byłby nawet miły. Romantyczny. Ale nie w twoim. Człowieka, który wykorzystał moją najstarszą przyjaciółkę i nastawił ją przeciwko mnie. W twoim przypadku ten bilet nie jest prezentem, lecz zniewagą. Musisz przecież wiedzieć, w głębi duszy, że dziś wieczorem nie zasiądziesz obok mnie w teatrze?

Ale nie mogę wyzbyć się lęku, jaki odczuwam na myśl o tym, co zrobisz, gdy kurtyna pójdzie w górę, a mnie tam nie będzie. Już widzę oczyma wyobraźni, jak stoisz na kafelkowej podłodze, przeglądając się w wymyślnym połączanym lustrze, i czekasz, wściekły i zmartwiony, bo ja się nie zjawiam, a bileter zwraca na ciebie uwagę, domyślając się, że ktoś cię wystawił do wiatru.

Byłeś kiedyś małym dzieckiem. Co sprawiło, że stałeś się taki, jaki jesteś teraz?

– Czy świadek jest w stanie kontynuować dziś rano zeznania? – zwrócił się do Lockyer mecenas Morden. Wydawał się smutny i zatroskany. Mówił łagodnym głosem.

Wszyscy oskarżeni spoglądali przed siebie, z beznamiętnymi twarzami, siedząc bardzo spokojnie w lśniącej ławie oskarżonych, na krzesłach wyściełanych tą samą tekstylną tapicerką w kolorze błękitu królewskiego, co krzesła przysięgłych i adwokatów. Wszystkie były bardzo niebieskie, jedyny wyjątek stanowiła ciemnobrązowa skóra fotela sędziego.

– Wszystko w porządku. Dziękuję – powiedziała to, jakby

rozmawiali tylko we dwoje. Wtedy Clarissa zrozumiała, że w innych okolicznościach głos Lockyer mógł się wydać piękny.

– Jak rozumiem, wczorajszy dzień był dla świadka bardzo trudny.

Włosy Lockyer były spięte w dwa niskie kucyki jak u małej dziewczynki.

– Zechce świadek opowiedzieć sądowi, co działo się później?

Mówiła zdecydowanie i bez wstydu.

– Wróciłam do sypialni. Wiem, że może się to wydawać dziwne, że wróciłam do łóżka, gdzie spali dwaj mężczyźni, którzy dopiero co mnie zgwałcili, ale pomyślałam sobie, że jeśli tego nie zrobię, to oni pójdą po mnie, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Skuliłam się w rogu łóżka, zwinięta w kłębek, obejmując się rękoma. Trudno sobie wyobrazić, jaki ziąb panował w tym mieszkaniu. Oni leżeli na kołdrze, więc mogłam naciągnąć na siebie tylko jej kawałek. Bałam się, że jak szarpnę za mocno, to się ockną. Drzemałam. Taka byłam zmęczona, ale wciąż się budziłam. Potem nadszedł ranek, przyszedł Sparkle, stanął w progu i dał mi znak, żebym poszła z nim do salonu.

Wtorek, 11 listopada, godzina 9.00
(trzy miesiące temu)

Rankiem po imprezie z okazji publikacji twojej książki wrywam się z koszmaru, w którym walczę, by uwolnić się z jakiegoś bardzo ciemnego miejsca. Jestem we własnym łóżku, leżę na boku, tyłem do

ciebie. Przytulasz się do mnie przodem ciała, jak w pozycji łyżeczek, czuję twoją erekcję. Twoja ręka spoczywa na mojej piersi, przywarta niczym przyssawka. Całujesz mnie w kark i szepczesz, że patrzyłeś, jak śpię. Obejmujesz mnie tak mocno, że muszę użyć siły, by się wyswobodzić z uścisku i złapać z podłogi sukienkę, żeby się nią okryć, gdy pędzę do łazienki zwymiotować. Kończę, przytrzymując się umywalki dla równowagi. Spoglądam na swoje ciało. Plamki krwi zaschły mi po wewnętrznej stronie ud, gdzie pozostały też czerwone ślady, nad którymi wolę się nie zastanawiać. Nazajutrz zmienia się w sińce. Wargi, nadgarstki i kostki nóg mam poobcierane. Włosy – splątane i potargane. Oczy bołą mnie za bardzo. Gaszę światło. Staję w ciemności pod gorącym prysznicem, myję włosy szamponem i namydlam każdy kawałek skóry. Piecze mnie, gdy myję się między nogami. Szczotkuję i czyszczę nitką zęby. Boli mnie szczęka. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to moment, gdy zdejmujesz mi sukienkę. Potem jest tylko ciemność. Zaryglowuję się w łazience. Ignoruję twoje ciągłe stukanie i zaniepokojone pytania zza drzwi. Jeszcze tego samego dnia po południu zgłaszam się w trybie pilnym do lekarza po antybiotyki na infekcję pęcherza. Choruję potem przez trzy dni: mam dudniący ból głowy, który mi nie przechodzi; wciąż wymiotuję i wymiotuję, aż zostaje już tylko żółć; do tego śpię i śpię. Jakkolwiek długo bym spała, nie

mogę się zbudzić.

Lockyer zaczyna dyszeć. Nagle jej skóra dramatycznie blednie. Łatwo to zauważyć w jasnym świetle zalewającym salę rozpraw numer dwanaście przez kopulasty szklany sufit i rząd okien w ścianie za Clarissą – jedyne okna w pomieszczeniu, umieszczone zbyt wysoko, by przez nie wyrzeć. Dałoby się tu urządzić salę balową. Może dawno temu rzeczywiście tak było.

– Poproszę o przerwę. Przepraszam. Poproszę o przerwę.
– Lockyer zakryła twarz.

Siedzieli w małej poczekalni bez okien, tuż obok sali rozpraw numer dwanaście.

– Ona nie wróci – stwierdziła Annie.

– Jestem pewna, że wróci – sprzeciwiła się łagodnie Clarissa.

Annie przewróciła zwodniczo łagodnymi brązowymi oczyma, potrząsnęła lśniąącymi czarnymi włosami i wydeła policzki barwy kwiatu jabłoni. Przy sztucznym oświetleniu jej kremowa skóra wydawała się leciutko żółtawa.

– Pewnie masz rację – przyznała cicho Clarissa. – Przez cały czas patrzysz. Ja za dużo piszę. Robię za dużo notatek. Zapewne umyka mi coś, kiedy nie patrzę.

Annie ma cherubinkowatą twarz w kształcie serca. Jej anielskie rysy jakby się lekko rozluźniają. Kilka razy stuka się palcem wskazującym w słodki malutki podbródek.

– Czego ona się właściwie spodziewała, kradnąc im te narkotyki?

Clarissa wyjęła katalog japońskich wykrojów. Była tam

nocna koszula z ramiączkami krzyżowanymi z przodu, która ją zachwycała – miała w domu trochę jedwabiu w szarym kolorze, zamierzała wykorzystać ten materiał. Zrobiłaby dwie sztuki i wysłała jedną Rowenie, gdy już uda jej się bezpiecznie usunąć Rafe’a ze swego życia.

– Moja żona kiedyś szyła.

Właściciel tego głosu musiał zauważyć, na co Clarissa patrzy. Twarz jej spłaszczyła, gdy pospiesznie chowała zeszyt. Na krześle naprzeciw siedział wysoki mężczyzna zajmujący w ławie przysięgłych miejsce przed nią. Podobały jej się jego ciemnobrązowe włosy, tak krótkie, że zastanawiała się, czy nie jest wojskowym; w ciągu ostatnich dwóch dni wciąż miała te włosy przed oczami; uznała, że byłyby w dotyku jak szczecinka.

– Już tego nie robi? – spytała.

Jego twarz – mocna i kanciasta, zupełnie inna niż u Henry’ego – zeszywniała prawie niedostrzegalnie. Clarissa miała wrażenie, że mężczyzna zastanawia się nad odpowiedzią, choć jego milczenie trwało chyba krócej, niż jej się wydawało.

– Zmarła. Dwa lata temu.

– Och, przykro mi.

Nazywał się Robert. Powiedziała mu, jak ma na imię. W tym momencie otworzyły się drzwi sali rozpraw numer dwanaście i woźny sądowy poprosił ich ponownie do środka. Wstała i stanęła w rzędzie z innymi, ale głos Roberta znów sprawił, że się odwróciła.

– Zostawiłaś to na krześle. – Trzymał katalog japońskich

wykrojów. Na okładce widniała nocna koszula, którą wcześniej oglądała: bardzo piękna, choć nieco wydekoltowana, wisząca na tle drewnianej szafy. Jego wielka dłoń zakrywała to zdjęcie.

Clarissa przygryzła wargę i pokręciła głową ruchem wyrażającym ironiczne zażenowanie, jednocześnie zaskoczona faktem, że zauważyła, jak symetryczne są jego wargi i jak doskonałe – nie za duże i nie za małe, nie za czerwone i nie nazbyt bezkrwiste, ale dokładnie takie, jak trzeba. Jego tęczyówki miały barwę najjaśniejszego szafiru, jaki zdarzyło jej się widzieć w ludzkich oczach. Pewnie by ją oślepiły, gdyby patrzyła w nie zbyt długo.

Mimo niezwykłości rysów twarz mężczyzny była obojętna, może wręcz pozbawiona wyrazu.

– Pewnie masz rację – powiedział. – Myślę, że ona wróci.

I tak się stało, choć Lockyer miała czerwoną obwódkę wokół oczu, a mówiąc, kilka razy ciężko przełknęła ślinę.

– Kazali mi się położyć na podłodze. Narzucili na mnie kołdrę. Zaczęli... kopać mnie i bić. Zwinęłam się w kłębek, starałam się osłonić piersi, głowę. Myślałam, że chcą mnie normalnie zabić i zakryli mi twarz, by mnie przy tym nie widzieć. Zaczęłam wrzeszczeć, że zadzwonię do dziadka, że on mi da pieniądze. Sparkle zdjął kołdrę i podał mi telefon. „Dzwoń”, rozkazał. Powiedziałam dziadkowi, że jestem w rozpaczliwym położeniu, że potrzebuję półtora tysiąca funtów, ale odmówił. Pomyślałam, że znów mnie zaczną bić, ale Sparkle powiedział, że mogę mu zwrócić dług, dilując dla niego. Dał mi na początek narkotyki za trzysta funtów. Potem

odwiózł mnie na dworzec kolejowy i pozwolił odejść.

Czwartek, 5 lutego, godzina 20.30

O ósmej trzydzieści wieczorem odzywa się dzwonek u drzwi. Dzwoni i dzwoni, i dzwoni. Wiem od rana, że będziesz mnie zadrećczał za to, że wystawiłam cię do wiatru z baletem. Nie otwieram, ma się rozumieć. Robię jednak eksperyment: podnoszę słuchawkę domofonu, ale to nie wycisza sygnału; co gorsza, nieustannie słychać teraz twój głos. Bez słowa odwieszam słuchawkę na miejsce i już jej nie dotykam.

Idę do sypialni i biorę telefon stacjonarny. Wciskam dziewiątkę. Potem jeszcze raz. Przypomniawszy sobie moją rozmowę z pogotowiem policyjnym z poprzedniego piątku, powstrzymuję się przed wciśnięciem klawisza po raz trzeci.

Znów mam piętnaście lat, składam doniesienie w sprawie kradzieży torby. Tamta policjantka zasypuje mnie pytaniami, a ja żałuję, że rodzice nie są tam ze mną, tylko w poczekalni, z Roweną i rozwrzeszczanymi rodzinami kryminalistów. Czy rzeczywiście skradziono mi torebkę? Może ją po prostu zgubiłam i boję się przyznać rodzicom? Na pewno zdenerwowałyby ich dodatkowe wydatki i niedogodności, jakie pociąga za sobą taka niefrasobliwość: konieczność zmiany zamków w drzwiach, ponownego kupna podręczników, dania mi znowu pieniędzy na tygodniową opłatę za lunch? Powiedziałam, że rodzice nie przejmowałiby się takimi

rzeczami. I że wcale bym się ich nie bała. Że oni troszczą się tylko o moje bezpieczeństwo. Niedowierzenie policjantki wyraźnie się pogłębiało z każdym moim słowem. Zdołałam ją przekonać, by pozwoliła mi włączyć w to Rowenę, ale funkcjonariuszka uznała ją za niewiarygodnego świadka – była moją lojalną przyjaciółką, dlatego jej potwierdzeniu mojej opowieści nie można ufać.

Nie znaleźli dziewczyny, która na mnie napadła. To oczywiste. Wątpię, czy w ogóle jej szukali.

Policja nie może podjąć działań, o ile nie ma dowodów, że popełniono przestępstwo.

Wciskam czerwony guzik zamiast trzeciej dziewiątki i rzucam słuchawkę na łóżko, wiedząc, że jeszcze nie mogę iść na policję. Wciąż nie dysponuję wystarczającymi dowodami. A zanim tu przyjadą, ciebie już nie będzie – i wtedy nie potraktują mnie poważnie. Nie jesteś na tyle głupi, by pozwolić im się złapać przed moimi frontowymi drzwiami. Może nawet oskarżyliby mnie o marnotrawienie czasu policji przez wykonanie kolejnego nieuzasadnionego telefonu pod 999 zaledwie sześć dni po poprzednim. Pomyśleliby, że wymyśliłam sobie ciebie, jak tamtą dziewczynę, która walnęła mnie na bulwarze nadmorskim.

O dziewiątej bezustannie wycie dzwonek staje się nie do zniesienia. Podnoszę słuchawkę domofonu, ale nic nie mówię. Czekam, aż się odezwiesz, wiedząc, że

nastąpi to szybko.

– Clarissa? – pytasz. – Clarissa? Czekałem na ciebie, Clarisso. Czy coś się stało, Clarisso? Jak mogłaś być dla mnie tak okropna, Clarisso? Myślałem, że będzie ci przykro po tym, jak mnie potraktowałaś poprzedniego wieczoru, a teraz znowu to.

Póki cię nie poznałam, uwielbiałam swoje imię. Nie chcę, żebyś i to mi odebrał. Nie pozwolę ci na to, choć cała się kulę, ilekroć je powtarzasz.

Sposób, w jaki oscylujesz między zatroskaniem a gniewem, pojednawczością a karceniem, wywołuje u mnie taki lęk, że obejmuję się rękoma i kołyszę.

Przechodzę do łazienki i zamykam drzwi, choć nie bardzo to pomaga wyciszyć ten hałas. Odkręcam kran do oporu. Szum wody zagłusza cię, ale niecałkowicie. Potrząsam nad wanną lawendową solą kąpielową: to prezent gwiazdkowy od Gary’ego, co roku taki sam. Oboje się śmiejemy, gdy mi go wręcza. Ale teraz nie jest mi wcale do śmiechu. Zrzucam ubrania na podłogę, a gdy w wannie jest dość wody, by zakryła mi uszy, wchodzę do środka, niezgrabnie chlapiąc.

To świetnie zadziałało. Teraz w ogóle cię nie słyszę. Ale sól kąpielowa wcale mnie nie relaksuje, a po zaledwie kilku minutach jestem słaba i omdleвам z gorąca, a para uniemożliwia mi oddychanie. Niemożność usłyszenia czegokolwiek przeraża w odmienny sposób. Hołubię cię nadziei, że jeśli uniosę się nad powierzchnię wody, przywita mnie cisza,

ale oczywiście ty wciąż tam jesteś i dalej hałasujesz. Wychodzę zbyt szybko, więc kręci mi się w głowie.

Przy dobrej woli można cię nazwać metodycznym. Przy złej – obsesyjno-kompulsyjnym, i na to określenie naprawdę zasłużyłeś. Nikomu nie należy się ono bardziej niż tobie. Wciskasz dzwonek dokładnie na sześćdziesiąt sekund wycia, po czym dajesz mi równo dwie minuty cennego spokoju, zanim powtórzysz cykl. W torbie z narzędziami nosisz pewnie stoper. Dobrze, że pani Norton jest prawie głucha i wcześniej chodzi spać, zdejmując przy tym aparat słuchowy. Co za szczęście, że nie jestem w miejscu publicznym, gdzie możesz zastawić na mnie zasadzkę, jak to się zdarzyło z Roweną.

Zawijam się w ręczniki i wchodzę do sypialni. Znów zamykam drzwi i znów prawie w ogóle nie pomaga to wytłumić dźwięku dzwonka. Włączam radio. Grają preludium Chopina. Podkręcam głośność i zostajesz poważnie przygłuszony, z wyjątkiem okresów przerw między nutami. Dopiero gdy wpęlam pod pościel i naciągam ją sobie na głowę, ty znikasz całkowicie.

Niebawem jednak dostaję innego rodzaju bólu uszu. Ta muzyka nie powinna być puszczana na cały regulator. Na zawsze obrzydziłeś mi Chopina. Słuchana przy tak wysokim poziomie decybeli, gdy absurdalnie współzawodniczy z twoim palcem na dzwonku, wydaje się okropna i niecywilizowana – ona nigdy nie miała stanowić broni. Znowu się duszę, niezdolna nabrać

dość powietrza w płuca, bo mam nos zatkany kołdrą. Muszę więc szybko opuścić także tę komorę deprywacji sensorycznej. Kolejny raz dźgasz mnie w bębenki uszne.

O dziesiątej nie jestem już w stanie wytrzymać ani minuty dłużej. Łapię słuchawkę domofonu. Znowu wygrałeś. Nie sposób dalej milczeć.

– Nigdy cię nie wpuszczę. Nie chcę z tobą nigdzie wychodzić. Nigdy nie prosiłam o ten bilet. Nigdy bym się nie zjawiała w tamtej restauracji wczoraj wieczorem, gdybym wiedziała, że tam będziesz.

– Nie chcę cię denerwować, Clarisso – mówisz. – Próbuję cię tylko uszczęśliwić, Clarisso. Tylko tego pragnę. Ale zraniłaś mnie, Clarisso. Wiem, że jesteś samotna, Clarisso. Ja również jestem. Próbuję pomóc nam obojgu, Clarisso. Wiem, że masz złamane serce, Clarisso. Ja również. Zawsze przez ciebie. Idę już, Clarisso.

Rzucam słuchawkę na domofon. Jestem tak wkurzona, że ta spada i dynda, więc muszę ją podnieść. Nagła cisza, która zapada, aż dzwoni mi w uszach. Ale nie mogę się pozbyć niepokoju, że wciąż tam stoisz.

Po prawie nieprzespanej nocy trudno jej było skupić się na obrońcy oskarżonego, Azaroli.

– Czy świadek mogłaby potwierdzić swój opis mężczyzny, którego według świadka tamci zabrali po drodze do Londynu? – Mecenas Williams przypominał Clarissie aktora w telewizyjnym dramacie sądowym, który po mistrzowsku opanował swoje kwestie i ruchy. – Świadek powiedziała: około metra siedemdziesięciu dwóch wzrostu, rasy mieszanej, szczupłej budowy ciała, z długimi warkoczykami.

Azarola pochylił się naprzód. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, złocistą skórę, orzechowe oczy, włosy proste, krótkie, gęste i średniobrązowe. Szerokie bary jak u Roberta i klatkę piersiową okrywał dopasowany czarny sweter, który Clarissa uznała za kosztowny i ładny, zapewne kaszmirowy. Mężczyzna przypominał jej hiszpańskiego gwiazdora pop.

– No tak. Tak go opisałam – potwierdziła Lockyer.

Ten rysopis w żaden sposób nie pasował. Czy i Clarissa mogłaby popełnić taki błąd, gdyby za bardzo bała się spojrzeć? A może policja zatrzymała niewłaściwego człowieka?

Adwokat Tomlinsona wyglądał jak doświadczony aktor teatru szekspirowskiego.

– Oskarżony Tomlinson uprawiał ze świadkiem seks za obopólną zgodą. Nie było to gwałtowne działanie, jakie

świadek opisała, tylko przeprowadzona na zimno transakcja za narkotyki. Świadek jest profesjonalistką. Świadek dała nawet oskarżonemu Tomlinsonowi kondom.

Clarissa się wzdygnęła. Zbyt mało zapamiętała z tamtego wieczoru w listopadzie, by wiedzieć, czy Rafe użył prezerwatywy. Znając go, pewnie nie. Tydzień później poczuła nieopisaną ulgę, gdy zgodnie z oczekiwaniem rozpoczął jej się okres: pragnienie, by nie zajść w ciążę, było dla niej całkiem nowym doświadczeniem. Kogo by z niej zrobił mecenas Belford, gdyby to ona znalazła się na miejscu dla świadka?

Clarissa mówiła cicho do Annie, gdy wzięwszy płaszcz, powoli kierowały się do wyjścia z budynku.

– Tak to bywa, gdy rzuca się oskarżenia, składa skargi. Gwałcą cię tam od nowa i nazywają prostytutką.

– Ależ, Clarisso, przecież ona była prostytutką – odparła Annie. – Nikt by jej chyba nie uwierzył, gdyby zaprzeczyła.

Clarissa wsadziła do torebki sfatygowany egzemplarz *Poezji zebranych* Keatsa. Książka była pamiątką po jej zarzuconym doktoracie, zawsze po nią sięgała, gdy świat wokół wydawał jej się szczególnie mroczny i niecywilizowany. Spojrzała przez okno pociągu. Robert przeszedł pewnym krokiem po peronie i zniknął w podziemnym przejściu. Nie wiedziała, że jedzie tym samym pociągiem; nie przyszło jej do głowy, że też może mieszkać w Bath. Jakimś cudem wysiadł z wagonu i prawie opuścił dworzec, zanim jeszcze inni pasażerowie zaczęli wychodzić z pociągu.

Zlustrowała peron, szukając Rafe'a, wpatrywała się w tłum przepychający się ku schodom. Była obolała po całym dniu siedzenia. Potrzebowała świeżego powietrza. Potrzebowała ruchu. I tak już musiała zrezygnować z porannych spacerów. Nie chciała też stracić przechadzki do domu. Fakt, że kolejka do taksówek była tak niemiłosiernie długa, pomógł jej podjąć decyzję, ale cieszyła się, że wokół jest tylu ludzi.

A jednak czuła zdenerwowanie, gdy weszła w sklepione przejście pod wiaduktem kolejowym za stacją. Przystanęła, by zajrzeć do tunelu: ani śladu Rafe'a. I jeszcze raz na moście, zanim na niego weszła, by przekroczyć rzekę: i tu go nie było.

Ale zauważyła jakąś postać na środku mostu, siedziała zakutana w stos brudnych koców, otoczona pustymi puszkami po piwie, ściskając butelkę taniego alkoholu. Wokół leżało kilka reklamówek ze skromnym dobytkiem.

W normalnych okolicznościach Clarissa ominęłaby tę kobietę szerokim łukiem. Tym razem zbliżyła się, choć musiała przemóc tę samą mieszaninę lęku i współczucia, którą budziła u niej Lockyer. Chwyliła mocniej torebkę.

Włosy kobiety były tak tłuste i skołtunione, że Clarissa nie mogłaby stwierdzić, jaki mają kolor. Licha krótka kurtka bezdomnej, porwana i brudna, okrywała jej ciało wychudzone jak szkielet. Pomarszczona skóra była tak szorstka, zaczerwieniona i łuszcząca się, że musiała ją boleć. Na pierwszy rzut oka kobieta wyglądała na staruszkę, ale prawdopodobnie nie miała więcej niż czterdzieści lat. Czy tak

pewnego dnia będzie wyglądać Lockyer? Wokół kobiety rozchodził się kwaśny odór ciała – charakterystyczna mieszanina zapachu niemytych genitaliów oraz potu – od którego Clarissę zemdliło, więc próbowała oddychać przez usta, mając nadzieję, że kobieta tego nie zauważy.

– Pieniądze na schronisko? – Bezdomna wyciągnęła rękę prawie białą z zimna. Clarissa zdjęła rękawiczkę i wyjęła banknot dwudziestofuntowy, wiedząc, że i tak zostanie wydany na zakup cracku i heroiny.

– Bóg zapłać – podziękowała tamta.

Clarissa zdjęła drugą rękawiczkę i wyciągnęła ku niej parę, niepewna, czy robótka na drutach jej matki zostanie zaakceptowana. Kobieta zawahała się, potem je wzięła i założyła, powoli i niezgrabnie.

– Bóg zapłać – powtórzyła, nie patrząc Clarissie w oczy, a ta ruszyła dalej, wciskając zmarznięte teraz dłonie głęboko w kieszenie ciepłego płaszcza, który uszyła sobie, gdy jeszcze byli z Henrym.

Henry uśmiechał się wówczas lekko, z kieliszkiem wina i kartką w rękach, gdy ona klęczała na podłodze w salonie, pochylona nad wełną koloru indygo, którą pokroiła w romby, pogrążona w swoich planach wykorzystania jej. Henry, buzujący energią, nawet gdy pozostawał nieruchomy. Henry, co dzień golący pod przyszcicem te kilka włosów, które mu pozostały, by być zupełnie łysym – był to raczej wybór stylu niż niechciany los, a zarazem kolejny dowód jego nieomylnego gustu estetycznego. Henry, mieszkający teraz w Cambridge, tak bardzo odległy od tej kobiety i od Clarissy.

Clarissa pospieszyła dalej, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu. Po paru minutach dotarła do starego cmentarza przykościelnego. Lockyer musiała tamtędy przechodzić niezliczoną ilość razy, także w dniu, gdy ją zabrali. Czy zauważyła kiedykolwiek jedyną płytę nagrobną, której nie wyrwano z miejsca? Pozieleniałe od pleśni pudło z szarego kamienia, znaczące położenie ciał, było rozmiaru wielkiej ciężarówki. Setki lat temu rósł tu las. Było to kolejne ze szczególnych miejsc Clarissy. Lubiła myśleć o nim jako o źródle swojej magii. I o tym, że pewnego dnia ta magia wywoła skutek, choć jeszcze do tego nie doszło.

W połowie dziewiętnastego wieku pochowano tam kobietę i dwójkę małych dzieci. Trzy zgony w dwa lata. Clarissa nie widziała w ciemności napisów, a wyryte litery traciły już wyrazistość, ale знаła je na pamięć.

Matilda Bourn, zmarła 21 sierpnia 1850 roku w wieku 4 miesięcy

Louisa Bourn, zmarła 16 września 1851 roku w wieku 6 tygodni

Jane Bourn, matka obojga dzieci

Zmarła 22 grudnia 1852 roku w wieku 43 lat i 6 miesięcy

Clarissa zawsze wyobrażała sobie obie dziewczynki, tulone w ramionach matki pod tą wilgotną ziemią, i matkę, szczęśliwą, że może je wreszcie przytulić. Czy były jej jedynymi dziećmi? Zapewne miała wiele innych, to bardziej prawdopodobne. Może zdrowie zrujnowały jej zbyt liczne ciąży w nazbyt krótkich odstępach czasu – właśnie to mogło

ją zabić. Clarissa mogła to sprawdzić, ale w gruncie rzeczy wcale nie chciała wiedzieć. Wolała historię, którą sama sobie opowiedziała, w której kobieta przez długi czas czekała, pragnąc mieć dzieci. Potem jakimś cudem urodziła je po czterdziestce, w wieku, który Clarissa osiągnie za półtora roku. Urodziła tylko po to, by je stracić.

Nie wspomniano o mężu. Ani o ojcu. Jakby liczyła się tylko relacja między zmarłą matką a jej zmarłymi dziećmi. Ale ktoś cenił je na tyle, że postawił ten kamień.

Nazwisko Clarissy było wariantem nazwiska tamtej, ale wiedziała, że nie z tego powodu odczuwa tak silny związek z tą zmarłą matką i jej zmarłymi dziećmi. Stworzyła sobie niemal przesądny rytuał modlitwy za nich – i do nich – który odprawiała, ilekroć mijała ten grób. Czasem wspinała się na żelazną bramę po drugiej stronie, by usunąć pogniecione puszki albo zatłuszczone opakowania po fast foodach.

Tego wieczoru panowały tam egipskie ciemności. Ludzie, którzy wracali chyba ze stacji do domu w tym samym kierunku co ona, rozproszyli się gdzieś niepostrzeżenie; zbyt wiele czasu zmitrężyła z kobietą na moście. Żałując, że zrezygnowała z oczekiwania w kolejce na taksówkę, zastanawiała się teraz, czy nie zawrócić. Szybko jednak wyliczyła, że to na nic – cofając się, byłaby równie samotna i izolowana, jak brnąć dalej.

Próbowała przekonać samą siebie, że Rafe nic przecież nie wie o jej codziennych podróżach do Bristolu; nie miał powodów podejrzewać, że wieczorami wracała pieszo ze stacji do domu. Niemniej jednak nie mogła pohamować

wyobraźni, widziała cienie przesuwające się po murach, pod którymi oparto wszystkie stare nagrobki; ci, co nad nimi płakali, dawno nie żyli; pewnie nigdy nie przyszło im do głowy, że te starannie wykonane znaki zostaną wyrwane z ich miejsc.

Dała nura naprzód, tylko dlatego powstrzymując się od biegu, by się nie pośliznąć na oblodzonej ścieżce. Była pewna, że on raptem pojawi się w jej polu widzenia, materializując się z bezgwiazdnej nocy.

Odetchnęła swobodniej, dopiero gdy dotarła na swoją ulicę. Nie będzie już chodzić sama po zmroku. Nigdzie. Bez względu na to, jak długo musiałyby czekać na taksówkę. A jeśli już, to pójdzie w miejsca, gdzie na pewno aż roi się od ludzi.

Piątek, 6 lutego, godzina 18.15

Niewielka koperta bąbelkowa czeka na mnie na półce we wspólnym hallu. W środku jest pudełeczko. Zawinałeś je w złożony papier i ozdobiłeś srebrnymi wstążkami, starannie poskręcanyymi w spiralę. Dołączyłeś gruby kremowy bilecik z wytłoczoną różą. *Zauważam, co kochasz. Noś to dla mnie.*

Ręce mi się trzęsą, gdy wchodzę po schodach do mojego mieszkania, rozrywając po drodze pudełko. Potykam się na podeście na widok pierścionka, który tak mnie zauroczył tamtego wieczoru w listopadzie. Nigdy byś go nie kupił, gdybyś wiedział, że patrząc na niego, myślałam o Henrym. Nie myślałam o tobie. Nie o tobie. Nigdy o tobie. Moje wizje ciebie to tylko mrok.

Nachodzi mnie obłąkańcza myśl, że czubki moich palców zaczną krwawić, gdy otrą się o kółeczko zimnej platyny i zdobiące je diamenty. Ten pierścionek przyleciał do mnie niczym bumerang zła.

Jak tylko znajduję się w mieszkaniu, wpycham to wszystko z powrotem do bąbelkowej koperty, nie wyłączając bilecika, zalepiam taśmą do paczek, naklejam nowe znaczki, wpisuję twoje nazwisko i adres uniwersytecki, przekreślam własny. Nade wszystko nie mogę pozwolić, żebyś uznał, że przyjął od ciebie coś tak kosztownego. Odeślę ci to jutro z samego rana.

Ale gdy zaczynam wsadzać paczkę do mojej torebki, by była gotowa, ręka mi nieruchomieje, bo przypominam sobie jedno z poleceń z broszurki.

Zachowaj wszystkie listy, paczki i przedmioty, nawet jeśli są niepokojące lub przygnębiające.

Muszę zachować pierścionek bez względu na to, ile pieniędzy na niego wydałeś. Ostatecznie to prezent. Chociaż nie w takim sensie, jak zamierzałeś. Dołączę go do mojego rosnącego zbioru dowodów. To ponura kolekcja, ale jeszcze nie materiał dowodowy.

Tydzień drugi

Taniec ognia

Clarissa obserwowała Roberta. Wertował akta dla przysięgłych. Zatrzymał się na fotografii wnętrza furgonetki, przyjrzał jej się i napisał karteczkę, którą woźny sądowy miał zanieść sędziemu.

Mecenas Belford wpatrywał się w Lockyer z powątpiewaniem.

– Mamy tu całą opowieść – mówił – o systematycznym biciu i torturowaniu, brutalnych aktach gwałtu i przymusowym przetrzymywaniu. Ale prawie żadnych śladów na ciele ofiary.

Sędzia przerwał z typową dla niego formalną kurtuazją, prosząc, by spojrzeli na fotografię od Roberta. Za fotelem kierowcy, rzucona na zatłuszczone i zmięte opakowanie po fast foodzie, leżała zielona jednorazowa zapalniczka.

Mecenas Morden uśmiechnął się promiennie do Roberta. Nikt wcześniej nie zauważył tego przedmiotu. Dokładnie pasował do relacji Lockyer, jak Godfrey przypalał jej kolczyk w furgonetce.

Była to kolejna z wielu przerw zarządzanych po szeptanej wymianie zdań między mecenasami Mordenem a Belfordem. Clarissa siedziała na swoim krześle. Robert zajął miejsce naprzeciw niej, w rogu nienaturalnie jasnego, olśniewająco białego, niewielkiego aneksu.

– Biedna dziewczyna – stwierdził, bez najmniejszych obaw wyrażając bezpośrednio swoje współczucie.

Clarissa zastanawiała się, ilu mężczyzn wypowiedziałyby

się tak otwarcie wobec innych.

– Tak – przyznała, kiwając lekko głową, z nieco smutnym wyrazem twarzy. – Biedactwo. – I dodała: – Nie mogę uwierzyć, że spostrzegłeś tę zapalniczkę. Pracujesz jako detektyw?

– Jestem strażakiem – skromnie zbył jej pytanie. – Większość ludzi nie szuka wokół siebie potencjalnych przyczyn pożaru. Ja to robię, odkąd skończyłem dwadzieścia lat. Przez połowę życia.

Woźny sądowy już się pojawił i wezwał ich do powrotu na salę rozpraw.

Clarissa wzięła swoją torebkę i kardigan. Nigdy dotąd nie знаła żadnego strażaka. Otaczała się pracownikami akademickimi, choć zdecydowała, że sama kimś takim nie zostanie. Ale zdawała sobie sprawę, że wpadła prosto w ramiona jednego z nich, w osobie Henry'ego, nawet jeśli był on bardziej poetą niż akademikiem. Pomyślała sobie, że praca Roberta jest ciekawa i ważna.

– Zajęcie jak każde inne – skwitował, jakby czytał w jej myślach i chciał to sprostować. Mówił tonem rzeczowym, ale jak zwykle przyjaznym, spokojnym. – Wszyscy robimy, co do nas należy.

– Proszę świadka, czy świadek sama jest zdolna do aktów przemocy?

Lockyer pokręciła głową, słysząc pytanie mecenasa Belforda, jakby nie było warte odpowiedzi. Morden zerwał się na nogi, rozwścieczony, żeby wnieść sprzeciw, a przysięgli znów musieli opuścić salę.

I znowu Clarissa siedziała z Annie i Robertem w niewielkim aneksie.

Przypomniął jej się środowowy wieczór. Dozownik na mydło wyslizgujący jej się z palców i roztrzaskujący o kafelki toalety zamiast o czaszkę Rafe'a.

Nigdy nie będziesz w stanie mnie zranić, Clarisso. Znam cię.

– Nie jestem pewna, czy byłabym zdolna skrzywdzić inną osobę – powiedziała – ale zaczynam mieć na to ochotę.

– Wyglądasz, jakbyś nie potrafiła skrzywdzić muchy – zauważyła Annie.

Robert spoglądał twardo na Clarissę.

– Zranienie kogoś to nie kwestia siły fizycznej. Nigdy nie znalazłaś się w sytuacji, w której musiałabyś to zrobić. Każdy jest zdolny do aktów przemocy, Clarisso. Daję ci słowo, że ty również, gdyby zaszła taka konieczność.

– A ty, Robercie? – spytała Annie.

Jego twarz nic nie wyrażała. Nie odpowiedział.

– Nie musiałam zadawać tego pytania – dodała Annie. –

Oczywiście, że tak.

Mecenas Belford robił wrażenie, jakby podczas nieobecności przysięgłych nie spuszczał wzroku z Lockyer, niczym pustułka, która unosi się nad myszą polną, wyczekując okazji, aby ją upolować.

– Czy to prawda, że były partner świadka ma nową przyjaciółkę?

Clarissa popatrzyła z troską na Annie, którą mąż właśnie zostawił dla innej. Pomyślała też o Rowenie. I o żonie

Henry'ego.

Lockyer patrzyła na swoje ręce.

Clarissa zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby Henry znalazł sobie kogoś innego. Wiedziała, że zabolaloby ją, gdyby przeszedł z powodzeniem terapię niepłodności z nową partnerką, a przecież powinna być ponad to. Nie, żeby mu się spieszyło, aby znowu przez coś takiego przechodzić. Henry chciał, by sądzono, że testosteron wycieka mu wszystkimi porami skóry. Kazał jej przysiąc, że nikomu nie zdradzi, że niewielka populacja jego zdeformowanych plemników ma po pięć główek i dziesięć wici i pływa jak obłąkana w kółko, zderzając się wzajemnie ze sobą.

– Czy świadek groziła, że ją zabije? – podsunął Belford wciąż milczącej Lockyer.

– Ależ skąd.

Pokręcił głową, dając jasno do zrozumienia, że skoro udziela tak absurdalnych odpowiedzi, nie warto z nią dłużej rozmawiać.

Była tak zajęta Lockyer, Belfordem i sporządzaniem notatek, że nie spoglądała w stronę galerii dla publiczności. Teraz jakiś ruch w tylnym rzędzie przyciągnął jej uwagę.

Błądy mężczyzna pochylił się naprzód z miejsca, gdzie opierał bladą głowę o bladą ścianę, i patrzył tylko na Clarissę w taki sposób, by musiała to zauważyć.

Gdy Robert przystanął, żeby wypuścić ją przed sobą z ławy przysięgłych, potknęła się, poczuła ciepło na policzkach, oddech jej przyspieszył, a serce biło tak mocno, że pomyślała, że musi to być widoczne, jak wali jej pod

sukienką.

Poniedziałek, 9 lutego, godzina 17.55

Siedzę w pokoju przysięgłych i udaję, że jestem zatopiona w lekturze książki, dlatego nie zauważam, że wszyscy już wyszli. Funkcjonariuszka sądowa patrzy na mnie, głośno pakując swoje rzeczy. Wreszcie oświadcza, że pomieszczenie trzeba opróżnić na noc, więc widzę, że nie mogę już dłużej odwlekać spotkania z tobą.

Tak jak się spodziewałam, czekasz na mnie tuż przed gmachem sądu. Mijam cię, przechodzę do końca ulicy i skręcam w lewo, zachowując się, jakby cię tam wcale nie było.

– Clarisso. – Dogoniłeś mnie. – To śmieszne z twojej strony, że ze mną nie rozmawiasz, Clarisso.

Zatrzymuję się przed stoiskiem z kawą, zamkniętym już jak wszystkie inne. Nigdy nie widziałam, żeby było tu tak spokojnie, ale wokół jest jednak trochę ludzi. Nadal zapewnia mi to bezpieczeństwo, jakie daje miejsce publiczne.

– Skarbie, proszę, odezwij się do mnie.

Nie mogę się powstrzymać. Nie sposób zastosować się do nakazu milczenia z broszurek.

– Nie jestem twoim skarbem. – Zbliżasz się o krok. – Nie podchodź do mnie. – Mój głos brzmi jak pisk. Staram się, by stał się niższy. – I nie wracaj tu nigdy więcej. Nie miałeś prawa.

– To galeria dla publiczności.

Jeśli nie powstrzymam cię przed powrotem tutaj, nie będę w stanie zasiadać w ławie przysięgłych i uczestniczyć dalej w rozprawach. Sala numer dwanaście stanie się pułapką, miejscem, gdzie będę jak przyszpilona, widoczna dla ciebie. Uświadamiam sobie, jak bardzo mi zależy na tym procesie, jak wiele on dla mnie znaczy, jak ogromnie jestem dumna, że pełnię służbę w ławie przysięgłych – jest to coś, na co zawsze miałam nadzieję. Banalne myśli o służbie publicznej i powinnościach obywatelskich tłuką mi się po głowie nawet w twojej obecności.

– Jeśli jeszcze wrócisz, powiem im, że cię znam. Mogą odwołać cały proces. Nie chcą, żeby przysięgli byli niepokojeni przez ludzi, których znają. Muszę się skoncentrować.

– To zeznanie cię poruszyło, Clarisso. Widziałem, że tak było.

Masz rację. Mierzi mnie to, że masz rację na mój temat. Mierzi mnie, że nie byłam nawet świadoma, że mnie obserwujesz. I to, że nie wiem właściwie, co bym zrobiła, gdybym cię tam zauważyła nie w ostatnich sekundach, ale w czasie, gdy sala rozpraw numer dwanaście była jeszcze pogrążona we własnych brudnych sprawach.

– Żadne prawo nie zabrania przyjaciołom sędziów przysięgłych siadywać w galerii dla publiczności.

– Nie jesteś moim przyjacielem.

– Masz rację – poprawiasz się. – Jestem

kochankiem.

– Nie jesteś... – Przygryzam wargę. Wyglądasz tak smutno, że każdy inny by cię pożałował.

– Myślałem, że ucieszy cię mój widok.

– Nie ucieszył. – Nie jest tak trudno być podłym.

Prawie trzęsę się ze złości. Moja matka nawet sobie nie wyobrażała, że mogą istnieć tacy ludzie jak ty.

– Nie spotykam się już z Roweną.

– Nie obchodzi mnie, z kim się spotykasz.

– Jesteś okrutna, Clarisso. Martwiłem się.

Chorowałam.

– Okłamałam cię. Nie chorowałam. Nie chciałam, żebyś szedł za mną tamtego ranka. Nie chciałam, żebyś mnie znalazł. Ani dowiedział się, że tu jestem. Mam prawo do tego, żebyś nie wiedział, gdzie jestem. Nie lubię, jak ktoś za mną łązi. – Tak już lepiej: twardo i uczciwie.

– Postąpiłaś okropnie. Nie myślałem, że jesteś do tego zdolna.

– Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz. W ogóle nie chcę, żebyś o mnie myślał.

– Twoja komórka jest wciąż wyłączona.

– Zmieniłam numer. Z twojego powodu. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Mówiłam ci to z milion razy.

– Zaglądałem do wszystkich sal rozpraw w gmachu, aż cię odnalazłem.

Kręcę powoli głową.

– Nie widzisz, że to nie jest normalne?

– Nie. Nie widzę. To pokazuje, jak wiele dla mnie znaczysz.

Wyciągasz ramiona, jakbyś oczekiwał, że padnę ci w objęcia, a ja odstępuję krok do tyłu. Jak możesz sobie wyobrażać, że chciałabym tego?

– Spodobał ci się pierścionek, Clarriso?

– Nie.

– A jednak go zachowałeś. Więc musi ci się podobać.

– Nie wysyłaj mi już niczego. Trzymaj się ode mnie z daleka. – Gdy ruszam dalej, łapiasz mnie za rękę. Wrywam ją. – Nie dotykaj mnie. Mdli mnie od ciebie. Mdli mnie od tego, co robisz.

– Nie możesz iść ze mną do łóżka, a potem zmieniać zdanie. Nie możesz dać mi zakosztować siebie, a potem mnie ignorować.

Nagle uderza mnie zdanie z broszurki.

Jedna trzecia stalkerów miała intymne kontakty z ofiarą.

– To była tylko jedna noc. Dla mnie bez znaczenia. To był największy błąd w moim życiu. Nie zrobiłabym tego, gdybym nie była pijana. Albo i gorzej. Było tam coś gorszego? – Raz przynajmniej nie masz nic do powiedzenia. – Dlaczego nic z tego nie pamiętam? – Nadal milczysz. – Dlaczego miałam te ślady na ciele? – Przynajmniej raz mam więcej do powiedzenia od ciebie. – Dlaczego byłam potem taka chora?

Wreszcie się odzywasz, ale gdy słyszę, co chcesz powiedzieć, wołałabym, żebyś znów zamilkł.

– Szalałaś z namiętności do mnie, Clarisso. Straciłaś panowanie nad sobą, reagowałaś w taki sposób... Prosiłaś mnie, żebym ci robił takie rzeczy...

– Byłam nieprzytomna. – Łapię moją torebkę, próbując powstrzymać drżenie rąk. Kawa wypita podczas lunchu podchodzi mi do gardła. Przełykam ją znowu. – Dodałeś mi coś do wina?

– Chyba oszalałaś. Przecież pragnęłaś mnie, Clarisso. Nie mniej niż ja ciebie. Dlaczego próbujesz temu zaprzeczać? Leżałaś i cieszyłaś się tym.

– Nie pragnęłam cię. Ani wtedy, ani tym bardziej teraz.

Wykrzywiasz usta. Zaciskasz pięści, rozluźniasz je, zaciskasz, znów rozluźniasz.

– Suka. – Twarz masz ściągniętą z nienawiści, ale starasz się ją wygładzić. – Wcale tak nie myślę, Clarisso. Przepraszam. Tak mnie zdenerwowałaś. Powiedz, że mi wybaczasz. Nie wiedziałem, co mówię.

Znów przypomina mi się tamta broszurka.

Osiem kobiet umiera co miesiąc w Anglii w wyniku przemocy domowej.

Wołałabym, żeby te broszurki przestały zastawiać na mnie zasadzki. Nie chcę o nich myśleć. Nie chcę sobie wyobrazać, że to, co mówią, jest słuszne. One są jak przyjaciółki szepczące niewygodne prawdy,

których nie chcę słyszeć. Wolę myśleć, że te liczby to zwykły wymysł. *Osiem kobiet umiera co miesiąc.*

– Idę już. Jeżeli za mną pójdziesz, wrócę prosto do gmachu sądu i zawiadomię ochroniarzy. Jeszcze nie wyszli.

– Powiedz, że mi wybaczasz, to sobie pójdę.

– Nigdy ci nie wybaczę. Jak cię jeszcze raz zobaczę w tej sali rozpraw, doniosę sędziemu.

– Nie myślałem tego, Clarisso, nazywając cię w ten sposób.

– Powiem też w pracy, że to zrobiłeś, że lałeś tu za mną i zdenerwowałeś mnie do tego stopnia, że nie mogłam zajmować się dalej czymś tak ważnym. –

Jestem bezlitosna. Przestałam dygotać, mdłości ustąpiły. Wiem, co mam powiedzieć, żebyś się trzymał z daleka od sali rozpraw numer dwanaście. – Wniosę oficjalną skargę w dziale kadr. Oni poważnie traktują swoje obowiązki wobec pracowników zasiadających w ławie przysięgłych. – To święta prawda. – Widzę, że nie chcesz, żeby dowiedzieli się w pracy, co robisz. –

To również prawda. Oczy ci błyskają, co potwierdza, że mam rację, bo nigdy mi nie wysyłasz e-maili przez sieć uniwersytecką.

– Jednak suka z ciebie. Nie jesteś kobietą, za którą cię uważałem.

– Masz rację. Nie jestem. Wcale mnie nie znasz. Po prostu zostaw mnie w spokoju. Tylko tego od ciebie chcę.

Odchodzę, i tym razem nie idziesz za mną.

Mówią, że nie należy unikać dawania jasnych odpowiedzi. Że trzeba być bezpośrednim i zdecydowanym. Że nigdy nie należy łagodzić uderzenia. Że „Nie!” to zdanie jednowyrazowe. Każą go używać z całą mocą. I nigdy nie należy go rozbudowywać.

Clarissa czekała właśnie, aż pociąg rozpocznie podróż z Bath, gdy wsiadł Robert. Ledwie zdążył, nim drzwi się zamknęły, ale wcale nie wyglądał, jakby się spieszył. Siedziała na miejscu przy przejściu; obserwowała, jak się do niej zbliża, myśląc sobie, jakie to rzadkie, by ktoś kroczył tak pewnie w szarpiącym wagonie.

Miejsce obok niej z drugiej strony przejścia było wolne. Robert zajął je i uśmiechnął się na dzień dobry przez wąski korytarz.

– Miło cię tu widzieć – zagaił. – Jedziesz w jakieś ciekawe miejsce?

Przybrała tajemniczą minę.

– Możliwe.

– Jesteś może w drodze do pracy?

– Pomyślałam sobie, że dziś tam nie pójdę. Ot, taki kaprys. Właściwie postanowiłam zrobić sobie wolne przez najbliższe sześć tygodni.

– To zupełnie jak ja – odpowiedział.

– Cóż za zbieg okoliczności – udała zdziwienie.

– Ale tak na serio. – Wyciągnął długie nogi w stronę przejścia, rozluźniony, ale czujny. Wiedziała, że gdyby ktoś chciał go minąć, cofnąłby je, zanimby został o to poproszony. – Wiesz, że jestem strażakiem. Jesteś pewnie naukowcem, nie myłę się, prawda? Słyszałem, jak mówiłaś Annie, że pracujesz na uniwersytecie.

Pokręciła głową, jakby wstrząśnięta i przerażona tym

pomysłem.

– Niewiele brakowało, ale nie zostałam naukowcem. Pracuję w administracji... – urwała. – Mój ojciec... chciał, żebym została pracownikiem akademickim. Był nauczycielem szkolnym. Uczył angielskiego, zanim przeszedł na emeryturę. – Zaśmiała się z siebie. – Jest za wcześnie rano na prawdziwe wyznania.

– Dla mnie nigdy nie jest na to za wcześnie. Ale zaciękało mnie, czemu tak dramatycznie zmieniłaś drogę życiową. – Wyraźnie go to zafrapowało. – Za każdym razem, gdy cię widzę, czytasz coś. Albo piszesz.

Kiwnęła głową.

– Praca naukowca nie ma końca. Pracuje się wieczorami... podczas weekendów... Zawsze są jakieś eseje do sprawdzenia, artykuły do napisania, teksty naukowe do przeczytania, formularze do wypełnienia czy e-maile do wysłania studentom. Nie wspominając już o wykładach i zebraniach. I tak w kółko. Niektórzy uwielbiają takie życie, ale ja czułabym się jak w potrzasku. Chciałam móc zostawiać pracę za sobą, gdy w końcu wracam do domu. I żeby wytwory mojej wyobraźni pozostawały moją własnością; nie chciałam musieć rozliczać się z tego wobec innych. – Przygryzła wargę, zaskoczona, że mu to powiedziała. – No i zarzuciłam mój doktorat.

– A o czym miał być?

– O stosunku malarzy prerafaelickich do poezji romantycznej. Henry, mój były partner, uważał, że prerafaelici byli niedorzeczni. Pewnie miał rację, ale i tak ich uwielbiam.

– Czy byli jacyś poeci, których oboje lubiliście?

– Owszem – odparła cicho. – Henry sprawił, że zakochałam się w Yeatsie. – Nie wspomniała, że szeptał jej zwykle w łóżku całe wersy z tego poety.

– Nie robisz na mnie wrażenia osoby, która łatwo rezygnuje.

Nie chciała go zanudzać opowieścią o tym, że gdy była na drugim roku studiów doktoranckich, jej ojcu wstawiono by-pass, i że po tym, jak pomagała matce opiekować się nim, uznała swoje badania za bezsensowne. Ale zdawała sobie sprawę, że incydent, kiedy ojciec otarł się o śmierć, tylko przyspieszył nieuniknioną konkluzję, że ona nie nadaje się do życia pełnego jałowych abstrakcji, nieustannego myślenia o ideach innych ludzi i słowach w obcych językach; bolała ją głowa od konferencji i czasopism naukowych. Woląла oglądać obrazy i czytać wiersze, zamiast na ich temat teoretyzować. Czuła też potrzebę używania rąk, robienia czegoś samemu.

– Prerafaelici rzeczywiście malowali czasem piękne suknie – powiedziała. – I tkaniny. Wiesz, lubię szyć. Dlatego przez cały czas odtwarzałam te sukienki, zamiast pisać rozprawę doktorską.

– Rozumiem, na czym polega pokusa – powiedział, prowokując ją do śmiechu. – Powinnaś robić zamiast tego doktorat z tekstyliów. Jest coś takiego?

– Pewnie tak. Myślę, że dziś można napisać doktorat praktycznie na każdy temat.

– A z historii wozów strażackich?

– Prawie na pewno – odparła. – Ale to nie jest dobry przykład czegoś niepoważnego; to jednak ważna rzecz.

Pociąg dojechał do Bristolu. Ciemnoniebieski plecak Roberta leżał przed nim na podłodze. Wydawał się ogromny i ciężki, ale on uniósł go jedną ręką, jakby był lekki niczym piórko. Oboje wyszli z wagonu.

Tuż za bramką kontroli biletów stał mężczyzna przebrany za kurczaka. Clarissie przypomniała się narkomanka na moście, więc rzuciła mu do czapki zużyty i naddarty banknot pięciofuntowy. Nie miała więcej gotówki. Ale Robert dołożył jeszcze piątkę.

Mecenas Tourville był rumiany i korpulentny. Perukę miał przekrzywioną, a gdy ocierał czoło, wydawało się, że zaraz mu się zsunie. Błade oczy Dolemana jak przyklejone wpatrywały się w kark jego przyszłego wybawcy, który prezentował wszystkim obecnym wycinek z gazety.

Carlotta Lockyer siedziała na pokrytej dmuchawcami trawie, której kolor pasował do jej oczu. Miała na sobie spłowiałe džinsy dzwony, sportowe buty i zwiewną purpurową bluzkę. Rozpuszczone blond włosy do ramion założyła za uszy. Piękny podbródek przyciągnęła do klatki piersiowej, patrząc w aparat fotograficzny. Mrużąc oczy w łagodnym, wiosennym słońcu i marszcząc lekko brwi, wyglądała zarazem smutno i dzielnie, jakby niedawno spoważniała po otrzeźwiającej tragedii, z której ledwie uszła z życiem. Według Clarissy nie był to wizerunek, który mecenas Tourville miałby ochotę upublicznić.

Spojrzała na nagłówek: *Młoda kobieta ucieka przed*

brutalnym mordercą seksualnym.

Poszukała daty – prawie trzy lata temu, pod koniec kwietnia.

Przeczytała podpis poniżej fotografii: *Carlotta Lockyer, widoczna niżej, omal nie stała się ofiarą Randolpha Mowbraya.*

Potem przeszła do samego artykułu.

Imprezowiczka Carlotta Lockyer ledwie uniknęła losu Rachel Hervey, lat 19, którą w sierpniu zeszłego roku zamordował obłąkany zwyrodnialec seksualny Randolph Mowbray, lat 26. Piękna Carlotta, lat 25, poznała tego sadystycznego gwałciciela i zabójcę w nocnym klubie w Londynie. Przyznaje, że wyrachowany, próżny i przebiegły Mowbray wydał jej cię czarujący. „Czuję się zażenowana i przerażona, gdy pomyślę, jak łatwo zgodziłam się go odwiedzić, ale w ostatniej chwili zachorowałam i nie mogłam pójść. Dowiedziałam się później, że właśnie podczas tamtego weekendu on zabił tę dziewczynę. To mogłam być ja”.

Mowbray, który pisał rozprawę doktorską na temat postaci seryjnych zabójców w literaturze, miał od kilku miesięcy obsesję na punkcie Rachel. Potem ją zgwałcił, torturował i udusił. Następnie ukrył zwłoki pod deskami podłogi we własnym domu, gdzie pozostawały nieodkryte przez 10 dni. Zniknięcie tej studentki anglistyki zainicjowało poszukiwania na terenie całego kraju i telewizyjną rekonstrukcję jej ostatnich znanych

poczyną. Podczas pięciodniowego procesu straszliwą gehennę rodziny pogłębiło jeszcze całkowicie fałszywe oświadczenie Mowbraya, że Rachel wyszukała go w celu odbycia za obopólną zgodą perwersyjnej gry seksualnej, która – jak stwierdził – wymknęła się spod kontroli i doprowadziła do przypadkowej śmierci ofiary.

Detektyw komisarz policji Ian Mathieson nazwał ten przypadek „jedną z najbardziej przerażających i tragicznych spraw, z jakimi miałem do czynienia podczas 35 lat służby. Życie zdolnej i pięknej młodej kobiety zostało okrutnie przerwane w wyniku szczególnie brutalnej i przygnębiającej zbrodni Mowbraya. Ostatnie chwile życia Rachel to mrok, zgroza i ból”.

– Ta Lockyer ściąga na siebie kłopoty – szepnęła Annie.

Clarissa kiwnęła głową, choć prawie nie słyszała Annie. Przypomniała sobie, że czytała wówczas o tym przypadku. Podczas procesu wspomniano, że Rachel kilka tygodni wcześniej, zanim zaginęła, złożyła na Mowbraya na policji skargę, ale nie miała dostatecznych dowodów, żeby skłonić ich do działania.

Mrok, zgroza i ból.

Chciało jej się płakać. Wyobraziła sobie posiniaczone i zakrwawione ciało Rachel pod deskami podłogi, a także oszalałych z bólu rodziców, wbrew nadziei modlących się o bezpieczny powrót córki.

Mecenas Tourville spojrzął na Lockyer.

– Świadek sprzedała swoją historię i zdjęcie gazecie o zasięgu krajowym.

– Nie zapłacili mi ani grosza. O, tyle brakowało – ścisnęła razem kciuk i palec wskazujący, by to pokazać – żeby ten chłopak mnie zamordował.

– Świadek wykorzystwała tragiczny przypadek gwałtu i morderstwa na Rachel Hervey, żeby zaspokoić swoje pragnienie uwagi.

– Nigdy nie potrzebowałam uwagi tego rodzaju. Wcale mi się nie podobało to, w jaki sposób o mnie napisali. To nie było w porządku. Wszystko poprzekrećali.

– Świadek twierdzi, że została zgwałcona. Gdy do tego rzekomo doszło, pozostali mężczyźni przebywali w sąsiednim pokoju. Dlaczego świadek nie wzywała pomocy? Nie broniła się?

– Przytrzymywali mnie. Doleman groził mi nożem. I było przecież mało prawdopodobne, żeby tamci mi pomogli.

– Proszę świadka, świadek dobrze wie, że nie było żadnego noża. Sama świadek o to prosiła. Świadek leżała i cieszyła się tym. – Mówił w sposób tak okrutny i jadowity, że Clarissa wręcz nie wierzyła własnym uszom.

– Nie. – Był to raczej szloch niż słowo.

Mecenas Tourville z kamienną twarzą odwzajemnił oburzone spojrzenie Lockyer, wysuwając pierś do przodu i wspierając się bardziej równomiernie na obu nogach, jakby wypowiedział właśnie coś bardzo odważnego, na co nikt inny się nie zdobył.

Słyszała głos Rafe’a, rozbrzmiewający raz za razem w jej

głowie, gdy siedziała w poczekalni. *Przestałaś nad sobą panować, reagowałaś w taki sposób... Prosiłaś mnie, bym ci robił takie rzeczy... Przecież pragnęłaś mnie. Leżałaś i cieszyłaś się tym.*

– Clarisso? – Poczula, jak ktoś lekko dotyka jej ramienia, i spojrzała na Annie. – Pora wracać do domu. – Inni już się podnosili, by zejść po schodach za woźnym sądowym. Była dopiero druga trzydzieści, ale puszczono ich wcześniej, żeby sędzia mógł przeprowadzić jakieś procedury sądowe.

Robert przyglądał się jej.

– Nie wyglądasz dobrze. Nic ci nie jest?

– Nie. – Próbowała się uśmiechnąć. – Tylko spać mi się chce.

– Idź dziś po południu na długi spacer – poradził. – Zaczerpnij świeżego powietrza. Ostatnio rzadko mamy po temu okazję.

– Tak – zgodziła się. – Chyba tak zrobię.

Wtorek, 10 lutego, godzina 16.30

Tuż po powrocie do mieszkania rzucam swoje rzeczy. Wyciągam szybko dwie pary wełnianych skarpet i kalosze. Od razu wychodzę na dwór, wciąż okutana w płaszcz, w czapce i rękawiczkach.

Bezwiednie lustruję ulicę w obu kierunkach. Nigdzie nie ma ani śladu ciebie, i tak właśnie powinno być. Przypadkiem wiem, że jesteś uziemiony w Londynie na konferencji doktorantów anglistyki – to jeden z bonusów mojej posady, że Gary pozwolił mi cię w to wpakować.

Muszę się znaleźć w miejscu, gdzie jestem

w stanie myśleć, jednym z moich ulubionych. Muszę udawać, że to tylko w gazetach zabójcy torturują kobiety i ukrywają ich ciała pod podłogą. A nie w realnym życiu. Muszę udawać, że to całkiem normalne iść na spacer późnym popołudniem, nawet jeśli niebo już zaczyna ciemnieć. Jeśli będę to wszystko udawać dość mocno, może stanie się prawdą.

Idę tak zwawo, jak tylko się ośmielam na oblodzonych chodnikach. Wreszcie dochodzę do parku.

Park jest okrągły. Traktuję go jak ogromną tarczę zegara. Czarna żelazna brama stanowiąca główne wejście stoi na godzinie szóstej. Przechodzę przez nią i podążam za ruchem wskazówek zegara w kierunku godziny dziewiętej, trzymając się dróżki, która biegnie po obwodzie. Zawsze sobie wyobrażam dwanaście liczb tarczy zegara rozmieszczonych wzdłuż tej drogi i w dowolnym momencie mierzę moje położenie względem nich. Dróżka okrąża ogromną wyspę trawy pośrodku parku. Trawę pokrywa teraz gruba warstwa śniegu, przez którą zbyt trudno byłoby przebrnąć.

Doszłam do godziny ósmej. Po mojej lewej stronie, wzdłuż urwiska, biegnie ścieżka. Niżej jest strome lesiste zbocze i mój ulubiony widok na Bath. Opactwo zaraz się skąpie w niebieskim świetle.

Droga jest żwirowana, więc mogę poruszać się zwawo, delektując się szybszym krążeniem krwi

i łagodnym wietrzykiem na twarzy. Panuje tu spokój, nieziemski w tym półmroku. Dziecko wzięłoby ten kopiec ośnieżonej trawy za jakieś zaczarowane królestwo. Słyszę tylko chrzęst suchych patyków pod butami. Park zdaje się moim prywatnym ogrodem, mróz trzyma wszystkich innych w domu.

Jestem na dwunastej, w połowie drogi, tak daleko od wejścia do parku, jak to tylko możliwe. Na pustym placu zabaw dla dzieci skrzypi z cicha huśtawka, jakby popychana przez ducha.

I wtedy pojawiaasz się ty.

– Dobry wieczór, Clarisso.

Kompletnie martwieję.

– Nie czułem się dobrze. Musiałem zrezygnować z tej konferencji.

Na kilka sekund zapominam o oddychaniu.

– Powiedziałem, że nie czułem się dobrze, Clarisso.

Nie przejmujesz się tym? Nie jesteś zmartwiona?

Przykładam ręce do uszu i mocno przyciskam, by zmobilizować się do myślenia.

– Rozczarowujesz mnie. – Kręcisz smutno głową. –

Zatrzymałem się przy twoim domu. Ale zobaczyłem, że idziesz w stronę parku.

Musisz być bardzo wprawny w śledzeniu. Trzymałeś się dość blisko, by mieć mnie na oku, a ja się nawet nie domyśliłam, że tam jesteś. Nie miałam pojęcia. Nie widziałam. Nie słyszałam.

Zawsze mnie znajdujesz. Zawsze. Czy kiedyś mnie

nie znajdziesz? Tym razem to jednak moja wina. Wyłącznie moja. Wszystko dlatego, że uległam głupiemu impulsowi, by nie dać się uwięzić lękowi przed tobą.

Odyskać noc. Ta idea była taka ważna dla mnie i Roweny w czasach studenckich. Chadzałyśmy na marsze, myśląc o kobietach, które robiły to w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Myliłyśmy się. One się myliły. Nie zapadła jeszcze noc, ale niedługo tak się stanie, a ja nie powinnam tu przychodzić. Nie powinnam próbować lekceważyć tego strachu przed ciemnymi miejscami. Nigdy więcej nie wolno mi tego zrobić.

Zastanawiam się, czy nie zejść z dróżki, by przeciąć po linii prostej dysk trawy, bo to najbardziej bezpośrednia droga wyjścia, ale uznaję to za śmieszny pomysł. Zasypane śnieżne są za wysokie – trwałoby to wieczność – a rośnie tu zbyt wiele drzew i krzewów, które rzucają cień. Nie pozwolę się wywabić ze ścieżki jak Czerwony Kapturek. Aż za dobrze rozumiem, czego uczą te historie.

– Zostawiłem tam samochód. – Widzę kątem oka, że wskazujesz godzinę trzecią. – Mogę cię podwieźć.

Propozycja jest tak nedorzeczna, że powinnam się roześmiać, tyle że robię się zbyt dezorientowana, by uznać ją za śmieszna.

– Próbuję być miły po wczorajszym, Clarisso. Po wszystkich tych dniach. Po wszystkich twoich

zniewagach i afrontach. Ale wcale tego nie ułatwiasz.

Zostaw mnie tylko w spokoju. Tylko tego od ciebie chcę.

Czyżbyś nie słyszał, jak to powiedziałam?

– Musisz powiedzieć, że wybaczasz mi moje wczorajsze słowa, Clarisso. Wiesz, że wcale tak nie myślałem, nazywając cię w ten sposób. Byłem wściekły. A ty zachowywałaś się bardzo prowokująco.

Nigdy ci nie wybaczę.

No, a co z tym? Najwyraźniej to też do ciebie nie dotarło. Broszurki mają jednak rację, a rozmowa z tobą – nawet przez moment – to bezwzględnie najgorsza rzecz, jaką mogę zrobić.

Patrzę przed siebie i idę jak najszybciej w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zastanawiam się, czy w ogóle uda mi się z tego wykaraskać, ale nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Mówię sobie, że reaguję przesadnie. Jestem dopiero na jedenastej trzydziści, wciąż pięć minut drogi od czarnej żelaznej bramy na godzinie szóstej, ale wracam tą samą trasą, którą przyszedłem. Nie pozwolę ci się zapędzić w pobliże twego samochodu.

– Miałaś okres w zeszłym tygodniu, prawda?

Nie mogę się powstrzymać przed rzuceniem ci przelotnego spojrzenia. Uśmiechasz się niczym zadowolony z siebie detektyw dysponujący cennym sekretnym źródłem informacji. Nie zadaję pytania, skąd o tym wiesz. Ale to właśnie myślę.

– Znam cię, Clarisso. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. To dlatego byłaś w takim złym humorze, prawda? Dlatego okłamałaś mnie, że jesteś chora. Dlatego zepsułaś nasz wieczór w restauracji. Dlatego wystawiłaś mnie do wiatru w teatrze. To były hormony. Próbuję wybaczyć ci to, jak mnie potraktowałaś. Próbuję zrozumieć.

Mimo że drogę wysypano solą, omal nie tracę równowagi, a gdy ruszasz ku mnie, uchylam się.

– Chciałem tylko pomóc. Mogłaś przecież upaść i coś sobie zrobić.

A czyja byłaby to wina?

– Nie potrzebujesz tych broszurek od organizacji walczących ze stalkerami, Clarisso. Wiesz, że nie o to chodzi.

Skąd ty, u licha, wiesz o broszurkach? Ale jeszcze raz udaje mi się powstrzymać przed powiedzeniem tego na głos. Widzę też, jak beznadziejnie byłoby spierać się z tobą. Sam już powiedziałaś, kim jesteś, a nie uświadamiasz sobie tego.

Trzy czwarte kobiet ofiar zna swojego stalkera. Te broszurki też to mówią. Wolałabym go nie znać.

Idę dalej dróżką. Nie zaszłam daleko. Dopiero do jedenastej. Rozglądam się bez większych nadziei, szukając kamer monitoringu, ale nie ma tu chyba ani jednej.

– Chciałaś, żebym cię tu odnalazł, prawda? Chciałaś, żebym cię śledził.

Zastanawiam się, czy nie krzyknąć, ale w pobliżu nie ma nikogo, kto by usłyszał, a nie jestem pewna, czy wydałabym z siebie głos.

– Podobają mi się twoje nowe perfumy, Clarisso.

Z pewnością kompletnie zwietrzały, odkąd spryskałam się nimi dziś rano. Użyłam tylko odrobiny. Za uszami. Na karku. Tak jak uczyła mnie matka. Nigdy nie przesadzaj, zawsze powtarzała.

– To gardenia. Tego zapachu teraz używasz, prawda?

Odkąd to jesteś takim ekspertem w rozpoznawaniu zapachu perfum?

– Chodź do mego samochodu, porozmawiamy w cieple.

Idź szybko. Idź szybko. Idź szybko.

– Włączę ogrzewanie.

Szybciej. Szybciej. Szybciej. Nie poślizgnij się. Nie poślizgnij się. Nie poślizgnij się.

– Idziemy nie w tę stronę.

Mówiąc to, chwytasz mnie za rękę. Poczułam to, jeszcze zanim zobaczyłam, bo nie chcę na ciebie patrzeć, gdy idę dalej ku czarnej żelaznej bramie.

– Próbowałem przemówić ci do rozumu, Clarisso, ale nie dajesz się przekonać.

Usiłuję wyrwać rękę, ale ty trzymasz ją mocniej, i wtedy zauważam, że masz na sobie obcisłe skórzane rękawiczki.

– A teraz zrobimy to po mojemu.

Odnotowuję, nie wiedzieć czemu, że nigdy wcześniej nie widziałam cię w rękawiczkach, i w żołądku mi się przewraca. Rozglądam się dziko, ale park jest wciąż opustoszały. Mówię ci, żebyś mnie puścił, że nie masz prawa, żebyś mnie natychmiast puścił, ale wszystko to mówię i robię nadaremnie.

– Chodź ze mną, proszę, Clarisso. Możemy porozmawiać. Powinniśmy porozmawiać.

Udało ci się odciągnąć mnie z półtora metra. W stronę, w którą nie chcę iść.

– Jak się czują twoi rodzice?

Mówisz, jakbyś ich znał, jakbyśmy odbywali przyjemny spacer i gwarzyli jak bliscy przyjaciele. Jakbyś nie ciągnął mnie siłą, jakbyś sądził, że mówiąc o normalnych rzeczach, sprawisz, że będzie to normalne. Gdyby to nie było takie okropne, byłoby komiczne.

– Nie wiedziałem, że mają dom z widokiem na morze.

Wtedy do mnie dociera. Nagle rozumiem, skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś.

Musiałeś wślizgnąć się do mojego domu w piątek z samego rana i ukraść czarną torbę, w której wystawiłam śmieci, w tym podpaski higieniczne.

Co za porąbana menda.

Musiałeś też zabrać zawartość mego pojemnika na odpady do recyklingu – kopertę zwrotną z logo organizacji walczącej ze stalkerami, brązowy papier

pakowy z adresem zwrotnym moich rodziców i kodem pocztowym Brighton, paragon za perfumy.

Najwyklesze rzeczy, które ludzie robią przez cały czas. Nie mogę już spotkać się z przyjaciółką na kolacji. Wystawianie śmieci przestało być dla mnie rzeczą oczywistą. Czy chcesz, żebym to wiedziała? Czy też tak bardzo przestałeś nad sobą panować i nie rozumiesz, że się dekonspirujesz, uprzedzając mnie o swojej sekretnej taktyce wywiadowczej?

Cofnąłeś mnie już do dwunastej.

– Chcę cię tylko zabrać do domu, Clarisso – mówisz.

– Chodź ze mną – mówisz.

– Tam, gdzie mieszkam – mówisz.

– Żeby razem pobycić – mówisz.

– Tylko tego chcę – mówisz. – Tylko tej jednej rzeczy.

– Ugotuję ci obiad – mówisz.

– Wiem, że ostatnio źle sypiasz. Będziesz smacznie spać, jeśli spędzisz ze mną całą noc – mówisz, a ja zdaję sobie sprawę, że musiałeś też znaleźć w moich śmieciach wyrzucony pojemnik na pigułki nasenne.

– Słońce już prawie zaszło. Po zmroku nie będziesz bezpieczna samotnie w parku – mówisz, a ja nie mogę się oprzeć zdumieniu, że w twoim głosie nie ma nawet śladu ironii.

Ciągniesz mnie szybciej, chwytasz moją dłoń

i nadgarstek obiema rękami i doprowadzasz mnie do godziny pierwszej.

Dlaczego świadek nie wzywała pomocy? Nie broniła się?

Serce wali mi tak wściekle, że nie rozumiem, jak może robić to tak długo, cieknie mi z nosa, skóra głowy mrowi mnie, jakby miniwstrząsy elektryczne spadały na nią z nieba. Ale nie mogę pozwolić, byś wciągnął mnie do swego samochodu. Za żadne skarby nie wolno mi do tego dopuścić.

Podejmuję kolejne gwałtowne próby, by się uwolnić.

– Sama się o to prosiłaś.

Świadek sama się o to prosiła.

Przyciągasz mnie mocno do siebie, pozbawiając tchu. Jedną ręką przygważdżasz mi ręce za plecami i zahaczasz też jedną nogą, bym się nie mogła wyrwać ani ruszać. Z daleka musimy przypominać parę kochanków.

– Lubię cię tak obejmować, Clarisso.

Jestem tu zupełnie sama. Broszurki stają się jeszcze bardziej bezużyteczne niż zwykle.

– To wszystko twoja wina, Clarisso.

Czuję na twarzy twój oddech. Tym razem nie pachnie pastą do zębów. Ma kwaśny zapach bakterii, który pojawia się, zanim się dostanie bólu gardła, więc muszę tłumić mdłości. Próbuję odwrócić głowę, ale nie mogę, bo drugą ręką ściskasz mi kark.

– Nie dałaś mi wyboru, Clarisso.

Spadła mi czapka. Wargi masz przy moim uchu. Gryziesz mi płatek małżowiny.

Zastanawiam się, czy nie lepiej całkowicie zwiotczeć, może wówczas nie byłbyś w stanie mnie utrzymać. Ciągnięcie bezwładnego ciężaru nie jest łatwe. Robert powiedział mi to dziś rano podczas przerwy. Ale uświadamiam sobie, że nawet jeśli on ma rację, to nie chcę znaleźć się na ziemi. Wolę nie myśleć, co mógłbyś mi zrobić, gdybym się znalazła na ziemi. Utrzymanie się na nogach ma kluczowe znaczenie.

– Jeśli wciąż będziesz uciekać, jeśli wciąż będziesz mnie unikać, to czego się spodziewasz? – Urywasz na kilka sekund, zanim dodasz znów moje imię, i tym razem brzmi ono jak jęk.

Każdy może uciec się do przemocy, Clarisso. Ty też, daję słowo, gdyby zaszła taka potrzeba.

Wiem, że Robert ma rację, a wobec ciebie uciekłabym się do najgorszej przemocy, gdybym mogła. Ale walka nie wybawi mnie z tej sytuacji. W ten sposób cię nie pokonam. Nie jestem w stanie zrobić ci krzywdy. Ani pobiec szybciej od ciebie. A w tej chwili sprawiasz, że nawet nie mogę się poruszyć.

Jedyna szansa dla mnie to słowa. I podstępny. I pomyślny okoliczności. Słów i podstępów mogę użyć, ale okoliczności są poza moją kontrolą.

– Pójdę z tobą – mówię.

Twoje usta są na moim czole. Wilgotne.

– Pójdę z tobą do samochodu – powtarzam – tylko puść mnie, proszę.

Twoje wargi są na moich.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdzam. – Ale sprawiasz mi ból.

– Przecież to lubisz. Znam twoje najmroczniejsze sekrety, Clarisso. Znam twoje ukryte talenty.

– Nie lubię, jak ktoś sprawia mi ból. Naprawdę. Przestań, proszę.

Przeciągasz mi językiem po wargach.

– Za mocno ściskasz mi szyję. Trudno mi oddychać. Trudno mi mówić.

– Dobrze – mówisz. Ale rozluźniasz uścisk. – Nie chodzi mi już o rozmowę, Clarisso.

Twój język jest w moich ustach. Oddycham chrapliwie, bardzo głośno i szybko. Zbyt głośno i szybko.

Czuję twoje biodra na moich, napierasz coraz mocniej. Kolana uginają się pode mną, ale ściskasz mnie z taką siłą, że nie mogę upaść.

– Widzisz, co ze mną robisz? – Twoja ręka jest na mojej piersi. – Musimy wydobyć cię ze wszystkich tych warstw – mówisz to, jakbyśmy byli wspólnie żartującymi kochankami. – Przeszkadzają mi.

– Nie chcesz chyba robić tego tu, na dworze, co? – Mój głos drży; pewnie myślisz, że to z powodu namiętności, a nie strachu i odrazy.

Twoja ręka jest teraz na moich włosach. Ciągniesz

je tak, że w oczach stają mi łzy, gdy unosisz mi głowę i każesz spojrzeć na siebie.

– Mogę ci ufać?

– Tak. – Wydajesz się niepewny, zastanawiasz się.

– Nie dotrzemy szybko do twojego domu, jak będziemy tak stać. – Staram się, by mój głos brzmiał przekornie. Chyba mi się nie udaje, ale to nie ma znaczenia, bo powiedziałam to, co chcesz usłyszeć.

– Mam dla nas plany na dzisiejszy wieczór. –

Mocniej ciągniesz mnie za włosy. – Jeszcze więcej tego, czego, jak wiem, tak pragniesz.

Wciąż przytrzymujesz mi dłonią obie ręce za moimi plecami. Drugą dłoń w rękawiczce wsuwasz mi pod płaszcz i sukienkę, wciskasz między nogi.

– Tego chcesz. – Chwieję się, ale nie próbuję cię powstrzymać. Naciskasz mocniej. – Prawda?

– Tak.

– Dobrze. Powtórz to.

– Tak. To jest to, czego chcę. – A choć te słowa dobywają się ze mnie jak szloch, cofasz wreszcie dłoń i puszczasz mi ręce. Zmuszam się siłą woli, by wisały spokojnie po bokach, choć mam ochotę potrząsnąć nimi, zetrzeć twój dotyk i odepchnąć cię z całej siły.

– Dobrze. – To najwyraźniej jedno z twoich ulubionych słów. Kładziesz mi rękę na karku. – Ostatnio nie zachowywałaś się rozsądnie, Clarisso. Wiesz o tym?

– Tak.

– Weź moją rękę.

Biorę ją.

– Powinnaś pozwolić mi myśleć za nas dwoje.

– Tak. – Cofam się o krok, tak że nasze ciała już się nie dotykają.

– Powinnaś robić, co ci każę. – Ciągniesz mnie jeszcze kilka metrów.

– Tak. – Widzę, że także to słowo jest dla ciebie magiczne.

Ciągniesz mnie szybciej.

– Tak będzie najlepiej.

– Tak.

A gdy wypowiadam to słowo, mężczyzna z wielkim czarnym psem wchodzi do parku na godzinie jedenastej, ścieżką, która prowadzi na działki.

Wypatrywałam tego, odkąd mnie znalazłeś. Nie przestałam patrzeć nawet przez moment. Ciągłe wydawało się prawdopodobne, że ktoś może przyjść. Nieustannie powtarzałam to sobie przez cały czas. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by przestać w to wierzyć.

Twoje spojrzenie podąża za moim w kierunku idącej postaci, widać, że się wahasz. Mój but jest może z miękkiej gumy, ale stoję pewnie na nogach i kopię cię z całej siły w piszczel.

Krzyczysz i z bólu, i z poczucia zdrady.

– Suka. – Znowu to słowo. Oto, co naprawdę myślisz. – Okłamałaś mnie. – Naprawdę robisz

wrażenie zdumionego.

Wrzeszczę i wołam:

– Na pomoc! – Ale z gardła dobywa mi się tylko słabe chrypięcie, niczym w jednym z sennych koszmarów, gdy głos odmawia nam posłuszeństwa.

– Udawałaś tylko, że mnie chcesz.

– Tak. – Nie mogę sobie odmówić przyjemności tego „tak”, choć zdołałaś pociągnąć mnie jeszcze kilkadziesiąt centymetrów, a ja wrzeszczę na ciebie, byś mnie puścił, krzyczę, że sprawiasz mi ból. Próbuję zaryć się obcasami kaloszy w asfalt, by nas spowolnić.

– Już nigdy ci nie zaufam.

Nie wiem, czy hałasy, które urządzam, są dość głośne, ani czy spacerowicz widzi naszą szarpaninę, ani czy zauważa, że coś jest nie w porządku, ale idący ku nam mężczyzna i pies przyspieszają kroku, więc uwalniasz mnie tak raptownie, że lecę kilkadziesiąt centymetrów, po czym upadam na ścieżkę.

– Tym razem przeholowałaś.

Gramolę się na nogi.

– To była twoja ostatnia szansa.

Mężczyzna z psem jest coraz bliżej.

– Ukarzę cię za to.

Znów krzyczę do przechodnia, tym razem mój głos sprawia się doskonale, przecina zimne czyste powietrze zimnym czystym tonem.

– Proszę tutaj! Proszę mi pomóc!

Odchodzisz w stronę swego samochodu na godzinie

trzeciej, w stronę szkoły stojącej tuż za parkiem.

Gdy mężczyzna z psem podchodzi do mnie, odwracasz się i robisz znów kilka kroków w naszą stronę. Wtedy pies zaczyna na ciebie szczekać, a ty nieruchomiejesz. Musisz przekrzyczeć psa, byśmy usłyszeli twój głos z odległości trzech metrów.

Zwracasz się do mężczyzny:

– Ona jest moją dziewczyną. To tylko kłótnia kochanków, a ona zachowuje się jak wariatka i nie chce pójść na kolację, jak się umówiliśmy. Niech pan pilnuje swego nosa. Każdy ma swoje domowe sprawy. – Po czym zwracasz się do mnie: – Do zobaczenia, Clarisso. Jak się uspokoisz. – A do mężczyzny: – Każ pan się zamknąć temu cholernemu psu.

Gdy odchodzisz, pies zaczyna robić krótkie przerwy między szczeknięciami. Upewniwszy się, że nie wrócisz, milknie.

– To nie jest mój chłopak – wyjaśniam mężczyźnie, ocierając usta rękawem płaszcza. A potem, nie zważając na to, że mam do czynienia z kimś zupełnie obcym, proszę: – Mógłby pan odprowadzić mnie do domu? To tylko dziesięć minut stąd. Boję się, że on będzie na mnie czekać.

Mężczyzna podnosi z ziemi moją rękawiczkę. Upadła, nie zauważyłam tego. Przeciągam nią sobie po czole, wargach, uchu i szyi, potem wpycham do kieszeni. Nieznajomy znajduje też moją czapkę, a ja jeszcze raz wycieram wszystkie miejsca na skórze,

których dotykałeś. Płaczę, z całych sił staram się nie rozbeczeć kompletnie.

Pies liże mi dłoń, jakby chciał mnie pocieszyć. Dociera do mnie, że mam żwir na rękę. Mężczyzna mówi:

– To jest Bruce. Lubi panią. – I szuka w kieszeni chusteczki higienicznej. Podaje mi ją bez słowa, a ja ocieram łzy, które zamarzają mi na policzkach, i smarki, od których już mi pękają wargi i skóra.

Obaj z Bruce'em odprowadzają mnie do domu. Mężczyzna jest wysoki. Wyższy od ciebie. I szczupły. Szczuplejszy od ciebie. Widzę to nawet mimo warstw ubrania. Jest sympatyczny. Milion razy sympatyczniejszy od ciebie. I normalny, jak sędzę. Miliard razy normalniejszy od ciebie. To mądry zapaleniec komputerowy. Miliard razy bardziej interesujący od ciebie. Nazywa się Ted, wolę jego imię nieskończenie bardziej aniżeli twoje.

Uspokajam się w drodze powrotnej. Nie rozmawiamy o tym, co zaszło w parku, jakby po powrocie do cywilizacji najlepiej było zapomnieć o czymś tak paskudnym i żenującym. Prawie wcale nie rozmawiamy, poza uprzejmym minimum – jak to między nieznanymi. Wydychane przez nas powietrze tworzy marznące obłoczki. Podobnie jest w przypadku Bruce'a.

Ale wtedy mężczyzna uprzejmie sugeruje, że może już pora, bym poszukała sobie nowego chłopaka, a gdy

powtarzam, że nie jesteś moim chłopakiem, ledwo się powstrzymuję, by znów nie wybuchnąć płaczem.

Ten mężczyzna cię widział. Widział ostatnie momenty tego, co mi robiłeś w parku. I nawet on nie ma pewności, czego był świadkiem. Jest sympatyczny, ale nawet on sądzi, że może naprawdę była to tylko sprzeczka kochanków. Nawet on dopuszcza możliwość, że twoja wersja wydarzeń jest prawdziwa.

Gdy dochodzimy do mojego domu, głaszczę na pożegnanie jedwabście czarny łeb Bruce'a.

– Dziękuję, Bruce. Jesteś bardzo miły i dobry. – Mężczyzna uśmiecha się. Łechcę miękkie fałdki futra pod brodą psa.

Mężczyzna stoi na końcu ścieżki i patrzy, jak idę ku drzwiom i je otwieram. Potem spieszy do domu, do żony i dziecka. A ja prosto pod najgorętszy prysznic, jaki jestem w stanie wytrzymać, żeby wyszorować wszelkie ślady po tobie.

A potem mam już tylko ochotę łyknąć kilka pigułek nasennych i wleźć pod kołdrę. Ale tego nie robię. Jak zwykle zmuszam się, by wziąć czarny notes. Siłą woli spisuję wszystkie szczegóły tego, co ze mną wyczyniałeś dziś wieczorem, choć jest to ostatnia rzecz, którą mam ochotę robić. Nie dysponuję żadnymi konkretnymi dowodami na to, co zaszło w parku. Ale wszystko zapisuję, jak gdyby to była opowieść. Może te broszurki nie są jednak całkiem bezużyteczne. Nauczyły mnie, że przyjdzie czas, gdy ta opowieść

będzie wiele znaczyć. A ja już wiem, że każda opowieść ma prawdziwą nazwę. Wolałabym, żeby nazwa tej historii mogła być inna, ale nic tego nie zmieni. Ta opowieść to *Wiem o tobie wszystko*.

Clarissa była w toalecie dla przysięgłych. Od jej włosów rozchodził się wyjątkowo mocny zapach szamponu; w domu trzykrotnie umyła je i spłukała. Przeglądała się w lustrze, zaskoczona, że jej twarz jest tak blada, chociaż tak mocno wyszorowała ją poprzedniego wieczoru. Na poły oczekiwała, że zobaczy na swoim gardle odciski jego palców, ale niczego takiego nie było; w domu sprawdziła nawet kark, używając ręcznego lusterka. Przyszło jej na myśl, że musiał rozmyślnie kontrolować siłę stosowanego ucisku.

Jej telefon zasygnalizował nadejście e-maila. Zaskoczyło ją to – była przekonana, że go wyłączyła. Wiadomość była od Hannah. W ubiegłym roku chadzały na te same wieczorne zajęcia pilates. Hannah pytała, gdzie się Clarissa podziewała przez ostatnie tygodnie i czy zechce pójść na drinka po czwartkowych zajęciach.

Chcę, żeby twoi przyjaciele byli moimi przyjaciółmi.

Rafe namierzył Rowenę. Może skrzywdził już i Hannah. Może już do niej dotarł i będzie z nią czekać w pubie, jeśli Clarissa się pojawi.

Odpisała, że nie może więcej chodzić na zajęcia, a następny wieczór ma zajęty. Potem wyłączyła telefon, wiedząc, że izoluje ją to jeszcze bardziej. Zrobił, co zamierzał. Wszystko to opisano w broszurkach.

Miała właśnie ręce, gdy weszła Wendy. Wendy miała dwadzieścia trzy lata i pokazywała Clarissie zdjęcia swojego chłopaka. Spotykała się z nim codziennie podczas przerwy na

lunch i z dumą zabierała jego koszule do pralni chemicznej, ciesząc się nową zabawą w dom. Clarissa w milczeniu otrząsnęła się z przyływu zazdrości, jaki odczuła w sercu.

– Popatrz. – Wendy przytrzymała środek swojej spódnicy. Jej białoblond włosy, proste jak drut, opadły na piękną różową twarz. Granatowy poliester był rozcięty aż do wysokości górnej części uda. – To jedna z moich biurowych spódnic. Po sędzie muszę dziś lecieć do pracy.

Clarissa wiedziała, że Wendy jest sekretarką w firmie sprzedającej oprogramowania.

– Mam wrażenie, że to rozcięcie nie jest elementem pierwotnego fasonu – zauważyła Clarissa, rada, że przypomniano jej, że zdarzają się katastrofy względnie łagodne i łatwo odwracalne.

– Zrobiło mi się to, jak wysiadałam z autobusu. – Wendy próbowała się uśmiechnąć. – Oskarżeni będą zachwyceni. Pewnie niewiele mają przyjemności.

Clarissa odeszła od jedynej działającej suszarki do rąk, choć miała ochotę umieścić w strumieniu gorącego powietrza całe swoje przemarznęte ciało. Poszukała swego podręcznego zestawu do szycia, na który jej matka wykonała torebkę z kawałków tkaniny w maki i stokrotki. Wendy wpatrywała się w jego zawartość, jakby były to narzędzia do operacji mózgu.

– Mogę ci to naprawić – zaproponowała Clarissa. Kierowały nią zarówno egoizm, jak i życzliwość, bo szycie zawsze ją uspokajało, a lubiła Wendy.

Pięć minut później znajdowały się w strefie ciszy. Wendy

siedziała na krześle. Clarissa klęczała przed nią na niebieskim dywanie, robiąc szew od góry rozcięcia ku rąbkowi spódnicy.

Starła się ignorować fakt, że palce ma zeszywniałe, a ramiona obolałe od uścisku Rafe'a. Na nadgarstku wystąpiły jej czerwone plamy, skóra była podrażniona. Zupełnie jakby jej zrobił „pokrzywkę” skórzanymi rękawiczkami. Umyślnie wybrała bluzkę z długimi dopasowanymi rękawami, żeby ukryć te ślady, choć sfotografowała je z samego rana. Wydawało się to bezużyteczne, ale przekonała samą siebie, że nawet jeśli takie zdjęcie nie ma wartości samo w sobie, może się później okazać pomocne jako element większej całości.

Wszedł Robert, lekko unosząc brew w wyrazie zdziwienia.

– Och, to nie jest to, na co wygląda – wyjaśniła ze śmiechem Wendy.

Usiadł i otworzył książkę, sumiennie wbijając wzrok w jej strony.

Clarissa usiłowała skupić się na spódnicy i nie patrzeć za wiele na Roberta. Sięgnęła po nożyczki.

– Jeszcze jakieś ukryte talenty? – spytał. – Poza byciem mistrzynią igły?

Nie mogła się powstrzymać przed odtworzeniem w głowie głosu Rafe'a: *Znam twoje ukryte talenty.*

– Tylko ten jeden. – Przecięła nitkę. – Ale będę się prezentować na Londyńskim Tygodniu Mody. Pod supertajną marką. – Przyglądała spódnicy Wendy i wstała. – Gotowe. Ekspresowa naprawa.

Wciąż dręczyło ją pytanie, dlaczego on wtedy założył

rękawiczki. Wciąż sobie wyobrażała najbardziej przerażające powody.

– Chciałabym poznać tę markę – powiedziała Wendy. – Sprzedam tę spódnicę na aukcji jako „Oryginalną Clarissę”.

Wciąż zadawała sobie pytanie, czego, być może, zdołała uniknąć.

– Zabiorę moje tajemnice do grobu – odpowiedziała.

Pojawił się woźny sądowy, by sprawdzić, czy skończyły, a Wendy pospieszyła, żeby z nim porozmawiać.

Clarissa wciąż upewniała samą siebie, że on dotykał jej tylko powierzchownie. Wciąż próbowała się przekonać, że zmyła z siebie to wszystko.

Wiedziała, że Robert umyślnie zwlekał, by móc wejść z nią schodami do sali rozpraw numer dwanaście.

– Jak mogę poznać twoje tajemnice? – spytał ze spokojnym uśmiechem.

Nie mogła dopuścić, by tamten zatruł wszystko inne; musiała to powstrzymać.

– Pewnie przekażę ci je wszystkie – oznajmiła lekkim tonem. – Tylko potem nie mów, że cię nie uprzedzałam. Niektóre z moich tajemnic są bardzo nieciekawe.

– Może sam mam kilka trupów w szafie.

Obrońca Sparkle’a miał całą twarz w trądziku. Przypominał Clarissie ucznia tyranizującego kolegów.

– Tego samego dnia, gdy świadek przeszła policyjne badania lekarskie, świadek udała się na spotkanie z oskarżonym Sparkle’em. Dlaczego świadek opuściła bezpieczne miejsce, czyli komisariat policji, żeby spotkać się

z tym rzekomo gwałtownym i przerażającym porywaczem, któremu świadek uciekła?

– Protekcyjnalny gnojek – mruknęła całkiem wyraźnie Annie.

Dlaczego poszła pani do parku spotkać się z panem Solmesem?

Takie pytanie usłyszałyby Clarissa, gdyby udała się na policję złożyć skargę.

Nie poszłaby pani sama do tego parku, gdyby pani nie chciała się z nim widzieć. Dzień wcześniej zjawił się na galerii dla publiczności, żeby panią odwiedzić, a potem przebywała pani w jego towarzystwie. W poprzednim tygodniu zjadła pani kolację z nim i z pani najlepszą przyjaciółką. Najwyraźniej bardzo dobrze się znacie.

Tak by powiedzieli.

Nigdy nie groziło pani żadne niebezpieczeństwo i wie pani o tym. Widziano nawet, jak trzymaliście się za ręce. Doskonale pani wie, że pan Solmes nigdy pani nie groził. Była pani dobrowolnym uczestnikiem tamtej rozmowy. Wielokrotnie odpowiedziała pani „tak” na żądania pana Solmesa, a potem zmieniła pani zdanie, nie racząc mu tego zakomunikować. Chodzi pani o zemstę. Odrzuciła pani potem wszystkie rozsądne usiłowania pana Solmesa, który chciał osiągnąć polubowne porozumienie.

Już dostatecznie wiele czasu spędziła na sali rozpraw numer dwanaście, by wiedzieć, jak to działa.

Pan Solmes mówi nam, że ostatnio zaczęła pani brać pigułki nasenne. Najwyraźniej nie jest pani zrównowazona.

To także by powiedzieli, nic nie wspominając o tym, w jaki sposób pan Solmes wszedł w posiadanie tych informacji ani co ją skłoniło do przyjmowania leków.

Nie stała pani pewnie na nogach. Gdy się pani poślizgnęła, pan Solmes interweniował, by pani nie upadła i nie zrobiła sobie krzywdy. A za to – i ledwie dostrzegalny ślad na pani nadgarstku, który powstał podczas podtrzymywania pani – odwdzięczyła się pani fałszywym oskarżeniem o napaść i próbę porwania. Każdy dobry uczynek zostanie ukarany.

Taki wyciągnęliby wniosek.

Lockyer pokręciła ze znużeniem głową na znak sprzeciwu.

– Policja chciała, żebym tam poszła. Kazali mi się zachowywać jak gdyby nigdy nic, żeby Sparkle nie podejrzewał, że z nimi współpracuję. A ja potrzebowałam narkotyków.

Sparkle wyglądał, jakby próbował stłumić śmiech podczas wizyty w kościele.

– To z pewnością prawda, że świadek owinęła sobie policję wokół palca.

– Owszem, byli dla mnie mili. – Przełknęła ciężko ślinę. – No proszę, i z tego zrobiliście coś brudnego. Dobrzy w tym jesteście. Nietrudno wam robić to ze mną, no nie?

Nietrudno im robić to z kimkolwiek, pomyślała Clarissa.

Środa, 11 lutego, godzina 12.50

Podczas lunchu spacerujemy z Annie po bazarku pod gołym niebem. Ja pijam kawę, ona je kanapkę z hummusem ze stoiska z delikatesami. Ja kupiłam

butelkę organicznego soku z winogron, ona – pojemniczek gęstej śmietany, szarlotkę i ogromnego pstrąga.

– Weź befsztyk – mówi. – Wyglądasz, jakby ci brakowało żelaza.

– Annie, zapach w przebieralni będzie wręcz cudowny. Nie powiem nikomu, czyja to wina.

– Tłuste ryby są dobre dla dzieci.

Marszczę nos.

– O ile je skłonisz, żeby to zjadły. Dostaną bzika na punkcie tych zmysłowych jajowatych oczu. Mam nadzieję, że najpierw utniesz mu głowę.

Annie, zamiast dać mi w odpowiedzi kuksańca świadczącego o irytacji, jak tego oczekuję, pochyla się ku mnie i mówi cicho:

– Tamten facet wciąż się na ciebie gapi. Przy stoisku rzeźnika.

Wiem, że to ty, jeszcze zanim się odwrócę. Moje spojrzenie spoczywa na tobie tylko przez kilka sekund. Odrywam je, jakby w obawie, że napotka twoje i zmienię się w kamień. Ale zauważam twoją granatową bluzę z napisem UCLA – Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles – dżinsy i ciemne sportowe buty. Zwracam uwagę, że nie założyłaś skórzanych rękawiczek.

– Znasz go? Mam odejść, żebyście mogli pogadać?

– Nie. Boże, nie. Nie odchodź, proszę. – Nie zdaję sobie sprawy, że ściskam Annie za rękę, póki nie rozluźnia mi palców, choć na kilka sekund kładzie na

nich delikatnie swoją dłoń.

– Clarisso, on wygląda podle. Robi wrażenie, jakby był wściekły. Wpatruje się w ciebie. Wygląda, sama nie wiem, jakby celowo próbował cię zastraszyć. Trochę jak ten oskarżony, który bił Lockyer i przypalał jej kolczyk. Jak mu tam?

– Godfrey – podpowiadam.

– Właśnie ten. Tyle że twojemu facetowi znacznie lepiej wychodzi groźna mina.

– Annie, to nie jest mój facet. Nawet tak nie mów. – Zerkam na zegarek, to tylko rytuał, jakby zwyczajne gesty były pełne mocy, ale nie dociera do mnie, co pokazuje. – Lepiej wracajmy.

– Lezie za nami. Co to za jeden?

– Dawny znajomy. Nie patrz na niego. Ignoruj go.

Opowiedzenie innym może wzmocnić materiał dowodowy i stanowić potwierdzenie, tym samym zwiększa prawdopodobieństwo wszczęcia postępowania.

– Może kiedyś – mówię bardzo cicho – na jakimś etapie będę potrzebować, żebyś powiedziała, że go tu widziałas. Nie masz nic przeciw temu?

– Ależ skąd. – Mimo mego polecenia Annie wciąż się ogląda. – A gdybyś kiedyś chciała pogadać...

– Dzięki.

Ale nie mogę jej w to wciągać. Ma dosyć własnych problemów. Batalie z mężem, z którym jest

w separacji, o prawa do ich córeczki, dopiero sześćoletniej. Walczy ze sobą, żeby nie dać się opanować obsesyjnej zazdrości wobec młodszej kobiety, dla której ją zostawił.

Gdy Annie opowiada mi to wszystko, myślę o żonie Henry'ego i robi mi się niedobrze. Po części wskutek wyrzutów sumienia. Ale też ze strachu, że gdyby się Annie dowiedziała, zobaczyłaby we mnie wroga i zatrzasnęła drzwi naszej rodzącej się przyjaźni.

Annie zupełnie nie przypomina żony Henry'ego, ale ma podobny talent do rzucania wrogich spojrzeń z ukosa. Właśnie teraz wymierza jedno w ciebie, co mnie bardzo cieszy. Robi dla mnie więcej, niż może sobie wyobrazić, tylko tym jednym spojrzeniem.

Myślę o Rowenie i o tym, jak ją oszukałeś, przeciągnąłeś na swoją stronę. Ale Rowena była w niekorzystnej sytuacji. Przeniknąłeś do jej świata. W kontaktach z nią przez cały czas nosiłeś maskę. Manipulowałeś nią i nastawiłeś ją, zanim się zorientowała, kim naprawdę jesteś. Annie ujrzała cię po raz pierwszy w twojej potwornej postaci, zobaczyła twoje prawdziwe ja. Ku mojej wielkiej uldze najwyraźniej wcale cię nie lubi.

Wściekły, nerwowy Godfrey przypominał Clarissie Rumpelsztyka. Jego obrońca, mecenas Harker, miał lekki irlandzki akcent. Szczupła twarz Harkera była życzliwa, może nawet sympatyczna.

– Proszę świadka, nie kwestionuję żadnych

przedstawionych przez świadka dowodów – zwrócił się do Lockyer.

Kobieta była zaskoczona, skłoniła nieznacznie głowę i wyglądała na bliską płaczu. Może nikt nie zamierzał jej już atakować? Czy ten człowiek rzeczywiście mówi, że jej wierzy?

– Żalotne – zaczęła Annie głośnym szeptem, gdy Harker usiadł. – Czy ten otępiający wykład o tym, że nie można ufać pamięci, miał być obroną Godfrefya?

Clarissa mogła tylko odpowiedzieć stłumionym półśmiechem. Nie dotarło do niej ani słowo z przemowy adwokata. Zbyt była zajęta odtwarzaniem w głowie spotkania z Rafe'em w przerwie na lunch. Nie dawał jej spokoju ten jego pokaz bluzy UCLA. Mimo siarczystego mrozu nie założył kurtki. Była pewna, że chciał w ten sposób zwrócić jej uwagę na bluzę. To musi być dla niego jakieś trofeum o szczególnym znaczeniu.

Nie przypominała sobie żadnej wzmianki, że studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim albo tam wykładał, albo choćby odwiedził kiedykolwiek Los Angeles. Jednak prawdę mówiąc, mógł robić każdą z tych rzeczy. Naprawdę tak mało o nim wiedziała – z czego zresztą się cieszyła – i nie miała najmniejszej ochoty dowiedzieć się więcej. Ta bluza stanowiła jakieś przesłanie – była tego pewna – ale nie mogła go jeszcze rozszyfrować. Tymczasem on cieszył się mocą owej tajemnicy, czymkolwiek była.

Szukając w torebce kluczy, usłyszała dzwoniący telefon. Dźwięk dobiegał z jej pokoju krawieckiego. Nim weszła, zajrzała za drzwi i zlustrowała kąty. Aparat leżał na stole do

krojenia. Odbierając telefon od matki, zauważyła, że bateria prawie się wyładowała.

Idąc przez kuchnię, napełniła czajnik i postawiła go na kuchence, z głową przechyloną ku ramieniu, by przytrzymać komórkę.

– Clarisso, coś cię chyba gryzie.

Była w salonie, podnosiła sterty magazynów krawieckich i książek o sztuce, które zostawiła na drewnianej podłodze, wycyklinowanej i odnowionej przez jej ojca. Ułożyła je na półkach, które dla niej zrobił, obok tomów pełnego zbioru baśni braci Grimm, Perraulta i Andersena, które jej czytywał, gdy była małą dziewczynką. Sama wracała potem do nich wiele razy, nieskończenie zafascynowana, i wcale nie uważała, że są to opowieści dla dzieci.

– Czy możesz się na chwilę zatrzymać i posłuchać, co mówię?

Sofę w salonie pokryła tkaniną jej matka. Karmazynowe róże wielkości pięści Clarissy chyliły się ciężko na wygiętych łodygach w kolorze czerwonego wina, rozsypane na tle barwy wyschniętej krwi. Clarissa osunęła się na sofę.

– Dbasz o siebie jak należy?

W podtekście pytania pobrzmiwał żal z powodu Henry’ego.

– Tak. Oczywiście. Nauczyłaś mnie tego.

– Martwiłam się, bo tak długo nie odbierałaś.

Clarissa była dla swoich rodziców jakby dzieckiem z bajki, urodzonym, gdy matka miała czterdzieści trzy lata, po szesnastu latach niepłodności. Ojciec lubił pokpiwać, że

kazał spalić wszystkie wrzeczona w królestwie, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Zawsze odpowiadała żartem, że plan ten świetnie zadziałał.

– Wszystko w porządku, słowo daję. – Odpięła zamek jednego botka i zrzuciła go, potem drugi, kiedy matka podawała telefon jej ojcu.

Clarissa znów była na nogach. W kuchni wyłączyła gwizdzący czajnik, ukołysana jak zwykle głosem ojca.

– Myślisz, że to głupie – spytała, niezdolna oprzeć się pokusie, by mu się zwierzyć – jeśli biorę taksówki ze stacji do domu? – Mówiąc to, miała wrażenie, jakby ściany zamykały się wokół niej, a świat wydawał się mniejszy, ale wiedziała, że to jedyna rzecz, jaką mogła zrobić; musi teraz stawić czoło rzeczywistości.

– Nie. Ale skąd ta zmiana, Clarisso? Przecież uwielbiasz spacerować.

Była zła na siebie, że aż tyle mu powiedziała i zmartwiła go.

– To był długi dzień, wszystkie te obowiązki w sądzie przysięgłych...

– W takim razie to dobry pomysł – uznał.

Clarissa była w sypialni, sprawdzała, czy nikt się nie schował w szafie, potem położyła się na łóżku, zsunęła pończochy, zrzucając je na ciemnozłocisty dywanik, który zrobiła z grubej tkaniny w stylu retro, pokrytej ogromnymi liliami. Przyciągnęła kolana do piersi i poruszyła zmarzniętymi palcami nóg.

Matka Clarissy przez pięćdziesiąt pięć lat wtrącała się

w rozmowy ojca. Jej głos brzmiał wyraźnie.

– Powiedz, proszę, swojej córce, że samo mango to jeszcze nie lunch. A słaba czarna herbata to nie kolacja. –

Telefon zatrzeszczał trzy razy i zamarł, jakby sam wiedział, że matka skończyła, a Clarissa już się nie odezwie.

**Czwartek, 22 stycznia, godzina 14.30
(trzy tygodnie temu)**

Już za tydzień z hakiem dostanę w pracy urlop, by wziąć udział w procesie jako sędzia przysięgły. Idę teraz zanieść dokumenty do nowej szefowej anglistyki. Muszę przejść obok niebieskich drzwi twojego pokoju. Są otwarte i zablokowane mimo tabliczki ostrzegającej, że to drzwi przeciwpożarowe, więc powinny pozostawać zamknięte. Pokój jest pusty. Ale zauważam coś, co mnie zatrzymuje, oddycham szybciej, zdenerwowana, że lada sekunda możesz się pojawić w korytarzu. A jednak muszę zajrzeć.

Dopiero wtedy identyfikuję zbiór przedmiotów na twojej szafce na akta jako minikapliczkę. Czy zamierzasz używać tego wszystkiego podczas jakiegoś niesamowitego rytuału voodoo? Koperta adresowana do ciebie moją ręką – musiała zawierać jakieś nudne pismo od administracji studiów doktoranckich. Żółty kubek do kawy w pomarańczowo-zielone stokrotki; używałam go co rano, aż zniknął miesiąc temu, nie umyłam go. Plastikowy pojemniczek po jogurcie truskawkowym, który czasem przynoszę ze sobą do pracy, poplamiony brązowięjącymi już resztkami, których nie udało mi się zeskrobać. Nie mam zielonego pojęcia, skąd go wytrzasnąłeś. Pusta tubka po kremie do rąk, który zawsze trzymam na

biurku. Broszurki i czasopisma na temat fotografii amatorskiej. Jakieś wyrzucone papiery z zebrania pokryte tulipanami, które zawsze gryzmołę sobie z nudów.

110. Piszą, że musi się zdarzyć średnio 110 incydentów związanych ze stalkingiem, zanim kobieta pójdzie na policję. Mówię sobie, że daleko mi do 110, choć zastanawiam się, czy nie zależy to od sposobu liczenia.

Czy każdy przedmiot na twojej szafce liczy się za jeden incydent? W gruncie rzeczy pewnie wcale nie liczą tego za cokolwiek. Wyszłabym na idiotkę, gdybym o tym wspomniała, a ty potrafiłbyś to wszystko wytłumaczyć, robiąc ze mnie głupią paranoiczkę. Już cię słyszę, jak śmiejesz się konspiracyjnie z kompletnego bezsensu takich oskarżeń.

Czy każdy mężczyzna, który zapomni umyć kubek do kawy, stanie przed uniwersytecką komisją do spraw molestowania?

Czy tylko mnie zdarzyło się odejść przez pomyłkę z cudzą filiżanką do herbaty? Jestem winien stawianych mi zarzutów. Ale jeśli chciała go odzyskać, mogła poprosić. Nie miałem pojęcia, że to jej własność.

Skieruję do służb sprzątających formalne pismo z przeprosinami za moje niedbalstwo w dziedzinie odpowiedzialnego postępowania z odpadami spożywczymi.

Przyznaję, że czerwienię się na wspomnienie tej

emulsji do rąk, ale jest zima – męska skóra też wysycha.

Zgadzam się, że powinienem stworzyć lepszy system recyklingu kopert i papierów. Proszę mnie postawić przed trybunałem kompetencyjnym. Proszę mnie ukarać udziałem w szkoleniu zawodowym.

Nic bym nie uzyskała, składając taką skargę. Wszystko to niczego nie dowodzi.

Spoglądam znów na moje tulipany. Ich widok w twoim pokoju cofa mnie do tamtego zebrania. Zatrzymujesz się, aby coś zapisać, potem przyglądasz mi się uważnie i kiwasz sam do siebie głową z zadowoleniem, jakbyś potwierdził jakiś związany ze mną fakt, który możesz teraz zanotować. Czuję się przy tym, jakby mnie okradano. Nie mam gdzie się schować przed twoim wzrokiem, mimo że próbuję cofnąć krzesło, osunąć się na nim niżej czy zająć taką pozycję, by zasłaniał mnie Gary. Opuszczam spojrzenie na stół, wije się, półprzytomna i zażenowana.

– Interesujące – mówisz porozumiewawczym tonem, gdy bąkam coś, co wcale takie nie jest, w odpowiedzi na jedno z pytań Gary’ego o jakieś nudne informacje. Wobec innych robisz wrażenie zaangażowanego i uważnego, świetnie wykonujesz swoje zadanie. Najgorsze, co mogą o tobie pomyśleć, to to, że podlizujesz się Gary’emu. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że mnie zadręczasz.

Otrząsam się ze wspomnień tamtego zebrania i przypominam sobie, gdzie jestem. Na schodach słyhać kroki wielkoluda, można odnieść wrażenie, że cały budynek się chwieje. To musisz być ty. Twoje kroki są zawsze hałaśliwe i pospieszne, jakbyś chciał wszystkim dać znać, że wiesz, dokąd idziesz, jesteś stanowczy, masz mnóstwo niezmiernie ważnych rzeczy do zrobienia i traktujesz to poważnie. Jakież z ciebie wzorowy pracownik.

Pukam szybko do drzwi nowej szefowej wydziału i czuję ulgę, gdy od razu mówi „proszę”. Wślizguję się do środka, gdy tuż za mną rozlega się twoje „cześć”, i udaję, że cię nie słyszę.

Jestem tak pochłonięta planowaniem, jak by tu przejść obok ciebie w drodze powrotnej, że nawet nie dociera do mnie, że stoję w dawnym gabinecie Henry’ego. Nawet nie zauważam, jak bardzo zmieniła go nowa szefowa wydziału, wymazując ślady jego obecności. Nie odtwarzam nawet w głowie epizodu, gdy kochaliśmy się z Henrym na jego zawalonym rzeczami biurku, które teraz jest zarzucone jej arkuszami kalkulacyjnymi i aktami, ale gdy należało do niego, było zawsze starannie uporządkowane i czyste. Zapraszam ją, by od razu poszła ze mną obejrzeć nową pracownię komputerową dla doktorantów. Mam ochotę ją uściskać, gdy się zgadza, jednak się powstrzymuję.

Już nie sama i zaprzątnięta nowo zaimprovizowaną rolą przewodniczki wycieczki widzę, jak przyglądasz

się, sfrustrowany, gdy mijam twoje bezprawnie otwarte drzwi. Szefowa wydziału przystaje, by ofuknąć cię za nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych i lekceważenie zasad bezpieczeństwa i higieny pracy. Nie ma ironii w jej głosie, gdy kopie nogą twój zaimprovizowany ogranicznik drzwi w postaci plastikowego segregatora.

Wiem, że obrzucasz ją gniewnym spojrzeniem, chociaż nie patrzę. Ubiegałeś się o jej posadę, lecz jej nie dostałeś. Teraz jej wypowiedź dodałeś do listy zniewag i pretensji, którą pewnie prowadzisz, a ja czuję przyływ niepokoju o nią, choć wciąż mam ochotę zgotować jej owację, gdy ciężkie drewno drzwi powoli się przesuwają i zamyka z trzaskiem, z tobą po drugiej stronie.

W czwartek rano wydawało się, że cały świat przestał funkcjonować. Clarissa otrzymała e-mail, że uniwersytet został zamknięty z powodu śnieżycy. Ale nie brakowało pociągów i autobusów do Bristolu, by pojechać do sądu.

Siedziała po przyjacielsku z Robertem, czekając, aż inni wepchną się do środka.

Robert wyjął z plecaka przezroczystą plastikową torebkę z czekoladowym rogalikiem. Przełamał go na pół i bez słowa wręczył część Clarissie.

Już miała powiedzieć, że nie jada śniadań, ale powstrzymała się i przyjęła poczęstunek.

– Dziękuję – powiedziała, gryząc rogala. Rozbudziła się nieco bardziej, gdy cudowny smak masła i aromatycznej

czekolady zrobił swoje. – Jakie dobre.

– Z kawiarenki naprzeciw sądu. – Żuł w zamyśleniu. –
Miejmy nadzieję, że Lottie ma dziś lepszy dzień.

Lottie. Zabrzmiało to czule, nawet serdecznie, i z miłością. Podobnie jak w przypadku ojca Clarissy, który zawsze nazywał córkę Clary. A jednak ta poufałość dotyczyła kobiety, której ona i Robert nigdy nie poznają, z którą nigdy nie odbędą rozmowy, kobiety, wobec której powinni pozostać całkowicie niezaangażowani.

Wyszło to od Clarissy. Raz, tylko raz, to imię wyrwało jej się na głos w rozmowie z Robertem. Natychmiast je podchwycił. Działo się to zaledwie we wtorek, ale oboje już przywykli do używania go w rozmowach między sobą. Nigdy jednak w obecności innych przysięgłych. Była to niewypowiedziana, instynktowna reguła. Ich prywatna tajemnica.

– Tak – powiedziała. – Miejmy nadzieję.

Zabuczał jego telefon. Wepchnął resztę rogała do ust i przeczytał SMS.

– Zaproszenie na drinka z kumplami dziś wieczór po pracy. Chcesz za mnie odpisać Jackowi, że będę? – Podał jej telefon.

– Jesteś przekonany, że możesz mi ufać?

– W zupełności.

Dokładnie wiedziała, co napisać. Robert zrozumie, że wiadomość przeznaczona jest bardziej dla niego niż dla Jacka, ale było w tym dosyć żartobliwej niepewności, że się odważyła.

Nie mogę się doczekać spotkania z Tobą. xx

Lekko zarumieniona, machnęła przed nim ekranem, by sprawdził.

– Mam wcisnąć „wyślij”?

– Śmiało. – Był śmiertelnie poważny.

Zrobiła to.

– Clarissa! – Robił wrażenie kompletnie wstrząśniętego. –

Nie sądziłem, że naprawdę to wyślesz. Tylko żartowałem.

Złapała haust powietrza i zaczęła przeproszać, ale szybko jej przerwał.

– Mam cię! – Odpowiedź przysła prawie natychmiast.

Przeczytał ją, szczerząc zęby w uśmiechu. – Dla ciebie się nie nadaje.

– Powiesz mu, że to byłam ja?

– Nie. Dlaczego mam mu zakłócać chwile szczęścia? Jest tak dumny, że czyta to nawet innym. Ale widzę, że trzeba z tobą uważać. Jesteś nieprzewidywalna.

Rozprawa w sali numer dwanaście rozpoczęła się dopiero półtorej godziny później.

Lockyer łyknęła wody, wyraźnie uspokojona, że znów znajdzie się w rękach mecenasa Mordena.

– Może świadek opisać swój stan w dniach po tym, jak świadek została uprowadzona i zgwałcona?

– Byłam zamknięta w sobie. Okropnie przygnębiona. Bez przerwy wymiotowałam. Musieli mi dać pigułki, żeby złagodzić niepokój i pomóc mi zasnąć, a jestem ostatnią osobą, której lekarze chcieliby przepisywać środki psychotropowe.

Mecenas Morden nie odrywał smutnych, współczujących i pełnych podziwu oczu dżentelmena od swego głównego świadka.

– Dziękuję. Świadek była bardzo dzielna.

Clarissa chciała jeszcze raz spojrzeć na jej twarz, ale Lockyer zwiotczała jak szmaciana lalka, z głową dyndającą na łodygowatej szyi, kryjąc się, najlepiej jak mogła, w tej tak bardzo publicznej sali rozpraw i wycofując się do własnego świata teraz, gdy już jej na to pozwolono.

Gęsty śnieg kłębił się za oknami, gdy szli przez poczekalnię dla sędziów przysięgłych. Wszystkie inne rozprawy skończyły się tego dnia już wcześniej z powodu niepogody. Wielkie pomieszczenie było niesamowicie puste i spokojne, biurko funkcjonariusza sądowego stało opuszczone.

Spośród dwunastu przysięgłych tylko Clarissa i Robert przyjechali z Bath.

– Moglibyśmy tu utknąć. Może pociągi nie kursują – powiedziała do niego, gdy bmęli przez zamieć śnieżną.

– W takim razie zadzwonię do remizy. Któryś z chłopców przyjedzie po nas.

– Przyjechaliby po nas aż do Bristolu?

– Tak – powiedział po prostu, jak zawsze spokojnie i rzeczowo.

– Czy to będzie wóz strażacki?

Uśmiechnął się do niej, jak gdyby była dzieckiem, ale swoje „nie” wypowiedział z tą samą uprzejmą stanowczością.

– To będzie jeep.

– Jestem rozczarowana – oznajmiła Clarissa, gdy wciskali się do pociągu odjeżdżającego o piątej, który jakimś cudem jednak kursował. – Chciałam się przejechać wozem strażackim.

– To nie byłyby... – Robert nie dokończył zdania i się uśmiechnął.

Poprzednie trzy pociągi odwołano, dlatego ten był przepełniony. Clarissa nie mogła wcisnąć się głębiej do wagonu. Oparła się o przepierzenie, a Robert wsiadł za nią, stając tylko kilkanaście centymetrów dalej. Gdy pociąg ruszył, mężczyzna na kilka sekund przechylił się ku niej, a ona złapała się na tym, że zastanawia się, jak by to było go pocałować. Na policzku miał kroplę stopionego śniegu, więc musiała pohamować odruch, by mu ją zetrzeć.

– Czy nie odnosisz wrażenia – rozważała na głos – że z każdym nowym pytaniem tracisz grunt pod nogami i nie jesteś już wcale pewny tego wszystkiego, co myślałeś jeszcze chwilę wcześniej? – Sędzia nie miałby nic przeciwko temu pytaniu, choć nieustannie poważnie ostrzegał, by nie omawiać rozprawy.

– Owszem. Jest dokładnie tak, jak mówisz. – Jego oddech pachniał pastą do zębów. Musiał wsunąć sobie miętówkę do ust, gdy nie patrzyła. Sprawiał jej przyjemność fakt, że zrobił to potajemnie, biorąc pod uwagę ewentualność, że znajdzie się blisko niej.

Pociąg wjeżdżał na peron. Drzwi się otwierały. Zrobiło jej się przykro, że to już koniec. Założyła czapkę i rękawiczki; także tę parę zrobiła jej na drutach matka. Wiedząc, że Robert

stoi za nią, wysiadła z tym samym skrepowaniem, jakie czuła, ilekroć wchodziła do sali rozpraw lub z niej wychodziła.

Przystanęła na chwilę przed dworcem. Nocne niebo było jak zaczarowane: zwykłą ciemność zastąpiły subtelnie podświetlone tło i biel śniegu. Po chwili czarna polarowa czapka Roberta wyglądała, jakby przyprószyły ją blade kwiaty.

– Mieszkam niedaleko dawnego mieszkania Lottie – rzuciła, znajdując temat do rozmowy, by odwlec rozstanie.

– Świat jest mały. Mówiłaś innym?

– Nie. Mijam je czasem w drodze na dworzec. A rano biorę taksówkę. Jak jestem spóźniona – dodała szybko. – W każdym razie nie sędzę, żebym jeszcze kiedyś tamtędy przechodziła po zmroku. I z powrotem zaczęłam jeździć taksówką, jak jest już ciemno.

Zerknęła na drugą stronę ulicy. Rafe dał nura w jakieś drzwi.

– Coś nie w porządku? – spytał Robert.

Zawahała się.

– Chyba robię się strachliwa po tym wszystkim, co słyszę w sądzie.

Bacznie jej się przyglądał.

– To zrozumiałe. Jesteś drobna, a na tym wzgórzu jest wieczorem ciemnawo. – Po kilku sekundach nieśmiałości dodał: – Mieszkam na drugim końcu miasta. Niedaleko ogrodu zapachowego dla niewidomych.

Znała jego ulicę. Rząd pięknych domów w stylu georgiańskim, nieco mniejszych niż najbardziej okazałe

zabytkowe budowle Bath, jednak całkiem sporych i dość szczególnych.

– To chyba nie jest mieszkanie na poddaszu – powiedziała, myśląc o niskich sufitach najwyższych pięter, które byłyby nie do zniesienia przy jego wzroście.

– To nie jest mieszkanie – odrzekł.

– Ooo. – Próbowwała ukryć zdumienie, że stać go na cały georgiański dom.

– Trzęsiesz się – zmienił temat. – Idź lepiej do domu. Dobranoc, Clarisso Jane Bourne.

Nie było wątpliwości, czyja to wina, że tak się wzdrygnęła w duchu. Przechyliła głowę, patrząc na niego pytająco i starając się, by jej głos zabrzmiał jak najzwyczajniej.

– A dzięki jakim to cudownym mocom dowiedziałeś się, jak mam na drugie imię?

– Nie były potrzebne laserowe oczy, magiczne prześwietlanie mózgu ani działania szpiegowskie tajnych agentów. Twoje pełne imię i nazwisko jest na liście sędziów przysięgłych. Widuję je codziennie rano, gdy skreślam własne. Twoje jest na samej górze.

Przygryzła wargę, udając zażenowanie.

– Jak mogłam tego nie zauważyć? – powiedziała, śmiejąc się z siebie. – Głupia.

– Nie – powiedział. – Nie użyłbym wobec ciebie tego słowa.

I rzeczywiście nie czuła się głupio. Robert nie był człowiekiem, przy którym czułaby się głupio. Nawet gdy musiała stawić czoło własnej domniemanej paranoi, nawet

gdy traciła nad sobą panowanie, do tego na jego oczach, reagował tylko życzliwością i łagodnym żartem. A ona naprawdę myślała, że on tak wiele zauważał. Nazwiska. Zapalniczki. Zastanawiała się, co jeszcze zobaczył.

– Pozdrów ode mnie Jacka.

– Tak zrobię.

Nie chciała się odwracać, kiedy już się rozstali, by sprawdzić, czy Robert za nią patrzy, tak jak nigdy nie sprawdzała, gdzie skierowane są spojrzenia adwokatów i oskarżonych, kiedy wchodziła do ławy przysięgłych lub z niej wychodziła. Ale odwróciła się. Nie mogła się powstrzymać. Robert poszedł dalej, prosto i zdecydowanie, równym krokiem, i wcale się nie obejrzał.

Pospieszyła do czekającej taksówki, wdzięczna, że nie ma kolejki, nie próbując znów szukać straszego cienia Rafe'a. Wiedziała, że tam jest. Nie musiała patrzeć, żeby to wiedzieć.

Niski, pulchny, niezdrowo blady mężczyzna siedział na miejscu dla świadka. Były chłopak, który złamał serce Lottie.

– Jakie wrażenie zrobiła na świadku pani Lockyer, gdy wróciła z Londynu w niedzielę dwudziestego dziewiątego lipca?

– Była roztrzęsiona. Po prostu w opłakanym stanie. Cała brudna. Jedno oko miała podbite. Rozdygotana i zapłakana. Nie pozwalała mi się dotknąć. Brzydko pachniała. Nie miała majtek. To mnie zdenerwowało, zmartwiło. Wciąż o to pytałem, ale nie chciała powiedzieć. Między nogami miała wyschniętą krew. Jej oddech był chrypiący, jakby bolało ją w piersi.

Pod koniec dnia Clarissa i Annie wędrowały przez bazarek pod gołym niebem. To od Annie wyszła propozycja, by spędzić trochę czasu razem na zakupach, zanim Clarissa złapie pociąg powrotny do Bath, a Annie autobus na przedmieścia Bristolu.

– Nasz sędzia zawsze nas zwalnia za późno – narzekała Annie. – Wszystkie inne zespoły przysięgłych wychodzą przed nami. Jak mamy wreszcie wolne, nie zostaje już nic dobrego.

– Mogłybyśmy pójść znowu razem podczas przerwy na lunch. Jak w środę.

– Wyglądasz, jakbyś odżywiała się tylko wodą mineralną z zaczarowanych źródeł i oczyszczanym powietrzem. My, zwykli śmiertelnicy, musimy coś zjeść na lunch. – Annie

zmarszczyła brwi, gdy właściciele stoisk rzemieślniczych zaczęli pakować pozostałe jeszcze malowane dzbanki i ręcznie robioną biżuterię, artystyczne karty i sukienki farbowane domowym sposobem, łapiąc przedmioty ze stołów pokazowych, zanim zdążyła je wziąć do ręki. –

Przynajmniej twój okropny przyjaciel nie łązi za nami. Lepiej dla niego, żebym go więcej nie widziała.

Clarissa przekonywała samą siebie, że Annie nic nie grozi ze strony Rafe'a. Z pewnością koleżanka zauważyłaby, gdyby je obserwował – Annie była zbyt spostrzegawcza i ostrożna, by mógł ujść jej uwagi. Na dobitkę miała w sobie coś takiego, co kazało Clarissie wierzyć, że Rafe nie ośmieliłby się z nią zdrzeć.

– Bynajmniej nie życzę mu dobrze. – Clarissa wydmuchała nos i cisnęła zmiętą chusteczkę do kosza.

– Co myślisz o tym? – Annie oglądała ręcznie wykonaną drewnianą kasetkę ozdobioną disneyowskimi księżniczkami. Clarissa uznała, że jest ohydna. Milczała znacząco, więc Annie rozmyśliła się i odłożyła kasetkę.

– To jest ładne. – Clarissa podniosła dziecięcą sukieneczkę, chabrową, haftowaną w różyczki. Zastanawiała się, czy spodobałaby się córce Annie, ale ściągnęła brwi, obejrzawszy rąbek. – Pruje się.

Annie przewróciła oczyma.

– To ty jesteś mistrzynią igły, Clarisso. Zdaję się na ciebie. – Annie urwała, jakby nie była pewna, czy powinna kontynuować, ale zrobiła to. – Pomyśl o czymś podczas tego weekendu. Zastanów się, czy to nie jest prawdziwy

stereotyp, że kobiety lecą na artystów. A czy nie lecą też na strażaków? I czy strażacy tego nie wiedzą? To jeden z bonusów ich zawodu. – Annie ścisnęła ją za ramię. – Prawie nic o nim nie wiesz, Clarisso... – dodała, patrząc na nią twardo. – Jest w nim coś, czego nie... – Annie nie dokończyła. – Nie trzeba czytać w myślach, żeby zauważyć, jak bardzo go lubisz. Uważaj.

Sobota, 14 lutego, godzina 11.00
Wszystkiego najlepszego w walentynki

Gdy schodzę po schodach na parter, zastaję w hallu panią Norton. Wybieram się właśnie po sprawunki i na kawę z Garym, ale ona już wraca po pracowitej porannej wycieczce. Żegna się z taksówkarzem, który uparł się, że wniesie jej zakupową torbę na kółkach, z tkaniny w szkocką kratę, i strofuje go, że przecież mogła to zrobić sama.

Pani Norton ma dziewięćdziesiąt dwa lata i lubi swoje codzienne zajęcia. Każdego dnia tuż po obudzeniu się obchodzi dwadzieścia razy swoje mieszkanie, jak najszybciej może, dla gimnastyki. Chodniki na ulicy, mawia, są zbyt nierówne i niebezpieczne, żeby starsze panie mogły tam uprawiać szybkie marsze.

Chcę mieć swoją dobrą wróżkę. Będzie wyglądać jak pani Norton i mieć jej dźwięczny śmiech. Będzie spełniać trzy życzenia, a ja dokonam mądrego wyboru. Pierwsze. Chcę mieć dziecko. Drugie. Pragnę Roberta. Trzecie. Chciałabym, żebyś oszedł sobie raz na zawsze gdzieś daleko. A wróżka machnie różdżką raz, drugi i trzeci. To będzie proste.

Pani Norton spogląda na mnie znacząco.

– A to przyszło do ciebie, kochaniutka. Czekoladki. Dopiero co położyłam je na półce z resztą twojej

poczty. I takie piękne pudełko. Ktoś je zostawił pod naszymi drzwiami.

Podchodzę do drzwi. Waham się, ale w końcu zmuszam się, by je otworzyć.

Stoisz naprzeciw domu, po drugiej stronie ulicy, oparty o latarnię. Znów te czarne dżinsy. I czarna koszula z długimi rękawami, niewsadzona w spodnie. Nie masz ani kurtki, ani czapki, ramiona kulisz na mrozie. Wydajesz się właściwie bezbronny.

Przez chwilę nie jestem pewna swojej nienawiści do ciebie. Postrzegam cię teraz jak kogoś nieznanego. Widzę zgryzotę malującą się na twojej twarzy i myślę sobie, jaką jesteś zagubioną duszą. Myślę o tym, jak po raz pierwszy odszedł ode mnie Henry i jak się wówczas czułam beznadziejnie rozczarowana miłością. Czy nie tak właśnie jest z tobą, tyle że w patologicznym nasileniu? Ale wtedy unosisz rękę w pozdrowieniu, niespiesznie, i ruszasz w stronę mego domu. Zbliżasz się, podczas gdy ja absolutnie nie chcę cię tu mieć. I odruch współczucia, który mnie zaskoczył, mija równie szybko, jak się pojawił.

Twój głos brzmi zbyt głośno na mojej spokojnej ulicy.

– Cześć, piękna.

Cześć, piękna.

Henry powiedział to do mnie w dniu, gdy się poznaliśmy.

Zdarzyło się to pięć lat temu, niedługo po tym, jak

podjęłam pracę na uniwersytecie.

Moment, gdy ujrzałam go po raz pierwszy, pozostaje wciąż żywy w mojej pamięci. Jego szary garnitur. Krawat z zygzakami cytatów z T.S. Eliota. Blask jego oczu, gdy Gary przedstawiał nas na początku zebrania komitetu, na którym zjawiliśmy się oboje tamtego dnia. Wstrząs elektryczny, jakiego doznałam, gdy podaliśmy sobie ręce. Fakt, że od samego początku nie mogłam patrzeć na jakiegokolwiek inne miejsce w pomieszczeniu, jeżeli był tam obecny Henry.

Mrugał nawet do mnie podczas zebrania, tak że musiałam hamować śmiech. Gdy wróciłam do mojego biura, czekał na mnie e-mail. Dwa słowa: *Cześć, piękna.*

Buchały z ekranu mego komputera.

Mogłam go zignorować albo odrzucić czy nawet oskarżyć o molestowanie seksualne. Ale nie zrobiłam nic z tych rzeczy. *Cześć*, odpisałam, świadoma tego, jak wali mi serce.

Zjedz ze mną dziś wieczorem kolację. Jego wiadomość pojawiła się w parę sekund po mojej odpowiedzi. Nie było to pytanie, ale mogłam odmówić i musiałby to uszanować.

Kolejna wielka różnica między wami.

Podobnie jest z faktem, że nawet nie pamiętam pierwszego razu, kiedy cię spotkałam. Aż do twojej imprezy z okazji wydania książki. Nigdy nie miałam

z tobą nic wspólnego poza pracą ani nie zwracałam na ciebie większej uwagi. Byłeś po prostu jednym z wielu ledwie zauważalnych pracowników naukowych, za którymi musiałam chodzić, żeby wypełnić papiery w imieniu ich doktorantów. Byłeś tylko kimś takim.

Po posiłku w restauracji spacerowaliśmy z Henrym nad rzeką, wdychając dym drzewny z kominów barek. Woda tak wezbrała, że zalała czarne żelazne barierki mające zapobiegać wpadnięciu ludzi do wody. Henry recytował z pamięci *Syrenę* Yeatsa i kazał mi przyrzec, że go nie utopię. Choć byliśmy rozleniwieni po wypitym winie, udało nam się jakoś przebrnąć przez labirynt brukowanych uliczek miasta, trzymając się za ręce w zapadających ciemnościach, i dotarliśmy do mozaikowego centrum.

Pod koniec wieczoru stanęliśmy przy śluzie, obserwując, jak woda pieni się tuż poniżej odwróconego odbicia mostu Pulteneya, oświetlonego złościście na jej szklistym zwierciadle.

– Idealna randka – zauważył Henry. Słowa te zabarwione były typową dla niego ironią i świadomością poety, że pobrzmiwa w nich nastrój retro. Wyrażenie „idealna randka” nie było naturalnym elementem jego słownika. Ale gdy przyciągnął mnie do siebie, musiałam przyznać, że taki właśnie był ten wieczór.

Miesiąc później dowiedziałam się, że jest żonaty, choć zaklinał się, że ich związek to już tylko formalność. Nie zgadzałam się na spotkania przez trzy

tygodnie, odkąd mi to powiedział, ignorując jego telefony, SMS-y i e-maile, nie reagując na dzwonek do drzwi, wściekła nie do opisania, że to przede mną ukrywał. Ale byłam już za bardzo zakochana, więc szybko złamałam swoje postanowienie, że z niego rezygnuję. Dwa miesiące później Henry wyprowadził się z domu, gdzie mieszkał z żoną, i zjawił się w moim mieszkaniu z butelką wina, kwiatami i walizką.

Mogłam go odprawić, jak to zrobiłam tyle razy z tobą.

Zamiast tego pocałowałam go i wciągnęłam do środka.

Przeszedłeś już przez jezdnię.

– Clarisso, chciałem powiedzieć...

Trzaskam drzwiami, nie dając ci skończyć.

Pani Norton unosi siwe brwi.

– Widziałam go już kilka razy.

– Pani Norton, proszę go tu przenigdy nie wpuszczać.

– Mówisz, Clarisso, jakbym mogła tu kiedykolwiek wpuścić obcego mężczyznę.

– Przepraszam. Wiem, że nie zrobiłaby pani tego. Niepotrzebnie o to prosiłam. Niech mi pani powie, gdyby go tu pani jeszcze zobaczyła, dobrze?

– Oczywiście.

– Potrafiłaby go pani opisać, gdyby panią poproszono? Albo zidentyfikować?

– Oczywiście – powtarza, patrząc na mnie twardo.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Martwię się jednak, że ją o to poprosiłam. Chronienie mnie to nie jest zajęcie dla dziewięćdziesięciodwulatki. To ja powinnam chronić ją. Delikatnie dotykam pudełeczka w kształcie serca, które pani Norton tak starannie wyeksponowała na półce. Jest ciemnoczerwone. Szybko cofam palce, jakby mnie paliło.

– Dostajesz tyle prezentów, Clarisso. – Pani Norton potrząsa swoimi jedwabście siwymi włosami, mocno zdumiona.

– Nigdy tego nie zjem. – Odsuwam od siebie czekoladki; są ciężkawe. – Wolałabym je wyrzucić. – Ale wiem, że muszę je zatrzymać, zamknięte z innymi rzeczami od ciebie.

Pani Norton mruży oczy. Może jest autentycznie wstrząśnięta na myśl o takiej stracie.

– Przepraszam – mówię szybko. Staruszka pewnie się zastanawia, dlaczego nie dam jej tych czekoladek, skoro sama ich nie zjem. – Wiem, że pani pokolenie doświadczyło racjonowania żywności. Tak jak moja babcia. Nigdy się z tego nie otrząsnęła.

– A ty, kochaniutka, jesteś z pokolenia, które myśli, że wszystko będzie trwać wiecznie.

– Ma pani rację – potwierdzam, zawstydzona. – Wiem, jaka pani jest ostrożna. – Postanawiam kupić jej na mieście inne czekoladki i sprawić niespodziankę po powrocie.

– Możesz mówić głośniej? Muszę chyba zmienić

baterię w aparacie słuchowym.

Powtarzam cierpliwie.

– Owszem. – Pani Norton wydaje się zatroskana. – Żyję z emerytury. – Dawno temu zakończyła pracę dyrektorki prywatnej szkoły dla dziewcząt. – Nie zapomnij o kopercie – mówi. Jej dłoń jest biała jak papier, z niebieskimi żyłkami. Obejmuje brzeg karmazynowego pudełeczka. Wysuwa kopertę spod kręconych różowych wstążek.

Koperta jest koloru waty cukrowej. I ma kształt serca. Gdyby była od Roberta, uśmiechnęłabym się z tajoną przyjemnością, widząc słowa *Dla księżniczki z poddasza*.

Ale ty nie jesteś Robertem. Ty przypominasz żyjącą wersję diabelskiego zwierciadła z *Królowej Śniegu*. Nawet najpiękniejsze rzeczy od ciebie stają się brzydkie i zniekształcone.

Mam ochotę ukryć się przed rentgenowskim spojrzeniem pani Norton.

– To może być tylko dla ciebie. Wiesz, rzeczywiście przypominasz księżniczkę. A ja jestem za stara, żeby mieszkać na poddaszu. – Wyciąga drobnokościstą dłoń i leciutko, przelotnie dotyka mojego czoła. Dłoń jest miękka i sucha. O dziwo, pachnie eukaliptusem. – Nie wyglądasz dobrze.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Nic mi nie jest. Jest pani taka miła.

W hallu zapada półmrok, a karta wyślizguje mi się

z palców.

– O Boże – mówi pani Norton.

Szukam po omacku timera wyłącznika światła i srebrzyste kryształowe kropelki żyrandola rozświetlają się na kolejne dziesięć minut. Podnoszę kartę z ciemnozłotej maty i wysuwam z koperty. *Bądź moją walentynką.*

Twój charakter pisma znam lepiej niż kogokolwiek innego. *Nigdy się nie poddam.*

– Przecież ty się trzęsiesz. Zajdź do mnie. Zrobię ci filiżankę herbaty.

Choć odczuwam silną instynktowną potrzebę, by osłaniać i oszczędzać cudowną panią Norton, słowa same wrywają mi się z gardła:

– Wiem, że wydam się pani niewdzięczna i rozpieszczona. Nie chcę tego. – Wsuwam kartę z powrotem do koperty, nie chcąc przy tym jej dotykać ani na nią patrzeć. – Zapowiedziałam mu, że tego nie chcę. Nie chcę od niego niczego. – Ocieram łzę. – Nie mam teraz ochoty na żadną herbatę, ale dziękuję pani.

Czekoladki, diamenty i skórzane rękawiczki. Napadasz na mnie w parku. Dotykasz mojego ciała, kiedy sobie tego nie życzę. A do tego dajesz mi kartkę walentynkową. Czy wszystkie te rzeczy należą według ciebie do tego samego porządku? Praktycznie rzecz biorąc, zachowujesz się jak schizofrenik.

A jednak wyjdę. Przemaszeruję ci przed nosem. Jest dzień. Sąsiedzi usłyszą, jeżeli wezwę pomocy. Nic

mi nie możesz zrobić w taki poranek. Jeśli za mną pójdziesz, doprowadzę cię prosto na komisariat policji, a pewna jestem, że wcale by ci się to nie uśmiechało.

Ale wciąż jeszcze dygoczę na wspomnienie tamtego spaceru po parku. Chcę po drodze odnieść płaszcz do pralni chemicznej, żeby usunęli z niego ślady twoich dotknięć. Zamierzam też kupić niszczarkę do dokumentów; możesz sobie grzebać do woli w moim pojemniku na odpady segregowalne, ale już nigdy nie znajdziesz tam nic ciekawego.

Nie zobaczysz paragonu od poradnika erotycznego, który wybrałam wczoraj podczas przerwy na lunch z myślą o tym, że chyba jednak warto zadbać o swoje umiejętności, tak na wszelki wypadek. Nie zobaczysz też paragonu od książki o naturalnym zapłodnieniu, kupionej w tym samym czasie, też na wszelki wypadek. Oddam ledwie napoczętą buteleczkę perfum Gardenia do sklepu organizacji dobroczynnej. Paragon od moich nowych perfum zostanie przerobiony na konfetti. Nigdy się nie dowiesz, jak się nazywają.

Podjeżdżanie mała o tobie wiadomo. Może istnieje jakiś zagubiony klucz, który mógłby mi pomóc. Pamiętam, jak Gary wspominał, że zna kogoś, kto pracował z tobą przed laty. Może on powie mi coś użytecznego, choć wolałabym nie musieć już o tobie myśleć.

Ale nie chodzi tylko o ciebie. Nie wszystko kręci się wokół ciebie. Nie powinnam o tym zapominać.

Chcę się zobaczyć z Garym. Posłuchać o ludziach z pracy i o tym, co się tam dzieje pod moją nieobecność. Dla Gary'ego nie stanowisz zagrożenia. Nie możesz go skrzywdzić, jak mogłeś skrzywdzić Rowenę czy Hannah. Nie możesz go wykorzystać, żeby się dobrać do mnie, jak byś to zrobił z nimi. Przejrzałby cię na wylot, gdybyś tylko spróbował.

Bo Gary to facet. Wielki facet. Facet z pracy. Facet z pracy zajmujący wyższe stanowisko i potężniejszy od ciebie. A ty znęcasz się tylko nad słabszymi.

Zbieram się na odwagę, by otworzyć drzwi.

– Pani Norton, mam spotkanie ze znajomym. I parę rzeczy do załatwienia. Muszę już iść. – Jeszcze przed wyjściem za próg rozglądam się uważnie, w obie strony, wzdłuż szerokiej, wytwornej ulicy. Żadnych szkaradnych, tchórzliwych cieni. Chyba że skryłeś się w jednym z pięknych frontowych ogrodów, z których każdy wygląda inaczej, podobnie jak georgiańskie budynki o rozmaitych wysokościach i kształtach, stylach okien i pastelowych odcieniach.

Zastanawiam się niezobowiązująco, czy mdłości, które odczuwam, nie przypominają nudności ciążowych.

– Może kupić coś pani na mieście? – pytam.

Strofuje mnie, choć łagodnie, za przeoczenie oczywistego faktu.

– Właśnie byłam w sklepach, kochaniutka – mówi, jak zawsze czujna.

Tydzień trzeci

Wytrwały kochanek

Poniedziałek, 16 lutego, godzina 8.12

Dostrzegam cię, ledwie taksówka skręciła w drogę przed budynkiem. Opierasz się o ścianę przy wejściu na dworzec. Gdy tylko wysiadam, doskakujesz do mnie jak marny dziennikarzyna polujący na celebrytkę. Trzymasz się blisko, gdy ruszam ku bramkom biletowym.

Boże, ależ jesteś irytujący. Jesteś najbardziej irytującą osobą na świecie. W chwilach gdy nie jestem kompletnie przerażona, widzę, że najlepsze, na co cię stać, to bycie po prostu denerwującym. Ale teraz daleko ci do tego. Z każdym dniem przybliżasz się do najgorszego, na co cię stać, i nawet nie chcę sobie wyobrażać, jaki może być końcowy punkt owej trajektorii.

– Dobrze się bawiłaś w środę na bazarku z koleżanką przysięgłą, Clarisso?

Robi mi się sucho w ustach na myśl, że zauważyłaś Annie. Ale mówię sobie, że pewnie ci nie przychodzi do głowy, że mógłbyś coś zyskać od tej kobiety, którą znam od zaledwie dwóch tygodni tylko dlatego, że nasze nazwiska wybrano losowo. Przelykam ciężko ślinę i odchrząkuję. Znów sobie powtarzam, że nie możesz stanowić zagrożenia dla Annie, nie zdradziłaby ci niczego na mój temat. Annie to nie Rowena. Ale wiem też, że odtąd muszę trzymać się od niej z dala

poza sądem – muszę mieć pewność, że już nigdy na nią nie spojrzysz.

– Dlaczego nie nosisz swojego pierścionka, Clarisso?

Utkwiłam spojrzenie w elektronicznej tablicy odjazdów. Ku mojej wielkiej uldze pociąg o ósmej dwadzieścia dwie odjedzie punktualnie.

– Gdybyś uważnie czytała swoje bajki, wiedziałabyś, że tego, kto nie doceni daru, osiągnie zawsze straszliwa kara.

Wpadam na ostatnią osobę w kolejce do kołowrotka bramki i bąkam przeprosiny.

– Nie wiedziałem, że jesteś tak zaprzyjaźniona z Garym, Clarisso.

Czułam w sobotę rano, że idziesz za mną, szpiegujesz, choć nie widziałam cię po tym, jak się rozstałam z panią Norton. Zauważyłam, jak Gary ogląda się przez ramię, gdy wchodziliśmy do kawiarni, jakby on także coś czuł.

– Spodobały ci się czekoladki, Clarisso?

Nigdy nie widziałam, żeby procesja przez bramki biletowe przechodziła tak powoli.

– To niegrzecznie, że nie dziękujesz.

Nie hamuje cię już nadzieja, że uda ci się mnie pozyskać. Nawet ty musisz widzieć, że nigdy ci się to nie uda.

– To nie było uprzejme z twojej strony, że nie zaprosiłaś mnie do środka, Clarisso.

Przypominam sobie, że jedyne, czego chcesz, to wywołać moją reakcję. Nie uda ci się. Bez względu na to, co powiesz lub zrobisz.

– Muszę cię nauczyć dobrych manier, Clarisso.

Przypominam sobie, że znajduję się w zatłoczonym miejscu, w biały dzień.

– Nie podoba mi się, jak mi się zatraskuje drzwi przed nosem.

Przypominam sobie, że nie możesz mnie tu dotknąć.

– Wcale mi się nie podoba.

Staję wreszcie przed barierką, modląc się, byś nie poszedł za mną. Wiem z rozkładu zajęć na uniwersytecie, że masz wykład o dziewiątej, więc są spore szanse, że tego nie zrobisz. Wkładam swój bilet i przepycham się przez kołowrotek. Ale słyszę, jak wołasz za mną:

– Nie podoba mi się ten strażak, Clarisso. Widziałem, jak tu z nim rozmawiałaś w zeszłym tygodniu. Trzymaj się od niego z daleka.

Zatyka mnie. A więc już wiesz, kim jest Robert. Wiesz, czym się zajmuje. Nietrudno byłoby dowiedzieć się tego, gdybyś poszedł za nim do domu w czwartek wieczorem. Mogłeś zajrzeć przez szparę w skrzynce na listy i zobaczyć jego nazwisko na jakiejś kopercie, a potem poszukać go w internecie.

Sama to robiłam i znalazłam kilka tekstów prasowych. Składał wieniec w Dniu Pamięci ku czci

Strażaków Poległych na Służbie, obok zamieszczono jego fotografię, na której wygląda bardzo przystojnie i poważnie: w mundurze galowym, z medalami i beretkami przypiętymi na sercu. Był członkiem zastępu, który ugasił pożar w wieżowcu mieszkalnym. Zginęło wtedy sześć osób. Uczestniczył potem w ich nabożeństwie żałobnym. Uratował dziecko z płonącego domu – taki uczynek to musi być coś fantastycznego dla strażaka. Dziesięć lat temu wyciągnięto go spod gruzów zawałonego budynku, spędził potem tydzień w szpitalu; obok niego zginął jego kolega z dyżuru.

To jasne, że nie lubisz Roberta. Nie uszło twojej uwagi, że nie możesz się z nim równać.

Nie zwalniam kroku, odchodząc od ciebie. Nie odwracam się. Ludzie od broszurek mogliby mnie nagrać na wideo. Krótki filmik: *Jak sobie radzić ze stalkerem podczas poważnych prowokacji*. Zachowuję się wzorcowo. Ty nie istniejesz. Możesz mówić najokropniejsze rzeczy, ale jesteś zaledwie duchem przemawiającym do powietrza. Chwilowo twój wykład zapewnia mi bezpieczeństwo. Nie leziesz za mną.

Siedziała w pociągu, sprawdzając specjalną torbę, którą sobie zrobiła podczas ostatniego weekendu. Obmyśliła ją, zaprojektowała i przygotowała wykrój, a potem uszyła, pracując do późnej nocy. Miała to być torba przeciw stalkerom. Uderzyło ją, jakie to dziwne, że coś może wyglądać tak pięknie, a jednak mieć tak brzydkie przeznaczenie. Przejrzała każdą z wewnętrznych kieszeni,

sprawdziła bezpieczeństwo i dostępność rzeczy, które w nich umieściła, po czym odtworzyła w głowie to, co jej opowiedział Gary.

Dziesięć lat temu Rafe mieszkał z jakąś kobietą w Londynie. Gary miał te informacje od przyjaciela, który wykładał wówczas na tym samym wydziale anglistyki co Rafe, na innym uniwersytecie. Ta kobieta też tam pracowała, jako sekretarka. Dlatego Rafe ją poznał. Jak tylko dostał stanowisko wykładowcy w Bath, zostawiła go i odeszła z pracy. Nikt nie wie, co się z nią stało po ich rozstaniu, przepadła jak kamień w wodę.

Ale Clarissa poznała jej nazwisko: Laura Betterton. Podczas weekendu poszukała w internecie informacji na jej temat, lecz nic nie znalazła. Spodziewała się doniesień prasowych o zaginionej osobie czy nawet raportów o niewyjaśnionym przypadku morderstwa. Ale nazwiska Betterton nie spotyka się często. Chociaż Clarissie nie udało się odszukać Laury, w internetowej książce telefonicznej trafiła na adres i numer jakiegoś Jamesa Bettertona z Londynu. Nie mając wielkich nadziei, zadzwoniła do niego. Odebrał mężczyzna, zapytała o Laurę.

– Kto mówi?

– Nie zna mnie pan, ale...

– No to dlaczego pani dzwoni?

– Próbuję ją odnaleźć... to znaczy Laurę.

Chrząknął. Zabrzmiało to prawie jak zdławiony gorzki śmiech.

– I nawet się pani nie może przedstawić? – Odłożył

słuchawkę.

Wielu ludzi reaguje gwałtownie i z irytacją, gdy przeszkodzi im pomyłkowy telefon. Pomyślała sobie jednak, że w głosie mężczyzny pobrzmiwało coś innego. Był zaskoczony. I rozgniewany.

Na razie jednak nie chciała dawać mu się we znaki kolejnymi telefonami – aż za dobrze wiedziała, jakie to denerwujące. Zdała też sobie sprawę, że jej silne pragnienie, by znaleźć kogoś, kto wie więcej o historii Laury, może zrodzić w niej wyobrażenia, że słyszy rzeczy niedopowiedziane, choć w rzeczywistości była to najzwyczajniejsza rozmowa.

Sally Martin bawiła się swoimi rudymi włosami jak z obrazów prerafaelitów, gdy mecenas Morden zadawał jej pytania dotyczące soboty, kiedy to stała się świadkiem uprowadzenia Lottie. Oskarżeni kazali Sally wskazywać sobie drogę przez ulice Bath, gdy jeździli, szukając swojej ofiary.

– Nie chcieli, żeby ktoś się dowiedział, co zamierzają zrobić. Namierzyli jej ulicę. Czekaliśmy zaledwie minutę, gdy Tomlinson powiedział: „Bingo”. Na to Sparkle: „Bierzcie ją do furgonetki. Migiem”. Wsadzili ją tak szybko, że prawie nie widziałam, jak to się stało.

Ołówek wypadł z ręki Clarissy na podłogę pod stołem. Sięgając po niego, walnęła głową o blat, gdy się prostowała, i zamrugała, powstrzymując napływające łzy.

– Była blada jak trup. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś miał takiego pietra. Zagryzała wargi. Załamywała ręce. Spuściła głowę, starając się nie patrzeć na nikogo. Po jakichś

dziesięciu minutach podjechali na koniec mojej ulicy i kazali mi wysiadać.

– Dlaczego świadek płacze?

– Słyszałam jej wrzaski, gdy furgonetka odjeżdżała. Poczułam wielką ulgę, że sama się wykaraskałam, ale wiedziałam, że zrobią jej coś złego. Wciąż widzę jej twarz. Nigdy tego nie zapomnę.

Mecenas Belford nie wzruszył się łzami Sally Martin.

– Dwa miesiące przed rzekomym uprowadzeniem pani Lockyer i napaścią na nią policja zaobserwowała, że obie uprawiaacie profesję cór Koryntu.

Erudycja mecenasa Belforda nie zrobiła wrażenia na Sally Martin.

– Wie pan, widzę, że jest pan strasznie wykształcony, używa mądrych słów i w ogóle, ale nikt pana nie rozumie.

– Pozwolę sobie zatem wyrazić się w sposób bardziej bezpośredni. Czy Carlotta Lockyer była uliczną prostytutką?

– No. Była. I co z tego? To nie znaczy, że ci faceci jej nie zgwałcili.

Clarissa i Annie zbiegały pospiesznie po schodach.

Annie się skrzywiła.

– Ta Martin to chyba jedyna osoba spośród zeznających na tej sali, z którą wszystko będzie dobrze.

– A nie Lockyer? – spytała Clarissa, wstrzymując oddech w oczekiwaniu odpowiedzi. – Z Lockyer nie będzie dobrze?

– Nie – odparła Annie. – Żadnej nadziei dla Lockyer.

Siedzieli naprzeciw siebie w pociągu, dzielił ich stolik. Grzejniki nawiewały rozkoszne gorące powietrze. Clarissa

zsunęła płaszcz i położyła go obok, uśmiechając się przy tym do Roberta.

To było normalne. Zachowywała się normalnie. Nie było tam Rafe'a. Ona i Robert siedzieli sami w wagonie. Przebywała w towarzystwie mężczyzny, którego lubiła, zachowując się normalnie. Była prawie szczęśliwa, ale musiała tłumić wyrzuty sumienia, że wciągnęła kolegę w sferę zainteresowań Rafe'a. Zachodziła w głowę, jak go ostrzec, by zachował ostrożność, nie wspominając jednak przy tym o Rafie.

Jej pierwsza próba nie okazała się zbyt błyskotliwa, ale tylko na to mogła się zdobyć; pewnie było to lepsze niż nic.

– Myślisz, że powinniśmy być bardziej świadomi naszego otoczenia z powodu tego procesu? – spróbowała.

Wyglądał na zaskoczonego.

– To znaczy, po prostu bardziej czujni, bardziej rozglądać się wokół siebie – wyjaśniła.

Uniósł brwi.

– W razie gdyby ktoś nas śledził czy próbował się czegoś o nas dowiedzieć? – Jej słowa brzmiały coraz bardziej niedorzecznie.

– Nie przejmuję się tymi oskarżonymi, Clarisso. Ty też nie powinnaś.

Przygryzła wargę, gotowa dać za wygraną.

– Masz rację.

– Ci ludzie nie będą cię niepokoić.

No i pięknie go ostrzegła. Świetna robota, Clarisso, pomyślała.

– Oczywiście, że nie będą – przyznała. – Nie powinnam tak myśleć.

– To rozumiałe, że możesz być nerwowa. Zauważyłem to poprzedniego wieczoru. Chcę cię tylko uspokoić.

– Udało ci się to. – Próbowała przekonać samą siebie, że Robert to duży chłopiec, który potrafi o siebie zadbać. Jeśli ktoś tu ma powody do obaw, to nie on.

– Widziałem cię w pociągu wtedy, pierwszego dnia. Rozmawiałaś przez komórkę. Bardzo – szukał właściwego określenia – zaabsorbowana.

Ucieszyła się skrycie, że Robert zwrócił na nią uwagę, jeszcze zanim sobie uświadomiła, że on w ogóle istnieje. Nie mogła nie zauważyć w duchu różnicy: jak odmiennie reagowała na sytuację, gdy ten mężczyzna obserwował ją bez jej wiedzy, a gdy robił to Rafe.

– Opowiedz mi o jakimś pożarze – poprosiła, chcąc odpędzić od siebie myśli o Rafie. Nie ma go tu, powiedziała sobie, nie pozwól, żeby ci psuł nastrój, nawet gdy go nie ma.

– Pożary są nudne – odparł Robert.

– Wcale tak nie uważasz. Wiesz, że tak nie jest.

– To teraz ty z kolei mi coś powiedz. Dlaczego uwielbiasz szycie?

Zamrugła, zaskoczona jego pytaniem.

– To nie jest moja kolej.

– Tylko pierwsze sto powodów. Chcę to wiedzieć.

Miał dołączki. Pogłębiły się, gdy się uśmiechnął.

– To sprawa rodzinna, pewnie się zaraziłam. Albo poddano mnie praniu mózgu. Moja babka szyla absolutnie

wszystko. Moja matka jest... jest w tym niewiarygodnie dobra, to zapalona krawcowa. Kiedyś tego uczyła. Robi też na drutach. Zauważyłeś, jak wiele mam rzeczy zrobionych na drutach?

Roześmiał się.

– Sama uszyłaś tę sukienkę?

Był to lejący się dżersej koloru jeżyn. Kwadratowy dekolt wycięto na tyle nisko, że ukazywał nieco piersi. W stanie sukienka delikatnie opinała ciało lekko rozciągniętą harmonijką pionowych marszczeń w stylu greckim. Długie rękawy były ściśle dopasowane – ślady na nadgarstkach jeszcze do końca nie zeszły. Poczula, jak jej twarz oblewa się ciepłem.

– Owszem.

– Piękna jest. Taka... – urwał. – Dlaczego jeszcze?

– To dobre dla duszy, jak mówi moja matka. – Roześmiała się z siebie. – Myślę, że ma rację. To ma znaczenie, że się spędza nad czymś czas, robi coś własnymi rękami, tworzy coś, czego można dotknąć. Matka wpoila mi w młodości, by zwracać uwagę na wartość materiałów. Pokazała mi, jak produkcja masowa wpływa na ludzi. Niektórzy moi znajomi myślą, że w ten sposób marnują swój talent.

– Ktoś konkretny?

– To jest test, prawda? – powiedziała, delikatnie unikając jego pytania. A jego tematem jest Henry.

Pociąg wjeżdżał do Bath. Włożyli płaszcze, wstali, wyszli na peron i tuż przed budynkiem stacji życzyli sobie dobrej nocy.

Widziała Rafe'a, stał w cieniu po drugiej stronie jezdni, tak by zauważyła, że ją obserwuje. Nie pozwoliła mu się zatrzymać. Pokaże mu, że jego groźby i szpiegowanie się nie liczą. Będzie prowadzić własne życie. Będzie też mieć chłopaka, jeśli tego zechce. Jakież to miało znaczenie, że Rafe wie, kim jest Robert? To żadna tajemnica.

Robert oddalił się zaledwie kilka metrów, gdy zawołała:

– Robert, ja nie zapomnę.

– Czego?

– Że następnym razem to będzie twoja kolej, żebyś mi coś powiedział.

Potwierdził poważnym skinieniem głowy, a ona odeszła z uśmiechem, wyzywająca wobec Rafe'a, zdając sobie sprawę, że skłoniła Roberta, żeby przystanął i się odwrócił.

Poniedziałek, 16 lutego, godzina 18.45

Te dwie cyfry błyskają wolniej, niż bije moje serce. Po tylu miesiącach prawie kompletnej pustki po odejściu Henry'ego zaskakuje mnie czerwona liczba na wyświetlaczu mojej automatycznej sekretarki.

Czterdzieści. Czterdzieści wiadomości. Tylko ty mogłeś zostawić czterdzieści wiadomości. Wszyscy moi znajomi razem wzięci nie byłiby w stanie wysłać ich tylu w jeden dzień.

Opuszczam palec na guzik, by odsłuchać pierwszą. Nic. Cisza. Zmuszam się, by sprawdzić wszystkie. Z zaskoczeniem zauważam u siebie słabą nadzieję, że może choć jedną zostawiła Rowena. Ale oczywiście tak nie jest. Wszystkie są naturalnie od ciebie, pole

identyfikacji dzwoniącego przy każdej jest zawsze puste, co tylko potwierdza sprawę. Bez względu na to, jak rozdygotana się czuję i jak krótkotrwałe okazuje się moje drobne zwycięstwo nad tobą na stacji, staram się myśleć spokojnie, logicznie.

Próbuję odgadnąć, w jaki sposób dostałeś mój numer. Może znalazłeś jakiś pretekst, by poprosić Rowenę, ale myślę, że zaalarmowały ją to. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że odpowiada za to mój dawny zwyczaj wrzucania rachunków telefonicznych do pojemnika na śmieci do recyklingu. Znaczyłoby, że masz ten rachunek przynajmniej od półtora tygodnia. Trzy dni temu bardzo skrupulatnie sprawdzałam, co pójdzie do pojemnika recyklingowego, a co przepuszczę przez nową niszczarkę.

Intryguje mnie, że zaczekałeś, nim wykorzystałeś ten numer. Wiem, że muszę zrozumieć dlaczego. I wtedy mnie olśniło. Widzę, do jakiego stopnia kontroli nade mną możesz się uciec, jeśli zechcesz. Starannie odmierzasz dawki tego, co robisz, knujesz swoje ataki w jakimś drobiazgowym porządku, zrozumiałym tylko dla ciebie. Dbając o to, by nadchodziły regularnie.

Zmienię numer stacjonarny i ustawię blokadę wszystkich połączeń z numerów zastrzeżonych.

Wszystkie twoje rzeczy wkładałam do starej drewnianej szafki, którą odnowił dla mnie ojciec. Tam też pójdzie automatyczna sekretarka z czterdziestoma pustymi wiadomościami.

Dowody mają kluczowe znaczenie. Trzymaj wszystkie w bezpiecznym miejscu.

Właśnie gdy po nią sięgam, odzywa się telefon. Wydaję cichy okrzyk i zaciskam usta, wściekła, że znów się do mnie dobrałeś. Ale jesteś czujny. Wiesz, że przebywam teraz w domu, wiesz, że słucham tego dzwonienia. Znowu nieznany dzwoniący. Widzę to na wyświetlaczu mikrotelefonu. Nie odbiorę.

Mimo wrażenia, że tkwię w jakimś koszmarze, w którym zostałam sparaliżowana, opadam na kolana i wyrywam wtyczkę telefonu z gniazdka w ścianie, zanim automat zarejestruje połączenie. Odcinam cię, nie dając ci satysfakcji, że tym razem się połączyłeś, nie wpuszczam cię do mojej sypialni. Już nigdy cię tu nie wpuszczę.

Wtorek, 17 lutego, godzina 8.05

Czy nie masz nic lepszego do roboty? Nie jesteś znudzony i zmarznięty, stojąc tu co rano?

Nie mówię tego wszystkiego, gdy znowu zastaję cię przed frontowymi drzwiami. Nie patrzę na ciebie. Równym krokiem zmierzam w stronę taksówki.

– Twoja automatyczna sekretarka jest chyba zepsuta, Clarisso. Wiesz o tym, Clarisso?

Jeśli wypowiesz moje imię choćby jeszcze raz, to chyba cię trzasnę. Otwierasz mi drzwi taksówki, jakbyś był szarmancki i dobrze wychowany. Choć jestem niewysoka, tłumię impuls, by cię odepchnąć.

– Ostrzegalem cię, żebyś trzymała się z dala od tego strażaka, Clarisso.

Łapię za klamkę, by zamknąć za sobą drzwi; mówię taksówkarzowi, że nie mam ochoty, byś mi towarzyszył. Każe ci się odsunąć od jego wozu.

– Naturalnie – odpowiadasz mu uprzejmie, jak mężczyzna mężczyźnie, jakbyś był rozsądny, choć nadal trzymasz drzwi i nie spuszczasz ze mnie wzroku. – Właśnie się żegnałem z moją dziewczyną. Wiesz, że kiedy za bardzo za tobą tęsknię, Clarisso, patrzę na twoje fotografie? – Po tych słowach puszczasz drzwi. Trzaskają mocno, niespodziewanie. Ale to nie ich trzaśnięcie dźwięczy mi w uszach, tylko twój pożegnalny strzał.

Szczupły siwowłosy pan o wyglądzie dżentelmena siedział za niebieskim parawanem, mocno wyprostowany na krześle, gdy weszli gęsiego do sali rozpraw numer dwanaście. Był to dziadek Lottie.

– Proszę, by członkowie ławy przysięgłych przyjęli do wiadomości, że w niedzielę dwudziestego dziewiątego lipca o godzinie trzeciej trzydzieści po południu wykonano połączenie z telefonu komórkowego Carlotty Lockyer z telefonem stacjonarnym Johna Lockyera – oznajmił mecenas Morden. – Czy świadek pamięta tę rozmowę?

– Carlotta prosiła mnie o półtora tysiąca funtów. Wydawała się przestraszona. Zmartwiona. Ogromnie zdenerwowana.

Kolejny niezależny dowód, że Lottie została uprowadzona. Że nie chciała znaleźć się tam, gdzie się znalazła, i to w takim towarzystwie.

Pan Lockyer opuścił głowę i spojrział na swoje ręce. Gest ten uświadomił Clarissie, jak starzy są jej rodzice, jak również to, że nie może dopuścić, by widzieli ją pogrążoną w bólu, zgrzycie czy strachu.

Wtorek, 17 lutego, godzina 12.50

Zakładam, że jestem bezpieczna, gdy w porze lunchu wałęsam się po antykwariatach w halach pełnych kurzu na tyłach centralnej ulicy, przy której stoi gmach sądu okręgowego. To, że widziałeś mnie rano, wystarczy ci z pewnością na cały dzień. Mimo to ciągle obracam głowę, szukając cię wszędzie wokół. Muszę dziwnie wyglądać, jakbym miała jakiś tik nerwowy.

Łapię się wręcz na tym, że zastanawiam się, gdzie jesteś. Wprawia mnie to w jeszcze większy przestach: grozi mi, że dostanę takiej samej obsesji na twoim punkcie, jak ty na moim. Tego właśnie pragniesz, czyniąc wszystkie te nieustanne próby przykucia mojej uwagi. Nie mogę dopuścić, żeby do tego doszło.

Udaje mi się to przez kilka minut. Zbliżając się do gmachu sądu, myślę tylko o nowym skarbie, który trzymam w ręku, cennym tomie *Transformacji* Anne Sexton. Goblinowate stworzenie spoglądające z obwoluty zakryła kwiecista papierowa torba ze stoiska, ale jego twarz mnie nie opuszcza. O tym pomarszczonym obliczu, wrażliwym i niepokojącym, myślę podczas spaceru. Wcale nie o tobie. Ale wówczas cię zauważam, stojącego tuż przy obrotowych drzwiach. I myślę już tylko o tobie.

Mój wzrok staje się bardziej przenikliwy. Wszystko nabiera wyrazistości. Dźwięki wydają się głośniejsze. Obok przejeżdża biała furgonetka więzienna, od jej spalin piecze mnie w nosie.

Niczym na ujęciu filmowym w zwolnionym tempie zauważam Roberta, który wychodzi z za rogu na drugim końcu ulicy. Jest jakieś dwadzieścia metrów ode mnie.

Nie mogę uniknąć przejścia obok ciebie. Siłą woli kieruję się ku obrotowym drzwiom.

Robert jest piętnaście metrów ode mnie.

Modłę się, żebyś nie zrobił nic, co zwróciłoby jego uwagę, co pokazałoby, że coś nas łączy.

Robert jest dwanaście metrów ode mnie.

Mijam cię, zachowując między nami możliwie największy dystans. Ale ostrzegam cicho, nie patrząc na ciebie:

– Jak za mną pójdziesz, powiem ochroniarzom.

Twój głos jest przyciszony, lecz wyraźny.

– Widziałem cię, jak żaden inny mężczyzna, Clarisso – mówisz, gdy przechodzę przez drzwi.

Robert znika mi z oczu, ale ja w pamięci obliczam, jaka jest relacja między jego prędkością a twoim położeniem. Sześć metrów. Trzy metry. Wzdramam się, słysząc dźwięk odległego klaksonu, i oglądam się za siebie. Idziesz w kierunku, skąd nadchodzi Robert, ale wasze drogi się nie przetną.

Robert dogonił ją w hallu. Uśmiechając się, gdy kładli swoje rzeczy na pasie prześwietlarki rentgenowskiej, zagadywał strażników, którzy traktowali ich już prawie jak starych przyjaciół i zaledwie przeciągali wokół nich ręcznym wykrywaczem metalu mimo gotowości, którą oboje okazywali po przejściu przez bramkę. Clarissa zachowywała się, jakby wszystko było w najzupełniejszym porządku w nadziei, że Robert nie zauważy, że jej twarz jest zbyt zarumieniona, a oddech za szybki.

Clarissa kilka razy nacisnęła swój ołówek automatyczny, żeby bardziej wysunąć grafit.

Mecenas Morden wypytywał siwowłosą starszą panią o coś, co zdarzyło się na godzinę przed uprowadzeniem Lottie.

– Czterech mężczyzn wdarło się do mojego ogrodu. Jeden z nich kopał w moje drzwi kuchenne. Inny krzyczał do okna na piętrze, że widzieli moją córkę Dorcas przez zasłony sypialni, więc on wie, że ona tam jest i go słyszy, i lepiej, żeby sama wyszła, bo w przeciwnym razie włamią się i ją dopadną, a wtedy będzie z nią jeszcze gorzej. Mówił, że powinna to popamiętać. Używał wulgarnych słów.

– Zechce świadek powtórzyć ławie przysięgłych, jakie to były słowa?

– Nie używam takich słów.

Mecenas Morden wyglądał, jakby został słusznie skarcony, ale znać też było po nim lekkie rozbawienie.

– Jeden z nich zobaczył mnie z telefonem w ręku, kiedy dzwoniłam na policję, więc odbiegli. Od tego czasu drzwi się nie domykają jak należy – dodała.

Śnieg lekko prószył, gdy po rozprawie Clarissa i Robert przeszli przez obrotowe drzwi. Nigdzie nie było śladu Rafe'a.

– Szkoda, że nie mogę naprawić tej staruszce drzwi – powiedział Robert.

– Chcesz pomagać ludziom, nawet gdy nie jesteś na służbie.

– Masz rację. W zeszłym tygodniu uratowałem ślimaka przed drozdem. Ptak rzucał nim o kamień, próbując mu rozbić muszlę.

– Biedny drozd – skomentowała Clarissa. – Był taki zmyślny, używał narzędzi, a teraz pewnie już zdechł z głodu.

– Zrobiłbym to jeszcze raz. – Kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Ale oboje się uśmiechnęły, jakby każde z nich lubiło drugiego za te różnice w podejściu.

Doszli dopiero do mostu, kiedy przerwał im jakiś głos.

– Panie strażak. Hej, panie strażak.

I choć zupełnie nie przypominał głosu Rafe’a, ale Clarissa i tak na moment wstrzymała oddech. Odstąpiła na bok, gdy młody człowiek stanął przed Robertem.

– Miał pan w grudniu pogadankę u nas w szóstej klasie o bezpieczeństwie na drogach. – W tym przypomnieniu pobrzmiwało wyzwanie.

– Pamiętam cię. Podszedłeś potem do mnie i pogadaliśmy sobie. Jesteś Sharif, prawda? Mieszkas z babką. – Robert stanął mocniej na nogach, spojrzał na chłopaka w typowy dla niego bezpośredni sposób i cierpliwie czekał. Clarissa była zdumiona, że pamięta to wszystko po kilku miesiącach, po jednym spotkaniu w zapewne wielkiej sali pełnej uczniów.

– Myślałem o tym, co pan mówił, o wszystkich tych slajdach, które pan pokazywał. Ale wciąż będę jeździć szybko.

– Wytnę cię, żywego czy martwego – powiedział chłodno Robert.

Clarissę przeszedł dreszcz. Wyobraziła sobie jego ręce, dzierzące ogromne narzędzia, jak przecinają metal wraka, by sanitariusze mogli się dostać do uwięzionego wewnątrz ludzkiego mięsa.

– Mnie to obojętne – dodał.

Sharif przygryzł wargę.

– Ale twojej babce może nie być obojętne. – Strażak

wyciągnął rękę. Sharif potrząsnął nią. – Dzięki, że znów mnie zatrzymałeś na pogawędkę i dałeś znać, jakie masz plany.

Clarissa kiwnęła Sharifowi głową na pożegnanie, wiedząc, że tamten się nie odwzajemni, i poszła dalej z Robertem.

– Tobie rzeczywiście jest obojętne, czy oni są żywi, czy martwi?

– Najzupełniej.

– A gdyby to był ktoś znajomy?

– Zależy kto.

Uśmiechnęła się, ale znów przeszedł ją dreszcz.

– No, powiedzmy ja?

– Wtedy nie byłoby mi obojętne.

Wtorek, 17 lutego, godzina 18.20

Niewielka prostokątna paczuszka, owinięta w brązowy papier i związana sznurkiem, leży oparta o drzwi mojego domu. Starannie wykaligrafowano na niej odręcznie moje nazwisko. Ale twój charakter pisma poznam w każdej formie. Serce bije mi szybciej, gdy niosę to ze schodów do mieszkania. Rzucam torebkę, nawet nie myślę o zdjęciu płaszcza, opadam na sofę, zsuwam sznurek i odwijam drżącymi rękami opakowanie.

Jest tak, jak się spodziewam: to malutka książeczka o stronach rozmiaru typowej pocztówki. Kartki przyciąłeś ręcznie z grubego i kosztownego kremowego papieru. Zszyłeś je także ręcznie, grubą nicią, którą przewlokłeś ściśle przez wycięte przez siebie otworki. Piękna rzecz. Wzbudziłaby mój podziw,

gdyby nie była twoim dziełem.

Zbiór czterech baśni, wybrany przez Rafe'a Solmesa, mówi okładka. Niżej dodano: Limitowana edycja: egzemplarz 1 z 1. Jest też dedykacja: Clarissie, która jest piękna i lubi wino. Zaglądam do spisu treści. Aż za dobrze znam wszystkie te historie. Najpierw jest Zamek morderstw. Potem Sinobrody.

Otwieram książeczkę na trzeciej z kolei baśni. To *Ptak-straszycło*. Widzę, że podkreśliłeś jakiś fragment.

Żył sobie raz człowiek, który przybierał postać biedaka, chodził od domu do domu, żebrząc, i porywał ładne dziewczęta. Nikt nie wiedział, co się potem z nimi działo, bo żadna z nich już nigdy do domu nie wróciła.

Jest to historia zbrodni seksualnych i morderstw powtarzanych wielokrotnie zgodnie z pewnym wzorcem. Bohater ma też swój „typ”, profil ofiary. Kandydatki są, oczywiście, młode i piękne. W przeciwnym razie czemu miałyby go interesować? Jest to historia pięknych dziewcząt, które giną tajemniczo, jak w wielu innych baśniach, i frapującego pytania, co się z nimi dzieje po tym, jak w mgnieniu oka znikają. To rzekoma słabość pozornie ubogiego mężczyzny pozwala mu je porywać. A ich współczucie dla niego czyni je tak podatnymi.

Wszystko to ujęte w dwóch zdaniach. Baśnie wyznaczyły szablon i metody na długo, zanim

jakikolwiek niesławny seryjny zabójca z dwudziestego wieku pochwycił swą pierwszą ofiarę.

Fałszywy temblak albo kule. Wytrenowane pokazy zażenowania i dzielnie znoszonego bólu, gdy usiłuje załadować zakupy spożywcze albo pudełko książek do furgonetki bez okien. Granie na życzliwości i współczuciu przechodzącej kobiety. Także na jej romantycznych nadziejach, gdy zbliża się do przystojnego nieznajomego, proponując mu pomoc. Może ona się nawet zastanawia, czy następna chwila nie stanie się dla jej przyszłych dzieci opowieścią o tym, jak się poznali ich rodzice. Może nawet myśli o innych historiach; tych obiecujących, że dobre uczynki zostaną zawsze nagrodzone. On podwaja, ma się rozumieć, dawkę uroku osobistego i znów błyska pięknym uśmiechem, tuż przed tym, jak wepchnie ją do wozu, zatrzaśnie drzwi i przyciśnie jej do twarzy szmatę nasyconą chloroformem.

Przechodzę do czwartej i ostatniej z twoich historii. *Zbójcecki narzeczony*, gdzie znów zaznaczyłeś fragment, na który chcesz zwrócić moją uwagę.

Pociągnęli ze sobą inną młodą dziewczynę. Byli pijani i nie zwracali uwagi na jej krzyki i lamenty.

Dali jej do picia wina, całe trzy kieliszki, jeden białego wina, jeden czerwonego i jeden żółtego, od czego jej serce pękło na pół. Następnie zdarli jej delikatne szaty, położyli ją na stole, pocięli jej

piękne ciało na kawałki i posypywali solą.

Młoda kobieta zostaje oszołomiona, rozebrana, ułożona na płaskiej powierzchni i poddana torturom. Taka jest kolejność wydarzeń. Jej krzyki i błagania tylko dodają pikanterii, pokazują, że musi być świadoma w tym strasznym nowym świecie, w który wpadła. Jasno widać, o jaką opowieść tu chodzi. O zbrodnię seksualną w przebraniu baśni. Seks w przebraniu kanibalizmu. Sadyzm seksualny ukazany jako przyrządzanie mięsa. Gwałt zbiorowy przedstawiony metaforycznie jako banda rabusiów. Oto, jak bracia Grimm przechytzyli cenzorów, którzy byli nie dość uważnymi czytelnikami. Pęknięcia serca nie należy odczytywać dosłownie. Nie jest to opowieść o nekrofilii. Dziewczyna nie była martwa, zanim zrobiono jej to wszystko. Jest zrozwadzona, przytomna i przerażona, gdy to się dzieje. Taką wymowę ma pęknięte serce.

Wiem, jak rozumiesz te historie i jak chcesz, bym ja je odczytywała. Widzę, jak skojarzyłeś mnie w swojej dedykacji z przerażającymi cierpieniami tych dziewczyn, z ich straszliwym losem.

Pamiętam, jak oskarżyciel Morden powiedział w mowie wprowadzającej, że to, co spotkało Lottie, nie było bajką. Ale on się mylił. To, co ją spotkało, było żywcem wyjęte z baśni.

Jeszcze zanim zjawiłam się w tej sali rozpraw, wiedziałam, jakie znaczenie mają dowody. Czuję

jednak odruchową potrzebę pozbycia się wszystkiego, czego się dotknąłeś, żeby nie zatruwało powietrza wokół mnie. Chcę zminimalizować twoją obecność – w moim umyśle i w moim mieszkaniu. Nie mogę jednak ulec temu odruchowi.

Jeśli chodzi o stosunek do policji, treść broszurek jest niemożliwie sprzeczna.

Bezzwłocznie wezwij policję. – Nie wzywaj policji, póki nie dysponujesz niepodważalnym dowodem.

Policja jest od tego, żeby ci pomóc. – Nie spodziewaj się, że policja będzie w stanie wiele zrobić.

Jednak w kwestii materiału dowodowego rady są zgodne: nigdy nie będzie go za dużo; łatwo może się okazać, że jest go za mało.

Potrzebuję więcej dowodów – tyle, by policja nie mogła mi nie dowierzać ani mnie ignorować. Muszę mieć tyle dowodów, by nigdy nie ukazano mnie w takim świetle, w jakim ukazano Lottie.

Otwieram piękną szafkę mojego ojca. Upycham twoją książkę i jej opakowanie w głębi, obok innych rzeczy otrzymanych od ciebie. Staram się zagrzebać to wszystko pod stosami zgromadzonych tkanin. Zamykam drzwi z takim trzaskiem, że aż sama podskakuję. Myję ręce, nie chcąc mieć na skórze ani odrobiny twojego DNA przeniesionego poprzez kontakt

z tym, czego wcześniej dotknąłeś.

Łykam dwie tabletki i wchodzę do łóżka. Trzymam w rękach *Transformacje*, ale czytam tylko kilka stron i odpływam, uniesiona przez nokautujące pastylki.

Gdy budzę się nazajutrz rano, książka leży otwarta na mojej piersi. Jej słowa przesączyły mi się przez skórę do krwi. Nie mogę przestać myśleć o *Dzikiem róży* Sexton. Nic jej nie uleczy z rzeczy, które z nią robiono, gdy pozostawała w potrzasku ciemności. Nawiedza ją przerażający lęk przed zamknięciem oczu nawet po tym, jak pocałunek księcia wyratował ją z koszmaru tamtego zaklęcia stuletniego snu.

Wałęsała się po bazarku pod gołym niebem. Nie chciała wpadać do gmachu sądu jak do kryjówki, zanim jeszcze zaczął się dzień.

Pamiętając o zaleceniach Annie na temat żelaza, kupiła kawałek ekologicznego steku rosółowego. Zrobi sobie podczas weekendu zapiekankę według przepisu matki. U pani w warzywniaku wzięła pory, marchewki, kielki, pasternak i ostre cebule. Zafundowała też sobie butelkę czerwonego wina. Nie zamierza przestać pijać wina ani dodawać go do gotowanych potraw tylko z powodu tej historii. W tamten listopadowy wieczór piła białe wino i czuła teraz do niego nieodpartą awersję. Ale musiała sobie powiedzieć, że czerwone jest bezpieczne. Musiała w to wierzyć. Musiały przecież istnieć jakieś bezpieczne rzeczy.

Spakowała wszystko do torby zakupowej, którą uszyła w niespełna godzinę z pięknego materiału w ciemnoszaroniebieskie kwadraty. Produkty spożywcze mogą zaczekać w szafce przez cały dzień. Gdyby zwlekała z tym do zakończenia dzisiejszej rozprawy, na bazarku już nic by nie zostało, a nie chciała w ten wieczór stracić okazji odbycia spaceru z Robertem. Nie pozwoli, żeby Rafe ją tego pozbawił.

A pozbawił ją już wielu rzeczy. Przystanęła na chwilę, by wściekle wystukać na komórce odpowiedź na e-mail od Caroline, koleżanki z pracy, sekretarki wicerektora, która pytała, czy Clarissa chce się spotkać na lunchu w sobotę. Choć Clarissa wątpiła, czy Rafe ma wiele wspólnego

z Caroline, nie mogła ryzykować. Wysłała więc uprzejmą odmowę; jej wyrazy rozczarowania były bardziej autentyczne, niż koleżanka mogła sądzić.

Wsunęła telefon z powrotem do torby i uniosła wzrok. Mężczyzna z szalikiem kibica piłki nożnej na szyi śmiał się, rozmawiając z właścicielem stoiska. Podał pieniądze i wziął kawę. Wtedy wyczuł, że Clarissa obserwuje go z bliska, i się odwrócił. Ich spojrzenia się spotkały. Zobaczyła, że ją rozpoznaje, choć wyraz jego twarzy pozostał obojętny. Czyjś głos oderwał ją od widoku mecenasa Mordena.

– Dzień dobry, Clarisso. – Robert stał przy niej. – Aż podskoczyłaś. Przepraszam.

– Nie – odrzekła – to nie przez ciebie. – Machnęła już prawie pustym papierowym kubkiem. – Za dużo kawy, to wszystko. – Przemilczała, że zapotrzebowanie na kawę rośnie u niej proporcjonalnie do liczby łykanych pigułek nasennych.

– Śniłaś mi się tej nocy – dodał pospiesznie. – Nic złego. Nie pamiętam tego. Tylko tyle, że tam byłaś.

– Mam nadzieję, że oskarżonych tam nie było – odpowiedziała.

– Zdecydowanie nie. – Uśmiechnął się. – To pewnie dlatego, że spędzamy razem tyle czasu.

Kiwnęła głową na znak zgody.

– Ja przypuszczalnie też o tobie śnię – zasugerowała – ale zapominam po przebudzeniu.

– Tym lepiej – stwierdził, zamykając temat.

– To było zabawne, jak wpadliśmy wczoraj na tego

chłopaka. Nie wiedział, jak się nazywasz. Mówił tylko „panie strażak, hej, panie strażak”. To mi uzmysłowiło, jaki to musi być ważny element twojej tożsamości. Czujesz się pewnie dziwnie, że będąc tutaj, nie jesteś strażakiem?

Roześmiał się.

– Nic podobnego.

Przystanęli przed okazałym pseudorenesansowym budynkiem, w którym mieścił się obecnie bank, ale który wyglądał jak przeniesiony z Wenecji.

– Myślałam też sobie, jaki to musi być inny świat, taka remiza strażacka. Ale dla ciebie to pewnie też jakby drugi dom.

– Niewiele tam się sypia, jak się ma nocny dyżur.

Skręcili za róg, idąc ramię w ramię, i ominęli kolejkę wylewającą się z baru kanapkowego.

– A jak śpisz w remizie i się budzisz, to nie jesteś pewien, gdzie jesteś?

– Zawsze wiem, gdzie jestem.

Spojrzała na niego, jakby był magikiem, który opowiedział o niezwykłej sztuczce, a ona wcale nie wątpiła, że on to potrafi.

– Masz tam ulubione miejsce?

– Suszarnię. Wiszą tam manekiny, wypełnione piaskiem, o różnej wadze. Boże, ależ niektórzy z tych łobuzów są ciężcy. Ochlapuje ich się wodą i musimy ich ratować.

– I kołyszą się lekko? Te manekiny? Wyobrażam sobie, że tak.

Czekali, aż furgonetki do przewozu aresztantów skręca

w podziemny przejazd wiodący do gmachu sądu.

– Manekiny są nieruchome. Lubię tam czytać. Spokojnie jest.

– A co czytasz?

Zawahał się.

– Wiersze.

– Jakie wiersze? – Była bardzo zainteresowana i lekko zaskoczona.

– Zwłaszcza Keatsa. Lubię Keatsa.

Zauważyła raz, jak trzymał thriller w miękkiej okładce – książkę szpiegowską z gatunku tych, które się czyta na lotnisku, z wizerunkiem zagrożonej kobiety uczeptionej bohatera mierzącego z pistoletu. Trudno o coś odleglejszego od Keatsa. Ale nie była wobec niego fair. Rafe sprawił, że stała się wobec ludzi zbyt podejrzliwa. Ona sama czytała zarówno thrillery, jak i poezję, co nie czyniło z niej seryjnej zabójczyni. Dlaczego Robert też nie miałby czytać różnych rzeczy?

Pomyślała o Henrym. On nie lubił romantyzmu. Uważał, że wiersze powinny dotyczyć współczesnych kwestii gospodarczych, społecznych i politycznych. Pisywał o kapitale ujemnym, zanieczyszczonych krajobrazach i górach masła. Tworzył pomysłowe gry słów. Imponował jej, ale nie lubiła jego poezji. Była uporczywie ambitna, podobnie jak on sam.

– Ja też uwielbiam Keatsa – powiedziała. I dodała: – Czyli jest to nie tylko suszarnia, lecz także czytelnia.

Wyszczrzył zęby w śmiechu.

– I pokój rozmów. Strażacy lubią gadać. Dostaje się nowego chłopaka, który może pierwszy raz w życiu zetknął się ze śmiercią. Trzeba go przez to przeprowadzić w rozmowie.

– To ważne zadanie. Jedna z tych rzadkich rzeczy, które mogą wszystko zmienić.

Zbył to wzruszeniem ramion.

– Suszarnia to także najcieplejsze pomieszczenie w remizie. Zimą pijamy w niej herbatę. Czasem tam idę, by pobyć sam. Albo zabieram kogoś z żółtodziobów, żeby poćwiczył węzły. Trzeba umieć je wiązać bez patrzenia, szybko, nie myśląc o tym. – Wykonał zdecydowane ruchy rękoma, jakby trzymał linę między palcami.

Furgonetki dawno już zniknęły w podziemiu. Poszli dalej, oboje zarumienieni. Minęli obrotowe drzwi, potem stanowisko ochrony, zostawili rzeczy w zamykanych szafkach i ruszyli na górę do sali rozpraw numer dwanaście. Koniec przyjemności.

Gdy Clarissa zasiadła w ławie przysięgłych, mecenas Morden przez kilka minut przyglądał się jej i Robertowi, potem zajął się swoim kolejnym świadkiem. Była to kobieta drobnej budowy, o długich czarnych włosach.

Trzy miesiące przed uprowadzeniem Lottie, gdy Clarissa wciąż jeszcze opłakiwała trzecią z kolei, nieudaną próbę zapłodnienia in vitro, Polly Horton była w zaawansowanej ciąży. Gdyby Clarissa wpadła na Polly, o twarzy spokojnej i zadowolonej i z wydatnym brzuchem, musiałyby odwrócić wzrok.

Kiedy kobieta była na targu spożywczym, podszedł do niej Thomas Godfrey.

– Jak zobaczyłam, że to Godfrey, przestraszyłam się. Elias, mój partner, był mu winny pieniądze. Godfrey powiedział: „Pojedziesz ze mną do Londynu”.

– Czy świadek chciała jechać z tym człowiekiem do Londynu?

– Nie. Godfrey otoczył mnie ramieniem, żebym nie mogła odejść. – Wyciągnęła łukowato rękę. – O tak.

Godfrey pokręcił głową w złowróżbnym zaprzeczeniu. Wyglądało to, jakby chciał ją nastraszyć telepatycznie zza niebieskiego parawanu. Mecenas Harker odwrócił się i rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Zaczęłam płakać. Jakiś pan zapytał, czy nic mi nie jest. Godfrey odpalił: „Nie twój, kurwa, interes”, ale odbiegł. Gdyby ten mężczyzna nie interweniował – otarła łzę – jestem pewna, że Godfrey zmusiłby mnie, żebym z nim poszła.

Clarissa usłyszała tu przede wszystkim, że Polly zgłosiła się na policję, ale Godfreya nigdy nie przesłuchano, nie mówiąc już o stawianiu zarzutów. Wyciągnęła z tego przede wszystkim wniosek, że próby uprowadzenia nie można udowodnić, nawet mając świadka. Nie była pewna, czy sala rozpraw numer dwanaście edukuje ją, czy paraliżuje. Może i jedno, i drugie.

Mecenas Harker wstał, by bronić Godfreya.

– Proszę wyjaśnić sądowi, dlaczego świadek za posiadanie heroiny i cracku dostała wyrok jednego roku pozbawienia wolności w zawieszeniu.

– To nie były moje dragi – szepnęła Polly. – Nie chciałam, żeby Elias poszedł do więzienia.

– Świadek wzięła na siebie winę partnera. Świadek nie zawaha się przed niczym, żeby go chronić i odwrócić uwagę od jego przestępstw narkotykowych. Nawet przed pomówieniem niewinnego człowieka. Oskarżony Godfrey nie miał żadnego motywu, żeby świadka porywać. Trudno przy tym uwierzyć, że miałby tego próbować w biały dzień na zatłoczonym targu rolniczym, czyż nie?

Annie i Clarissa sprawdzały toaletę, chcąc się upewnić, że nikogo tam nie ma.

– Nie cierpię nawiedzonych kobiet – powiedziała Annie gwałtownie. Inaczej niż zazwyczaj, tego dnia była umalowana. Miała na sobie niebieską spódnicę ołówkową i nisko wyciętą czarną bluzkę, którą ukryła przed oskarżonymi, nakładając kardigan. Właśnie go zdjęła i wepchnęła do torby.

– Annie, pięknie wyglądasz – zauważyła Clarissa.

Wzruszyła ramionami, skrzywiła się i pokręciła głową, odrzucając komplement.

– Clarisso, ja mam trzydzieści pięć lat. Jestem nudną księgową i na taką wyglądam.

– Księgowe nie są nudne. Znają tajemnice wszystkich ludzi. I różnią się jedna od drugiej nie mniej niż wszyscy inni. Jesteś piękna. I nie ma czegoś takiego jak jeden wygląd księgowej.

– Nowa dziewczyna mojego męża jest dwudziestopięcioletnią instruktorką fitness i zdecydowanie

na taką wygląda. – Annie wydała z siebie parsknięcie, które zabrzmiało prawie jak śmiech. – On jest zbyt zaślepiiony, by zauważyć, że od jego odejścia palec wskazujący naszej sześciolatniej córki krąży nieustannie między nosem a ustami, że co pięć sekund mała drapie się po tyłku i zaczęła dziwnie poruszać głową, przez co przypomina indyka.

– Robiłam to wszystko jako dziecko. I wyrosłam z tego. W większości. – Annie zdobyła się na uśmiech, a Clarissa ciągnęła dalej: – Pomożesz jej przez to przejść. Z pewnością. Zrobisz, co będzie trzeba. To wygląda na przejściową sprawę i wyraźnie wiadomo, dlaczego się zaczęło. Nie ma w tym żadnej nieprawidłowości medycznej.

Annie skinęła głową i delikatnie pchnęła Clarissę w stronę jednej z umywalk.

– Umyj ręce. Musimy przestać się tak spotykać.

Obie zamachały rękami, gdy skończyły, nawet nie sprawdzając, czy działają zawsze zepsute suszarki, po czym opuściły poczekalnię dla przysięgłych i zeszły po schodach. Nie ma Roberta, zauważyła Clarissa. Zastanawiała się, dokąd pognął.

Przystanęły tuż za obrotowymi drzwiami. Clarissa rzuciła spojrzenie wzdłuż ulicy z mieszaniną nadziei, że jednak zobaczy Roberta, i lęku, że ujrzy Rafe'a. Nie widziała żadnego, a rozczarowanie nieobecnością Roberta okazało się większe aniżeli ulga z powodu braku Rafe'a.

– Muszę lecieć – rzuciła Annie. – Mój mąż, czy jak tam powinnam go nazywać, ma przyprowadzić Lucy. Jesteśmy umówieni w tym barze z hamburgerami za rogiem. Szczęśliwe

rodzinki.

Clarissa zdjęła puszek z ciemnych włosów Annie.

– Zobacz, co traci.

Annie zaszkliły się oczy.

– Dziękuję. – Ścisnęła Clarissę za rękę. – Śmieszna

księżniczka – dodała czule. A potem obróciła się i pospiesznie odeszła. Clarissa zaczęła, aż tamta zniknie jej bezpiecznie z oczu, i sama zrobiła to samo.

Środa, 18 lutego, godzina 17.45

Gdy docieram do domu, przynajmniej nie czekasz na mnie osobiście. Ale pani Norton zostawiła na białej półce kopertę, która odbija się w lustrze o złotej ramie, wiszącym na ścianie powyżej. Wewnątrz jest kremowy bilecik, na którym napisałeś cztery słowa. *Wciąż o Tobie śnię.*

Próbuję nie wyobrażać sobie, co mi robisz w swoich snach. Zastanawiam się, jak się tam znalazłam i czy mogę się z nich wydostać. Chciałabym znaleźć zaklęcie, które cofnie czas aż do momentu, w którym wszystko poszło w złym kierunku. Może wtedy mogłabym zmienić przeszłość. Ale patrząc wstecz, wiem, że cokolwiek bym zrobiła, nie powstrzymałabym cię.

Czwartek, 19 lutego, godzina 8.13

Stoisz między ciemnozielonymi podwójnymi drzwiami dworca kolejowego. Jeśli zechcę tam wejść, muszę cię minąć w odległości pół metra. To dlatego wybierasz to stanowisko. Obchodzę budynek, żeby sprawdzić, czy nie da się inaczej, ale oba pozostałe wejścia są zamknięte.

Uśmiechasz się z samozadowoleniem, gdy wracam po krótkiej chwili, i obserwujesz, jak kulę się w sobie, by przejść jak najdalej od ciebie. Jestem tak blisko framugi drzwi, że walę o nią czułym miejscem na łokciu, gdzie biegnie nerw. Idziesz tuż za mną do kolejki. Zamierzam zachowywać się, jakbyś był ledwie cieniem, którego nie zauważam i nie słyszę, co nie jest łatwe, gdy rozcieram sobie łokieć, żeby usunąć to przykre cierpienie. Nie chcąc ryzykować, że cię walnę, muszę powstrzymać chęć wymachiwania rękami jak szalony kurczak.

Nie odzywasz się, póki nie dojdę do bramki biletowej. Wówczas wkraczasz do akcji. Gdy pospiesznie przepuszczam bilet przez automat kontrolny, odliczając sekundy pozostałe do zwolnienia kołowrotka, szepczesz:

– Tak pięknie wyglądasz we śnie, Clarisso. – To twój tryb sympatyczny, w przeciwieństwie do gniewnego. Bilet wyskakuje, kołowrotek pstryka, a ja przepycham

się przez bramkę.

Już mnie nie widzisz, gdy kolana uginają się pod mną w przejściu podziemnym. Ale szybko dochodzę do siebie, pnę się chwiejnym krokiem po schodach, wsiadam do pociągu i opadam na siedzenie, uświadamiając sobie, że moje ciało się rozkleja. Ty mnie rozklejasz. Rozklejasz mnie. Po kawałku.

Mężczyzna obok przygląda mi się, pyta, czy wszystko w porządku, a ja mam wrażenie, że nie jestem w stanie mówić, więc przełykam ślinę i zmuszam się, by kiwnąć potwierdzająco głową. On się waha, ale wraca do lektury gazety.

Rozdarłam sobie pończochę, która przywiera do mojego kościstego kolana, lecz to tylko lekkie zadrapanie. Czuję mrowienie w koniuszkach palców, jakby tajały po odmrożeniu, ale wiem, że to nie z powodu mrozu czy uderzenia w nerw łokciowy.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić podczas lunchu do asystentki mojego lekarza z prośbą o wysłanie mi recepty na lek przeciwlękowy. Rezygnuję jednak, przypomniawszy sobie, że Lottie brała takie tabletki. Już aż za bardzo idę w jej ślady po ścieżce środków nasennych. Wiem też, że kolejne leki nie sprawią, że odejdziesz. Frazes, że trzeba leczyć przyczyny, a nie objawy, jest absolutnie słuszny. Rozumiem, że neutralizowanie mojego lęku byłoby wielką głupotą. Lęk ostrzega mnie przed niebezpieczeństwem, przed czymś, czego nie mogę

ignorować. Nie stać mnie na to, żeby się go pozbywać.

Ten dzień okazał się paradą strachu. Kolejni świadkowie rzucali nerwowe spojrzenia na niebieski parawan, jakby dla sprawdzenia, czy nie stał się nagle przezroczysty. Każdy z tych roztrzęsionych, rozdygotanych ludzkich wraków twierdził, że tak miał pomieszanego w głowie od narkotyków, że nie pamięta, co mówił, robił bądź widział. Annie klęła, mamrotała, kiwała głową, posykiwała i wyglądała, jakby miała ochotę ich wszystkich pozabijać.

Szli znowu na dworzec kolejowy, ramię w ramię, ale nie dotykając się. Padał deszcz ze śniegiem. Robert trzymał parasol nad głowami ich obojga. Clarissie bardzo się to podobało i usilnie starała się nie robić wrażenia rozklejonej. Zauważała coraz wyraźniej, że Robert działa jak niezawodny repelent przeciw Rafe'owi: tamten nie zbliżał się do niej, gdy była w towarzystwie strażaka. Zrozumiała też, że to nie przypadek, że Rafe dawał jej spokój aż do odejścia Henry'ego.

Samochód przejechał wolno obok nich. Poczowała ukłucie strachu w żołądku. Ale spoglądająca na nich twarz nie należała do Rafe'a. Doznała przypływu ulgi. Robert pozdrowił jadącego skinieniem głowy, a mecenas Tourville odwzajemnił pozdrowienie i odjechał.

– On jednak jest śmieszny, prawda, Robercie? – powiedziała. – Nie tylko mnie się tak wydaje?

– Tylko tobie się tak wydaje.

Przez kilka sekund rozważała tę ewentualność z intensywnie udawaną powagą. Potem pokręciła głową, by

potwierdzić swoje zaufanie do niego.

– Myślisz, że nas wywalą za chodzenie razem? Mamy wspólny parasol. Mecenas Tourville może nas zakapować sędziemu.

– O ile wiem, nie stanowi to naruszenia żadnych zasad.

– Sprawdzaleś?

– Na pewno nie jesteśmy jedyni. – Jego telefon dzwonił, ale Robert nie kwapił się odebrać.

– Jesteś popularny.

– Ten zignoruję.

– Jeśli masz zmęczone palce, mogę znów wysłać za ciebie SMS.

– Ależ jesteś skora do pomocy. Myślę jednak, że Jack miał ostatnio dość powodów do ekscytacji.

– Mam nadzieję, że ciepło cię przywitał w tamtym pubie w zeszłym tygodniu.

– Dał mi głośnego całusa, Clarisso. Nasza relacja już nigdy nie będzie taka sama. Nazywa mnie teraz swoim ukochanym, a wszystko to zawdzięczam tobie.

– Jak słodko. Lubię pomagać zacieśniać przyjaźnie, kiedy to możliwe.

– Miło z twojej strony.

Deszcz ze śniegiem ustał. Nie zauważyła, od jak dawna nie poruszały się wycieraczki mijających ich samochodów. Wiedziała tylko, że zrobiło jej się przykro, gdy Robert złożył parasol.

Czwartek, 19 lutego, godzina 21.00

Jestem u siebie w pokoju krawieckim, podszywam

spódnicę. Włożę ją jutro, do tego botki i przylegający, czarny kaszmirowy sweter. Spódnica jest brązowa, ze sztucznego zamszu, lekko rozkloszowana, nad kolana. Zapinana pośrodku na srebrne guziki. Mam cichą nadzieję, że spodoba się Robertowi – złapałam go wcześniej na tym, że spogląda na mnie ukradkiem, gdy sądzi, że tego nie widzę.

Właśnie kończę pracę, gdy czujnik dymu zaczyna wyć, więc pędzę do kuchni. Zupa z soczewicy, którą postawiłam na kuchence, wygotowała się; pozostał gęsty, niejadalny osad. Często mi się to zdarza. Zakręcam gaz i włączam wentylator okapu, by usunąć dym.

Wdrapuję się na krzesło, żeby dosięgnąć czerwonego guzika czujnika dymu. Wciskam go, przyjemnie ustępuje mi pod palcem. Choć zapadła cisza, wciąż dzwoni mi w uszach.

Na blacie leżą listy, które złapałam, zanim weszłam do siebie na górę. Rzuciłam je tam nerwowo, odkładając oglądanie ich do chwili, aż skończę spódnicę.

Nic nie wyróżnia koperty, którą znajduję w środku pliku, ale poznaję, że jest od ciebie, jak tylko ją zauważam. Robię to już teraz instynktownie. Wyjmuję biały arkusz papieru, rozkładam go i czytam.

Znasz Baśnie z tysiąca i jednej nocy, Clarisso.
Wiesz, co sułtan Szachrijar uczynił ze swoją

pierwszą żoną, która nie dochowała mu wierności, i z jej kochankiem. Wiesz, co robił z tymi, które przyszły po niej, gdy już zażył rozkoszy nocy poślubnej, Clarisso, aby mieć pewność, że nie będą miały szansy go zdradzić.

Czuję ucisk w piersi i zastanawiam się przez chwilę, czy to nie atak serca. Moje nogi nie są już w stanie utrzymać ciężaru ciała. Osuwam się na grafitowoniebieskie kafelki podłogi. Nie jestem pewna, jak długo tam pozostaję, szlochając, próbując odtworzyć w głowie własne życie. Ile migawkowych zdjęć mi z niego wykradłeś? Obserwując, gdy wiedziałam. Obserwując, gdy nie wiedziałam.

I z jej kochankiem.

Pomimo że Robert nie jest moim kochankiem, wyobrażasz sobie, że właśnie tego bym chciała. I chcesz, żebym wiedziała, że także jego obserwujesz. Jestem na siebie wściekła, bo pozwoliłam, by go to spotkało. Nie mogę dłużej udawać, że Robert jest za duży i za silny, byś mógł go skrzywdzić.

Zaczynam wstawać, podciągam się, łapiąc od góry brzeg blatu kuchenki. Lewą dłoń naciskam przy tym na żeliwny rondel, wciąż rozgrzany od ognia. Krzyczę z bólu, podchodzę chwiejnym krokiem do zlewu, wkładam oparzoną rękę pod strumień lodowatej wody. Na palcu serdecznym i środkowym już widać pąsowe pasy, długie na trzy centymetry. Wydmuchuję małymi

porcjami powietrze niczym rodząca kobieta.

Zostawiam cały ten kuchenny bałagan i list leżący tam, gdzie go upuściłam. Później umieszczę go w głębi szafki w salonie, obok innych rzeczy otrzymanych od ciebie.

Owijam palce mokrą ściereczką. Czuję w nich rwący ból. Łykam kilka tabletek przeciwbólowych z dodatkiem środka nasennego. Kupiłam je, gdy Henry zabrał mnie dwa lata temu do Nowego Jorku. Ból rozluźnia umysłową blokadę, jaką zazwyczaj nakładam na wszystkie wspomnienia dotyczące tego, jak bardzo byłam z nim wówczas szczęśliwa, więc serce też mnie pali.

Ty to zrobiłeś. To twoja wina. Zupełnie jakbyś wziął żelazo i sam mi je przycisnął do palców.

Piątek, 20 lutego, godzina 8.03

Idąc od moich drzwi frontowych do taksówki, zauważam, że czarna torba ze śmieciami, którą zostawiłam na zewnątrz, zniknęła, a mój pojemnik na odpady do recyklingu jest pusty, pomimo że wszystkie inne na ulicy pozostają nietknięte. Nieważne. Nie znajdziesz tam niczego ciekawego.

Gdy taksówka podwozi mnie na stację, stoisz na swoim stanowisku przed budynkiem. Obserwujesz mnie, jakbym była obiektem badań naukowych, na którego reakcję oczekujesz.

Bez słowa wchodzisz za mną do środka, sprawiając, że łapię powietrze, trzęsę się i czerwienię na twarzy, próbując się zachowywać tak, jakby cię tam nie było. Czy ucieszyłaby cię wiadomość, że te bandażę na palcach noszę z twojego powodu? Nie mówię ci tego. Nie patrzę na ciebie.

Upuszczam etui na bilet miesięczny, gdy niezgrabnie przytrzymuję je oparzoną lewą ręką, prawą próbując wyjąć bilet. Schylam się, żeby podnieść etui, z twarzą jeszcze bardziej zaczerwienioną, gdy tworzy się za mną kolejka. Wreszcie udaje mi się przepuścić kartę przez bramkę biletową. Przez cały ten czas nie odrywasz ode mnie spojrzenia. Czuję je. Poważne i skupione tylko na mojej twarzy. Tym razem wkładasz własny bilet i przechodzisz. Idziesz obok mnie

przejściem podziemnym.

Szumi mi w uszach. Choć widzę, że usta ludzi wokół mnie się poruszają, ich głosy brzmią tak, jak gdyby dobiegały z oddali. Zupełnie jak na jakimś surrealistycznym filmie.

– Co ci się stało w rękę, Clarisso?

Albo osobliwej kreskówce dla dzieci. Ludzie wydają się tacy ogromni, rosną, zbliżając się, i schodzą mi z drogi w ostatniej chwili.

– Nie potrzebujesz towarzystwa w pociągu, Clarisso?

W tunelu robi się ciemniej. Mrugam, szybko i mocno, próbując pozbyć się mgły, która gęstnieje mi przed oczyma.

– Czytałaś może ostatnio jakieś dobre baśnie, Clarisso?

Oddycham ciężko i szybko.

– Mało kto rozumie je równie dobrze, jak my, Clarisso.

Brakuje mi powietrza.

– Clarisso? Clarisso. Clarisso. – Twoja twarz znalazła się ponad moją, wysuwasz język, by oblizać wargi, szybko jak u gada. – Mam ten brakujący kawałek, Clarisso. – Wkładasz mi dłonie pod pachy. Osuwam się na ziemię.

Otwieram oczy. W przejściu podziemnym jest bardzo jasno. Leżę na lewym boku. Chłód betonu spod kafelków pokrytych rozmokłym śniegiem przenika

przez ubranie aż do skóry. Głowę opieram na cudzym płaszczu.

Obok mnie kucają strażnik kolejowy i pulchna pani w średnim wieku, która pociąga za moją spódnicę. Omal nie odtrącam jej ręk, ale wtedy widzę, jaka jestem obnażona. Spódnica podjechała tak bardzo, że widać ciało powyżej pończoch. A kobieta próbuje mnie tylko okryć.

Ludzie zwalniają kroku, żeby rzucić mi po drodze spojrzenie: jestem jak wypadek samochodowy.

Podnoszę się z trudem, najpierw siadam, potem wstaję i opieram się o jeden z ogromnych plakatów reklamowych, ujętych w ramy i podświetlonych na ścianie tunelu. Zaprasza na spektakl *Kopciuszka*, na którym nie chciałam się z tobą spotkać. Lustruję przejście podziemne, ale nigdzie cię nie widać. Strażnik i kobieta mówią mi, że zemdlałam i powinien mnie zbadać lekarz. Chcą wezwać karetkę albo przynajmniej wsadzić mnie do taksówki, która odwiezie mnie do domu.

Kobieta zabiera swój płaszcz. Widzę na nim mokre plamy, które pozostawił zdeptany śnieg zmieszany z błotem. Przepraszam, jeszcze raz dziękując jej za uprzejmość, i proponuję, że zapłacę za pralnię chemiczną, ale ona odmawia.

– Jakiś mężczyzna panią przytrzymał – mówi. – Gdyby nie on, mocno by się pani potłukła. Był wobec pani taki troskliwy i delikatny, zanim pobiegł do

pociągu.

Zrobiłeś z siebie bohatera, wybawcę. Na myśl o tym mocniej opieram się o plakat. Kolana znów się przede mną uginają. Boję się, że osunę się po ścianie tunelu, uderzając o nią plecami, i wyląduję jak kupka nieszczęścia. Gdybyś kiedyś potrzebował świadków, ci tutaj zeznają, jaki z ciebie szarmancki rycerz.

Strażnik wręcza mi moją torbę, którą zrobiłam niedawno. Przewieszam ją przez ramię, zarzekając się, że już się dobrze czuję, naprawdę dobrze, znacznie lepiej dzięki ich opiece, ale muszę się dostać do Bristolu. Siwiejący i dżentelmeński strażnik nalega, że odprowadzi mnie po schodach na peron i wsadzi do pociągu.

Clarissa siedziała z Robertem przy jednym z tych okropnych plastikowych stolików. Obandażowaną rękę trzymała na kolanach, tak by jej nie widział. Oparzona skóra piekła. Palce miała już w bąblach. Przynajmniej nie była to ta ręka, którą pisze, więc ból nie przeszkodzi jej w robieniu notatek. Przed wyjściem z domu połknęła trzy ibuprofeny na pusty żołądek, wyobrażając sobie, jak matka skarciłaby ją wzrokiem za takie przedawkowanie. Mogło to być jedną z przyczyn omdlenia. W każdym razie leki działały i nie dudniło jej już w głowie.

To drobnostka, ten uraz palców. Nic w porównaniu z rzeczami, które Robert musi widywać codziennie. A jednak wszystko w niej było obolałe, podobnie jak skóra. Sądziła, że wygląda całkiem normalnie, ale bała się, że zaraz w żenujący

sposób się rozplącze.

Robert zmrużył lekko oczy.

– Smutno wyglądasz.

Chciała przywołać uśmiech, by temu zaprzeczyć, ale zdołała tylko przygryźć wargę, czując kolejny przyływ wyrzutów sumienia z powodu tego, że zwróciła na niego uwagę Rafe'a, lecz teraz nie ma odwagi mu o tym powiedzieć. Jaki zdrowy na umyśle człowiek chciałby się angażować w związek z nią, skoro jest taka rozbabrana psychicznie? A wyznanie wszystkiego Robertowi zakładałoby pewien stopień zażyłości, nawet zobowiązania między nimi, co do którego nie miała pewności. Za bardzo by go to obciążało.

Rozumiała jednak, że byłoby nie w porządku, gdyby nic nie zrobiła. Znów próbowała wymyślić, jak go ostrzec, by zachował czujność. Subtelność całkowicie ją zawiodła. Wyrzuciła z siebie po prostu:

– Potrafisz się bronić, prawda?

– Mam metr dziewięćdziesiąt. Jako chłopak w każdy weekend uprawiałem boks i szermierkę, a teraz trenuję nastolatki w obu tych dyscyplinach. Nie musisz się o mnie martwić.

– Teraz to widzę – powiedziała.

– Raz musiałem znokautować faceta, który próbował nas zatrzymać, kiedy wchodziliśmy ratować jego żonę.

Roześmiała się, ale dosyć słabo.

– I uratowałeś ją?

– Tak. Wyszła z tego nietknięta. Tyle że on miał podbite oko.

Zdobyła się na uśmiech, ale dosyć krótki.

– Zastanawiałam się, jakie to musi być trudne. Nie być w stanie kogoś uratować. Być zmuszonym patrzeć, jak cierpi. Może umiejętność życia ze świadomością tego wymaga największej odwagi.

– Można przywyknąć. Niepotrzebna tu żadna odwaga.

– Zastanawiałam się nad jedną rzeczą – powiedziała.

– Nie chcesz mnie poprosić, żebym cię przedstawił Jackowi?

– Trochę na to za wcześnie. Może za tydzień, dwa.

– Bardzo rozsądnie. – Znów spowaźniał. – Nad czym się zastanawiałaś?

– Czy jest bardzo ciężko – spytała – gdy ginie dziecko?

– To po prostu jeszcze jedno ciało, Clarisso. – Wyciągnął rękę nad stolikiem, delikatnie dotykając jej ramienia. –

Przepraszam. Widzę, że cię zszokowałem. Owszem, w pewnym sensie to jest gorsze, kiedy chodzi o dziecko. Pomyliłem się, sądząc, że kłamstwo okaże się dla ciebie strawniejsze niż prawda. Ale jesteś dziś osłabiona psychicznie, co?

– Może trochę.

– Każda śmierć jest na swój sposób smutna. Zgony, które widzimy, nie są konieczne. Są przedwczesne. Ale czasem zapominam, jak postrzegają to inni. Człowiek uodparnia się na wszystkie te śmierci. To niezbędne, żeby dalej wykonywać ten zawód. Większość z nas nie rozmawia o tym z nikim poza innymi strażakami, więc nie jestem do tego przyzwyczajony. W rozmowie z tobą nie dość starannie

dobieram słowa.

Przyglądała sobie spódnicę, zanim weszła na salę rozpraw. Miała wrażenie, że jeśli rozciągnie palce, skóra na nich popęka.

Rzucił się w oczy brak niebieskiego parawanu. Nigdy dotąd nie mieli świadka, który by się za nim nie chował. Drzwi się otworzyły. Do środka wszedł ciężkim krokiem mężczyzna o piersi jak beczka i ramionach rozmiarów pni drzew. Jasnoblond głowę trzymał pochyloną. Obok kroczył strażnik więzienny.

– Niechętnie tu przychodzę. Siedzę w więzieniu. Mogą nastąpić pewne... – Charlie Barton urwał, by słowo to dotarło do świadomości obecnych – ...reperkusje. Jestem tu tylko w imię sprawiedliwości, żeby mówić o tym gwałcie. To straszne, co spotkało tę biedaczkę. Lubiałem tę dziewczynę.

Mecenas Morden kiwnął głową, wyrażając podziw dla tego rzadkiego przypadku galanterii.

– Świadek jest silnym, potężnym mężczyzną. I mówię to z prawdziwym szacunkiem. A jednak oskarżony Azarola świadka poturbował?

– Tak. Bałem się go. Uciekłem.

– Nie mam dalszych pytań.

– Ale ja tu przyszedłem pomóc dziewczynie. Nie rozumiem, jak ma to jej pomóc. Wcale mnie pan nie pytał o dziewczynę.

Była prawie za dwadzieścia piąta. Clarissa zamierzała wyjść szybkim krokiem z sądu, by spróbować złapać pociąg odchodzący o piątej. Palce strasznie ją piekły, tak napięte

i rozpalone, że obawiała się, że skóra pęknie, nawet jeśli nie będzie nimi poruszać. Zamierzała łyknąć jeszcze uspokajające środki przeciwbólowe Henry'ego, pójść prosto do łóżka i zatracić się we śnie. Ręce Rafe'a dotykały jej tego ranka. Nie mogła sobie pozwolić na to, aby znów zemdleć. Aby pozostać pozbawioną ochrony, bezbronną i w jego mocy, choćby przez sekundę. Ale w nocy nieświadomość nie stanowiła zagrożenia, a Clarissa potrzebowała potężnej dawki zapomnienia.

Pospieszyła po swoje rzeczy i wraz z Wendy opuściła pomieszczenia dla przysięgłych, zastanawiając się, czy Robert poszedł już przodem i biegnie do pociągu. No i Rafe. Czy znów się pokaże, chcąc, by go zobaczyła, ciesząc się jej reakcjami, jak to miało miejsce tego ranka? A może będzie się czał w cieniu, przez całą drogę do domu? Gdzie mógłby się schować?

Zdała sobie sprawę, że zaczyna przywykać do tego, że on codziennie robi to wszystko, jakby zaakceptowała fakt, że musi go jak najdyskretniej wpasować w swoje życie. Tak wiele uwagi poświęcała na minimalizowanie jego wpływu na wszystko inne, a przede wszystkim na utrzymywanie go z dala od Roberta. Nie wolno jej tego akceptować, pomyślała, wściekła na siebie. Musi się zastanowić, jak skuteczniej z nim walczyć.

Na dole schodów stał ten rosły świadek, otoczony przez pozornie drobnych strażników więziennych, skute ręce trzymał przed sobą. Spojrzał z szacunkiem na Wendy i Clarisę, a ona wyobraziła sobie, jak Barton daje wycisk

Rafe'owi. Barton z powagą skłonił lekko głowę przed obiema kobietami, po czym w towarzystwie małych strażników zniknął w drzwiach, których Clarissa wcześniej nie zauważyła.

Piątek, 20 lutego, godzina 17.40

Widzisz, że nie ma ze mną Roberta. To pewnie dlatego postanawiasz to zrobić. Tuż za mostem, pośród spieszących dokądś biznesmenów, wpadasz na mnie tak mocno, że nie mogę na ciebie nie spojrzeć.

– Nie podziękujesz mi za to, że cię wtedy przytrzymałem, Clarisso?

– Twoje włosy ślicznie pachniały dziś rano, Clarisso.

– Twój policzek jest taki miękki, jak i ty cała, Clarisso.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że wyglądasz pięknie we śnie, Clarisso? – Żwawo mnie wyprzedzasz, unosisz wysoko nad głowę dłoń w rękawiczce i upuszczasz fotografię, która wirując, spływa za tobą na chodnik.

Łąduje obrazem do góry. Odwracasz się, by patrzeć, jak przyklekam, próbując ją złapać. Ręce tak mi się trzęsą, że dwukrotnie ją upuszczam i muszę macać niezgrabnymi palcami po brudnym chodniku, zanim zabieram ją z widoku. Uśmiechasz się z satysfakcją i odchodzisz.

We wszystkich moich trwoźnych domysłach, co mogłeś mi robić tamtej nocy, nigdy się tego nie spodziewałam. Nigdy sobie nie pozwoliłam na takie

przewidywania.

Obraz ten, nawet ukryty w mojej torbie, płonie mi przed oczyma, jakby był wyświetlany na wielkim ekranie. Moje ciało leży na plecach, uśpione w moim łóżku, wyciągnięte na wznak. Mam na sobie majtki bikini w kolorze lawendy. Nic poza tym. Pończochy i stanik leżą obok. Ręce zarzuciłeś mi za głowę, czubki palców muskają ramę łóżka. Oczy są zamknięte.

Dociera do mnie, że nie widziałam tamtych majtek, odkąd spędziłeś u mnie noc. Nie ma wątpliwości, że to wówczas zrobiłeś to zdjęcie. A mdlący lęk upewnia mnie, że na nim nie poprzestałeś.

Minął tydzień, odkąd spróbowała po raz pierwszy, i musiała zrobić to powtórnie. Ledwie weszła do domu, wybrała numer Jamesa Bettertona.

Tym razem odezwała się kobieta.

Clarissa postarała się, żeby jej głos zabrzmiał naturalnie, jakby był to najzwyczajniejszy telefon.

– Dzień dobry, czy jest Laura?

Kobieta wstrzymała oddech. Mówiła, jakby próbowała hamować słowa, ale nie była w stanie.

– Ma pani jakieś wiadomości?

– Nie. Przepraszam. Próbuję znaleźć...

– Proszę nas więcej nie niepokoić. – Kobieta przerwała połączenie.

Clarissa przez kilka sekund trzymała telefon, słuchając martwego sygnału, serce waliło jej w piersi. Aluzje Rafe'a do baśni mieszały się z jej lękami o Laurę Betterton. Miała

ochotę uznać, że postradała zmysły. Wolałaby to, niż mieć rację. Ale nabierała coraz większej pewności, że jego wzmianki o tych opowieściach nie były czczymi groźbami ani przekornymi nawiązaniami do własnych fantazji, lecz podpowiedziami na temat tego, co już kiedyś zrobił.

Wyobraziła sobie porąbane ciała młodych kobiet w *Zbójeckim narzeczonym*. Miednicę czarownika z martwymi dziewczynami w *Ptaku-straszyle*. Narzędzia tortur i przesiąkniętą krwią podłogę w sekretnym pokoju Sinobrodego. Ciąg ukaranych żon sułtana Szachrijara, z których każda wiedziała w noc poślubną, że rankiem zamiast jego warg poczuje na szyi klingę miecza.

Dom Rafe'a stał na uboczu, na wsi poza Bath. Czyżby miał tam własną krwawą komnatę pełną ludzkich ciał? Cmentarzysko w ogrodzie? Wannę z kwasem?

Te wyobrażenia są zbyt upiorne, próbowała przekonywać samą siebie. To z powodu leków, które zażyła, aby złagodzić ból palców, i nieustającego cierpienia, i irracjonalnego lęku, i ohydy procesu. Ale nade wszystko z powodu upokarzającego zdjęcia jej samej, które od niego dostała.

Dwie godziny później zapadała w sen na sofie w salonie, podjąwszy decyzję, że musi kupić nowe łóżko, bo nie może sypiać na tym, gdzie on przywłaszczył sobie ten wizerunek. Jej koszula nocna – staroświecka, dziewczęca, podnosząca na duchu, uszyta przez matkę – podjechała jej do góry. Obciągnęła zdrową ręką miękką bladoniebieską bawełnę. Otuliła szczerzej ramiona pledami. Usiłowała usunąć tę fotografię z pamięci, ale odnosiła wrażenie, jakby

namalowano ją po wewnętrznej stronie jej zamkniętych powiek. Ta fotografia nie była dowodem przeciw niemu. Była dowodem przeciwko niej. Dowodziła, że to ona zaprosiła go do siebie. Że doszło między nimi do rzeczywistych – albo przynajmniej zainscenizowanych – aktów intymności, których nie chciałyby nikomu pokazywać, a on dobrze o tym wiedział.

Tydzień czwarty

Eliksir zapomnienia

Poniedziałek, 23 lutego, godzina 8.00

To twoja rutyna. Stoisz koło mojego domu, tyle że na środku trawnika, przy nagiej jabłoni pani Norton, a nie na ścieżce. Przechodzę szybko do taksówki.

– Straciłaś mój szacunek, Clarisso – mówisz z odległości kilku metrów.

Patrzę wprost przed siebie.

– Ostrzegałem cię, Clarisso. Ostrzegałem cię kilkakrotnie. Ale ty nie przestałaś. Sprowadziłaś to na siebie.

Nadal nie próbujesz zbliżyć się do mnie. Nie ruszasz się z miejsca. Spokojnie obserwujesz, jak taksówka odjeżdża.

Czy powiększysz tę fotografię do rozmiaru plakatu i wywieszysz gdzieś w miejscu publicznym, tam, gdzie zobaczy ją Robert? Wiesz, gdzie mieszkają moi rodzice. Czy wyślesz im to?

Na myśl o rodzicach przewraca mi się w żołądku, a serce wali jeszcze mocniej, ale wiem, że im nie zagrażasz, przynajmniej fizycznie. Nie będziesz ich niepokoić w Brighton. Brighton jest za daleko ode mnie. Oni muszą tam zostać. A ja, przynajmniej na razie, nie mogę tam pojechać.

Ucieszyła się, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi sali posiedzeń przysięgłych. Nie przyrzadziła podczas tego weekendu zapiekanki według przepisu matki, nie tknęła

czerwonego wina, chociaż ani na chwilę nie opuszczała mieszkania. Nawet nie wyglądała przez okna, bojąc się, że zobaczy Rafe'a.

Rozumiała, że nie może przecież spędzać w zamknięciu całych weekendów. Czy Laura gdzieś się zamykała? Wydawało się to bardziej prawdopodobne niż gotycki film pełen porąbanych ciał, jaki Clarissa odgrywała w swojej głowie.

Nie dawała jej spokoju pewna wypowiedź Lottie. *Myślałam, że jeśli będę to ignorować, próbować go unikać, to sprawa się rozejdzie.* Clarissa rozumiała pragnienie, by w to wierzyć, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić.

Odrzuciła go, a to mogło wywołać jego gwałtowną reakcję. Najwyraźniej Laura zrobiła to samo. Odrzucenie stanowiło przypuszczalnie klucz do tego wszystkiego. Nikt nie lubi odrzucenia, ale ogromna większość ludzi znajduje sposoby, by się z tym uporać, i nie stawia się w pozycji, by tego doświadczać wiele razy dziennie. Zawsze uważała Rafe'a za sadystę, ale teraz przyszło jej do głowy, że jest też masochistą. Wyobraziła go sobie bez płaszcza, wymarznętego, i zastanowiła się, czy nie zadaje on sobie tego cierpienia, chcąc mieć kolejny powód, żeby ją obwiniać.

Ale łamiąc sobie nad tym głowę, zdała sobie sprawę, że może dowiedzieć się czegoś użytecznego, jeśli spróbuje postrzegać go jako osobę udręczoną, traktować jego zachowanie jako rezultat poważnej choroby albo urazu. Jeśli on czuł się wzgardzony, raz za razem wzgardzony, to musi się czuć bezsilny; próbował zapewnić sobie nad nią

sadystyczną władzę w obliczu tego, co postrzegał jako powtarzające się okrutne odrzucenie. Jedyne, co mu kiedykolwiek mówiła, czy to za pomocą słów, czy działań, czy prób wykluczenia go, to: „nie”. Tylko tyle mogła powiedzieć. Prawo do sprzeciwu było jej jedyną siłą, a po każdym „nie” jego działania stawały się coraz bardziej dolegliwe i niebezpieczne. Nie tylko dla niej; także dla niego samego.

Ale te rozmyślenia nie na wiele się zdały. Nie mogła podtrzymywać wysiłku, by postrzegać go jako chorą i udręczoną istotę ludzką, którą należy zrozumieć. W gruncie rzeczy cieszyła się, że nie jest w stanie go zrozumieć. Nie cierpiała udzielać mu w swoim umyśle więcej przestrzeni niż ta, którą i tak już sobie przywłaszczał. Rodzice wychowali ją tak, by nie wierzyła w zło, ale nie była pewna, czy mieli rację. Nauczyli ją, by wierzyła, że każdy zasługuje na wybaczenie, ale nie potrafiła czuć tego wobec niego. Wpoili jej, by uznawała punkt widzenia innych ludzi, bez względu na to, jak by to było trudne. Może istniał na świecie ktoś, kto mógłby uznać jego punkt widzenia. Dla niej jednak było to niemożliwe. On był jej wrogiem, tylko i wyłącznie. Jakby dla przypomnienia tego faktu pieczenie oparzonych palców nasiliło się na kilka sekund.

Natknęła się na tyle definicji i rad, że z największym trudem utrzymywała kierunek. Ale nie znalazła tego, czego szukała. Czegoś, co by sprawiło, że poczułaby się mniej samotna: nikt nie przyznawał, że ofiara stalkera może czuć niechęć do zgłoszenia się na policję, gdyż przy okazji mogłyby wyjść na jaw informacje na temat jej dawnych

zachowań.

To pani wina, powtarzano Lottie na nieskończenie wiele sposobów. Czy to samo powiedzieliby Clarissie? Że nie ma prawa składać skargi, ponieważ dobrowolnie odbyła z nim stosunek, a potem przespała u jego boku całą noc? Zdawało się, że to właśnie przedstawiała ta fotografia. Jak również to, że Clarissa była wtedy zbyt pijana, aby o tym wszystkim pamiętać.

Mdliło ją na myśl, że Robert mógłby się o tym kiedykolwiek dowiedzieć. Za każdym razem, gdy powtarzała sobie, że nie jest z jej strony w porządku, że to przed nim ukrywa, uciekała od tej myśli.

Gdy woźny sądowy wezwał ich, aby stanęli w rzędzie, wciąż jeszcze odtwarzała to wszystko w głowie, zastanawiając się, co robić. Nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby zobaczyć tę fotografię. Z drugiej strony, gdyby poszła na policję i nie pokazała tego zdjęcia, a potem on przedstawiłby je na swoją obronę, postawiłoby ją to w złym świetle, straciłaby wiarygodność.

Niebieski parawan ponownie stanął dla kolejnego świadka. Alex Wyerley ucałował Biblię po złożeniu przysięgi. Ale zanim jeszcze mecenas Morden przystąpił do zadawania pytań, mecenas Williams wniósł sprzeciw i przysięgli znów wyszli gęsiego za drzwi.

Kilka minut później dwanaścioro przysięgłych popijało gorącą kawę, siedząc wokół trzech chybotliwych stolików, które zsunęli byle jak razem w przeznaczony dla nich poczekalni. Spory prawne miały potrwać pół godziny, jak

oznajmił to woźny sądowy.

Clarissa skrzywiła się z bólu, gdy z przyzwyczajenia położyła lewą dłoń na prawej, obejmującej biały kubek.

– Pokaż.

Dopiero gdy Robert to powiedział, zdała sobie sprawę, że zapomniała, by schować palce. Uśmiechając się przepaszająco do siedzącej między nimi Wendy, wyciągnęła rękę i położyła ją na stoliku bliżej Roberta.

– Nie jest tak źle – stwierdziła. – Tylko trochę ciasno, jak poruszam palcami.

Wendy delikatnie dotknęła ramienia Clarissy.

– Biedactwo.

Robert ostrożnie uniósł jej dłoń ze stołu, by się przyjrzeć oparzeniom.

– Kiedy to sobie zrobiłaś?

Udawała przez parę sekund, że się zastanawia.

– Jakieś trzy, cztery dni temu. Chyba w czwartek wieczorem.

– Jak? – Wciąż trzymał jej rękę, ale wnikliwie patrzył jej w twarz.

– Niezgraba jestem. Uderzyłam ręką o rozgrzany rondel.

– Musi cholernie boleć pod prysznicem – powiedział któryś z mężczyzn.

Robert delikatnie położył jej dłoń na blacie.

– Nie zauważyłem, żebyś była w czymkolwiek niezgrabna.

– Czasem bywam. – Roześmiała się i dla niej samej zabrzmiało to fałszywie.

– Mówi się, że jeśli jest więcej niż pięć centymetrów,

trzeba iść do lekarza. Niewiele ci brakuje.

– Przecznicę dalej jest przychodnia doraźnej pomocy – oznajmiła Wendy. – Powinnaś tam zajść podczas lunchu. Niech rzucą na to okiem.

Za bardzo ją bolało, by mogła się skoncentrować, ale zmusiła się do skupienia uwagi, kiedy mecenas Belford wstał, by bronić Tomlinsona. Utkwił baczne jak zawsze spojrzenie w Aleksie Wyerleyu.

– Jak by świadek opisał swoją relację z Carlottą Lockyer?

– Byliśmy przyjaciółmi. Oboje należeliśmy do narkotykowego światka Bath. Teraz jestem czysty, chwała Bogu.

– Czy świadek z nią sypiał?

– Nie pańska sprawa – odpalił Wyerley.

– Doceniam fakt, że świadek jest dżentelmenem – odezwał się sędzia – ale świadek musi odpowiedzieć.

Wyerley zrobił powolny wdech, potem równie wolno wypuścił powietrze.

– Spałem z nią, owszem – potwierdził.

– Czyj to jest proces? – szepnęła Annie. – Lockyer czy tych gości na ławie oskarżonych?

Tamtego wieczoru w drodze ze stacji Clarissa i Robert przystanęli na moście. Clarissa dostała gęziej skórki na karku, ale postanowiła o tym nie myśleć, nie wypatrywać Rafe'a, tylko cieszyć się towarzystwem swego strażaka.

Swego strażaka, pomyślała, uśmiechając się pod nosem. Nie mogła z niego zrezygnować. Nie pozwoli, by Rafe jej to odebrał. Musiała wierzyć, że Rafe jest dla Roberta równie

mało niebezpieczny, jak gołąb dla orła.

Robert uprawiał boks: znokautowałby Rafe'a tak jak tego mężczyznę, który próbował uniemożliwić ratowanie swojej żony. Robert biegał każdego ranka: był wytrzymały. Potrafił fechtować: był spostrzegawczy, silny i zręczny; jego czas reakcji byłby szybki; zatrzymałby uderzającą go broń i sam użyłby jej skutecznie. Robert był leworęczny: Rafe nie spodziewałby się uderzenia. Robert był kilkanaście centymetrów wyższy od Rafe'a, przy tym znacznie szczuplejszy. Robert był zrównoważony i zdrowy psychicznie; ani jednego, ani drugiego z pewnością nie dało się powiedzieć o Rafie.

Robert spojrział z aprobatą na nowe opatrunki na jej palcach.

– Miałaś rację – powiedziała, pokazując lewą rękę. – Pękły dziś rano. Wszystko, co mówiłeś o oparzeniach, powtórzyła pielęgniarka.

On sam nie potwierdziłby, że ma rację.

– Bolał, co? – Popatrzył na nią poważnie, dlatego musiała potwierdzić lekkim kiwnięciem głowy, że rzeczywiście bolał. Pochwycił przelotnie jej spojrzenie i się uśmiechnął. – Lottie ma mnóstwo przyjaciół, prawda? – powiedział.

– Ma. Naprawdę ma. Zajęta dziewczyna.

Oboje się roześmiali.

– Lubię ją – stwierdziła Clarissa. Słyszała latające nad nimi mewy.

– Podobnie jak pan Wyerley – ciągnął Robert. – I pan Barton.

Clarissa zastanawiała się, czy istnieje jakiś oficjalny przepis mówiący, że przysięgli nie powinni ze sobą sypiać.

– Będzie mi przykro. – Wiatr prawie zagłuszył jej słowa wypowiedziane tak cicho, gdy obserwowała, jak w dole łabędź sunie po wodzie. Wiedziała jednak, że on je dosłyszy.

– Przykro? – powtórzył.

– Tak miło było cię poznać. – Czuła, jak twardo na nią patrzy. – Smutno mi będzie nie widywać cię więcej, gdy to się skończy.

– Nie wygląda na to, by miało to szybko nastąpić – odparł.

Poniedziałek, 23 lutego, godzina 18.15

Siedzisz w swoim nierzucającym się w oczy niebieskim samochodzie i czekasz na mnie. Mam serdecznie dosyć widoku ciebie na mojej ulicy. Grzebię w portfelu, szukając jednofuntowych monet, i rzucam je w ręce taksówkarza.

Jakie to szczęście, że nie mam własnego auta. Pewnie ukryłbyś w nim lokalizator pozwalający mnie namierzyć. Mógłbyś też przy nim urządzać na mnie zasadzki.

Pochyliłam się do przodu na siedzeniu w taksówce, zastanawiając się, czy nie powinnam poprosić kierowcę, by zaczekał, aż wejdę bezpiecznie do domu. Niecierpliwym, żeby zainkasować kolejną opłatę za kurs, mamrocze coś do syczącego urządzenia łączności; nie potwierdza przekonania mojej matki, że każdy taksówkarz uważa się też za ochroniarza.

– W porządku? – pyta. To aluzja. Trzeba się pospieszyć.

Rozpinam zamek mojej torby przeciw stalkerom; szykuję się na konfrontację.

– Jeszcze sekundkę. – Taksówkarz nie musi czekać, by mnie chronić. Mogę zrobić coś lepszego dla swojej ochrony. Walczyć z tobą.

Wyciągam mój nowy telefon ze specjalnej przegródki, którą na niego wykonałam. Nastawiam go na funkcję kamery. Wyćwiczyłam robienie tego szybko, tak na wszelki wypadek. Poczytałam sobie instrukcję obsługi, pamiętając, jak Lottie zmagala się w kieszeni z telefonem, gdy nie udawało jej się wysłać potajemnie wiadomości „SOS” do chłopaka. W chwili, gdy zamykam drzwi, taksówka pospiesznie odjeżdża.

Zaparkowałeś dwa domy od mojego budynku. Przód twojego samochodu skierowany jest w moją stronę, gdy stoję pośrodku spokojnej ulicy. Kiwasz powoli głową. Przynajmniej nie wysiadasz, by rzucić na chodnik kolejne straszliwe fotografie. Chcesz tylko, żebym wiedziała, że tu jesteś, siedzisz i obserwujesz. Ponieważ możesz.

Myślę o tym, jak Lottie weszła na własną ulicę i natknęła się na tę furgonetkę. Była jedna przeciw czterem. Ja mam większe szanse. Jedna przeciw jednemu. Ja przeciw tobie.

Obejmuję dłonią telefon, robię zbliżenie, nawet nie patrząc, tak to sobie przećwiczyłam. Ulica jest dobrze

oświetlona. Telefon ma automatyczny flesz. Nie tylko ty możesz robić zdjęcia.

Nie czując palących palców, unoszę rękę i celuję.

Pstryk: twój samochód na mojej ulicy. Zwiększam zbliżenie. Pstryk: już bliżej, twoja tablica rejestracyjna, ledwie czytelna. Potem robię maksymalne zbliżenie. Pstryk: jeszcze bliżej, twoja twarz. Może przez szybę zdjęcie nie wyjdzie, ale warto spróbować.

Trzy fotografie, zrobione tak szybko, że musiało cię to zaskoczyć, dlatego minie trochę czasu, nim sobie uświadomisz, co właśnie zrobiłam, i jakoś zareagujesz.

Otwierasz drzwi, żeby pójść za mną. Tego nie było w twoim pierwotnym planie na ten wieczór. Już biegnę, choć nie mogę pohamować odruchu, by się obejrzeć i szybko sprawdzić, czy wciąż dzieli nas spora odległość. Ale jesteś za duży, nie potrafisz zwinnie wyskoczyć z auta. Zauważam twoje wąskie usta, wykrzywione z wściekłości, i pędzę dalej, uciekając po ścieżce tak szybko, że jestem pewna, że mnie nie dopadniesz. Klucze mam już wyjęte i przygotowane – inna użyteczna kieszeń w mojej torbie. Projektując ją, myślałam strategicznie. Gdy metal wsuwa się do zamka, a ciężkie drewno ustępuje przede mną, wiem, że dałeś za wygraną. Tym razem jestem w koszmarze, w którym wszystko kończy się dobrze.

Nie wiem dokładnie, jak długo opieram się o drzwi, czekając, aż mój oddech się uspokoi. Dostatecznie długo, by pani Norton wyłoniła się ze swego

mieszkania.

– Jak się cieszę, że cię spotykam, Clarisso – wita mnie. – Miło widzieć dla odmiany, że masz zaróżowione policzki. Wypijesz ze mną filiżankę herbaty?

Filiżanka herbaty to właśnie to, czego mi trzeba. Do tego w przemiłym i inteligentnym towarzystwie pani Norton.

– Z największą przyjemnością.

– Robi wrażenie tak uradowanej, że ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że częściej nie korzystam z jej zaproszeń i sama się nie rewanżuję. Wchodząc za nią do mieszkania, łapię z półki najnowszy numer mojego magazynu krawieckiego, który tam dla mnie zostawiła.

Pani Norton zaprasza mnie gestem, żebym siadła na jej sofie obitej perkalem. Mebel okryto koronkowymi ochroniaczami, niegdyś kremowymi, dziś lekko zbrązowiałymi ze starości.

– Rozluźnij się i odpocznij, kochaniutka – zarządza.

– Poczytaj sobie swój magazyn. Zaraz coś przygotuję. Zasłużyłaś za to, co robisz. To musi być bardzo wyczerpujące i przygnębiające. – Drepcze do kuchni.

Uśmiecham się pod nosem, rozglądając się po jej salonie. Wszystkie meble są ciężkie, z ciemnego drewna, były kiedyś własnością jej rodziców, do których należał dawniej cały budynek, zanim pani Norton sprzedała go na mieszkania. Tu się urodziła.

Zajmuję się teraz magazynem krawieckim.

Otwieram kopertę, myśląc sobie, jak miło będzie splukać z siebie te ostatnie kilka minut, wypchnąć cię całkowicie z mojej pamięci. Ale nigdy do tego nie dopuścisz, prawda?

Robię wydech, jakbyś mnie walnął pięścią w brzuch. Blond modelka na okładce nie ma na sobie nowego fasonu letniej sukienki.

Ma za to pasy, łańcuchy i druty, którymi skrępowano jej ręce i nogi, pierś i biodra. Została mocno przywiązana do specjalnie przystosowanego stołu operacyjnego z regulowanymi wyciągami na kończyny. Widać dużo nagiego ciała. Rozchylone nogi są ugięte w kolanach. Kostki uniesione. Wszystkie części ciała zostały unieruchomione. Nawet dłonie, stopy i palce przytwierdzono jakąś taśmą chirurgiczną. Przez przekłute sutki przeciągnięto metalowe obręcze, piersi ściśnięto siatką linek. Skórzany knebel zakrywa usta. Muskularna męska ręka w skórzanej rękawiczce ściska lśniący instrument. Właściciela ręki zdjęcie nie objęło. Także szyja i czoło kobiety są przymocowane do stołu za pomocą psich obroży, tak że nie może ona obrócić głowy, ale rozwarte oczy zwraca błagalnie w bok, w stronę niewidocznego mężczyzny.

– Clarisso, lubisz słabą herbatę bez mleka, prawda, kochaniutka? – woła pani Norton.

Czy to zdjęcie jest upozowane? Próbuję sobie wmówić, że tak być musi. To nie może być pojmana kobieta. Ten stół nie może przecież być prawdziwy. Ale

jej przerażenie wydaje się zupełnie realne.

Oto, co lubisz oglądać.

– Clarisso? – woła znów pani Norton. – Dobrze mówię?

– Tak, pani Norton – udaje mi się powiedzieć, choć nie wiem, na co wyrażam zgodę.

Tytuły artykułów kłują mnie w oczy.

Drżąca młoda niewolnica wyznaje: Ze strachu robi mi się mokro.

Oto, co lubisz czytać.

– Herbatniki? – pyta pani Norton.

Uwiedzenie w kaftanie bezpieczeństwa: Niech będzie bezradna.

Oto, co lubisz robić.

Myślę o tym, jak unieruchomiłeś mi ręce za plecami, wtedy w parku. Jak ścisnąłeś mi dłońią szyję, przytrzymując mnie w miejscu. Myślę o okropnych rzeczach, które musiałam pozwolić ci mówić, jakbym zasłużyła na to, by ich wysłuchiwać, i o tym, jak podobały ci się moje odpowiedzi – wszystkie te przytakiwania – gdy twoja rękawiczka przesuwiała się po mnie. „Tak, tak, tak”.

– Upiekłam je dziś rano – mówi pani Norton. – Taką miałam nadzieję, że cię spotkam. Chciałam cię poczęstować. Jak miło z twojej strony, że kupiłeś mi te wspaniałe czekoladki. Wybrałeś same moje ulubione.

Ekstaza lewatywy i domowe operacje.

– Clarisso? Słyszałeś mnie?

Królestwa tortur w zakazanych pokojach naszych czytelników

Czy masz taki pokój?

– To brzmi cudownie, pani Norton – odpowiadam jakoś.

– Miło słyszeć, Clarisso. Jesteś zdecydowanie za szczupłą, kochaniutka.

Spętane piękności, rozciągnięte i zatkane wszędzie, gdzie się da.

I znów myślę o tamtej listopadowej nocy. I śladach, które znalazłam nazajutrz rano na swoim ciele.

Tamta fotografia. Czy powinnam właściwie być wdzięczna, że nie jest to nic w stylu zawartości tego czasopisma?

– Clarisso? – Pani Norton pojawia się w drzwiach.

Spanikowana, wpycham magazyn z powrotem do koperty, zmagając się ze sztywnością palców, wciąż owiniętych bandażami z przychodni, tak że rozdzieram przy tym gruby brązowy papier.

Oglądałam to wystarczająco długo. Nawet gdy magazyn nie jest na widoku, inne tytuły artykułów wyskakują mi w głowie. Są absurdalnie złe. Annie wyśmiałyby je z pogardą. Powiedziałyby mi, że wszystko to jest jednym tandetnym fałszerstwem. Plasnęłyby cię porządnie w tę twoją okropną twarz. Ale ja nie mogę się śmiać. Nie ma tu nic śmiesznego. Wcale nie chcesz, żeby było w tym coś śmiesznego. Fotografia na okładce tego magazynu to najbardziej

prerażająca, ohydna i groteskowa rzecz, jaką w życiu widziałam.

Spętana jak zwierzę: Brutalnie okiełznana i zjechała aż do bólu.

Spieszę przez pokój, żeby odebrać od pani Norton piękny porcelanowy talerz. Pożółkły i spękany ze starości. Herbatniki są złociste.

– Wyglądają smakowicie – mówię, choć w tym momencie nic na świecie nie mogłoby dla mnie tak wyglądać. Próbuję delikatnie postawić talerz na stoliku do kawy, ale moje palce najwyraźniej nie są w stanie utrzymać go jak należy, więc uderza o drewno. Zdumiewające, że go nie potłukłam.

Pozycje zwierzęce: Poskromione na farmie.

– Pomożesz mi zanieść tacę z herbatą? – woła pani Norton, nieświadoma mojej spektakularnej niezręczności. Co to za szczęście, że zwykle niezawodna zdolność pani Norton, by zauważać absolutnie wszystko, została całkowicie przytłumiona przez zaabsorbowanie rolą gospodyni.

Idę chwiejnym krokiem do nieskazitelnej kuchni w odcieniach jasnego i ciemnego brązu, która wygląda, jakby czas zatrzymał się tam w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Bolesne rozkosze, żeby utrzymać ją w niewoli: Wyobraź sobie idealną karę.

Ukarzę cię za to. Tak właśnie powiedziałaś wtedy w parku. Czy to miałeś na myśli?

– Nie mogę znaleźć sitka do herbaty, kochaniutka – mówi pani Norton.

Szperam na oślep w jej przepelnionych szufladach.

Szkoła posłuszeństwa: Zamknij mnie dobrze i mocno wysmagaj.

Myślę o twojej teorii na temat tego, dlaczego Sinobrody zamordował pierwszą żonę. *Najgorsza forma nieposłuszeństwa*, powiedziałaś. Pamiętam, jak w mojej głowie odezwały się dzwonki alarmowe, gdy użyłeś tego słowa. *Nieposłuszeństwo*. Nawet wtedy, gdy wino krążyło mi już w żyłach, rozumiałam, jaki to był brzydki element twojego słownictwa. Brzydka część twoich poglądów na temat tego, czym powinni być dla siebie nawzajem mężczyzna i kobieta.

Powinnaś robić, co ci mówię. Także to powiedziałaś w parku.

Te straszne tytuły brzmią może inaczej, ale wszystko sprowadza się do tego samego.

– Clarisso, co z tobą? – śmieje się czule pani Norton. – Masz je pod ręką. – Bierze sitko do herbaty i kładzie obok wykwintnych filiżanek i czajniczka w różyczki. Smużka pary unosi się z dzióbka, więc prawie parzę sobie inne palce, biorąc tacę, potem przechodzę chwiejnym krokiem do salonu i stawiam ją na stole, grzechocząc porcelaną.

Zatkaj każdy otwór: Nauczka, której ona nie zapomni.

– Usiądź, Clarisso – mówi pani Norton.

Siadam.

Zakazane tortury i udręki szkoleniowe, którym nie zdoła się oprzeć.

– Poczęstuj się herbatnikiem, Clarisso.

Biorę ciasteczko, skubię kawałeczek i próbuję żuć. Boję się, że się udławię. Zmuszam się, by przełknąć, a gdy pani Norton skupia uwagę na nalewaniu herbaty, wrzucam resztę herbatnika do torby.

Sprzęt treningowy do wszystkich części: Nadać jej kształty i rozmiary, jakich pragniesz.

Pani Norton trajkocze z ożywieniem, szczęśliwa, że ma mnie na swoim terytorium, jednak do mnie prawie nic z tego nie dociera.

– Jak miło mieć cię u siebie. Musisz mnie częściej odwiedzać, Clarisso – mówi, a ja obiecuję, że tak się stanie.

Ręce mi się trzęsą. Gdy podnoszę filiżankę, wylewam herbatę na staroświecki zielony dywan pani Norton. Wstaję, by pójść po szmatkę, wtedy tracę równowagę i walę piszczelą o stolik do kawy, wydając okrzyk i chlapiąc znów herbatą na różowe kwiaty dywanu z Axminster. Pani Norton macha ręką, żebym usiadła, i każe się nie przejmować. Rozumie, jaka jestem zmęczona, ostatecznie każdy ledwie by się trzymał na nogach po okropnym dniu spędzonym na sali sądu kryminalnego. Pójdzie sama, ja powinnam odpocząć i nawet nie myśleć o tym, by się ruszać.

Pohańbiona niewolnica podwieszona i wysmagana

w lochu dyscypliny.

Pod nieobecność w pokoju pani Norton oglądam kopertę. Nie ma na niej nazwy firmy subskrypcyjnej ani innych szczegółów umożliwiających identyfikację. Jest tylko znaczek i naklejka z wpisanym na maszynie moim nazwiskiem i adresem. To wszystko. Czy kupiłeś to w pomieszczeniu na zapleczu sex-shopu, gdzie zaprasza się tylko wybranych klientów? Zamówiłeś na stronie internetowej, której nie da się odnaleźć żadną normalną wyszukiwarką? Może należysz do sekretnego klubu mężczyzn mających dostęp do takich rzeczy? No i najgorsza możliwość ze wszystkich: zrobiłeś to sam. Ale może są jakieś szanse, by policja dowiedziała się, kto to wysłał, i powiązała to jakoś z tobą.

Znów rzucam szybkie spojrzenie na okładkę magazynu. Modelce nie nałożono lśniącego makijażu natryskowego, wyraźnie nikt nie zadawał niezręcznych pytań poprodukcyjnych. Tusz do rzęs jest rozmazany przez chyba prawdziwe łzy, nie zaangażowali wizażysty, który stałby się świadkiem tego, co nagrywali. Czy mogła to być Laura Betterton? Oświetlenie kiepskie, jakby wszystko urządzone w dźwiękoszczelnym garażu bez okien; nie korzystali ze studia – ktoś mógł zobaczyć, jak modelka tam wchodzi, mogłaby też swobodnie wyjść.

Odkładałam twój magazyn po raz drugi i ostatni, wiedząc, że już nigdy więcej nie wyjmę go z brązowej

koperty. Jego amatorszczyzna ma w sobie coś, co sprawia, że wydaje się jeszcze bardziej ponury i rzeczywisty. To coś znów każe mi zadać sobie pytanie, jak wyraźna jest granica między rzeczywistością a upozowaniem. Dręczą mnie pytania: kim jest kobieta na okładce marcowego wydania, jak doszło do tego, że sfotografowano ją w ten sposób, kto mógł wymyślić takie rzeczy i gdzie ona znajduje się teraz. Nie zastanawiam się, czy sam takie rzeczy robiłeś. Jestem tego pewna.

Świadek siedziała oklapnięta na krześle, z półprzymkniętymi oczyma. Dorcas Wykes. Ta, której drobna matka staruszka nie używa brzydkich wyrazów. Dorcas nie kryła się już za zasłonami sypialni, obok siedział strażnik więzienny.

Clarissa uświadomiła sobie, że sama też siedzi oklapnięta, więc poprawiła się na ławie.

– Rozumiem, że działo się to prawie dwa lata temu, ale muszę porozmawiać o czymś bardzo nieprzyjemnym, co spotkało wtedy świadka – zaczął delikatnie mecenas Morden. Dorcas rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Czy świadek przypomina sobie jazdę samochodem z Bath do Londynu w niedzielę piątego maja? – spytał Morden. – Wieźli tam świadka znajomi.

Dorcas odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Pokręciła powoli głową, stanowczo i ze złością.

– Nie. – Potrząsnęła gwałtownie głową. – Nie – powtórzyła. Objęła się mocniej rękoma i zaczęła kołysać. Zsunęła blond włosy na wybladłą w więzieniu twarz, kryjąc się za ich zasłoną. Zaczęła szlochać. I ciężko oddychać.

– Muszę prosić przysięgłych o opuszczenie sali na krótką przerwę – oznajmił sędzia – żeby świadek Wykes mogła odzyskać równowagę.

Drzwi między salą rozpraw numer dwanaście a rzęsiście oświetloną poczekalnią dla przysięgłych jeszcze się nie domknęły, gdy chłopak z włosami o purpurowych końcach

powiedział:

– Szalona kobieta. Ale atrakcyjna.

Wyglądał jak celtycki krasnal pixie, choć w rzeczywistości był praktykaniem ślusarskim. Dla Clarissy wyróżniał się tym, że prawie zawsze miał w uszach słuchawki, i to w tym samym odcieniu purpury co włosy. Raz wszedł do ławy przysięgłych, nie zdjawszy ich, choć Robert dał mu dyskretne kuksańca, by to zrobił, zanim sędzia je zauważy.

– Pssst – odezwało się od razu kilka głosów.

Annie trąciła go nawet łokciem i kazała zamknąć buzię na kłódkę. Ale potem przewróciła oczami.

– Ona marnuje mój czas. Nie lubię ludzi, którzy marnują mój czas. Jak ona śmie marnować mój czas?

– Żal mi jej – odezwała się przybita Clarissa. – Ten proces to rywalizacja. Kto jest najsmutniejszy z nich wszystkich. – Grzebała w głównej komorze swojej torby przeciw stalkerom, szukając balsamu do ust. Szperała głębiej, przesuwając różne przedmioty, zaintrygowana nagle, gdy jej palce natrafiły na coś jedwabistego. Wyciągnęła to, by spojrzeć. I natychmiast zmięła to w dłoni.

Wtorek, 24 lutego, godzina 11.45

Próbuję przywrócić twarzy opanowany wygląd, ale nie wypuszczam z ręki tego, co znalazłam w torbie.

A był to pocięty kawałek dżerseju w kolorze lawendy. Znalazłam majtki, które miałam na sobie w tamten wieczór, spędzony z tobą w listopadzie. Musiałeś mi je wsunąć do torby, gdy zemdlałam w przejściu podziemnym na stacji.

Zmieniłeś je już po tym, jak zrobiłeś to zdjęcie. Rozciąłeś z obu stron bioder, wzdłuż bocznych szwów. Wyciąłeś krocze, którego nie ma w mojej torebce. Kiedy to zrobiłeś? Czy wciąż jeszcze miałam je na sobie? Czy przecinające tkaninę nożyczki dotykały mojego ciała? Widzę tę fotografię równie wyraźnie, jakbym ją trzymała przed oczyma. W głowie raz po raz słyszę twoje słowa. Brakujący kawałek. *Mam ten brakujący kawałek, Clarisso.*

Clarissa siedziała znów na swoim miejscu w ławie przysięgłych. Ludzie poruszali ustami, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa. Mecenas Morden wydawał się znacznie bardziej odległy i mniejszy, jakby stał na drugim końcu długiego tunelu, a ona patrzyła na niego przez szkło pomniejszające, a nie powiększające. Po kilku minutach odgłosy stopniowo powróciły, a Morden zaczął rosnąć, aż znów przybrał właściwe rozmiary, niczym Alicja z Krainy Czarów. Clarissa nie była pewna, jak wiele uszło jej uwagi, ale przynajmniej nie zemdląła, i nawet Annie niczego nie spostrzegła. Clarissa umyślnie ukuła się w opuszkę kciuka grafitem ołówka. Skup się, powiedziała sobie.

– Świadek z własnej woli poszła na komisariat policji w poniedziałek siódmego maja i spędziła tam dwa dni, składając zeznania – powiedział mecenas Morden do Wykes.

– Nie pamiętam, żebym tam chodziła.

Annie kręciła głową z niesmakiem. To mogłabym być ja, pomyślała Clarissa, rozumiejąc przerażenie i upodlenie kobiety, która musiała opowiadać publicznie o tym, co ją

spotkało. Także Clarissa mogła się stać osobą, która napełni odrazą kogoś takiego jak Annie.

Podczas przerwy na lunch Clarissa przeszła sztywno z kobiecej toalety, w której zwymiotowała, do kawiarenki, gdzie wzięła butelkę wody gazowanej i siadła w spokojnym miejscu nad książką, której nie czytała. Następnie powtórzyła cykl.

Gdy wrócili do sali rozpraw numer dwanaście, znów ukłuła się ołówkiem, nie zdając sobie sprawy, co robi, aż Annie wyjęła jej go z ręki i z przerażoną miną pokręciła przecząco głową, wskazując kropelkę krwi.

Clarissie buczało w uszach. Głos mecenasa Mordena brzmiał niezrozumiale. Przycisnęła dłonie do skroni, spuszczać wzrok na plik notatek i myśląc o tym, że jej własny charakter pisma wygląda jak hieroglify niemożliwe do odcyfrowania. Widziała tylko jakieś łańcuchy, pasy i linki. Przerażone oczy kobiety ponad kneblem. Dłoń w rękawiczce i lśniący instrument. Straszne tytuły opisujące treść czasopisma.

Mecenas Morden poprawił zegarek, wyrównał papiery, zakołysał się w przód i w tył na stopach, wyraźnie usiłując sformułować kolejne pytanie.

– Czy w niedzielę szóstego maja tuż przed podróżą do domu świadek odwiedziła pewien londyński park?

Dorcas niemal podskoczyła na krześle, ale spojrzała na niebieski parawan i pozostała na miejscu, wciąż osłonięta, ale jeszcze bardziej wzburzona.

– Nie.

Będąc małą dziewczynką, Clarissa uważała, że parki to cudowne miejsca. W parkach jadała z rodzicami smakowite piknikowe posiłki, starannie szykowane i pakowane przez matkę. W parkach ojciec pomagał jej rzeźbić zamki i syrenki z wilgotnego piasku. Parki nie były niebezpiecznymi miejscami.

Pomyślała o parku przy domu, miejscu, które kiedyś uwielbiała. Teraz kojarzyło jej się z parą dłoni w rękawiczkach trzymających jej nadgarstek, skórą tych rękawiczek wciśniętą między nogi, słowami poniżenia, samochodem, do którego nie pozwalała się zaciągnąć. Teraz nienawidziła tego parku. Nie chciała tam więcej chodzić, choć rozumiała, że i tak miała wówczas szczęście.

Żaden komputerowiec nie uratował Dorcas w tamtym londyńskim parku. Ani żaden Bruce o jedwabistym czarnym łbie.

Mecenas Morden zmienił taktykę.

– Proszę świadka, matka świadka zeznawała tu przed ławą przysięgłych. Ona...

– Ława przysięgłych może się odpierdolić.

Sędzia zrobił wściekłą minę.

– Sąd zawiesza rozprawę do jutra.

Nieoczekiwanym darem okazała się dla niej możliwość posiedzenia z Robertem w kafejce przy moście. Miał taki kaprys, żeby zatrzymać się tam i wypić coś gorącego, nim złapią późniejszy pociąg.

Upiła łyczek herbaty, którą jej kupił. Mdłości nie opuszczały jej, odkąd dotknęła tamtego magazynu. Pogłębiły

się jeszcze, gdy odkryła w torbie swoje majtki. Po wysłuchaniu niedopowiedzianych aluzji na temat cierpień Dorcas i spektaklu, jaki ta zniszczona kobieta dała na miejscu dla świadka, działało to jak swego rodzaju trucizna. Jednakże towarzystwo Roberta niosło ze sobą tak wielką radość, że mdłości osłabły, przynajmniej na kilka minut.

– Kiedyś – opowiadał – nie działo się to podczas mojego dyżuru, jakaś kobieta płakała przed domem: „Moje dzieci, moje dzieci, niech ktoś ratuje moje dzieci”. Wspominałem ci, że zawsze wchodzimy po dwóch, prawda?

Kiwnęła głową, zastanawiając się, jakim cudem udaje jej się robić na nim wrażenie osoby normalnej.

– Dwóch strażaków weszło po jej dzieci – podjął. – Obaj zginęli.

– A dzieci?

– Okazało się, że chodziło jej o papużki.

Clarissa pokręciła głową.

– Robertcie, ty nie wróciłbyś do środka, prawda?

– Nie podejmuję zbędnego ryzyka. – Wziął kęs cytrynowego ciastka, które sobie zafundował. Wyglądał przy tym jak mały chłopiec, który wykradł zakazany smakołyk, gryzł i przełykał z przesadzoną przyjemnością, wzdychając z zachwytu. Pchnął talerz ku Clarissie. – Chyba że chodzi o deser. – Mieli tylko jeden widelec. – Zjesz ze mną?

Uśmiechnęła się tak szeroko, że aż ją zaboląła szczęka. Wzięła widelec i zgarnęła trochę kremu posypanego tartą skórą cytrynową, choć ledwie tego skosztowała.

– Nie myśl, że nie zauważyłem, że jadasz tylko lukier.

– Zawsze tak robię. No teraz to już naprawdę odkryłeś mój najciemniejszy sekret.

– A ty znasz mój – powiedział. – Nigdy nie rozmawiam o pracy. Moja żona nie chce... nie chciała tego słuchać. Obawiam się, że to nudne.

– Nikt by tego nie uznał za nudne. – Wiedziała, że schlebia mu swoim zainteresowaniem, uwagą i podziwem i że to działa, ale wszystko to było z jej strony szczere.

Czy jej zadurzenie w Robercie było równie niebezpieczne, jak stosunek Rafe'a do niej? Oczywiście, że nie, mówiła sobie. Nie można ich porównywać. Usiłowała nie myśleć o wypatroszonych majtkach w swojej torbie.

Uniosła rękę, wyciągnęła ją ku niemu i zamarała w powietrzu. Spojrzał na nią, mrużąc oczy, z zachętą, lecz pytająco, aż dokończyła gest i otarła mu żółty okruszek z podbródka, po czym oboje na kilka sekund znieruchomieli.

Zaskoczyło ją wspomnienie, jak Henry wyciera jej palcem rozmazaną czekoladę z warg, a potem ją całuje.

Pokręciła głową, otrząsając się zarazem z tego wspomnienia, i spytała lekkim tonem:

– Czy wszyscy strażacy są tacy jak ty?

– No. Mamy proste potrzeby. Pełnia szczęścia to dużo mięcha i kartofli. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

– Nie wierzę.

Roześmiał się.

– Pewnie nie poznałaś za wielu strażaków...

Też się roześmiała.

– Ty jesteś zdecydowanie pierwszy.

– Ani wielu ludzi.

– Obawiam się, że masz rację. Będę musiała wydłużyć swoją listę znajomych, prosząc jutro Granta, żeby wypił ze mną kawę. A ty musisz poprosić Sophie. – Byli to przysięgli, których najmniej lubili.

– Jednego jestem pewien – powiedział.

– Czego?

– Nie zaproszę tu Sophie.

– No cóż, a ja jednak zaproszę Granta.

Wtorek, 24 lutego, godzina 19.00

Tym razem na brązowej kopercie jest tylko moje nazwisko. Imię i nazwisko. Wydrukowane. Żadnej wiadomości. Tylko ta fotografia. Tylko jedna.

Leżę w moim pokoju, prawie naga, z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, nadgarstki i kostki mam przywiązane do ramy łóżka; czarna opaska na oczach, czarna szarfa na ustach. Mam jeszcze na sobie te majtki, lecz już wyciąłeś krocze. Pończochy i stanik pozostały bez zmian, ale teraz obok leżą nożyczki. Dodałeś też zwinięty pejcz przy mnie na łóżku.

Cała ta twoja mamiąca gadka o miłości. Ale rzeczywista prawda jest tu, na tej fotografii. Tak mnie zawsze widziałeś, tak mnie sobie od początku wyobrażałeś, to zawsze chciałeś robić. Usidlić, kontrolować i ranić. To właśnie robisz mi każdego dnia, najzupełniej dosłownie. Takiej mnie chcesz. Dmuchanej lali, która nie może mówić ani się ruszać, o ledwie

widocznej twarzy, wręcz pozbawionej świadomości – możesz z nią robić, co chcesz.

Nie może ci nawet odmówić. Jakkolwiek marzysz o tym, by usłyszeć słowo „tak”, nie potrzebujesz tego. Dla ciebie to bez znaczenia. Postąpisz, jak zechcesz, za jej zgodą czy bez niej, o ile ujdzie ci to na sucho.

Rozumiem też, że twarz zasłoniłeś mi może po to, by wykorzystać tę fotografię. W jednym z moich magazynów krawieckich jest dział, gdzie czytelniczki przysyłają zdjęcia tego, co zrobiły. Dołączają historie objaśniające, na jaką okazję uszyto dane ubranie, jak szła robota, jakich specjalistycznych narzędzi użyto albo jakie zwykłe przybory domowe zaimprovizowano bądź przystosowano. W twoim magazynie musi być podobny dział *Od czytelniczek*.

Może tamta fotografia stanowiła twój wkład dla tej szczególnej społeczności fanów. Wraz z narracją o tym wszystkim, co mi robiłeś. Czy powinnam się cieszyć, że nie można mnie łatwo rozpoznać?

Próbuję się przekonywać, że to coś na łóżku to nie ja, że to tylko moja powłoka, ale to nie działa.

Znów myślę o tym fragmencie, który podkreśliłeś w *Zbójeckim narzeczonym*. Kieliszki wina i pęknięte serce, rozłożone nagie kobiece ciało, sól w ranach. Oto, co mi zrobiłeś. I nadal robisz.

Jak długo upozowywałeś moje ciało i pstrykałeś fotografie? Pamiętam twoją wypchaną teczkę z blokowanym zapięciem. Teraz wiem dokładnie, jakie

rekwizyty przyniosłeś ze sobą tamtego wieczoru. Wiem, skąd się wzięły ślady na moim ciele.

Nigdy nie miałam wątpliwości, że odbyliśmy stosunek. Ten ból między nogami nazajutrz rano i infekcja pęcherza wyraźnie o tym świadczyły. Wiem teraz, że musiałam być przywiązana, gdy do tego doszło. Ledwie zdążyłam do umywalki w łazience, żeby wymiotować.

Przez cały czas miałeś tę fotografię, a ja o tym nie wiedziałam, nie pamiętałam takiego naruszenia mojej intymności. Jak mogę tego nie pamiętać? Jest tylko jedno wyjaśnienie: teraz nie mam już najmniejszych wątpliwości, że dodałeś mi coś do wina.

Ochlapuję sobie twarz zimną wodą i myję zęby. Wpycham twoje obrzydliwe trofeum na dno szafy. Nie do szafki z resztą dowodów. Wiem, że nie powinnam tego niszczyć, ale jesteś na tyle sprytny, by rozumieć, że nie zniosłabym, by oglądał to ktoś jeszcze. W porównaniu z tym twoja druga fotografia wydaje się nieszkodliwa.

Włączam laptopa i zamawiam przez internet nowy materac i łóżko. Myślałam już o tym wcześniej, ale teraz po prostu muszę to zrobić. To pomaga: zrobienie czegoś. Wezgłowie i oparcie na nogi będą solidne, z jednego kawałka. Żadnych listew. Żadnych słupków. Płacę więcej, żeby przy okazji zabrali stare. Będę nadal sypiać na sofie, dopóki za cztery tygodnie nie przywiozą nowego łóżka.

Każdego ranka ułożę w stos koce i poduszki i schowam je do starej cedrowej skrzyni, którą moi rodzice dostali kiedyś jako prezent ślubny. Przypomni mi to, że stanowi to rozwiązanie tymczasowe, stosowane tylko na noc. Moja sypialnia znów stanie się moją sypialnią. Ale nigdy już nie będę spać w starym łóżku, gdzie robiłeś mi te rzeczy, na tym miejscu koszmarów, o których nigdy nie pozwolisz mi zapomnieć.

Środa, 25 lutego, godzina 8.07

Nie ma cię koło mojego domu, dlatego wiem, że zastanę cię przy stacji. Będzie to dla ciebie nie lada gratka: zobaczyć moją reakcję na twój ostatni prezent. Nie oprzesz się tej pokusie. Nie będziesz się mógł doczekać.

Mam rację. Ledwie wysiadłam z taksówki, przechodzisz koło mnie. Wolałabym się mylić. Wolałabym nie znać cię aż tak dobrze.

– Podobają ci się pamiątki z naszej wspólnej nocy, Clarisso?

Nie patrzę na ciebie ani się nie odzywam. Wiesz, że tego nie zrobię. Nie możemy się już niczym zaskoczyć.

– Możemy to zrobić w sposób bardziej wyrafinowany, Clarisso. Jak w tym magazynie. Jest taki inspirujący, nie sądzisz?

Popelniam błąd i spoglądam na ciebie przelotnie. Twoje wargi są może cienkie i blade, ale wyraźnie błyszczą, jakbyś je właśnie oblizał.

Masz skórzane rękawiczki, które nosiłeś w parku. Teraz widzę, że przypominają te z okładki twojego magazynu. Dostaję gęziej skórki na prawym nadgarstku na wspomnienie „pokrzywki”, którą mi zrobiłeś, choć ślady ustąpiły tydzień temu.

Pochylasz się ku mnie.

– Strasznie ci się podobało, jak cię tak przywiązałem. Musiałem cię zakneblować, żeby sąsiedzi nie słyszeli. Od tego knebla po prostu się rozszalałaś. No i od tej przepaski na oczy.

Dźgam cię łokciem w bok, mocno, zadowolona na widok twojego grymasu szoku i bólu.

– Odejdź ode mnie. – Słowa wrywają się ze mnie, jakbym zbyt długo wstrzymywała oddech i nie mogła się pohamować.

– Są też inne fotografie, Clarisso. Gra wstępna była bardzo bogata. Przykładałam do tego wielką wagę. Chciałabyś je zobaczyć? Myślisz, że spodobałyby się strażakowi? Wiem, gdzie mieszka.

Przepycham się przez kołowrotek bramki, nie oglądając się za siebie. Spodziewam się, że pójdziesz za mną. Nie robisz tego, ale słyszę cię, jak wołasz zza bariery, gdy skręcam w stronę przejścia podziemnego.

– Żartuję tylko, Clarisso. Zachowam moje pamiątki dla siebie. Wiesz, że z nikim się tobą nie podzielę. – Śmiejesz się. Rzadko się zdarza słyszeć twój śmiech, choć jest on gorzki i pełen nienawiści; mam wrażenie, że mnie nim przeklinasz.

Clarissa zacisnęła powieki, ale nie przestawała widzieć siebie jako koszmarniej istoty ze stron jego magazynu czy okropnego filmu sado-maso. Zmuszała się do skupienia uwagi, usiłowała nie kłuć się już ołówkiem. Zastanawiała się, czy policja przegląda czasopisma tego rodzaju, próbując odnaleźć kryminalistów i ofiary, wyjaśnić przestępstwa.

Wpisała jej dane indeksowe: *Betty Lawrence, kryminalistyk, 146*. Annie puknęła w papier i pokręciła głową z udawaną rozpaczą, widząc, ile stron liczą już notatki Clarissy. Robert też czasem się z nią droczył; sam zapełnił najwyżej kilka kartek.

Lawrence objaśniała wyniki testów DNA. Clarissa wyobraziła sobie ekipę kryminalistyków zebraną wokół jej łóżka, pobierających wacikami próbki, pstrykających kolejne zdjęcia. On zrobił z niej spektakl, coś groteskowego. Musiała jakoś stawić opór, by nie przesłoniło jej to własnego obrazu siebie.

– Zbadałam części ubrania należące do Carlotty Lockyer – mówiła Lawrence.

Clarissa starała się siedzieć bardziej prosto i domknąć własny wizerunek. Usiłowała nie wyobrazić sobie, jaką odrazę poczułby do niej Robert, gdyby to kiedykolwiek zobaczył. Wyobrażała sobie, że materiał ten zostaje wyświetlony przysięgłym na ekranie jak ten po jej prawej stronie, i modliła się, by nigdy do tego nie doszło.

– Były wśród nich różowe majtki bikini znalezione za szafką w łazience mieszkania, gdzie jak twierdzi pani Lockyer, była ona przetrzymywana. Bielizna ta została poplamiona znaczną ilością krwi. Stwierdzono, że jest to krew pani Lockyer.

Clarissa wyobraziła sobie własne pocięte majtki: ich przód i tył jako jeden opatrzony numerem dowód rzeczowy, znaleziony w jej mieszkaniu; ich krocze jako kolejny dowód, odzyskany u niego w domu – może odkryty w gablotce. Co

kryminalistyk znalazłby na jego pamiętce? Usiłowała stłumić upokorzenie, jakie odczuwała na myśl, że ktoś miałby badać pozostałe na nich plamy. Jego sperma na szkiełku. Jej wydzieliny pod mikroskopem.

Środa, 25 lutego, godzina 13.15

Chcę się oprzeć impulsowi, by się ukrywać. Wkurza mnie to, że muszę się ukrywać z twojego powodu. Stoję w kolejce w nadmiernie oświetlonym markecie, by kupić pojemniczek jogurtu.

Jestem śmieszna, sądząc, że mogę zrobić coś tak zwyczajnego jak pójście do pobliskiego sklepu. Jestem głupia w swojej desperacji, by odetchnąć świeżym powietrzem, tylko przez kilka minut pochodzić tu i tam. Jestem niemądra, nie chcąc zrezygnować z normalnych działań. Bardzo, ale to bardzo sobie współczuję i wiem, że absolutnie muszę to powstrzymać.

Słyszę cię, jeszcze zanim cię zobaczyłam. Twój głos jest cichy, bo przeznaczony tylko dla mnie. Twój ciepły oddech czuję w uchu.

– Nie używałem wobec ciebie tego pejcza, Clarisso. W każdym razie nie na poważnie, choć wyraźnie sprawiały ci przyjemność początki naszych eksperymentów z jego udziałem. Następnym razem.

Eskalacja. Oto, przed czym ostrzegają wszystkie broszurki na temat stalkerów. Wszystkie uprzedzają, że do tego dojdzie. Kiedy pierwszy raz przeczytałam to słowo, nie dopuściłam do tego, by sobie należycie

wyobrazić, co oznacza eskalacja, jak się ją odczuwa w realnym życiu, co konkretnie możesz zrobić, żeby do niej doprowadzić. Nie pozwoliłam, by to słowo nabrało dla mnie odpowiedniej treści. Twoje ręce na mnie w parku. Twoje wstrętne fotografie.

Odkładałam jogurt na półkę i uciekam ze sklepu. Marna ze mnie biegaczka. Po paru sekundach brak mi tchu, kłuje mnie w boku. Ludzie patrzą, gdy lawiruję przez tłumek, biegnę, śmiesznie machając rękoma, przez bazar, żeby wpaść z powrotem w bezpieczny azyl poczekalni dla przysięgłych. Przez cały czas mam cholerną nadzieję, że nie ma wśród nich Roberta, więc nic nie zobaczy. Oglądam się przez ramię, skręcając za róg w ulicę, gdzie stoi gmach sądu. Dyszę, potykam się i ledwie łapię równowagę, ale nie podążasz za mną. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jak oczywiste stałoby się to, że mnie ścigasz, gdybyś ruszył za mną biegiem.

Musiała to spowodować intensyfikacja mdlącego przerażenia, które nie opuszczało jej teraz ani na chwilę. To dlatego znów pomyślała o Bettertonach. Znalazła spokojny kąt w pomieszczeniu dla przysięgłych i zadzwoniła. Odebrała tamta kobieta.

Teraz wszystko zależało od jej siły perswazji, miała tylko chwilę.

- Muszę wiedzieć, co się stało z Laurą – powiedziała.
 - To zupełnie tak jak my. – Połączenie przerwano.
- Spróbowała jeszcze raz.

– Proszę ze mną porozmawiać – nalegała. – Proszę.

– Niech nam pani da spokój. – Znow odłożono słuchawkę.

Spróbowała po raz trzeci. Nikt nie odebrał.

Skoro nie chcieli, by do nich wydzwaniano i wypytywano o Laurę, czemu nie zastrzegli numeru? Dlaczego tak łatwo było ich odnaleźć? Dzwoniąc, za każdym razem pozwalała, by wyświetlił im się jej numer telefonu, w nadziei, że będą wobec niej mniej podejrzliwi, a może nawet oddzwonią, choć w głębi duszy wiedziała, że tego nie zrobią. Dlaczego więc ciągle podnosili słuchawkę?

Pod koniec dnia adrenalina wciąż jeszcze krążyła jej w żyłach, gdy czekali w aneksie, aż woźny sądowy sprowadzi ich na dół. Próbowwała uspokoić Annie, która zastanawiała się, dlaczego Clarissa wygląda, jakby była ubielona na twarzy.

Z zadowoleniem usłyszała dudniący głos Granta, który odwrócił od niej uwagę koleżanki.

– Dlaczego było tak mało spermy Tomlinsona? To nie ma sensu. Gdyby jej skończył na twarz, a ona potem, jak twierdzi, wytarła to koszulką i džinsami, powinno zostać więcej.

– Objętość spermy bywa różna u różnych mężczyzn. Za normę uważa się zarówno jeden mililitr, jak i pięć. – Głos Clarissy brzmiał spokojnie. Ale wcale się tak nie czuła. –

Z tego, że kryminaliści znaleźli na ubraniu tylko kilka niewielkich śladów, nie wynika, że Lockyer kłamała. – Pochwyciła spojrzenie Granta i poczuła, że sama się rumieni.

– Może on po prostu nie za dużo tego wytwarza.

Clarissie i Robertowi weszło w nawyk, że zwlekali pod koniec dnia w sądzie, po czym razem opuszczali gmach. Naprawdę polubiła jego towarzystwo ze względu na niego samego, a fakt, że jednocześnie uodpamniał ją na Rafe'a, że mogła chodzić z Robertem na stację, czując się zupełnie bezpiecznie, stanowił tylko dodatkową zaletę.

Udawała, że nie czeka, aż on wyjdzie z przebieralni. Sumiennie studiowała poważne ostrzeżenia umieszczone ponad biurkiem funkcjonariusza sądowego, jakby przed wyjściem koniecznie musiała nauczyć się ich na pamięć. *Nie wpływać na członków ławy przysięgłych. Nie fotografować. Nie rozmawiać o tym, co się dzieje na sali obrad, bo stanowi to przestępstwo kryminalne karane grzywną, a nawet więzieniem – i niepodlegające przedawnieniu.*

Gdy pojawił się Robert, uroczyście powtórzyła mu te ważne zasady. Z udawaną powagą przy każdej kiwał ze zrozumieniem głową.

– Widziałś twarz Granta, jak tylko zaczęłaś mówić o spermie?

– Umyślnie nie patrzyłam. – Było to wielkie kłamstwo. Oboje się uśmiechnęli.

– Nie powinno tak być, ale większość mężczyzn na takie słowa poczułaby się nieswojo – zauważył.

Zastanowiła się, czy ma rację.

– Ale to było istotne – przyznał. – Skąd wiesz takie rzeczy?

– Dobra jestem w biologii człowieka.

– Nie wątpię. Chyba jednak chodzi tu o coś więcej.

– Za wiele nieudanych prób zapłodnienia in vitro. Tak zwany poważny czynnik męski niepłodności.

– Au – skwitował.

Tym razem, mówiąc, patrzyła wprost na niego.

– Wiem o spermie więcej, niżbym sobie życzyła.

Roześmiał się, ale szybko spoważniał.

– Nie dało efektu?

– Nie – odparła. – Nie ma dziecka. – Starła się nie wyglądać smutno, lecz bała się, że jej się to nie udaje. –

Henry kazał mi przysiąc, że nigdy nikomu nie powiem, dlaczego konieczne było leczenie, ale myślę, że klauzula poufności wygasa.

Nie jest to zdrada, powiedziała sobie. Robert nigdy nie spotka Henry’ego; naprawdę chodziło o to, że nie chciała, by Robert myślał, że to ona miała problemy z płodnością.

– Zresztą to nie dzieci nas zbliżyły. On nie jest typem mężczyzny, który za nimi przepada. Ale zgodził się na to dla mnie, bo wiedział, jak bardzo chcę dziecka.

– Zostałabyś z nim, gdyby się nie zgodził?

– Bardzo chciałam z nim być, więc tak – przyznała powoli. – Ale na samym początku Henry złożył mi obietnicę, że spróbujemy mieć dziecko. Nie jestem pewna, czy nasz związek przetrwałby, gdyby ją złamał. Jak się okazało, nie przetrwał, bo jej dotrzymał. Przerazało go to, że dziecko przeszkodzi mu w pisaniu.

– To zrozumiałe – powiedział Robert.

Kiwnęła głową.

– Odczuwał skrywaną ulgę za każdym razem, gdy zapłodnienie in vitro się nie udawało. Pozostawało to między nami niedopowiedziane, ale wiedziałam, że tak właśnie się czuł.

Przypomniała sobie wiadomość, którą Rafe wysłał jej tuż przed procesem. Spoczywała teraz obok innych rzeczy, których – miała taką nadzieję – pani Lawrence nigdy nie będzie musiała badać. *Mógłbym dać Ci dziecko, Clarisso. Pozwól mi.*

– Współczuję ci – powiedział Robert.

– Nie jestem pewna, czy na to zasługuję. Nie zadałam sobie trudu, żeby zastanowić się, jak dwuznaczne jest podejście Henry’ego do całej sprawy. Byłam zbyt przestraszona, by to przyjąć do wiadomości. Przestraszona, że przeszkodzi mi to osiągnąć cel. Mówiłam sobie, że on pokocha dziecko, gdy ono już przyjdzie na świat, i będzie się nim cieszył. Miałam wręcz obsesję na tym punkcie. Kupiłam nawet wykroje dziecięcych ubranek i pieluszek. – Przewróciła oczyma, zażenowana.

– Musiało mu bardzo na tobie zależeć – powiedział Robert – skoro to dla ciebie zrobił, mimo że jest taki, jak mówisz.

– On jest... On był bardzo skomplikowany. Ale nie chciał więcej próbować. Za dużo dla niego było tego całego nieudanego poczynania dzieci. W gruncie rzeczy, dla nas obojga, choć wtedy nie mogłam się do tego przyznać. Czuli się... podle, był nawet wściekły, o ile Henry potrafił w ogóle okazywać takie uczucia, patrząc, jak z jego powodu biorę

wszystkie te leki, widząc, co one ze mną robią, bo pragnę osiągnąć cel, którego on sam nawet nie chciał. – Spróbowała zdobyć się na wątyły żart. – Rywalizowałam z Lottie w używaniu igły.

Nie roześmiał się.

– Byłaś smutna.

– Byłam. – Wbiła wzrok w chodnik. – Byłam bardzo, bardzo smutna. Tak pragnęłam dziecka, macierzyństwa. Dlatego straciłam z oczu Henry’ego. Nie byłam wobec niego w porządku. – Ulżyło jej, gdy wyznała Robertowi jakąś część prawdy o sobie. Chciała się przekonać, jak się do tego odniesie.

– Miałabyś coś przeciw temu, gdybym zapytał, dlaczego nigdy się nie pobraliście?

Miałaby, ale wyłącznie dlatego, że nie cierpiała o tym myśleć.

– Jego żona była katoliczką. Nie chciała rozwodu. Mówiła, że w oczach Boga pobrali się na wieki wieków. Henry miał wobec niej zbyt silne poczucie winy, żeby nalegać. Ja również.

– Wygląda na to, że umrą jako małżeństwo.

– Minęło pięć lat, odkąd żyją w separacji, a on jeszcze się nie rozwiódł.

– Czyli gotów był mieć z tobą dziecko i narazić cię na wszystkie te procedury medyczne, ale nie był gotów na to, by się z tobą ożenić.

– Tak właśnie mawiała moja matka.

– Miło wiedzieć, że przypominam ci matkę.

– Moja matka jest cudowna. – Oboje się uśmiechnęli. – Zawsze myślałam, zawsze mówiłam sobie, że jeśli zajdę w ciążę, to wszystko się zmieni. Że gdyby miał tak poważny powód, należałoby na rozwód.

– Może. – Robert nie wydawał się przekonany.

– Myślę, że chyba za bardzo bał się powtórnego ożenku. Już raz mu się nie udało. Czuł też, że liczy się nasze bycie razem. Cała ta gadka, że żaden świstek nam niepotrzebny. Myślę, że tkwi w tym ziarno prawdy.

Robert patrzył przed nich, na drugą stronę ulicy, ze ściągniętymi brwiami. Nie miała wątpliwości, że jest tam Rafe. Poślizgnęła się na poczerniałym śniegu. Robert ją podtrzymał.

Nie mogła zmarnować okazji, by raz jeszcze go uczulić na zagrożenie.

– Widziałeś coś? – spytała. Chciała wzmocnić w nim ewentualne podejrzenie, że coś jest nie w porządku. Upewnić się, że jest gotów mieć się na baczności.

Pokręcił głową.

– To nic.

Nie była pewna, czy bardziej ją przestraszyło jego zaprzeczenie, czy konsekwencje tego, co by się stało, gdyby przyznał, że zauważył Rafe'a. Poszła za ciosem.

– Myślałam, że może zobaczyłeś coś, co cię zaniepokoiło.

– Mówiłem ci, że mnie nic nie niepokoi.

– Ale powinno. Każdy powinien się czasem niepokoić.

– Nie musisz się o mnie martwić. To nie twoje zadanie. –

Wydała się dotknięta; wyraźnie zmusił się do uśmiechu. –

Jesteś chyba wobec siebie zbyt surowa w związku z Henrym – zmienił temat. – I z jego żoną. Ludzie przecież nie zawsze mają wpływ na to, w kim się zakochują.

Za bardzo była zaniepokojona sprawą Rafe'a, by dotarło do niej to, co właśnie powiedział, choć odtworzyła to sobie później. W tym momencie zastanawiała się tylko, czy może coś jeszcze zrobić, by go ostrzec, ale dała za wygraną w obliczu kolejnego niepowodzenia.

– Powiesz mi, co się stało z twoją żoną? – Poczula, że swoimi pytaniami na temat Henry'ego upoważnił ją do zmiany tematu na trudniejszy, bardziej osobisty.

– To był wypadek drogowy. Późnym rankiem. Inny samochód zjechał na przeciwny pas jezdni i zderzył się z nią czołowo. Zginęła na miejscu. Wróciłem z nocnego dyżuru i poszedłem prosto do łóżka. Nie miałem pojęcia, że się gdzieś wybiera. Nie zdawałem sobie sprawy, że wyszła z domu.

Mówił to jakby bez zaangażowania. Ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak robił. Odsłaniał się, ale jednocześnie ukrywał.

Po raz pierwszy ona i Robert spędzili wspólnie przerwę na lunch. Spacerowali po spokojnych ścieżkach pobliskiego parku. Ledwie tam weszli, odgłosy ruchu ulicznego Bristolu ucichły. Bez Roberta nigdy nie odważyłaby się tam zapaść. Brakowało jej parków.

Siadł na drewnianej ławce pod drzewem. Ona także, podwijając pod siebie nogi. Jego nagła sztywność z poprzedniego popołudnia wyraźnie minęła.

– Lottie niewiele robi, żeby sobie pomóc, prawda? – powiedział.

Pokręciła smutno głową na znak potwierdzenia, mając nadzieję, że tego samego nie będzie można powiedzieć o niej.

– Opowiedz mi o najgorszej rzeczy, jaką w życiu zrobiłeś.
– Zaskoczyło ją, że zadała to pytanie.

Zastanawiał się przez kilka sekund.

– Poznałem moją żonę podczas randki w ciemno. Ona... – urwał. – Innym razem. To nie jest historia na teraz. – Ale uśmiechnął się dzielnym i filozoficznym uśmiechem, który miał złagodzić odmowę, a ona pomyślała, że to sprawa dla niego zbyt bolesna. Nie chciała nalegać, aby więcej opowiadał o zmarłej żonie, zwłaszcza gdy dzień wcześniej zobaczyła, jak działa na niego ten temat.

– Masz prawo nie udzielać odpowiedzi – zastrzegł – ale opowiesz mi o swojej najgorszej rzeczy?

Obserwowała rudzika, który skakał po trawie, wyraźnie niczego nie znajdując. Zmusiła się, by unieść głowę

i spojrzeć na Roberta.

– Przespałam się z kimś, kto w ogóle mnie nie obchodził.

– Jej głos zabrzmiał bardzo cicho.

– To nie takie straszne – zauważył. – Ani takie niecodzienne.

– To jednak... było... straszne. – Były też inne straszne rzeczy, o których mogła mu opowiedzieć.

Telefon dzwoniący kilka miesięcy po tym, jak Henry zostawił żonę i wprowadził się do mieszkania Clarissy. Jego żona wrzeszcząca do słuchawki o męskim kryzysie wieku średniego, młodszych kobietach i banałach. Stwierdziła, że Clarissa nie jest bynajmniej pierwszą kobietą, z którą Henry ma romans. Powiedziała, że on jest bezpłodny. Że i tak nie chce dzieci, a to, że ich mieć nie może, całkiem mu odpowiada. Że pozbawi Clarissę szansy na macierzyństwo, a zanim ona się zorientuje, już będzie za późno. Że sama aż za dobrze wie, jak się kobieta wtedy czuje.

Henry wyrwał słuchawkę z zaciśniętych palców Clarissy i próbował ułagodzić żonę, ale Clarissa słyszała jej ostatnie wykrzywane słowa, zanim Henry przerwał połączenie: Clarissa jest nikczemną złodziejką mężów i dostanie, na co zasłużyła. Teraz zaczynała się obawiać, że to przekleństwo właśnie się spełnia.

Potem Henry objął ją, pocieszył i obiecał, że zrobi, co w jego mocy, by dać jej dziecko, jeśli tego pragnie, choć wyjaśnił, że nie będzie to możliwe w naturalny sposób. Ale Clarissa nie potrafiła przestać myśleć o tej biednej kobiecie, która nie mogła się znaleźć w ramionach Henry'ego, a jednak

tego chciała; kobiecie, która nigdy nie miała dziecka, chociaż tego pragnęła. Jego żona nie zachowywała się jak osoba, która już nie kocha męża, choć Henry zaklinał się, że jest inaczej.

Robert uważnie przyglądał się Clarissie, jakby próbował zajrzeć jej w głąb czaszki, czyli dokładnie w miejsce, którego nie miała ochoty mu pokazywać.

– Opowiedz mi więcej o pożarach – poprosiła. Zęby jej szczękały.

– Za zimno ci tu, na dworze.

– Nie. – Nie chciała odchodzić.

Zdjął szalik i założył go jej na szyję.

– Na tobie znacznie ładniej wygląda – zauważył.

Przesunęła się na ławce, bliżej niego.

– Opowiedz mi – powtórzyła. – Proszę.

– Widzę, że walka z tobą jest beznadziejna. – Szybko znów przybrał poważny wygląd. – Musisz poczuć, co robi ogień – zaczął – jak się zachowuje. Wykorzystać wszystkie zmysły, nie tylko umysł. Można zobaczyć, jak ogień oddycha – mówił – jak pulsuje. Tańczące anioły są zabójcze. To zupełnie jak patrzenie w sufit zrobiony z gwiazd. Nie wolno dać się skusić, by na nie patrzeć.

– Zupełnie jak na syreny – zauważyła.

Kiwnął głową.

– Zupełnie jak na syreny, owszem. Jak widzisz tańczące anioły, musisz wyjść, zanim dojdzie do rozgorzenia. Jeżeli natychmiast tego nie zrobisz, to nic z ciebie nie zostanie.

Mecenas Belford wstał niespiesznie, pomilczał chwilę,

czytając notatki, po czym pochylił się do przodu i szepnął coś do swego asystenta. Były to jego zwykłe sztuczki mające wytrącić świadka z równowagi. Kobieta nerwowo założyła włosy za uszy, gdy wreszcie się do niej odezwał.

– W chwili gdy świadek badała panią Lockyer, świadek dopiero od dwóch miesięcy była policyjnym ekspertem medycyny sądowej. W gruncie rzeczy świadek nie miała w tym jeszcze większego doświadczenia, prawda?

Doktor Goddard poprawiła się na krześle.

– Byłam wykwalifikowanym lekarzem od dwudziestu lat.

Zsunął lekko okulary, by się jej przyjrzeć.

– Świadek zauważyła, że pani Lockyer odczuwała ckliwość w klatce piersiowej, a oddychanie sprawiało jej ból. To są zgłoszone urazy: subiektywny opis objawów pacjentki. Świadek nie miała możliwości potwierdzić, czy ona mówi prawdę na ich temat.

Czwartek, 26 lutego, godzina 20.40

Zaskakuje mnie ciche pukanie do drzwi mojego mieszkania. Czuję się, jakbym dopiero co przebiegła spory dystans i raptem się zatrzymała. Chwytam za telefon, gotowa wykręcić 999, jeśli to jesteś ty – jeśli rzeczywiście znalazłeś się w moim budynku, oznacza to realne zagrożenie. Ale na moje pełne niepokoju „Kto tam?” odpowiada pani Norton. Pamiętam, jak ten praktykant ślusarski mówił do mnie i Annie, że powinniśmy zainstalować judasza w naszych wewnętrznych drzwiach. Nie zdjął przy tym swoich purpurowych słuchawek. Po tym małym fałszywym

alarmie przyrzekam sobie, że umówię się ze specjalistą, by załatwić to podczas weekendu.

Pani Norton ma na sobie szlafrok koloru bladoniebieskiego. Uszyty z grubego weluru. Staruszka pachnie talkiem dla niemowląt. Widać go na nadgarstkach i dłoniach, które trzymają wielkie, białe podłużne pudło. Podążam za nią do salonu, jakbym była tu gościem, a mieszkanie należało do niej. Ona osuwa się na sofę i zapraszająco klepie poduszkę obok:

– Siądź tu przy mnie, kochaniutka. – Ale jest nieco wybita ze swojej zwykłej roli gospodyni domu: marszczy brwi. Trzyma pudełko na swoich drobnych kolanach. – Nie było bileciku ani nazwiska, Clarisso.

Nie potrzebuję bileciku ani nazwiska, by wiedzieć, że pudełko jest od ciebie.

– To dlatego je otworzyłam – wyjaśnia.

Wiem, że cokolwiek zawiera pudełko, nie może to być nic dobrego. Gdybym miała jakieś zwierzę domowe, spodziewałabym się, że znajdę tam jego martwe ciało.

Pani Norton unosi pokrywkę, a ja próbuję zajrzeć do środka, bez wahania, udając, że nie jestem przestraszona, choć muszę sobie przypominać, żeby miarowo oddychać.

Ale ze środka nie wyskakuje żaden potwór. Nie eksploduje bomba. Woń śmierci nie unosi się znad pojemnika. Jest tylko zapach róż.

Róże są czarne. Nie przypominam sobie, żebym już kiedyś widziała czarną różę, więc zaczynam się zastanawiać, czy jest to jakaś osobliwa hybryda, rzadkość. Wyobrażam sobie, że ktoś je pomalował, jak kwiaty z *Alicji w Krainie Czarów*. Trudno mi się oprzeć wrażeniu, że te róże są piękne. Gdyby nie były od ciebie, pokochałabym je. Są zadziwiające. Przepleciono je czerwonymi makami i karmazynowymi zawilcami.

Zanim pani Norton odezwała się ponownie, myślę, że może nie jest to taki straszny dar, choć zdaję sobie sprawę, że moje poczucie straszności jest dziś kształtowane przez najbardziej skrajny relatywizm.

– To są kwiaty śmierci, Clarisso, wszystkie – mówi pani Norton. – To wiązanka żałobna. Mam swoje lata i widziałam ich już sporo. Podczas pogrzebu kładzie się je na trumnie. Wiem, że już niewiele czasu spędzę na tym świecie, ale jestem całkiem pewna, że kwiaty te nie są przeznaczone dla mnie.

Ściskam panią Norton za rękę. Zaszło mi w ustach. Wyobrażam sobie twoje nożyczki przecinające moją bieliznę, twoje nożyczki między moimi nogami, twoje nożyczki tnące te kwiaty. Czuję krótkie ostre dźgnięcie, pośrodku podbrzusza, w macicy czy może kości łonowej, swego rodzaju konwulsję. Wiem, że to doznanie fizyczne jest najzupełniej realne, a nie urojone. Jutro powinien zacząć mi się okres, a to nagłe ukłucie musi z tym

mieć coś wspólnego.

– Uważasz, Clarisso, że jestem po prostu słodką staruszką, miłą starą panną, która nic nie rozumie i niczego nie przeżyła... – sprzeciwiam się, kręcąc głową – ...ale ja widzę, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Twój rodzice byliby tym mocno zmartwieni. Mam do nich zadzwonić? Na kartkach na Boże Narodzenie umieszczają zawsze numer i adres, kochaniutka, tak na wszelki wypadek. Jakże miło...

– Potrzebuję wody. – Pani Norton nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy wstaję gwałtownie z sofy i chwiejnym krokiem idę do kuchni. Wypijam dwie szklanki, wylewając sobie sporo na klatkę piersiową. Ocieram oczy i usta rękawem. Staję przy lodówce, przyciskając czoło do zimnego metalu, jakbym chciała schłodzić mózg.

Wracam do salonu, siadam znów przy pani Norton i cmokam ją w policzek.

– Proszę nie dzwonić do moich rodziców. – Dotykam pudełka. – Mogę? – Kiwa głową, więc biorę od niej opakowanie i badam zawartość. Żadnych śladów kwiaciarni. – Oni i tak za bardzo się o mnie martwią. – Szukam pod wiązanką, zaginam bibułkę, na której leży. Pani Norton ma rację. Nie zostawiłeś żadnych śladów. – Nie chcę ich niepokoić. – Znajdą się jednak inne sposoby, by sprawdzić, skąd to wzięłeś; to musiało być specjalne zamówienie.

– To bardzo nieprzyjemne. Wysyłanie czegoś

takiego młodej damie to groźba – mówi pani Norton. – Martwię się, Clarisso, kochaniutka, odkąd stałaś się tak przygnębiona w walentynki. No i ten mężczyzna, który tak cię zdenerwował. Już go potem nie widziałam, ale podejrzewam, że ty tak. Musisz poprosić o jakąś pomoc, kochaniutka. Złożyć skargę.

Jestem spokojniejsza, ulżyło mi, że nie jest to kolejna fotografia. Znowu odzywa się ten skrajny relatywizm. Dajesz mi nauczkę. Jasno już pokazałeś, jak bardzo lubisz dawać nauczki.

Zamykam pudełko, przemierzam pokój i wydaję z szafki jeszcze jeden stosik tkanin, by zrobić na nie miejsce.

– Zamierzam złożyć skargę – mówię. – Daję słowo. Muszę jednak najpierw wyjaśnić kilka szczegółów, by mieć pewność, że okaże się to skuteczne. Chcę, żeby skarga została przyjęta.

Pani Norton, jak wszystkie najlepsze dobre wróżki z baśni, jest nieco apodyktyczna. Podnosi się, by odejść, machnięciem ręki zbywa moją propozycję, że odprowadzę ją na dół, nie zapomina jednak o ostatnim poleceniu:

– Tylko nie zwlekaj za długo, kochaniutka.

Sędziowie przysięgli z sali rozpraw numer dwanaście nabrali nawyku gry w pokera. Siedząc wokół dwóch chybotliwych stolików, które zestawiali razem, pokrzykiwali, uderzali dłońmi i śmiali się piskliwie, sapiąc z niedowierzania lub komicznej irytacji. Inni przysięgli pojawiali się i znikali, wykonując swoje dziewięciodniowe obowiązki, ale przystawali, by popatrzeć z boku, a nawet zazdrościli im tego osobliwego poczucia koleżeństwa i zasiedzenia w poczekalni dla przysięgłych, które zrodziło się wskutek wspólnego udziału w tak długim procesie.

Clarissa nie знаła tej gry, ale raz na jakiś czas przysiadła w pobliżu dla towarzystwa, czytając po cichu lub popijając kawę. Robert grywał czasem, choć Clarissa podejrzewała w duchu, że nie z zamiłowania, tylko dla okazania dobrej woli. Strażacy muszą umieć działać w zespole, myślała; muszą być szczególnie uwrażliwieni na to, jak funkcjonują grupy ludzi, a także sprawni w manewrowaniu nimi. Pozostali zawsze serdecznie przyjmowali udział Roberta, w każdym razie mężczyźni. Pewna była, że wybiorą go na przewodniczącego składu ławy przysięgłych.

W pokera grywano zwykle podczas przerwy na lunch, ale w piątek rano w czwartym tygodniu woźny sądowy przeprosił za tajemniczą zwłokę, która miała potrwać przynajmniej godzinę, dlatego przysięgli z sali rozpraw numer dwanaście zebrali się przy kartach. Clarissa zobaczyła z zaskoczeniem, że Robert siadł oddzielnie, przy stoliku

z drugiej strony pomieszczenia, blisko okna, by światło padało na coś, co przypominało szkicownik.

Pracował w skupieniu. Obserwowała go przez kilka sekund, nie zamierzając odwracać jego uwagi. Potem cicho podeszła bliżej, nie chcąc, by zauważył, że go obserwuje, ale on uniósł wzrok i złapał ją na tym, jak ogląda jego dzieło. Rysunek przedstawiał mecenasa Mordena. Robert ukazał go wiernie i choć była to karykatura, udało mu się jednak uchwycić jego powagę i inteligencję, jego aurę dobroci.

– A więc także rysujesz? – spytała. – Kiedy nie czytasz wierszy i nie jesteś bohaterskim ratownikiem?

Zachował wobec niej pokerową twarz.

– Lubię pogryzmościć.

– Nieźle ci idzie.

Błysnął uśmiechem, jakby zdecydował, że to właściwe posunięcie, a ona widziała, jaki jest nieśmiały i sztywny, robiąc to, co robił, ale też dumny w duchu, chociaż nie chciał się do tego przyznać.

– Rysuję czasem kumpli z pracy, żeby ich zabawić.

– Musisz mieć zdumiewającą pamięć wzrokową, skoro potrafisz tak oddać podobieństwo. I ta spostrzegawczość, jak wtedy z tą zapalniczką. Powinieneś dać ten rysunek mecenasowi Mordenowi.

Uśmiechnął się szeroko, tym razem spontanicznie.

– Sędzia mógłby mnie wtrącić do więzienia, jak by mu Morden pokazał. Obraza sądu na piśmie. – Zamknął szkicownik. – Mógłbym narysować sympatyczniejsze rzeczy. Ale nie tutaj.

Poprzedniego wieczoru skroila wreszcie tę koszulę nocną z katalogu japońskich wykrojów, z jedwabiu w szarym kolorze. Była zdeterminowana nie dopuścić do tego, żeby Rafe, jego makabryczne kwiaty i odrażające fotografie zdominowały jej świat. Wyobrażała sobie, że założy tę koszulę dla Roberta. Bycie z nim wymazałoby wszelkie ślady, jakie zostawił na niej Rafe. Unieważniłoby te fotografie niczym magiczne zaklęcie, a dawne działania Rafe'a utraciłyby swą moc.

Mecenas Belford wrócił do patroszenia policyjnej ekspertki medycyny sądowej.

– Ależ, pani doktor. Brutalny gwałt dokonany przez dwóch potężnych mężczyzn i żadnych widocznych uszkodzeń pochwy?

– U ofiar gwałtu nie muszą występować oznaki urazu pochwy. Wiele kobiet pod wpływem strachu poddaje się przemocy i nie stawia fizycznego oporu.

Clarissa pomyślała o pełnej zdumienia wściekłości Rafe'a wtedy w parku. *Tylko udawałaś*. Nigdy nie będzie miała pewności, przed czym ją uchroniła pozorowana uległość, nie miała jednak wątpliwości, że zyskała dzięki temu na czasie.

– Jest to pogląd powszechnie uznany wśród lekarzy – podjęła doktor Goddard. – Warto też zauważyć, że także dobrowolny stosunek może powodować urazy pochwy. Stwierdzenie urazu pochwy bądź jego braku o niczym tu nie przesądza.

– Dlaczego świadek wypytała panią Lockyer na temat jej przeszłych kontaktów seksualnych i menstruacji?

– Może to być istotne w przypadku rzekomej napaści. Jeśli stwierdza się krwawienie z pochwy, pojawia się wåtpliwość, czy jest to krwawienie menstruacyjne czy może krwawienie po stosunku.

To właśnie wystąpiło u niej po tamtej nocy z Rafe'em: jednodniowe plamienie. Okres rozpoczął jej się dopiero tydzień później. Zawsze wiedziała, na jakim jest etapie cyklu. Weszło jej to w nawyk w okresie, gdy zaczęli się z Henrym starać o dziecko. Było to tym łatwiejsze, że jej cykle trwały niezawodnie dwadzieścia siedem albo dwadzieścia osiem dni, nie wpływał na to nawet poważny stres. Mimo przerażenia, że mogła zająć z Rafe'em w ciążę, wiedziała, że to mało prawdopodobne.

– Krew, którą kryminalistyk znalazł na ubraniu pani Lockyer, mogła być krwią menstruacyjną – powiedział mecenas Belford. Na pliku jego akt leżał słownik medyczny noszący ślady częstego użycia. – Nie da się odróżnić krwi menstruacyjnej od pochwowej.

– To prawda. Ale do rzekomego gwałtu doszło w piątym dniu cyklu. Zwykle nie występuje już wtedy krwawienie, co najwyżej lekkie plamienie.

Piątek, 27 lutego, godzina 18.30

Przez całą drogę do domu wcale o tobie nie myślę. Ani o tych fotografiach. Ani nawet o twoich magazynach.

Zapomniałam parasola. Dlatego Robert trzyma swój nad nami obojgiem. W pociągu siada koło mnie, a gdy jego ramię styka się z moim, ogarnia mnie ciepło. Stoi

ze mną w kolejce na postojach taksówek przy dworcu, rozmawiamy i rozmawiamy, aż docieram na początek, wtedy ostrożnie otwiera dla mnie drzwi taksówki, potem je zamyka i przygląda się, jak odjeżdżam, uśmiechając się lekko, jak to ma w zwyczaju, bez otwierania ust.

Gdy taksówka podjeżdża zakosami na wzgórze, myślę tylko o Robercie, wyobrażając sobie, jak by to było pójść z nim do łóżka.

W chwili gdy przechodzę przez próg i widzę kopertę od ciebie, znów pojawia się w mojej głowie, tam, gdzie chcesz się znaleźć. Jeszcze przed otwarciem wiem, że to następna fotografia.

Stanowi kolejny krok w stosunku do tej wcześniejszej. Opaska na oczach, knebel i więzy są dokładnie takie jak poprzednio, ale ściągnąłeś mi majtki. Rzuciłeś je obok mnie, rozcięte na biodrach, żebyś mógł je zdjąć bez rozwiązywania mi kostek. Rozwinąłeś pejcz i ułożyłeś jego końcowe trzydzieści centymetrów na moim brzuchu.

Zmuszam się, by myśleć racjonalnie. Ten pejcz to tylko część twojego pokazu. Nie użyłeś go wobec mnie. Jestem tego pewna. Nie przeoczyłabym śladów, gdyby było inaczej. Obolałe miejsca i otarcia od więzów miałam na nadgarstkach i kostkach. Na myśl o nich czuję ulgę. Sugerują, że nawet będąc nieprzytomna, wrywałam się i próbowałam uwolnić, walczyłam z tobą. Nawet jeśli mój opór cię rajcował, cieszą mnie te dowody niechęci do ciebie. Po wewnętrznej stronie

ud pozostały też zaczerwienienia pouciskowe, które później przeszły w siniaki. Pozostawiły je zapewne twoje ręce, ale to nastąpiło już po zrobieniu zdjęcia. Nie było krwawych pręg po pejczu.

Wkładałam zdjęcie do szafki obok innych otrzymanych od ciebie. Spoglądałam na łóżko, pościel jest świeża, nigdy nieużywana, przykryta moją nowo uszytą poszwą na kołdrę. Myślę o Lottie zwiniętej w kłębek w rogu zapadającego się materaca w tamtym londyńskim mieszkaniu. *Nic nie jadłam, nie wykapałam się, nie umyłam zębów. Nie zdjęłam ubrania. Jest mi bardzo, bardzo zimno.*

Idę do salonu i kulę się na sofie pod kocami. Stopniowo poprzenosiłam tu moje nocne rzeczy. Sięgam do stoliczka po eliksir nasenny i łykam dwie pigułki, wiedząc, że matka powiedziała by, że się uzależniam. Leżąc na boku, zwijam się w kłębek, staram się jak najspokojniej rozważyć to, co jutro zrobię. Nie sądziłam, że w ogóle zasnę, ale czuję z zaskoczeniem, że odpływam, niesiona mocą leków równie skutecznych, jak każde zaklęcie czarownicy. Boję się jednak, że czekasz na mnie również w moich snach.

Leżała w złotej trumnie, trzymając kwiaty śmierci, a Rafe wyrwał je z jej rąk, wyciągnął ją z białej jedwabnej wyściółki trumny i rzucił na beton, który przypominał w dotyku papier ścierny. Leżała na podłodze, obnażona, próbując ukryć się pod kołdrą. Oskarżeni stanęli dookoła niej, wrywając kołdrę,

kopiąc ją i bijąc szczotką. Szczotka stała się pejczem. Podnosili Clarissę wysoko w powietrze i wpychali z powrotem do trumny, którą ustawiono na stole. Przytrzymywali ją, tak że nie mogła się ruszać, i zagrzewali z boków okrzykami, gdy Rafe wszedł na nią, ciężarem swego ciała wciskając kolce czarnych róż w jej nagie piersi i nie pozwalając jej oddychać. Robert stał tam, obserwując w milczeniu, z nożyczkami w dłoni w rękawiczce. Próbowła krzyknąć jego imię, ale nie dobył się z niej żaden dźwięk.

Budzik wyrwał ją ze snu o piątej rano. W nocy się rozebrała, więc teraz trzęsa się w płataninie koców, wilgotnych od potu nocnych koszmarów. Sięgnęła po telefon, wybrała numer firmy taksówkowej, z której usług zawsze korzystała, i poprosiła, by przyjechali po nią tuż przed szóstą. Obmyśliła każdy krok swoich działań. Wsiądzie do pierwszego rannego pociągu. Na stacji będzie miała mało czasu, co było zamierzone, bo nie chciała dać Rafe'owi najmniejszej szansy, by ją tam odnalazł.

Od poniedziałku do piątku żyła teraz tak, że nie pozostawało jej czasu na nic innego poza procesem. Ale tego dnia miało być inaczej.

Wzięła prysznic, splukując kwaśną powłokę złych snów, czując, jak pod strumieniem gorącej wody opuszcza ją chłód, który przenikał ją do kości. Wysuszyła włosy suszarką i skręciła je w niedbały węzeł, potem wybrała ubranie, które nie pozwoli jej zmarznąć. Botki i grube pończochy, granatowa wełniana sukienka, ten sam płaszcz co zwykle, szalik zrobiony na drutach przez matkę. Włożyła do torebki rękawiczki, czapkę i parasolkę, potem przypomniała sobie, by dorzucić plan Londynu. Po namyśle złapała jeszcze paszport.

Najpierw jednak zastosowała swoją technikę przeciwko Rafe'owi. Gdy taksówkarz zadzwonił do drzwi, powiedziała, że zaraz schodzi. Wybrała szybko numer domowy Rafe'a – podawał go jej niezliczoną ilość razy. Uważała, by wystukać najpierw 141, żeby nie mógł zobaczyć, kto dzwoni. Odebrał,

zaskoczony we śnie. Ścisnęło ją w żołądku na dźwięk jego głosu – stawianie się w sytuacji, kiedy miała go usłyszeć, choć nie musiała, było wbrew wszystkim jej instynktom. Przerwała połączenie, nie odzywając się słowem, bezpieczna dzięki wiedzy, że on znajduje się osiem kilometrów od niej, więc nie może jej wyśledzić. Potem wybiegła za drzwi.

Podejmowała pewne ryzyko. Wiedziała, że mogło ich nie być w domu. Albo mogli jej nie wpuścić. Uprzedzenie ich, że przyjdzie, z pewnością by nie pomogło. Ale na razie myślała tylko o tym, by się tam dostać.

O ósmej trzydzieści znalazła się w Londynie, stała przed ich dobrze utrzymanym edwardiańskim domkiem z tarasem, zbierając się na odwagę, by zapukać. Zanim to zrobiła, drzwi się otworzyły, choć tylko na kilka centymetrów, i zadbana energiczna kobieta po sześćdziesiątce wyjrzała podejrzliwie przez szparę, pytając, z jakiego powodu wałęsa się tam od pięciu minut.

Nie było czasu na wstępy i uprzejmości.

– Z powodu Rafe’a Solmesa.

Kobieta wzdygnęła się lekko i zacisnęła wargi.

– Jest pani jego przyjaciółką?

– Nie. Boże, nie. Wręcz przeciwnie.

– Zawsze można tak powiedzieć. – Kobieta zaczęła zamykać drzwi.

– Proszę. – Clarissa wsunęła stopę w szparę. – On mi zatruwa życie.

– Proszę mi pozwolić zamknąć.

Clarissa słyszała, jak ktoś schodzi po schodach, szybko,

hałaśliwie. To męski krok, pomyślała, ale nie cofnęła stopy.

– Proszę – powtórzyła. – Muszę wiedzieć, co się stało z Laurą. Pani jest jej matką, prawda?

– Charlottto? – odezwał się męski głos.

Kobieta mocno pchnęła drzwi, a Clarissa pomyślała, że kości jej stopy zostaną zgruchotane mimo mocnej ochrony botków.

– Jak pani śmie? – oburzyła się tamta.

Clarissa, przerażona swoim zachowaniem, cofnęła się i drzwi się zatrzasnęły.

Nie wiedziała, co dalej robić. Stała tam, zastanawiając się, czy nie zapukać ponownie, czy nie pukać i pukać, aż ją wpuszczą do środka, ale wiedziała, że całkowicie zawałiła sprawę. Osunęła się na niski murek biegnący wzdłuż ścieżki. Pochyliła się, z łokciami na udach i głową w dłoniach. Nie była pewna, jak długo siedziała tam, odrętwiała. Ten rzadki moment myślowej pustki przyniósł jej ulgę.

Po chwili dotarły do niej głosy mężczyzny i kobiety, żywo rozmawiających ze sobą po drugiej stronie drzwi. Ku jej zdumieniu uchylono szparę na listy.

– Proszę zaczekać – powiedział ktoś niechętnie.

Drzwi otworzyły się ponownie dopiero po dziesięciu minutach, tym razem szeroko. Stanął w nich mężczyzna niewiele wyższy od Clarissy. Miał na sobie ciemnoszare spodnie i czarny sweter. Pachniał żelem pod prysznic. Dobiegał chyba siedemdziesiątki, ale wyglądał, jakby jego żyłaste ciało miało jeszcze sporo siły.

– To pani do nas wydzwaniała – powiedział, a Clarissa

potwierdziła kiwnięciem głowy. – Czyli nie daje pani za wygraną.

– Nie mogłam. Nie mogę.

Nie odezwał się więcej, ale odstąpił na bok, zapraszając gestem do środka. Doleciał ją zapach kawy i tostów, od którego poczuła raczej mdłości niż głód. Gdy szła za mężczyzną, mając nogi jak z waty, zdała sobie sprawę, że nikt nie wie, co się z nią teraz dzieje. Wchodziła do obcego domu i nikt nie miał o tym pojęcia. Dzień po dniu naruszała reguły wpojone jej przez matkę, którymi kierowała się w życiu.

Ściany korytarza prowadzącego od drzwi frontowych w głąb domu obwieszane były fotografiami rodzinnymi. Na wszystkich centralne miejsce zajmowała jedna i ta sama dziewczyna. Clarissa nie miała wątpliwości, że była to Laura.

Różowy pulchny bobas w ramionach młodszej i uśmiechniętej pani Betterton, patrzącej na noworodka. Niemowlę o włosach jeszcze ciemnobrązowych, prawie czarnych, robiące pierwsze kroki w kierunku pana Bettertona, który przykucnął, wyciągając ręce. Nastolatka stojąca między dumnymi rodzicami w dniu ukończenia szkoły podstawowej. Dwudziestoparolatka w stroju druhny, pozująca z resztą weselników.

Rozpoznawalna w każdym wieku, zawsze drobna i jasnowłosa, o delikatnych rysach, uderzająco piękna. Ale na żadnym zdjęciu nie miała więcej niż jakieś trzydzieści lat. Clarissa uświadomiła to sobie z pewnym niepokojem. Tamta dobiegała trzydziestki – według Gary’ego w tym mniej więcej wieku nawiązała przed dziesięciu laty znajomość z Rafe’em.

Clarissa pomyślała o kobiecie z okładki tamtego magazynu, zastanawiając się, czy nie mogła to być Laura. Karnację miała podobną, ale przy zasłoniętej dolnej części twarzy i jaskrawym oświetleniu prawie nie sposób było tego stwierdzić, w każdym razie osobie niebędącej ekspertem. Laura na fotografiach wydawała się szczęśliwa i wolna. Zupełnie inna niż dziewczyna z okładki magazynu.

Pani Betterton stała w swojej idealnej kuchni, w schludnym stroju w odcieniach oliwki i brązu: tweedowa spódnica, włóczkowy sweter, praktyczne buty. Była podobna do córki i wciąż piękna; starannie ułożone siwiejące blond włosy były przycięte równo do wysokości podbródka i odsunięte za uszy, gdzie posłusznie pozostawały.

– Mój mąż ma tylko kilka minut – stwierdziła sztywno, nie proponując Clarissie, by zdjęła płaszcz, ani nie prosząc, by usiadła na krześle przy kuchennym stole. – Ma spotkanie biznesowe.

No tak, pomyślała Clarissa. Spotkanie biznesowe w sobotę. W słowach, którymi wypowiedziano to niedwuznaczne kłamstwo, pobrzmiwał ślad amerykańskiego akcentu.

Pan Betterton zauważył, że przecież może się spóźnić, za co żona zgromiła go spojrzeniem. Wskazał gestem krzesło, nalewając kawę do ciemnoniebieskiego kamionkowego kubka z obrazkiem kolibra. Postawił parujący napój na stole przed Clarissą. Podziękowała cicho i upiła łyk, nie wiedząc, co mówić ani o co pytać. Jak miała wyrazić wobec tych ludzi swoje ponure wątpliwości?

– Skąd mamy wiedzieć, że nie jest pani jego przyjaciółką?
– spytała pani Betterton.

– Charlotte, on nie ma przyjaciół – wtrącił jej mąż. – Jest zbyt fałszywy, żeby ich mieć.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie on panią nasłał? Płaci pani? Robił już takie rzeczy, choć nie po tym... nie przez ostatnie kilka lat. Ale i teraz byłby zdolny do chełpienia się triumfem.

Clarissie ręka drżała tak bardzo, że rozlała kawę na wyszorowane drewno blatu. Próbowwała zetrzeć ją rękawem płaszcza, ale wełna nie chłonęła cieczy, z czego w normalnych warunkach automatycznie zdałaby sobie sprawę.

– Proszę się tym nie przejmować. – Pan Betterton użył ściereczki, podczas gdy stojąca za nim małżonka marszczyła brwi. Delikatnie ścisnął ją za ramię. – Charlotte, ona wyraźnie nie jest od niego. – Podsunął Clarissie opakowanie chusteczek higienicznych i udawał, że nie zauważa, gdy wycierała oczy i dmuchała nos. Potem zwrócił się znów do żony: – Chcesz, żeby jej rodzice przeszli przez to samo co my?

Pani Betterton przełknęła ślinę.

– James, nic o niej nie wiemy. Nawet nam nie powiedziała, jak się nazywa.

Clarissa przeprosiła i przedstawiła się, na co pani Betterton natychmiast zażądała dowodu tożsamości. Podała jej paszport i patrzyła, jak oboje małżonkowie go oglądają.

– Teraz rozumiem, dlaczego wziął panią na cel – odezwała

się pani Betterton, rzucając dokument na brzeg stołu, tak że Clarissa musiała wyciągnąć rękę, by go schować. – Jest pani podobna do Laury.

Tyle razy Clarissa zadawała sobie pytanie, dlaczego wybrał akurat ją. Czyżby zrobiła coś, co go przyciągnęło? Zastanawiała się, czy nie zaczął prześladować jej, powodowany pełnym zazdrości podziwem dla poetyckiej sławy Henry’ego, jego charyzmy i mocy. Jakby wzięcie w posiadanie rzeczy, które wcześniej należały do Henry’ego – głównie jej – miało w jakiś sposób zapewnić mu przynioty tamtego, jego życie i sukces.

Teraz jednak zobaczyła, że nie o to chodzi. To ona reprezentowała pewien typ, niczym archetypowa ofiara seryjnego zabójcy. Było to poza jej kontrolą. Jej karnacja, rysy twarzy, włosy i ciało, może nawet głos i gesty przypominały Rafe’owi kogoś innego. Wykonywała nawet ten sam zawód co Laura.

– Niewiele możemy dla pani zrobić – odezwał się Betterton. – Ale nie zrobimy nawet tego, jeżeli nie powie nam pani więcej o swoim związku z tym człowiekiem.

– To nie jest żaden związek – sprostowała. Ale opowiedziała im wszystko, co mogła, jak najszybciej i jak najuczciwiej. Nie wspomniała o trzech fotografiach.

– Czy on mógł tu za panią przyjechać? – spytała pani Betterton.

Opowiedziała im o swoim porannym telefonie i o tym, że na stacji i w pociągu było spokojnie. Miała pewność, że jej nie śledził. Rozglądała się uważnie, w czym nabrała już

pewnej wprawy.

– On wie, gdzie mieszkamy – powiedział Betterton. – Nie możemy się przeprowadzić, w razie... – urwał. – Byłoby dla pani lepiej, gdyby nie odkrył, że coś nas łączy.

– Dlaczego mielibyśmy chcieć pani pomóc? – spytała pani Betterton. – Co to dzisiaj da naszej córce?

To było beznadziejne. W niewybaczalny sposób naruszała ich prywatność, a gospodyni czuła się tym głęboko urażona. Clarissa wstała.

– Przepraszam, że państwa niepokoiłam. Nie powinnam była tu przychodzić.

Betterton spojrzał ostro na żonę, po czym zwrócił się do gościa:

– Proszę usiąść, pani Clarisso. Dobrze, że nie daje pani za wygraną. I niech pani tego teraz nie zmienia. Jeżeli ma pani coś wspólnego z tym człowiekiem, musi pani być osobą, która się nie poddaje. Musi pani wiedzieć, z kim się mierzy. Ma pani co do tego rację.

Widziała, że nie cierpią wymawiać jego imienia. Dokładnie tak jak ona.

Pani Betterton odwróciła się do nich plecami i zaczęła wkładać do zmywarki naczynia pozostałe po śniadaniu. Wyglądało to na paradoksalny gest zgody i protestu, ale nie próbowała powstrzymywać męża, gdy zaczął opowiadać o pierwszych dniach znajomości Laury i Rafe'a.

Niedługo potem pani Betterton przerwała mu gorzko, wciąż zwrócona do nich tyłem.

– To, co wyglądało na wielką namiętność, wszystkie te

jego romantyczne gesty, było w rzeczywistości tylko obsesją. – Clarissę zaskoczyło, jak chętnie tamta się odezwała.

Szybko, za szybko, podjął Betterton, Laura przeprowadziła się do niego.

Prawie natychmiast zdała sobie sprawę ze stopnia jego zaborczości i niemożności wyrwania się spod jego kontroli. Nie mogła się wykąpać, żeby on jej nie podglądał, zadzwonić, żeby nie podsłuchiwał, ani odebrać listu, żeby on go nie otworzył.

Jego żądania seksualne zaczynały ją irytować. Chciał spróbować zabaw z krępowaniem, na co Laura się nie zgadzała. Czy Clarissa spotkała się z jego strony z czymś takim?

Betterton zaczął odchrząkiwać między zdaniami. Wcześniej tego nie robił; była pewna, że wynikało to z charakteru jego dalszej wypowiedzi.

Odpowiedziała na jego pytanie leciutkim przeczącym ruchem głowy, wstydząc się, że kłamie.

Betterton spojrział na nią z powątpiewaniem.

– To zaskakujące – zauważył.

Ukrywanie przed nim czegokolwiek było bezcelowe. Wiedzieli już o najgorszym.

– Przepraszam. Bardzo trudno mi o tym mówić – powiedziała. – Ale spotkałam się z tym, owszem.

Kiwnął ponuro głową i podjął opowieść, nie domagając się szczegółów.

Rafe wyraźnie nie rozumiał sugestii, że albo powinni się

rozstać, albo ona powinna się wyprowadzić. Robił wrażenie człowieka bez rodziny i bez przeszłości. Laura była przestraszona absolutnym brakiem w jego życiu kogokolwiek poza nią. Dochodziło między nimi do dramatycznych kłótni, kończonych obietnicami, że on się zmieni, stanie się mniej zaborczy.

Na szczęście dla Laury otrzymał stanowisko poza Londynem. Po doktoracie przez krótkie okresy pracował jako nauczyciel w Londynie, ale żywił niepokonaną ambicję uzyskania stałej posady akademickiej na wydziale anglistyki jakiegoś przyzwoitego uniwersytetu. Laura wiedziała, że nic mu nie przeszkodzi przenieść się do Bath, i właśnie wtedy postanowiła zniknąć. Kiedy pojechał na jeden dzień odwiedzić swój nowy wydział, spakowała rzeczy i odeszła, nie zostawiając nawet żadnej wiadomości w pracy.

Na początku wróciła do rodziców, ale Rafe rychło ją odnalazł. Krążył w pobliżu, śledził ją i obserwował, kiedy tylko mógł. W niektóre wieczory. We wszystkie weekendy. Bezustannie wydzwaniał. Odkrywał jakimś cudem każdy nowy numer telefonu. Nie chciał się pogodzić z tym, że wszystko skończone. Odzywał się wciąż do Laury i państwa Bettertonów w taki sposób, jakby ona nadal była jego dziewczyną.

Kilka razy się przeprowadzała, ale zawsze ją odnajdywał, prawdopodobnie śledząc jej rodziców. Zaczął wysyłać Laurze kompromitujące fotografie, które zrobił, gdy mieszkali razem – była na nich pogrążona we śnie i nieświadoma, przypuszczalnie po podanych przez niego środkach

odurzających. Jej rodzice zaczęli podczas wizyt u niej zachowywać większą ostrożność. Dlatego raz włamał się nawet do ich domu i znalazł informacje o nowym adresie i numerze telefonu Laury, choć nie byli w stanie tego udowodnić. Jego przeprowadzka do Bath sprawiła, że nie mógł już obserwować Laury we wszystkie robocze dni tygodnia, ale prezenty, listy i straszne zdjęcia, które zgromadził – tak okropne, że Laurę aż od nich mdliło – nie przestały jednak napływać.

Przywłaszczył sobie jej życie. Odebrał jej prywatność. Zamykała się w sobie, nie jadła, straciła pewność siebie, przestała być sobą. Straciła przyjaciół. Zdobyła nowych – była taka urocza – ale nie mogła powiedzieć dawnym, dokąd wyjechała, bojąc się, że przez nich ją odnajdzie.

Policja nic nie robiła. Uważali, że to po prostu zerwanie związku. Nigdy nie napastował jej fizycznie, był sprytny. Nawet te fotografie sprawiały wrażenie, jakby uwieczniono na nich tylko igraszki miłosne. Nie dało się dowieść, że nie było to dobrowolne – sklepy i internet pełne są absolutnie legalnych zabawek do absolutnie legalnych praktyk sado-maso.

Pani Betterton wciąż stała, ale przysunęła się do męża i Clarissy. Opierała się o kuchenny blat.

– Dziś policja jest lepsza. W ciągu ostatnich kilku lat poważniej do tego podchodzą. Tyle że dla naszej córki to już za późno.

W ciągu dwóch lat, odkąd Laura odeszła, przeprowadzała się pięć razy do pięciu różnych miast. Zawsze ją odnajdował.

Zyskiwała najwyżej kilka miesięcy wolności. Potem nagle odwracała się i okazywało się, że on znów tam jest. Zaczynali się obawiać, że może ją naprawdę skrzywdzić.

Wreszcie Clarissa wypowiedziała pytanie, które nurtowało ją, odkąd przeszła przez ich próg.

– Gdzie jest teraz Laura?

– Potracił ją samochód – głos Bettertona zabrzmiał głucho. Przyglądał zdumiewająco białe włosy, a Clarissa nabrała pewności, że ta zmiana koloru nastąpiła z dnia na dzień, w wyniku strasznego wstrząsu i zgryzoty. – Znów ją odnalazł. Miała właśnie przejść przez ulicę, gdy raptem usłyszała, jak mówi: – Witaj, Lauro. Stęskniłem się za tobą. –

Wpadła wprost pod samochód. Zapomniała się, próbując uciec.

Clarissa szlochała bezgłośnie, wciąż ściskając pusty teraz, wystygły kubek z kolibrem.

– Miała złamanie obu nóg i wstrząs mózgu. Zbudziła się w szpitalu, on siedział przy jej łóżku, trzymając ją za rękę. Przedstawił się lekarzom i pielęgniarkom jako jej narzeczony. Wpadła w histerię i kazała mu wyjść. Poprosiła, żeby po nas zadzwonili. Gdy się zjawiliśmy, już go nie było. Dobrze wiedział, że lepiej, żebyśmy go tam nie zastali. W miarę jak ogarniała go rozpacz, robił się coraz mniej sprytny i ostrożny, ale też coraz bardziej niebezpieczny. Im większa jest jego frustracja, tym bardziej trzeba się mieć na baczności. Znikają pozory przyjemniaczka. Nie potrafi już ukryć złej woli. Charlotte urodziła się w Ameryce. Ma tam rodzinę. Zrozumieliśmy, że dla Laury nie ma już życia w Anglii. Gdy

wróciła do zdrowia, w każdym razie pod względem fizycznym, wyemigrowała. Zorganizowaliśmy to w bardzo przemyślany sposób.

– Ale teraz widzimy, że nie zdołaliśmy jej ustrzec. Naraziliśmy ją jeszcze bardziej. – Głos pani Betterton dobywał się z podbrzusza, wstrząsał nią ból. – W kontaktach z nią byliśmy tacy ostrożni. Tak bardzo uważaliśmy, co trzymamy w domu. Rok po tym, jak wyjechała i zamieszkała w Kalifornii, pod moim panieńskim nazwiskiem, zniknęła.

Clarissa przypomniła sobie jego bluzę z napisem UCLA i swoje przemożne przecucie, że ma ona dla niego specjalne znaczenie, że to swego rodzaju trofeum.

– Wszelkie kontakty urwały się w lecie tamtego roku – wyjaśniła pani Betterton. – Nikt z sąsiadów jej nie znał ani nie zauważył jej nagłego zniknięcia, tak bardzo starała się nie rzucać w oczy. W pracy też nawet nie mrugnęli okiem. Zatrudniła się dorywczo w biurze. Przywykli, że ludzie nagle przestają się zjawiać.

Clarissa zdała sobie sprawę, jak nieznośnie samotna musiała być Laura, żyjąc w ten sposób, i jak bardzo tęskniła za rodzicami. Wiedziała, że sama nigdy nie zdobyłaby się na taką odwagę.

– Była tylko jedną z rzeszy osób zaginionych – powiedział Betterton. – Tamtejsza policja nie potrafiła znaleźć żadnych dowodów przestępstwa. W kraju, gdzie na kartonach z mlekiem umieszcza się wizerunki zaginionych dzieci. Powinni tam też umieszczać dorosłych. Nasza policja nie chciała się mieszać. Wysłaliśmy prywatnych detektywów.

Próbowaliśmy wszystkiego.

Zwróciła uwagę na sposób, w jaki mówili „my”. Raz za razem powtarzali „my”. I tak łatwo przekazywali sobie pałeczkę tej strasznej opowieści, choć na początku pojawienie się Clarissy wywołało u nich zupełnie różne reakcje. Uświadomiło jej to, jaka panuje między nimi harmonia, bez względu na to, jak bardzo cierpieli i jak nadal cierpią. Mogło ich to od siebie oddalić, ale jakimś cudem, pomyślała, stało się odwrotnie.

– Mamy nadzieję, wciąż mamy nadzieję, że ona zrobiła to, żeby się uwolnić – powiedziała pani Betterton. – Może żyje gdzieś, bezpieczna i szczęśliwa. Może pewnego dnia zadzwoni telefon i usłyszymy jej głos. Może to nie to, czego się obawiamy, i nie ma z nim związku.

– Ale wiemy, że jest inaczej – odezwał się Betterton. – Nawet jeśli powtarzamy sobie, że dopóki nie znaleziono ciała, pozostaje nadzieja. Modlimy się, że może tylko dostała jakiejś amnezji, lecz poza tym wszystko z nią w porządku i pewnego dnia przypomni sobie, kim jest, i odezwie się do nas.

Jego żona kiwnęła głową.

– Ale znamy Laurę. Nigdy by nas na to nie naraziła. Zawsze by się z nami skontaktowała, gdyby mogła.

Teraz Clarissa zrozumiała, dlaczego jej telefony i nagłe przybycie napełniło ich tak dziwną mieszaniną wrogości, podejrzeń i nadziei: martwili się, że to na jego polecenie Clarissa chce się do nich zbliżyć, a jednak rozpaczliwie bali się odrzucić kogoś, kto może mieć jakieś wiadomości,

jakkolwiek szanse na to były znikome.

– Pani Clarisso, musi pani zwrócić się do kogoś o pomoc
– powiedział Betterton.

Jego żona położyła rękę na jej dłoniach.

– Potrzebuje pani dowodów, lepszych dowodów, niż my mieliśmy, pewnych dowodów, i to mnóstwo. I musi pani dzielnie walczyć. Jeśli pani nie chce stracić życia, musi pani wciągnąć w to policję. Proszę im podać nasze nazwisko i numer, jeśli pani zechce. Wtedy nas nie słuchali, może teraz stanie się inaczej. Będzie pani musiała skuteczniej, niż to robiła Laura, domagać się ich pomocy. On nigdy nie da za wygraną.

Gdy pani Betterton skończyła mówić, dłoń Clarissy była już zaczerwieniona i obolała od nacisku jej obrączki, ale Clarissa nie chciała cofnąć ręki.

Tydzień piąty

Strażnicy

Ciągała kiedyś Henry'ego na filmy o seryjnych zabójcach. Teraz wszystko jej się przypominało. Głowę wypełniały jej przerażające i – miała nadzieję, niedorzeczne – wizje tego, co mogło się stać z Laurą. Czy została pochowana w płytkim grobie na skraju jakiejś farmy w Kalifornii? Ukryta pod liśćmi w lesie? Niespostrzeżenie porzucona w przepuście lub opuszczonym kamieniołomie? Na skalnej półce w górach, z dala od ludzkich ścieżek? Zamknięta w zamrażarce w porzuconym budynku? Wepchnięta do trumny z ciałem nieznanego i pochowana lub skremowana, by nigdy jej nie odnaleziono? Czy to dzięki szczęściu, czy dzięki sprytowi, a może dzięki obu naraz, udało mu się ukryć jej ciało?

Po głowie Clarissy krążyły różne straszne myśli, ale zupełnie nie była w stanie zastanawiać się nad tym, co mogło spotkać Laurę podczas ostatnich godzin bądź dni życia. Obrazy jej martwego ciała były znacznie mniej przerażające niż wyobrażenia, co z nią robiono, gdy była jeszcze przytomna i świadoma. Potrafiła sobie wyobrazić twarz Laury: wszystkie te jej fotografie w różnym wieku nałożone na siebie. I jej rodziców pogrążonych w nieustannym lęku i zgrzycie. Laura stała się teraz dla niej taka rzeczywista.

Przejrzała statystyki dotyczące zaginionych. Takie wypadki zdarzają się znacznie częściej, niż się powszechnie sądzi. W Wielkiej Brytanii zaginęły setki tysięcy ludzi. W Ameryce dane musiały być jeszcze straszliwsze.

Próbowała otrząsnąć się z tych okropnych wyobrażeń i skupić na tym, co mówi Annie.

A jej koleżanka mówiła:

– Fatalnie wyglądasz.

Wchodziły razem po schodach do sali rozpraw numer dwanaście.

– Dziękuję – odparła słodko. – O tobie nie można tego powiedzieć.

– Serio. Jedz coś, kobieto. I śpij. I więcej wychodź na powietrze. Jesteś blada jak upiór. Nie uda ci się długo utrzymać tego wyglądu pięknej wampirzycy.

Clarissa spojrzała na siebie. Annie miała rację. Jej ręce przypominały wyblakłe patyki okryte przejrzystą tkaniną, z której uszyła rękawy swego topu. Coraz bardziej pozbawiała się słabego zimowego słońca. Przypuszczalnie dlatego od jakiegoś czasu nie widziała się z matką, która na pierwszy rzut oka domyśliłaby się, że coś jest nie w porządku.

– Jezu, ale dziś jesteś rozmowna – zauważyła Clarissa.

– Włosy wciąż lśniąco – przyznała tamta, gdy ustawili się rzędkiem w aneksie. – Butelka?

– Nie, Annie! – odparła zgodnie z prawdą Clarissa.

Annie dotknęła spinki z emaliowanych kwiatów, którą Clarissa podpiwała włosy.

– Ładna – orzekła, jakby się usprawiedliwiała.

Chwilę później siedzieli w ławie przysięgłych. Zeznawała ekspertka od mapowania twarzy. A zatem właściwa osoba, by stwierdzić, czy to zdjęcie Laury znalazło się na okładce

magazynu.

Gdy świadek głądziła głosem pozbawionym modulacji, Annie dramatycznie westchnęła, zacisnęła powieki i odchyliła boleściwie głowę. Clarissa była jak zwykle zdumiona, że tylko ona ją słyszy, że żaden z adwokatów ani nikt z przysięgłych nigdy się nie odwrócił. Czasem zastanawiała się, czy nie wymyśla sobie tylko tych reakcji Annie. Koleżanka była niczym jej sekretny głos. Dudniło jej w głowie. Podobnie musiało być z Annie.

Wreszcie mecenas Morden spytał:

– Jaka jest ostateczna konkluzja świadka?

Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że kobieta widoczna na okładce tego magazynu i Laura Betterton to jedna i ta sama osoba – Clarissa wyobraziła sobie wypowiedź specjalistki od mapowania twarzy.

– Nie można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że podejrzany z nagrania kamer monitoringu i oskarżony Godfrey to jedna i ta sama osoba – stwierdziła w rzeczywistości specjalistka od mapowania twarzy.

Poniedziałek, 2 marca, godzina 12.40

Mając na uwadze przerażenie Annie moją chorobliwą bladością, w porze lunchu odbywam spacer w mroźnym powietrzu. Słońce jest cytrynowożółte, ale stoi nisko na bezchmurnym, błękitnym niebie.

Coraz bardziej wykorzystuję fakt, że nie jesteś jedyną osobą zdolną do śledzenia innych. Nie mam zamiaru powtarzać tego, co się stało w minimarkecie. Wiem z uniwersyteckiego rozkładu zajęć, że masz

wygłosić wykład. Henry wspominał mi kiedyś, że szczerze nie cierpisz nauczania, uważając, że jest to poniżej twojej godności, bo odciąga cię od twoich przełomowych badań.

W drodze powrotnej przekraczam rzekę. Na początku nie zauważam cię w tłumie kłębiącym się na trawie przed katedrą. Ale wbrew rozkładowi zajęć znajdujesz się tutaj. Prawie potykam się o własną stopę, gdy zbliżasz się i zaczynasz spacerować obok mnie.

– Potrzebne ci nowe pończochy, Clarisso – mówisz.

Jakież masz fantastyczne zdolności towarzyskie, myślę. Tylko ty mógłbyś rozpocząć rozmowę od tego zdania jako gambitu otwierającego.

Ale ta próba dodania sobie odwagi za pomocą niewypowiedzianego sarkazmu okazuje się żalną porażką. Gdy kieruję się z powrotem do sądu, udając, że cię nie znam, serce wali mi mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Szukam wzrokiem Roberta, wdzięczna, że za każdym razem, gdy lustruję okolicę, on się nie materializuje.

Na knykciach rosną ci cienkie jasnobrązowe włoski. Wyobrażam sobie, jak twoje dłonie otaczają gardło Laury, a potem moje. Przełykam ślinę. Szyja boli mnie na wspomnienie dotyku twoich palców w parku przed trzema tygodniami. Mam wrażenie, że się dławię, i znów próbuję przełknąć ślinę, choć wiem, że to wszystko naprawdę dzieje się tylko w mojej głowie.

– Lubię cię w pończochach – mówisz. – Ale przecież sama o tym wiesz.

Idę dalej. Nie pozwolę, by to, czego się o tobie dowiedziałam, ograniczyło moją skuteczność, zwiększyło przerażenie. Musi być odwrotnie. Wbili mi to do głowy Bettertonowie.

Już mam skręcić za róg, gdy znów się odzywasz:

– Muszę zrobić nowe fotografie, Clarisso. To będzie prywatna sesja. – Idziesz dalej prosto, pozwalając, żebym skręciła w lewo.

Ale nie będzie żadnej prywatnej sesji; samo wypowiedzenie tych słów nie sprawi, że tak się stanie. Bez względu na to, jak wielka jest w twoim przekonaniu twoja wiedza o mnie, nie masz pojęcia, jakich nowych przyjaciół zyskałam w sobotę. Nie tylko ty potrafisz ujawniać cudze sekrety. Ja także dowiaduję się o twoich.

Robert gniewnie kroczył z telefonem przy uchu, przemierzając tam i z powrotem poczekalnię dla przysięgłych.

Kilka minut później Clarissa stanęła z nim na końcu kolejki, czekając, aż przyjdzie woźny sądowy, przeliczy ich i odprowadzi z powrotem na salę rozpraw numer dwanaście. Robert wyjął swój telefon, sprawdził, czy go wyłączył, spojrzął spode łba i wsunął aparat do kieszeni. Stał w typowej dla siebie pozie, z rozstawionymi nogami, mocno osadzony, ale nie rozluźniony.

– Coś nie w porządku? – spytała. Było to najwyraźniej głupie pytanie.

Spróbował się uśmiechnąć, ale uśmiech zniknął.

– Pewnie jakieś małolaty. Zeszłej nocy polali mi samochód zmywaczem do farb. Przecięli przednie opony.

Usiadła szybko, praktycznie osuwając się na wyściełaną ławę biegnącą za szeregiem przysięgłych.

– Błada jesteś. – Uniósł dłoń do jej czoła, potem cofnął, jakby zdał sobie sprawę, że dotknął jej w obecności innych.

– I spocona.

– To nic, naprawdę. Tylko chce mi się posiedzieć.

– Niedobrze wyglądasz. Przez cały dzień tak było.

– To po prostu... To okropne. Takie podłe. – Zerknęła w stronę biurka funkcjonariusza sądowego, gdzie woźny sądowy wciąż jeszcze rozmawiał.

– To się da naprawić. Tyle że kłopot. Wściekłem się. Ale szybko mi minie.

– A jednak mi przykro.

– Nie twoja wina.

Nie miała wątpliwości, że jest inaczej.

Poniedziałek, 2 marca, godzina 18.15

Jak tylko wychodzę na ścieżkę i włączam zewnętrzne oświetlenie, widzę ją. Oparłeś ją o drzwi. Ta koperta jest grubsza niż poprzednia. Jak najciszej wchodzę na palcach na schodki, odrętwiała, zziębnięta i zmartwiała, nie chcąc wyzwalać potoku życzliwego zainteresowania pani Norton.

Zawinąłeś je w pojedynczy arkusz białego papieru. Właściwie czuję wdzięczność. Nie tego się boję. Tych zdjęć nie zrobiłeś w mojej sypialni. Pochodzą

z ostatniego tygodnia, po kilka z każdego dnia, starannie uporządkowane.

Stoję z Robertem na moście, włos rozwiany poniżej włóczkowej czapki, rękawiczki wetknięte na mrozie w kieszenie płaszcza. Robert spogląda na mnie ukradkiem. Prawie się dotykamy, ale niezupełnie.

Siedzimy z Robertem w kawiarni, czekając na pociąg, pochylamy się ku sobie nad stolikiem i jemy wspólnie jego ciastko, a ja patrzę na niego, jakby był prezentem urodzinowym.

Rozmawiamy o moich nieudanych próbach zapłodnienia in vitro i o śmierci jego żony. Na jednym zdjęciu Robert patrzy na drugą stronę ulicy, gdzie z pewnością znajdujesz się ty. Spogląda gniewnie prosto w obiektyw. Na innym trzyma mnie za rękę.

W parku. Pstryk, pstryk, pstryk. Ta seria fotografii przypomina film podzielony na klatki: dwadzieścia centymetrów między mną a Robertem, gdy wyznaję mój najgorszy sekret; dziesięć centymetrów, gdy Robert zakłada mi swój szalik; bok jego ciała tuż przy moim, gdy opowiada o pożarach, jakby recytował wiersz.

Idziemy w stronę dworca kolejowego po zeznaniu świadka na tematy medyczne. Robert ostrożnie trzyma parasol nad moją głową – cały czas kazałam mu uważać, żeby siebie też osłaniał, ale na fotografii widać, że przyprószył go mokry śnieg, a ja jestem sucha. W kolejce do taksówki, zanim się rozstaliśmy

tamtego wieczoru, stoimy tak blisko siebie, ale znowu właściwie się nie dotykamy.

Nie napisałeś ani słowa, ale wiem, co mi chcesz powiedzieć. *Obserwuję cię przez cały czas i nie cierpię tego, co widzę.*

Czyżbyś nie wiedział, że nawet ukradkiem robione fotografie nie zawsze są brzydkie? Nie miałeś takiego zamiaru, ale niechcący dałeś mi coś pięknego, w postaci tych migawek ukazujących mnie i Roberta razem.

Laura w Kalifornii była sama. Ja nie jestem, mimo twoich szczerych zabiegów. Głupio z twojej strony, że tego nie zauważasz. Nazywanie cię głupim daje mi przyjemność, poprawia humor, sprawia jakoś, że czuję się silniejsza, choć zdaję sobie sprawę, że to infantylne i bezsensowne folgowanie sobie.

Latają mi po głowie określenia mecenasa Belforda. *Rzekomy uraz. Subiektywny opis.* Nie są to słowa, których wymiar sprawiedliwości będzie mógł użyć w stosunku do mnie. Przekonasz się o tym, choć ja wiem to od tygodni.

Otwieram szafkę i wkładam moją kolekcję dowodów do ogromnej reklamówki, by była gotowa na jutro. Ogarniają mnie nagle wątpliwości, gdy umyślnie pozostawiam na dnie szafy twój magazyn pornograficzny.

Wyjmuję notatnik, siadam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w salonie i wertuję zapiski. Biorę

gumkę i unoszę ją nad sporządzonymi ołówkiem notatkami o tym, co mi robiłeś w mojej sypialni. Tracę świadomość tego, jak długo tak siedzę.

Wycierając te słowa, nie stracę wiarygodności. One i tak są już w moim komputerze, bo zeskanowałam po kolei każdą stronę, posłuszna radzie z broszurki, by sporządzać kopie wszystkich materiałów. Ma to być swego rodzaju zabezpieczenie na wypadek straty oraz elektroniczny dowód, że nie manipulowałam przy niczym w późniejszym okresie. Wypuszczam gumkę z palców. Upada z głuchym stuknięciem i wtacza się pod sofę. Bettertonowie bardzo surowo mnie ostrzegali, żebym nie ukrywała niczego przed policją; domyślili się, że istnieją te fotografie, choć nie byłam w stanie o nich mówić.

Żwawo wstaję, przechodzę do sypialni i wyciągam zdjęcia z szafy.

Znów myślę o informacji z broszurki, że musi się zdarzyć średnio sto dziesięć incydentów o charakterze stalkingu, zanim kobieta pójdzie na policję.

Czy te trzy odrażające fotografie liczą się za jeden incydent, bo wszystkie zrobiłeś tej samej nocy, czy za trzy, bo zaatakowałeś mnie nimi przy trzech różnych okazjach? Czy partia trzech SMS-ów liczy się za jeden czy za trzy? Czy czterdzieści nagrań odłożenia słuchawki na automatycznej sekretarce w ciągu przerwy na lunch to jeden incydent czy czterdzieści? Czy każda fotografia ze mną w towarzystwie Roberta

będzie liczona oddzielnie czy wszystkie jako całość, skoro pojawiły się jednocześnie, w jednej kopercie? Czy walentynkowe czekoladki z dołączonym bilecikiem to jeden incydent czy dwa? A może trzy, jeśli uwzględnić fakt, że dostarczyłeś je osobiście?

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak policja to sumuje. Wiem tylko, że jak dla mnie tych incydentów było o wiele za dużo. Wiem, że osiągnęłam punkt nasycenia i nie zniosę już ani jednego więcej z twoim udziałem. Wiem, że nie ma to nic wspólnego z liczbami. Twojego wpływu nie da się ująć w żadne liczby, bez względu na to, jak subtelne są ich metody oceniania.

Wiem dokładnie, jaki będzie mój następny krok. Wykonam go jutro wczesnym rankiem. Nawet nie masz pojęcia, jak ostro będę z tobą walczyć, jak drobiazgowo poczyniłam przygotowania. Istnieje teraz przeciwko tobie aż za dużo dowodów, i to bez względu na to, jakie metody liczenia zastosuje policja.

Wtorek, 3 marca, godzina 6.30

Oto moje miejsce, tu powinnam się znaleźć, to miejsce czeka na mnie. Wspinam się po schodkach prostopadłościennego kamiennego gmachu, gdzie Lottie spędziła tyle czasu. Za moimi plecami spokojnie parkuje pół tuzina samochodów osobowych i furgonetek, gotowych do akcji, z wymalowanymi żółtoniebieskimi szachownicami stróżów prawa. Nade mną wisi jaskrawoniebieska tablica ze słowem *Policja*. Wciągam głęboko powietrze, chwytam za klamkę drzwi z metalową ramą i przechodzę przez próg.

Tak wcześnie rano komisariat jest niemal pusty. Chwilę potem pojmuję z jakiego powodu, wpatrując się z niedowierzaniem w okienko recepcji ze szkła ochronnego z tabliczką: *Otwarte dla interesantów od godz. 8.00 do 22.00*. Nagle wycieka ze mnie cała moc, jestem bliska łez. Dostanę tu zaraz ataku hysterii i uznają mnie za wariatkę w przystępie zachowań antyspołecznych, oskarżą o coś i wtrącą do celi. Jak mogłam nie pomyśleć o tym, by sprawdzić rzecz tak podstawową jak godziny przyjęć?

Odwracam się, szukając drzwi, którymi tam weszłam, ale jestem dezorientowana, zagubiona i skołowana jak dziecko, które przez ostatnią minutę kręciło się w kółko, bo chyba tak właśnie ze mną było. Oskarżą mnie o pijaństwo i zakłócanie porządku

publicznego. Znów chodzę niepewnie, próbując znaleźć drogę wyjścia. Mija mnie jakiś policjant, spogląda ciekawie. Musi być ode mnie z dziesięć lat młodszy.

– W czym mogę pomóc? – zwraca się do mnie z troską. A ja biorę to za dobrą monetę, nie dostrzegając, że to po prostu uprzejme pytanie retoryczne, które miliony ludzi zadają automatycznie miliard razy dziennie.

Dukam coś niezrozumiale, pokazując ogromną torbę z dowodami, jakby to miało wszystko wyjaśnić. Wiem, że muszę mu opowiedzieć o tobie, przynajmniej jakąś bardzo szybką wersję, żeby mnie wysłuchał, żeby nie kazał mi wyjść. Ale ilekroć próbuję mówić, nie mogę wyjść poza pierwsze słowo zdania. Nie wiem, od czego zacząć listę rzeczy, które zrobiłeś.

– On... On... On... – Brzmi to jak zacinająca się płyta albo kiepska parodia śmiechu. Próbuję raz jeszcze, otwieram i zamykam usta, i choć nie wydobywam z siebie głosu, policjant pyta, czy chcę złożyć skargę. Wykrztuszam słowo „tak”, na co on mówi, że zaprowadzi mnie do pokoju przesłuchań, a ja jakimś cudem pytam:

– Ale czy komisariat nie jest zamknięty? Czy nie przyszłam za wcześniej?

Tłumaczy, że to nieistotne. Placówka jest zamknięta dla spraw rutynowych, na przykład osób chcących odzyskać zgubioną własność. Zwraca się do mnie ze smutną delikatnością chirurga rozmawiającego

z pacjentem, którego stan nie pozwala na operację. Informuje, że zadaniem policji jest pomaganie osobom przygnębionym czy przestraszonym, które nie mogą czekać. Obiecuje, że sprowadzi detektywa konstabla, który za kilka minut przyjdzie ze mną porozmawiać. Czy zechcę mu teraz towarzyszyć? Wprowadza mnie do pokoju niedostępnego dla interesantów przez drzwi, które przypominają mi specjalne przejście z poczekalni dla przysięgłych do świata sali rozpraw numer dwanaście. Przez takie przejście nie przechodzi się codziennie, a tylko w rzadkich chwilach życia.

Nie wiem nawet, jak to się stało, ale raptem siadam. Przedemną stoi szklanka wody, ktoś proponuje filiżankę herbaty, lecz potrząsam głową i wypowiadam wargami słowa „nie, dziękuję”, choć nie dobiega się z nich żaden dźwięk. Czyjaś ręka popycha ku mnie po blacie pudełko chusteczek higienicznych. Ręka należy do detektywa konstabla Petera Hughesa, bardzo wysokiego, bardzo chudego, mocno przygarbionego mężczyzny dobiegającego pięćdziesiątki, o szopie miękkich włosów barwy stali i najgrubszych okularach, jakie w życiu widziałam. Wydaje się zmęczony pod koniec zapewne długiego nocnego dyżuru. Popija czarną kawę. Biorę kilka chusteczek, ocieram oczy, wydmuchuję nos i odchrząkuję, ale to nie pomaga, więc chrząkam ponownie. Upijam łyk wody. Konstabl mówi:

– Nie ma pośpiechu. Proszę posiedzieć spokojnie przez kilka minut, aż pani będzie gotowa. Widzę, że

decyzja o przyjsciu tutaj nie byla dla pani latwa.

Dowody na to, jak zle wyglada sytuacja, musza byc wyryte na mojej twarzy i pobrzmiwac w slowach, ktore z trudem przechodza mi przez gardlo. Musze wygladac jak czlowiek w stanie rozpadu; rownie solidna jak kawał tektury w rysztoke.

Na scianie za konstablem Hughesem wisi napis oprawiony w ramke.

Wszystkie ofiary beda traktowane delikatnie, ze wspolczuciem i szacunkiem przez profesjonalnych i zaangazowanych funkcjonariuszy.

Widze juz, ze to prawda. Konstabl Hughes oraz policjant o dziecinnej twarzy, ktory przyprowadzil mnie do tego pokoju, a teraz siedzi prawie niezauwazalny, sporadzajac notatki – obaj wygladaja na rownie dobrych, jak obiecuje wywieszka. Ale jakim slowem opisac moja role w tym wszystkim? *Ofiara*. Nie pozwalalam sobie uzywac wobec siebie tego slowa, ktore nieustannie dzgalo mnie z broszurek i podczas procesu. Nie mam ochoty zaczac sie nim teraz posluziwac. Ale slowo to dobrze opisuje to, co widza, patrzac na mnie, ten mlody policjant i konstabl Hughes.

Wszyscy troje siedzimy na krzeslach z plastikowej imitacji drewna. Poza tym jedynym meblem jest stojacy miedzy nami okragly stolik od kompletu. Na podlodze lezy linoleum, wiec nawet spokojny glós konstabla Hughesa brzmi dzwiecznie i pobrzmiwa

echem, gdy pyta mnie, czy nie zechcę zaczekać kilka godzin, aż będzie dostępna policjantka, która mnie przesłucha, na co ja wykrztuszam, że muszę to zrobić teraz, jeśli wolno, a on na to: „Tak. Oczywiście”. Wisi tam ogromne lustro, które normalnie służy pewnie do obserwacji przesłuchiwanym, choć wątpię, czy jest wykorzystywane w moim przypadku. Mam nadzieję, że niebawem użyją go wobec ciebie.

Mimo moich wielokrotnie ponawianych prób wywrócenia do góry nogami metodycznych procedur oraz odruchu, by wyrzucić z siebie całą historię w sposób rozpaczliwie chaotyczny, konstabl Hughes jak prawdziwy ekspert przeprowadza mnie przez to wszystko w sposób logicznie uporządkowany. Mówię mu, że starałam się zawsze postępować jak należy. Mówię o tym, co ty wiesz aż za dobrze: że nie ułatwiałam ci niczego. W najmniejszym stopniu. Zaskakuje mnie moja gorąca determinacja, by przekonać o tym konstabla Hughesa.

Mówię mu, że nie korzystam z żadnych serwisów społecznościowych; nie afiszuję się ze wszystkimi intymnymi szczegółami życia ani nie oznajmiam o każdej podróży, w którą się wybieram. Opowiadam, jak wyśledzenie przez internet Roweny pozwoliło ci wdrzeć się na trzeciego do naszej i tak już nadwątlonej przyjaźni; nie spowodowała tego moja obecność w internecie, bo w tej dziedzinie się nie udzielam. Takie publiczne obnażanie się jest sprzeczne

z moją naturą, mówię. Informuję go, że nie znasz mojego prywatnego adresu e-mailowego – niewiele osób go zna – i że jak dotąd nigdy nie prześladowałeś mnie za pośrednictwem sieci uniwersyteckiej.

Zwracam uwagę, że zapewne nie miałaś innej opcji, jak wysledzić mnie tradycyjnym sposobem, zawzięcie kręcąc się w miejscach, gdzie, jak wiesz, muszę bywać, chociaż ograniczyłam ich liczbę niemal do granic samouwięzienia. Mówiąc to wszystko, zauważam po raz pierwszy coś, co powinno być przez cały czas oczywiste. Moja obecność w sieci, jakkolwiek skromna, wcale cię nie interesuje. Pragniesz tylko kontaktu fizycznego.

Opowiadam konstablowi Hughesowi o tamtym wieczorze w listopadzie. Wyjaśniam, że sama niewiele pamiętam. I jestem pewna, że powiesz, że było to dobrowolne. I że obawiam się, że coś mi dodałeś do wina. Mimo niewzruszonej zawodowej uprzejmości konstabla Hughesa czekam, aż spojrzy na mnie szyderczo i stwierdzi, że nic nie może zrobić. Dzieje się jednak inaczej.

– Określenie „dobrowolny” może tu nie mieć zastosowania – zauważa.

Pamiętam oczy Lottie wezbrane łzami, gdy mecenas Harker powiedział, że nie podważa żadnego z jej dowodów. Dopiero teraz rozumiem jej pełną osłupienia wdzięczność. W moich oczach też kręcą się łzy, ale hamuję je, nie chcąc przerywać czynności

konstabla Hughesa.

– Ale nawet jeśli tymczasowo przyjmiemy, że tak jest – mówi – to dobrowolne wspólne spędzenie nocy w przeszłości, bez względu na jego charakter, nie oznacza, że jest to pani wina, ani nie daje mu prawa, żeby zachowywał się tak, jak to później robił. Nie możemy teraz jednak dowieść niczego w kwestii narkotyków. Potrzebne było wówczas badanie medyczne i analiza moczu, by stwierdzić, czy ich użyto, a jeżeli tak, to jakich. Zresztą badania te nie są rozstrzygające. Nie wszystkie te substancje dadzą się wykryć, wiele z nich organizm wydalą w ciągu kilku godzin.

Wiem, że konstabl Hughes odbył przypuszczalnie niezliczone szkolenia. Wydaje się jednak taki naturalny, tak powściągliwie, choć niedominująco sympatyczny. Taki szczerzy. I godny zaufania. Myślę, że jego przyzwoitość jest autentyczna. Nie uważam, że to tylko wynik wszystkich tych dni doskonalenia zawodowego dotyczącego kwestii, jak traktować ofiary przestępstw seksualnych.

W końcu nadszedł moment, którego nie mogę już dłużej odwlekać. Wyjmuję te obsceniczne fotografie. Zapakowałam je oddzielnie od reszty twoich okropnych rzeczy, niepewna nawet w chwili, gdy wychodziłam tego ranka z domu, czy zdobędę się na przekazanie ich. Ale kładę kopertę przed konstablem Hughesem, bełkocąc, że nie pamiętam, jak je robiłeś, i że ty na

pewno będziesz twierdził, że była to dobrowolna zabawa seksualna. Tym samym uprzedzam go, co jest wewnątrz.

– To jest dosyć straszne – głos mi się trzęsie – być świadkiem tego, jak pan na nie patrzy, widzieć, że pan je ogląda... – milknę.

– Rozumiem – mówi. – I myślę, że jest pani bardzo dzielna.

Pamiętam, jak mecenas Morden powiedział dokładnie to samo do Lottie. To była ostatnia rzecz, którą od niego usłyszała po wszystkich tych dniach spędzonych na miejscu dla świadka.

Daję wyraz swoim obawom co do tego, ile osób będzie musiało to oglądać.

– Takie materiały traktujemy z największą ostrożnością – mówi, ale zauważam ogólnikowość odpowiedzi i brak konkretów.

Twarz konstabla Hughesa niczego nie wyraża. Na myśl przychodzi mi lekarz wykonujący zabieg ginekologiczny, maskujący wszystkie myśli i reakcje, by uspokoić pacjentkę, że nie ma w nim śladu pożądania, że wykonuje po prostu swój zawód. Detektyw rozsuwa plik zdjęć, spogląda krótko na to na wierzchu, pierwsze, które mi wysłałeś, i najmniej straszne z nich, to, zanim mnie związałeś i włączyłeś wszystkie swoje rekwizyty. Nie patrząc więcej na nie ani na następne w pliku, odkłada twoje fotografie pamiątkowe.

Próbuję zachowywać się jak najspokojniej, spąsowiała od stóp do głów w obecności tego nieznanego mi mężczyzny w mundurze. Za twoją sprawą widział mnie nieprzytomną w mojej bieliźnie koloru lawendy. Za twoją sprawą zobaczy jeszcze gorsze rzeczy, kiedy obejrzy sobie później pozostałe zdjęcia. Nie chce mnie zadręczać, robiąc to teraz na moich oczach.

Upijam jeszcze łyk wody, potem on mówi:

– Będzie bardzo trudno udowodnić w tym momencie, że nie była pani dobrowolną uczestniczką, choć wierzę pani, gdy pani temu zaprzecza. Ale nawet gdyby się pani zgodziła na zrobienie przez niego tych zdjęć, nie życzy pani sobie obecnie ich oglądać i dała mu to pani jasno do zrozumienia. To się teraz liczy.

Przeprasza i wychodzi na dziesięć minut, zabierając ze sobą spokojnego młodego policjanta. Pod ich nieobecność dzwonię do sądu uprzedzić, że się spóźnię. Mówię, że zatrzymały mnie sprawy rodzinne. I że zjawię się, jak tylko będę mogła. Na połę spodziewam się, że z miejsca wywalą mnie ze składu ławy przysięgłych, ale podchodzą do tego życzliwie i ze zrozumieniem.

Konstabl Hughes wraca z akcesoriami do katalogowania i przechowywania dowodów, znów w towarzystwie młodego policjanta, który operuje swoim ołówkiem tak bezszelestnie, że prawie zapominam o jego istnieniu. Tylko mój głos i głos

konstabl Hughesa mają prawo odbijać się echem od gołych białych ścian tego pokoju przesłuchań. Wiem, że musi to być strategia wypracowana przez nich obu, żebym czuła się maksymalnie komfortowo jak na dane okoliczności; żebym nie czuła się ani trochę bardziej przytłoczona, niż i tak już jestem.

Każdy przyniesiony przeze mnie przedmiot zostaje starannie zbadany i oznakowany. Twoje listy. Twoja ręcznie wykonana książka. Suszone kwiaty i urządzenia łączności, których przestałam używać. Sercowate pudełko czekoladek z bilecikiem. Fotografie, na których jestem z Robertem. Pierścionek. Twój magazyn i koperta, w której go wysłano. Tych ostatnich konstabl Hughes nie ogląda zbyt długo, za co znów jestem mu wdzięczna. Czarny notes. Fotografie ciebie na mojej ulicy zrobione kamerką telefonu komórkowego. Oraz zdjęcie mojego zaczerwienionego nadgarstka po naszym spotkaniu w parku.

Przedstawiłam dowody na znacznie więcej niż dwa przypadki nękania przewidywane przez ustawę o ochronie przed nękaniami. W przekonujący sposób udokumentowałam twoje uporczywe, obsesyjne zachowania oraz fakt, że następowały one tuż po sobie we względnie krótkim czasie.

To aż nadto wystarczy, zapewnia mnie konstabl Hughes, by usprawiedliwić wizytę, którą złoży ci on jeszcze tego samego dnia. Jak mówi, często okazuje się to wystarczające.

Opowiadam mu o zniknięciu Laury, podając dane kontaktowe do jej rodziców; wspominam, że policja nie była w stanie nic zrobić, by im pomóc; pytam, czy mógłby polecić komuś, by porównał okładkę magazynu z jej fotografią z domu rodziców. Słyszając to, konstabl Hughes mimo przygarbionych pleców wyraźnie prostuje się na krześle, a ja odnoszę wrażenie, że wydaje się zmartwiony. Bawi się swoimi ciężkimi okularami, zsuwa je z nosa tak, że widzę pozostawiony przez nie czerwony ślad, potem z powrotem nasuwa – to pierwsze nerwowe ruchy, które zauważam u niego podczas tego bardzo długiego poranka. Dłuższą chwilę zwleka z odpowiedzią, dobierając słowa ze zwiększoną ostrożnością. Policja traktuje przypadki stalkingu niezmiernie poważnie, mówi. Aczkolwiek on nie może komentować innej sprawy. Z pewnością zachowa jednak szczegóły dotyczące Bettertonów w moich aktach na wypadek, gdyby w przyszłości okazały się użyteczne.

Otrzymasz ostrzeżenie ustne i pisemne. Mają one jasno pokazać, że jeśli nie zaprzestasz swoich niedopuszczalnych społecznie zachowań, które sprawiają, że czuję się nękana, zaniepokojona lub zdenerwowana, to zostanie przeciw tobie wniesione oskarżenie i otrzymasz sądowy zakaz zbliżania się do mnie. A jeśli go złamiesz, grozi ci wyrok pozbawienia wolności do lat pięciu.

Mówię mu, co zrobiłeś z samochodem Roberta,

a choć konstabl Hughes czyni na ten temat notatkę, wyjaśnia, że o ile sam właściciel nie wniesie skargi, policja nic tu nie może zrobić. Odpowiadam, że nie sądzę, by Robert poszedł z tym na policję, przynajmniej na razie. Nie wspominam, że to dlatego, że wciąż mam nadzieję, że nigdy nie będzie musiał się o tobie dowiedzieć. Po raz pierwszy wydaje się to możliwe.

O jedenastej rano kończę i biorę wizytówkę konstabla Hughesa. Zapisał mi na niej swój numer komórki i numer sprawy. Grzebię w torebce, szukając nowego notesu, identycznego jak poprzedni, łącznie z czarną okładką. Kupiłam go tak na wszelki wypadek, choć gdy wsuwam wizytówkę między jego strony, mam nadzieję, że pozostaną niezapisane. Potem obejmuję palcami alarm osobisty, który konstabl Hughes dał mi, udzielając instrukcji, jak go używać. Wypisał mi też tak zwaną Kartę Opieki nad Ofiarą zawierającą podstawowe informacje o moim przestępstwie oraz wszystkich działaniach i papierkowej robocie, które potem nastąpią. Lottie też musiała taką otrzymać. *Moje przestępstwo. Przesłanie należąca do mnie. Jakbyś ty należał do mnie. I znowu to słowo. Na ścianie. Na wizytówce. W broszurkach. Na sali sądowej. Ofiara.*

Pięć minut po tym, jak pożegnałam się z konstablem Hughesem, stoję na peronie kolejowym. Czuję przyływ żalu, gdy uświadamiam sobie, że tamten młody policjant zniknął, nim zdążyłam mu

podziękować. Pociąg do Bristolu odjeżdżający o jedenastej osiem podstawiono prawie natychmiast, więc wsiałam. Nigdzie cię nie widać. Musisz być zaintrygowany, że mnie dziś nie znalazłeś. Wszystkie te twoje punkty obserwacyjne i procedury – i nic. Wymknęłam ci się.

Clarissa spędziła nieoczekiwaną popołudniową przerwę, studiując wykrój sukienki w stylu vintage. Od czasu do czasu notowała coś sobie swoim śmiesznym, pełnym zawijasów charakterem pisma. Siedziała w niewielkiej smudze światła, które wpadało przez okno, senna w jego przyjemnym cieple. Nie była pewna, jak długo Robert stał tam, zanim poczuła na sobie jego wzrok.

Dosiadł się, gdy uśmiechnęła się do niego.

– Co za niezwykły fason – zauważył.

– To była suknia mojej babci. Z lat pięćdziesiątych. Wykroje nie były wtedy wielorozmiarowe. Muszę ją zmniejszyć.

Ostrożnie, lekko, Robert dotknął pożąłkłego wykroju rękawa wyciętego przez jej babkę.

– Piękna rzecz.

Ich woźny sądowy wszedł swoim zwykłym miarowym krokiem. Wszyscy inni przysięgli, grający w pokera po drugiej stronie pomieszczenia, natychmiast przerwali pogawędki i zaczęli mu się przyglądać. Wystarczyło, że kiwnął głową, a podnieśli się z krzesel na jego polecenie. Bez słowa ruszyli za nim. Ale Robert został przy stole, czekając, aż Clarissa zwinie delikatny wykrój.

– Musisz być dobra, żeby zrobić coś takiego – powiedział, zanim dołączył do pozostałych. Mówił zbyt cicho, by ktokolwiek inny usłyszał, i tylko do niej, głosem kochanka.

Tamtego wieczoru sama poszła na stację. Robert pobiegł na wcześniejszy pociąg, by móc wrócić do Bath i załatwić sprawę samochodu zniszczonego przez wandalów. Jej towarzystwo opóźniłoby go.

Starła się nie wypatrywać wśród cieni Rafe'a. Próbowwała wyobrazić go sobie, jak otrzymuje pisemne i ustne ostrzeżenia od konstabla Hughesa; z pewnością już do niego dotarły; z pewnością zrozumie, że jeśli nie zostawi jej w spokoju, zostanie oskarżony i otrzyma sądowy zakaz zbliżania się, a może nawet wyrok więzienia. Żaden normalny człowiek by tego nie chciał.

Ale Rafe nie jest normalnym człowiekiem. Nie mogła pohamować obaw, że nie widział różnicy między różnymi rodzajami przeszkód, które go od niej oddzielały: czy było to policyjne ostrzeżenie, czy polecenie sądu. I czy nie pozwalano mu gdzieś wchodzić, czy skądś wychodzić. Jemu było wszystko jedno. Traktował to tylko jako utrudnienia, które musiał wyeliminować wszelkimi dostępnymi dla niego metodami, bez względu na konsekwencje. On powie albo zrobi, albo obieca wszystko.

Gdy wróciła do Bath, wyparła z głowy te myśli. Musiała pozwolić sobie na wiarę, że skoro wciągnęła w to policję, wszystko będzie w porządku.

Kazała taksówkarzowi wysadzić się przed miejscowym

supermarketem, bo chciała kupić mleko, owoce i jajka. Nie wstrzymywała oddechu, skręcając w alejkę ze środkami czystości; nie spodziewała się, że on będzie tam czekał.

Ostatnie kilka przecznic do domu przeszła pieszo, sama w ciemności. Wiedziała, że nie będzie stał przy żadnej z przecinanych przez nią jezdni. I nie pojawi się raptem przed nią. Ani zza rogu. Ani na jej ulicy. Ani na ścieżce do jej drzwi frontowych. Ani przy krzaku lawendy pani Norton. Ani w żadnym ze zwykłych miejsc.

Środa, 4 marca, godzina 9.15

Nie jestem w stanie powstrzymać się przed robieniem zapisków w moim nowym notesie. Nawet wczoraj po powrocie do domu nie mogłam przełamać nawyku pisania, a potem kładzenia wypełnionych stron na lśniąca szybę skanera. Za wiele jest wciąż niedokończonych spraw, żebym mogła cię całkowicie egzorcyzmować z mego życia.

Za dwa dni przyjadą odebrać moje śmieci. Nawet gdy zaalarmowałam już policję, która stanęła po mojej stronie, wciąż nie jestem dostatecznie pewna siebie, aby zrezygnować z tego nowego nawyku cenzorowania, co wkładam do czarnych toreb na odpadki, które wystawiam przed dom w każdy piątkowy rano. W myślach przyklepam do nich karteczkę: *Pierdol się – mam na ciebie haka*. Ale nie zamierzam teraz podejmować z tobą rozmowy. Ani cię ostrzegać czy przekazywać żadnych użytecznych informacji. A już z pewnością nie zamierzam narażać się na oburzenie mojej matki, pozwalając, żebyś mnie sprowokował do przekleństw.

Tuż po przybyciu do poczekalni dla sędziów przysięgłych, ledwie zamknęły się za mną drzwi z kodowanym zamkiem, kieruję się do damskiej toalety. Nigdy się tu nie dostaniesz. Nawet ty. Wyjmuję reklamówkę, którą zakleiałam rano przed wyjściem. Jej

zawartość jest ściśnięta na dnie tak, że moje odpadki zawinięte w plastik przypominają zniekształcony balon. Zawiązałam otwór mocno – i szczelnie – po czym wepchnęłam wszystko do drugiej torby, którą też zawiązałam, żeby dodatkowo zabezpieczyć jej zawartość i nie dopuścić, by wydobywał się przykry zapach.

Wrzucam torbę do kosza w toalecie, wściekła, że wciąż odczuwam potrzebę takich zachowań. I że w ogóle musiałam zacząć to robić. Ale teraz to wszystko jest poza twoim zasięgiem. Podpaski higieniczne umazane moją krwią z ostatnich pięciu dni. Plastikowy listek po tabletkach nasennych, które przyjmowałam aż za często. Opakowania po niedawno kupionym nowym kremie do ciała i dopiero co otwartym peelingu do stóp. Użyte dziś rano plastry z woskiem usiane drobnymi włoskami, które usuwam sobie z łydek i przedramion. Te intymne szczegóły dotyczące tego, co wychodzi z mego ciała i co w nie wchodzi, co sobie wcieram w skórę i czego używam, by ją zdepilować lub wygładzić, nie są przeznaczone dla ciebie. I tak już będzie zawsze.

Po wyjściu z toalety zobaczyła, że Robert siedzi przy jednym z chybotliwych stolików, popijając okropną sądową kawę i czytając gazetę.

Wysunął dla niej krzesło, uśmiechając się, gdy przysiadła się z kupioną w kawiarence ogromną latte. Potrzebowała jej, niewiele spała. Ale były to raczej przesadne

podeksycytowanie i ulga niż strach. Poprzedniego wieczoru nie zażyła tabletek nasennych, chciała się odzwyczaić i uwierzyć, że przyczyna, dla której je stosowała, przestała być aktualna.

– Tylko nie myśl, że nie zauważyłem pogardliwego spojrzenia, jakim obrzuciłaś moją kawę – powiedział Robert. – Wszystko w porządku z rodziną?

Przez moment nie skojarzyła. Potem przypomniała sobie kłamstwo, które opowiedziała im wszystkim poprzedniego dnia, by usprawiedliwić spóźnienie.

– Tak. Dziękuję. – Upiła łyk latte, mając nadzieję, że nie zorientował się, że zwlekała z odpowiedzią. – A twój samochód?

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nieistotne i nie warto o tym wspominać. Jego dłoń wydawała się ogromna w porównaniu ze ślicznym, białym sądowym kubkiem.

Pomyślała o tej dłoni. Wycinała ze zniszczonych wraków ofiary wypadków samochodowych, żywe lub martwe. Wyprowadzała przez wysokie okna przestraszone staruszki i pomagała im zejść po drabinach strażackich. Kontrolowała strumienie wody z instynktowną mistrzowską precyzją i mocą. Wyciągała ludzi z płonących budynków lub wygrzebywała ich z gruzowisk.

Clarissa zastanawiała się, jak by to było, gdyby dotykała jej taka dłoń.

Twarz Roberta wróciła do stanu zwykłej obojętności. Ale opanowanie twarzy musiało być częścią jego zawodu, przez

cały czas oglądał przecież ludzi konających, cierpiących i postawionych w drastycznej sytuacji. Taka fizyczna i emocjonalna dyscyplina to umiejętność, którą mógł pewnie stosować w innych dziedzinach życia, którą rozwinął przez wiele lat, bo musiał ją na co dzień wykorzystywać. Ale czy potrafił też dowolnie wyłączyć tę samodyscyplinę?

Usiłowała sobie wyobrazić, czy cokolwiek mogłoby sprawić, że straciłby panowanie nad sobą. Pomyślała o rycerzu z obrazu Waterhouse'a *La Belle Dame Sans Merci*. Rycerz, wytrącony z równowagi, ugiął kolana, pochylając się ku wróżce, bez broni, z opuszczonym mieczem. Wciąż jednak wydawał się tak silny, w hełmie, zbroi i tunice. Clarissa pomyślała, że tak musiał wyglądać Robert w stroju, który nosił, kiedy wchodził w ogień.

Otworzyły się drzwi. Annie ruszyła ku siedzącym. Szedł z nią chłopak z włosami o purpurowych końcach, jego dopasowane kolorystycznie słuchawki były jak zwykle na swoim miejscu. Można było odnieść wrażenie, że Annie prowadzi go u swego boku, skutego niewidzialnymi kajdankami.

– Nie żeń się z nią – mówiła. – Za młody jesteś na małżeństwo. Jak będziesz miał czterdziestkę, zostawisz ją po prostu dla młodszej, puścisz kantem z trójką dzieci i tłustym tyłkiem.

Chłopak wydawał się przestraszony. Spojrzał na Roberta, szukając wybawienia, ale ten wziął swój plecak i wstał.

– Pora do szatni – rzucił.

Gdy odszedł, Clarissa zdała sobie sprawę, że od chwili,

gdy odezwała się do niego po raz pierwszy, nie pozwalała sobie patrzeć w te zdumiewająco niebieskie oczy. Nigdy nie ośmieliła się patrzeć mu w oczy poza przelotnymi spojrzeniami. Jeśli te romantyczne obrazy i wiersze czegoś dowodziły, to właśnie tego, jak niebezpieczne jest patrzeć – prawdziwe patrzeć, bezpośrednio i umyślnie.

Mecenas Morden wydawał się zdenerwowany, a Clarissa szybko rozumiała dlaczego.

– Następna część materiału dowodowego oskarżenia to protokoły policyjnych przesłuchań oskarżonego Sparkle’a – zapowiedział. Ale nim jeszcze rozpoczął następne zdanie, obrońca Sparkle’a oświadczył wściekle, że występuje potrzeba rozstrzygnięcia kwestii prawnych, więc przysięgłych wyproszono na resztę dnia.

Sroda, 4 marca, godzina 18.20

Nie widzę tego, gdy wchodzę. Jestem zbyt zajęta ważnym zadaniem zdejmowania czapki i wpychania jej do torby. Dlatego tego nie zauważam. Dlatego nadeptuję na brązową kopertę, brudząc jej róg błotem. Dopiero wrażenie, że papier przylepia mi się do podeszwy, każe mi spojrzeć na dół i oderwać go. Pani Norton musiała drzemać, gdy koperta wpadła przez szczelinę w drzwiach.

Wydrukowano na niej moje imię i nazwisko. Nie cierpię, gdy ich używasz, ale jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że to list od ciebie, więc nie czuję zdenerwowania. Dojdzie do tego dopiero za kilka sekund. Na kopercie nie napisano nic więcej. Żadnego

adresu ani znaczka. Ale ja nie zauważam twoich znaków szczególnych, ponieważ już przestałam szukać wszystkich twoich śladów. Tak bardzo tego chciałam. Za łatwo to wszystko poszło.

Gdy dryfuję sennie ku schodom, myśląc o moim spacerze z Robertem, machinalnie rozdieram kopertę i wyjmuję jej zawartość. Na widok twojego charakteru pisma klepię się dłonią w głowę i kilka razy przeciągam nią po włosach. Syczą i trzeszczą, dosłownie widzę niebieskie iskry elektryczne. Gdy odsuwam palce, włosy czepiają się ich jak namagnetyzowane.

Przygarbiona przy ścianie, z ciężką torbą przewieszoną wciąż przez ramię, czytam twój list.

Tak dobrze rozumiesz Sinobrodego. Oto inna baśń, o której chciałbym poznać twoją opinię.

Wiesz, jak król postąpił ze swoją bezwstydną żoną w *Trzech węzowych liściach*. Wsadzono ją z kochankiem na statek „w którym poprzebijano otwory i wysłano na morze, gdzie rychło zatoniła wśród fal”.

Czy sądzisz, że ów król był głupi, ofiarowując jej te ostatnie chwile samotności z kochankiem? Czy sądzisz, że powinien sam je z nią spędzić?

Jakże szybko wyzbyłam się wielkich nadziei, które zaledwie wczoraj rozbudził we mnie konstabl Hughes. To zupełnie tak, jakbym się kładła do łóżka, starając się wierzyć, że jutrzejszy test ciążowy da wynik

pozytywny, a nazajutrz po południu zostałabym zdruzgotana telefonem z kliniki na moją komórkę albo widokiem krwi na bieliźnie, jeszcze zanim laboratorium przefaksowało wyniki.

Sięgam do torebki po telefon i wizytówkę konstabla Hughesa. Udaje mi się wydusić tylko kilka słów, ale to wystarcza. Mówi mi, że już jedzie, nie muszę się fatygować na komisariat, bo moja sprawa jest priorytetowa.

Niespiesznie, starając się uspokoić dzięki świadomym, uważnym ruchom, wchodzę po schodach do swojego mieszkania i robię sobie filiżankę herbaty, żeby spróbować się rozgrzać i splukać ten straszny smak w ustach. I to straszne zdanie z mojej głowy.

Sprawa priorytetowa. Zaszczyt najgorszego rodzaju. Jakbym uzyskała dostęp do jakiegoś perwersyjnego salonu dla VIP-ów albo drogi na skrót do piekła.

Nie mogę przestać powtarzać tych słów. Sprawa priorytetowa. Zupełnie jakbym raptem zapadła na jakieś zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. Sprawa priorytetowa. Sprawa priorytetowa. Sprawa priorytetowa. Te słowa nie chcą się ode mnie odczepić, jakby jakaś zacięta płyta bezustannie powtarzała się w mojej głowie.

Dopóki nie powiedział tego konstabl Hughes, nie wiedziałam, że właśnie tak ze mną jest. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że tak ze mną być może. Że właśnie to ze mnie zrobiłeś. Sprawę

priorytetową.

Ostatnie chwile.

Sam je z nią spędzić.

Po raz pierwszy widzę to jakby z zewnątrz. Nawet dla policji wszystko to musi wyglądać bardzo, bardzo źle. Nawet policji, która codziennie widuje strasznych ludzi, musisz się wydawać bardzo niebezpieczny. Sprawa priorytetowa.

Czwartek, 5 marca, godzina 9.30

Siedzę sama w sali posiedzeń ławy przysięgłych, starając się pozostawać niewidoczna, nawet dla Roberta. Wyobrażam sobie, co się teraz z tobą dzieje. Konstabl Hughes wyjaśnił mi wszystko.

Policja zapuka do twoich drzwi. Aresztują cię. Pouczą o twoich prawach i przesłuchają. O ile nie odmówisz składania zeznań, zapewne będziesz zrzucał winę na mnie. Powiesz pewnie, że byliśmy w związku i nigdy ci nie mówiłam, że nie życzę sobie, byś mi okazywał względy. Może nawet dodasz, że sama dawałam ci się we znaki. Czy pokażą ci te fotografie? Czy będziesz triumfować? Próbuję przekonać samą siebie, że nie dadzą ci satysfakcji oglądania ich tam, popisywania się twoim dziełem. Albo jeśli będą musieli, to że pewnie niewiele powiesz ani nie zechcesz patrzeć na nie zbyt długo. Nie w obecności innych. To element twojej zaborczości. Bez względu na to, co zrobią i jak na to zareagujesz, nie umniejszą to ogromnej wagi innych dowodów.

Przedłożą je prokuraturze, pytając o zalecenia.

Potem, miejmy nadzieję, postawią ci zarzuty nękania i grożenia użyciem przemocy na mocy ustawy o ochronie przed nękaniami.

Każą ci stanąć przed sądem i wystąpią o bezzwłoczne wydanie zakazu zbliżania się do mnie,

choć zostaniesz zwolniony za kaucją.

Do weekendu będzie prawdopodobnie po wszystkim. Konstabl Hughes przekaże mi chyba te wiadomości w najbliższych dniach. A kiedy cię już zwolnią, to jeśli zbliżysz się do mnie lub skomunikujesz ze mną w jakikolwiek sposób, złamiesz prawo. Zakaz uniemożliwi ci chodzenie do pracy. Dział kadr zasięgnie pewnie porady prawnej. Wyślą pisma z zapytaniem, czy mogą, czy powinni i czy muszą nadal cię zatrudniać. Będziesz absolutnie wściekły. Gdybym cię tak nie nienawidziła, współczułabym ci z tego powodu. Ale nie stać mnie na współczucie.

Mało tego, nie stać mnie także na lęk, że nie musisz się już kontrolować, jak to miało miejsce, kiedy tam pracowałeś. Jest jeszcze jedna rzecz, która działa na moją niekorzyść. Nawet jeśli obecność Roberta stanowi pewną ochronę, to jednocześnie pobudza cię do działania. W przypadku Laury nie było innego mężczyzny, który wywoływałby twoją obsesyjną zazdrość. W każdym razie jej rodzice nic o tym nie wiedzieli, choć dzięki twemu szpiegowaniu mogłeś być lepiej poinformowany.

Powtarzam sobie, że gdyby cokolwiek mi się stało, policja natychmiast zacznie cię podejrzewać. To pokrzepiająca myśl. Ty także o tym wiesz. W przypadku Laury nie byłeś pod nadzorem. Pozwolili ci robić, co chciałeś. W moim przypadku stanie się inaczej. Ale jakaś częśćka mnie nie może się oprzeć

podejrzeniom, że policja wykonuje wszystkie te ruchy tylko po to, by w razie gdybyś mnie ostatecznie zabił, mogli się bronić przed oskarżeniami, dowodząc, że dopełnili wszelkich procedur. W całej tej plątaniu jest coś, o czym wiem przez cały czas, ale nie chciałam tego mówić: istnieje całkiem realna możliwość, że mnie zamordujesz. To dlatego moja sprawa jest priorytetowa.

Siedziała w sali rozpraw, myśląc o zagadkowym losie Laury i bezgranicznej rozpacz państwa Bettertonów, i o kobiecie z okładki tego strasznego magazynu. Usiłowała skupić uwagę na mecenasie Mordenie, który właśnie wstał z miejsca.

– Detektyw konstabl Mallory odczyta pytania, które zadał oskarżonemu Sparkle’owi, ja natomiast udzielone przez oskarżonego odpowiedzi. Przysięgli usłyszą tylko fragmenty.

DK: Dobra, Isaac. Możesz mi opowiedzieć, co się działo, jak się zbudziłeś w niedzielę rano?

IS: Zostałem Carlottę w sypialni. Była taka... zwinięta na łóżku, wciśnięta w róg, prawdę mówiąc. Jakby, jak to mówią, w pozycji embrionalnej, no nie?

Dałem jej znak, żeby poszła ze mną do salonu. Ona była... trochę sceptyczna... jakby spokojna. Nie jak poprzedniego wieczoru, gdy gadała do mnie i do Godfrey’a i Azaroli. No to ją pytam, czy coś się stało, ona na to: tak, jestem sponiewierana, sponiewierali mnie.

DK: Co według ciebie znaczyło słowo „sponiewierana”?

IS: Bo ja wiem. Pewnie, no, wie pan, oskarżenie o gwałt i to wszystko, o czym tu się mówi. No to ja na to, kto to zrobił, a ona, że dwóch największych, to sobie pomyślałem, że chodzi o Tomlinsona i Dolemana. No to mówię potem do Tomlinsona: Carlotta gada, żeś ją sponiewierał, a on na to, że to nic, że nie ma sprawy. Ale nie patrzył na mnie. Nie chciał o tym gadać.

Zamiast iść prosto na stację, zaszedli do pobliskiego bistro, które wpadło Robertowi w oko. *Tylko szybka kolacja*, stwierdzili oboje, bagatelizując sprawę. *To zbyt urocze i dyskretne miejsce, żeby je pominąć*, stwierdzili oboje, wślizgując się z uśmiechem do boksu pokrytego czerwoną skórą.

Otworzył usta w udanym zdumieniu, gdy zamówiła sandwicza ze stekiem.

– To nie jesteś wegetarianką? Z jakiegoś powodu uznałem, że jesteś.

– Zdecydowanie nie. Ale wiem, jaka jestem denerwująca, gdy proszę, żeby był dobrze wypieczony. – Henry zawsze wzdrygał się, gdy to robiła.

– Nie, nie jesteś. Powinnaś zamówić sobie taki stek, na jaki masz ochotę.

Miliard punktów dla ciebie, pomyślała, uśmiechając się

do niego promiennie.

– Cieszę się, że tak do tego podchodzisz.

Przeprosiła i wyszła na chwilkę do toalety, grzebiąc po drodze w torebce, by znaleźć telefon. Chciała pospieszenie sprawdzić – tak by Robert nie widział – czy nie przyszedł SMS od konstabla Hughesa. Ale nic nie było.

Gdy wróciła, zatkało ją. W ręku Roberta zobaczyła swój czarny notes.

– Wypadło ci, jak wychodziłaś – powiedział spokojnym głosem, bez poczucia winy, nie jak ktoś, kto wtyka nos w nie swoje sprawy. Podał jej notes.

Wzięła go, powoli i delikatnie, bąkając podziękowanie. Trzymała go za spinającą całość drucianą spiralę, z dyndającymi kartkami. Kilka razy przerzuciła je tam i z powrotem, spirala zaskrzypiała przy tym w odpowiednio straszny sposób.

Robert nalał jej do szklanki wody gazowanej.

– Tak na wypadek, gdybyś była ciekawa. Nie zaglądałem.

– Przepraszam, jeśli pomyślałeś, że tak pomyślałam. –

Przewróciła oczami. – Czy to był łamaniec językowy?

Roześmiał się.

– Możliwe. – Ale nie dał się odwieść od tematu. – Tak, żebyś wiedziała. Nie zrobiłbym czegoś takiego.

Przypomniało jej się, jak Henry, grzebiąc w pliku papierów na jej nocnym stoliku, natknął się na materiały informacyjne z kliniki leczenia niepłodności, zanim jeszcze była gotowa wyjaśnić mu, że chce spróbować terapii. Był wściekły, że knuje za jego plecami, ale potem szybko zgodził się z nią

pójść i dotrzymać obietnicy, że pozwoli jej mieć dziecko. –
Wiem, że byś tego nie zrobił.

– A więc ufasz mi?

– Tak.

– Dobrze. Byłoby zrozumiałe, gdybyś miała wątpliwości.

– Upił dwa centymetry francuskiego piwa. – Piszesz powieść?

Pokręciła przecząco głową.

– Zawsze coś tam gryzmolisz. Wyglądasz, jakbyś była nieźle uzależniona od tego pisania. To pewnie jakieś dzieło sztuki.

– Zdecydowanie żadne dzieło sztuki.

– Nie widzisz nic innego, gdy to robisz. Dziś rano tak byłaś tym pochłonięta, że nie zauważyłaś, jak do ciebie machałem. Annie odtąńczyła nawet gigę, żeby zwrócić twoją uwagę, a i tak nie uniosłaś wzroku.

– Nie wierzę, że to przegapiłam. Każę jej powtórzyć występ.

– Nie usłyszałaś nawet, jak się oboje śmialiśmy.

Rzuciła okiem na notesik, jakby źle się zachował, domagając się od niej za wiele uwagi. Był niewiele większy niż dłoń, w której go trzymała.

– Trochę za mały na powieść.

– Cokolwiek tam piszesz, idę o zakład, że jest dobre.

– Nie jest dobre. – Wrzuciła notes do torebki, którą starannie zamknęła, sprawdzwszy potem jeszcze raz.

Kelnerka ustawiała przed nimi talerze.

Clarissa przyjrzała się sandwiczowi ze stekiem. Sos

z karmelizowanej cebuli sącył się z bagietki, nadając jej ciemnożółcistobrązowy odcień. Ugryzła ostrożnie i wydała pomruk uznania, wiedząc, że Robert przyjmie to jako oznakę zadowolenia, choć w duchu przeklinała się za to, że zamówiła coś tak straszliwie niewygodnego do jedzenia. Otarła usta serwetką tuż po odłożeniu sandwicza, na wypadek gdyby sos pozostał jej na wargach. – To naprawdę smakowite. Czy moja matka płaci ci, żebyś pilnował, czy jem?

Uśmiech, szybki przeczący ruch głową, krótka pauza, potem rozbawione i zdecydowane:

– Nie.

Za trudno jej było objąć ustami ogromnego sandwicza. Odkroiła kawałeczek steku i nadziała na widelec ze skrawkiem cebuli. Zanurzyła to w dzbanuszkę sosu z czerwonego wina, który postawiono obok jej talerza. Odłożyła widelec z nietkniętym kawałkiem steku, cebulą i sosem.

– Robercie... chciałam ci powiedzieć... o tym notesie.

Miał pełne usta smażonych ziemniaków. Przełknął, zanim był całkiem gotów.

– Nie przejmuj się tym.

– Naprawdę się krztusisz?

– Widzę – odparł przesadnie chrypiącym głosem – jaka jesteś zatroskana. – Spojrzał na jej talerz. – Twoja matka może mi nie zapłacić, jeżeli nie zjesz ziemniaków.

– Najbardziej lubię chrupiące. Tylko takie są warte zjedzenia.

Posortował swoje ziemniaki, oddzielił wszystkie chrupiące i ułożył na jej talerzu.

– Moja matka by cię uwielbiała. – Bezzwłocznie włożyła sobie jednego do ust.

Zabuczał jego telefon.

– Jack jest w dołku. Inaczej bym nie odbierał. – Wysunął komórkę z kieszeni i spojrzął na tekst, ściągając brwi i mrużąc oczy. – Wcale nie mam na to ochoty, ale musimy się powoli zbierać. Powinienem do niego pojechać. Wyciągnąć go z ciemnego tunelu, nim zajdzie za daleko.

Kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– Przyjaciele są ważni. – Myślała o Rowenie, zastanawiając się, czy wciąż ma szanse ją odzyskać, ale też czy naprawdę jej na tym zależy.

Dokładnie tak zrobiłby to Robert, pomyślała, kiedy Azarola podszedł pewnym krokiem do miejsca dla świadka i patrzył bacznie przed siebie, wyprostowany, niewzruszony, bardziej niż kiedykolwiek przypominający hiszpańskiego gwiazdora pop. Miał na sobie szarą, włóczkową kamizelkę z wycięciem w serek, a pod nią olśniewająco biały T-shirt wycięty w łódkę.

– Świadek twierdzi, że nie pamięta, co robił podczas weekendu, gdy ta młoda kobieta została rzekomo uprowadzona, bezprawnie uwięziona i zgwałcona – mecenas Williams ostro zabrał się do swego chłopca.

Azarola pokręcił głową z bezradnym zakłopotaniem.

– Taa. No bo jej nie znam. Nigdy jej nie spotkałem. Nie było mnie tam. – Nie był tak wysoki jak Robert, ale miał takie same wąskie biodra i talię oraz długie nogi.

– Dlaczego w takim razie domniemany przyjaciel świadka oskarżony Sparkle zeznał na policji, że świadek był tam obecny?

– Kłamie. Jest moim konkurentem. – Może strażacy musieli spędzać codziennie trochę czasu na siłowni. Więźniowie zapewne robili to z własnej woli, jeśli byli rozgarnięci. – Chce mnie odstawić. Wyeliminować.

Robert i Clarissa odbywali zwyczajowy spacer na stację.

– Nigdy mnie nie złapał fotoradar – mówił strażak. – Nigdy nawet nie zapłaciłem mandatu za złe parkowanie.

– Byłeś skautem? – Nasunęła sobie włosy na uszy,

próbując je ogrzać. Zostawiła czapkę w torebce. Choć Robert już ją widywał w tej czapce, Clarissę nagle ogarnęła autorefleksja i zaczęła się zastanawiać, czy nie za bardzo kojarzy się z małą dziewczynką, żeby mogła ją nosić w jego obecności.

– Skądże.

– Znów cię podpuszczam. Przepraszam.

Nie wyglądał, jakby miał coś przeciwko temu.

– Ty się trzęsiesz. Nie masz czapki? Możesz włożyć moją.

Jego nakrycie głowy przypominało rosyjską czapę kozacką; ciemnogranatowy polar mocno opadał na uszy. Pogrzebała w torebce, udając, że szuka własnej. Znalazła ją, robiąc zaskoczoną i uradowaną minę.

– Ładna – ocenił.

– Matka zrobiła mi na drutach. Chce, żeby mi było ciepło.

– Bardzo rozsądnie z jej strony. – Wyraźnie usatysfakcjonowany, że już jej nie grozi mróz, wrócił do tematu. – Młodzi chłopcy muszą umieć ukierunkować swoją agresję. Nauczyć się dyscypliny. Zapewnia to straż pożarna. Gdyby nasi przyjaciele z ławy oskarżonych wstąpili do niej w wieku osiemnastu lat, nie siedzieliby tam teraz.

– Ale przecież to nie jest dla każdego? Nie każdy może się dostać. Trzeba mieć szczególne predyspozycje, jak sądzę.

Wydał się zaskoczony tym pomysłem.

– Jaki odsetek kandydatów się dostaje? – spytała.

– Jeden na czterech. Są sprawdziany przydatności, testy osobowościowe. Nie można oszukać testów.

– Założę się, że Azarola mógłby. Wygrałby dzięki samej

charyzmie. – Mówiąc to, sięgnęła do torebki po dzwoniący telefon. – Myślę też, że jest bystrzejszy niż wszyscy ci adwokaci razem wzięci. – Zobaczyła na wyświetlaczu nazwisko konstabla Hughesa. – Robert, przepraszam. – Znowś ściągnęła czapkę, żeby nie zasłaniała ucha. – Muszę odebrać.

– Pójdę przodem. Dogoń mnie, jak skończysz. A jak nie, to widzimy się w poniedziałek.

Mówiła bardzo niewiele, słuchając detektywa. Wyjaśniła mu, że idzie ulicą, mając niedaleko znajomego.

Chyba natychmiast zrozumiał sytuację.

– Przekażę pani wiadomości, proszę tylko słuchać. – Nie chciał, żeby zamartwiała się przez cały weekend, ale musiał zaraz zejść z dyżuru.

Robert przystanął, by zerknąć na nią, więc próbowała się do niego uśmiechnąć. Przewróciła oczami, jakby chciała możliwie szybko zakończyć rozmowę, a on poszedł znowś przodem.

Konstabl Hughes miał informacje z pierwszej ręki, tego popołudnia był osobiście w sądzie. Uprzedził Clarissę, że choć przewidywali, w jakim świetle Solmes przedstawi swoje działania, i tak przykro jej będzie tego słuchać.

Solmes skłonił głowę, gdy jego adwokat wyjaśniał, że z punktu widzenia jego klienta wszystko to jest straszną, a zarazem smutną pomyłką, tragicznym przypadkiem wzajemnego nieporozumienia, który w ogóle nie powinien być rozpatrywany przez wymiar sprawiedliwości. Pan Solmes z pewnością nigdy nie miał zamiaru zastraszać pani Bourne

ani jej się narzucać wbrew jej woli.

Fotografie te były częścią zabaw seksualnych, które jego klient oraz pani Bourne uprawiali razem za obopólną zgodą jako osoby dorosłe, na szczególne życzenie pani Bourne. Pan Solmes przystał na to niechętnie, ponieważ chciał ją zadowolić; głęboko żałował, że pani Bourne czuła potrzebę dzielenia się czymś tak osobistym z policją.

Clarissę ścisnęło w gardle. Odkaszlęła, zabrzmiało to, jakby się krztusiła. Robert znów się na nią obejrzał. Przechodzili akurat przez ruchliwą ulicę na zielonym świetle. Chciał chyba sprawdzić, czy Clarissa nie jest zbyt rozkojarzona i czy nic jej nie grozi.

Pan Solmes był szczególnie wstrząśnięty, że ona uznała te piękne kwiaty za groźbę śmierci. Martwił się, że musi być mocno zestresowana i wyczerpana, skoro wyobraża sobie podobne rzeczy.

Sądził, że ona odwzajemnia jego uczucia, wybrali nawet wspólnie pierścionek zaręczynowy, który pani Bourne przyjęła i zatrzymała. Jeszcze trzy dni temu nic nie świadczyło o tym, że jej uczucia uległy zmianie od czasu nocy wspólnie spędzonej w listopadzie, gdy zgodziła się go poślubić. Pan Solmes był całkowicie zaskoczony, gdy we wtorek policja zapukała do jego drzwi. Potrzebował czasu, by przyjąć do wiadomości ten nowy stan rzeczy.

Mimo tego, co zrobiła pani Bourne, jej zamknięcie się w sobie i przygnębienie sprawiają, że pan Solmes bardzo się niepokoi o jej dobre samopoczucie. Całkiem wyraźnie podupada ona na zdrowiu, wiadomo też, że uzależniła się od

tabletek nasennych. Rzeczywiście, uporczywie ponawiał on próby nawiązania z nią kontaktu, ale tylko po to, by proponować jakże potrzebną pomoc. Zainscenizował nawet interwencję wspólnie z jej najlepszą przyjaciółką, ale pani Bourne i na to się nie zgodziła. Fakt, że nie uznawała oferowanej pomocy, pokazywał, w jak rozpaczliwym stanie się znajduje.

Pan Solmes odczuł to jako bolesną niesprawiedliwość, że ma być ciągnany po sądach w zamian za swoją życzliwość i ludzkie podejście. Przystanie odtąd w jakikolwiek sposób zajmować się panią Bourne. Poleciał jednak swemu adwokatowi, by oświadczył, że choć jego klient czuje się głęboko urażony, żywi szczerą nadzieję, że pani Bourne poszuka gdzie indziej wsparcia osobistego i medycznego. Pan Solmes życzy jej jak najlepiej.

Sędzia tego nie kupił, wyjaśnił konstabl Hughes. Zwolnił Solmesa za poręczeniem, ale wydał zakaz zbliżania się.

Jego adwokat zaprotestował, że zakaz taki uniemożliwi jego klientowi pracę na obecnej posiadłości, pozbawi środków do życia i zrujnuje mu karierę, ponieważ zarówno on, jak i pani Bourne są zatrudnieni w tym samym miejscu.

Konstabl Hughes pospiesznie zapewnił Clarissę, że sędzia nie zmienił zdania. Mało tego, dał jasno do zrozumienia adwokatowi Solmesa, że jeśli jego klient złamie zakaz zbliżania się, kara będzie surowa i z pewnością obejmie pozbawienie wolności na znaczący okres.

Konstabl Hughes poradził Clarissie, by pozostała czujna i uważna, zachowując jednak optymizm co do faktu, że

Solmes zostawi ją teraz w spokoju.

Zdała sobie wówczas sprawę ze strasznej rzeczy. Przyszło jej do głowy, że miała właściwie szczęście, że jego zachowanie było tak skrajne. W sumie nie najgorzej jest być sprawą priorytetową. Gdyby jego nękanie miało charakter bardziej umiarkowany, może nie zostałyby potraktowane tak poważnie. Policja może by nie pomogła. Nigdy by nie wydano zakazu zbliżania się. Może musiałyby żyć, znosząc nieustannie, aż do śmierci, jego nachalną obecność, a każdą minutę jej egzystencji zatrzymałaby ta powoli działająca trucizna.

Pragnęła teraz tylko jednego: odzyskać własne życie, osiąść je ponownie i delektować się nim: całkowicie własnym, zupełnie prywatnym. Nie jest to coś, co będzie zawsze brać za rzecz oczywistą, jak to czyni większość ludzi.

Wrzucając komórkę z powrotem do torby, była już spokojniejsza. Gdy szła dojazdem do stacji, Robert zwolnił, by na nią zaczekać.

– Ciekawa rozmowa? – spytał obojętnie.

– Nie – odparła i dla potwierdzenia pokręciła głową, przekonując samą siebie. – Bardzo nudna sprawa, która się skończyła.

Namyślał się chwilę, potem powiedział, jakby nie mogąc się powstrzymać.

– Zastanawiałem się, czy nie chodzi o mężczyznę. Kogoś, z kim się spotykasz...

– Nie. Boże, nie. – Twarz Roberta rozluźniła się. – Nie ma nikogo takiego, Robercie – powiedziała cicho i nieśmiało.

Zastanawiała się, w jaki sposób przybliżyć mu prawdę. – To dzwonił kolega. Martwiłam się o coś, taka sprawa w pracy, ale miał dla mnie dobre nowiny. Problem się rozwiązał.

Stała z Robertem przed bramkami biletowymi.

– To dobrze – skwitował.

Kiwnęła głową.

– Właśnie. – Wsunęła bilet do urządzenia i przeszła przez kołowrót. – Naprawdę bardzo, bardzo dobrze. Nie chcę już o tym myśleć. – Przystanęli na szczycie schodów prowadzących na perony. – Z nikim się nie spotykam. – Spojrzała prosto w jego oślepiająco niebieskie oczy. – Jest tylko jedna osoba, z którą chciałabym się spotykać.

Podczas weekendu usiłowała sprawdzić, czy może poczuć się wolna i nie oglądać się przez ramię. W sobotę snuła się po śródmieściu, robiąc niespiesznie zakupy na bazarku rolniczym i zastanawiając się przelotnie, jak to w ogóle możliwe, że Godfrey omal nie porwał stamtąd Polly Horton. Uderzyło ją, jakie to gwarne i na pozór bezpieczne miejsce.

Zamówiła latte w barze kawowym. Czekając, wysłała do Caroline SMS z pytaniem, czy nie ma przypadkiem czasu na wspólną kolację tego wieczoru, choć nie była pewna, czy koleżanka nie gniewa się na nią za to, że dwa tygodnie wcześniej nie skorzystała z zaproszenia na lunch. Prawie natychmiast Caroline zaskoczyła ją odpowiedzią, że zjawi się o ósmej i nie może się doczekać, bo chce jej opowiedzieć o supertajnym planie restrukturyzacji uniwersytetu.

Latte nie była jeszcze gotowa, więc Clarissa napisała też do Roweny. *Kocham Cię i tęsknię za Tobą.* Tylko tyle. Na to nie otrzymała jednak natychmiastowej odpowiedzi. Obawiała się, że Rowena potnie nożyczkami jedwabną nocną koszulę, którą wysłała jej wcześniej tego ranka, ale odsunęła od siebie tę myśl i oddała się radosnemu ożywieniu wywołanemu perspektywą odwiedzin Caroline.

Kupiła jaskrawoczerwone tulipany, pierwsze w tym sezonie, ponadto oliwki, suszone pomidory, papryczki nadziewane serem ricotta, słodki ciemny chleb żytni, ręcznie wyrabiany ser halloumi i butelkę ulubionego amarone.

W sklepie z francuskimi czekoladami nabyła pralinki, trufle i migdały oprószone kakao. Zaopatrzyła się też w składniki na zapiekankę z wołowiną według przepisu swojej matki.

Gdy wróciła do domu, nie czekały na nią żadne listy ani prezenty. Był tylko wyciąg z karty kredytowej. Wyglądał po prostu ślicznie.

W niedzielę długo spacerowała po spokojnych polach, gdzie kiedyś w półmroku późnego lata obserwowali z Henrym lisy. Było coś magicznego w tym, że taki spokojny wiejski zakątek leży tak blisko miasta.

Lubiła czuć sprężysty mech pod stopami, gdy wędrowała przez zarośnięty stary cmentarz przykościelny graniczący z małą farmą. Poruszył ją widok świeżych kwiatów i nowego pluszowego misia na grobie małego dziecka, które zmarło przed czterdziestu laty. Czy to matka je zostawiła? To już pewnie teraz stara kobieta, ale Clarissy nie zaskoczyło, że po tylu latach wciąż opłakuje utracone dziecko. Wiedziała, że zmarłego dziecka nie da się zastąpić innym, niemniej żywiła nadzieję, że ta pogrążona w żałobie matka miała przynajmniej jeszcze jedno.

Dopiero gdy słońce stało tak nisko, że musiała mrużyć oczy, przestała odczytywać daty i nazwiska na kamiennych aniołach i ozdobnych krzyżach. Dopiero wtedy pohamowała odruch wymyślania historii życia ludzi przedwcześnie zmarłych, próbując nie zaliczać do nich Laury.

Tydzień szósty

Zakazany klucz

– Inteligentny jest – powiedziała Annie do obecnych w pokoju.

Siedzieli w aneksie, czekając, aż woźny sądowy zaprowadzi ich znów na salę rozpraw numer dwanaście, by stali się świadkami tego, jak mecenas Morden dokona ostatniej próby zatopienia niezatopialnego Azaroli. Przez cały dzień przeszkadzały w tym Mordenowi sprzeciwy mecenasa Williamsa, a przysięgli to zasiadali w swojej ławie, to ją opuszczali, by umożliwić przeprowadzenie wywodów prawnych.

Annie pochyliła się ku Clarissie i szepnęła:

– Ładne ramiączko od stanika, nawiasem mówiąc. Myślisz, że Azarola lubi różowy jedwab?

Szept Annie nie zabrzmiał wcale jak szept. Robert przypuszczalnie usłyszał to ze swego miejsca przed Clarissą, choć starannie udawał, że tak nie jest.

Wsunęła ramiączko pod ubranie i powiedziała:

– Annie, byłabym wdzięczna za tę informację nieco wcześniej.

– Twoje policzki są teraz pod kolor – ciągnęła koleżanka.
– Lepsze to niż ten poprzedni upiorny wygląd.

Wendy, siedząca po drugiej stronie Clarissy, pospiesznie pisała SMS do swego chłopaka, ale uniosła wzrok.

– Są jakieś szanse, że Azarola wykorzysta kiedyś swoje talenty w dobrym celu?

– Nie sądzę. – Annie znów poprawiła się na krześle. –

Myślę też, że to my uwolnimy jego złego ducha.

Mecenas Morden spojrzał na Azarolę z nieskrywaną pogardą.

– Oskarżony powiedział mecenasowi Williamsowi, że dał swój telefon jednemu ze swoich chłopców, Aaronowi, i to dlatego telefon ten poruszał się po szosie do Londynu podczas uprowadzenia pani Lockyer. Skoro naprawdę świadka tam nie było, proszę nam podać prawdziwe nazwisko Aarona.

Uśmiech, szybki przeczący ruch głowy, krótka chwila milczenia i rozbawione, zdecydowane:

– Nie. – Clarissa zdała sobie sprawę, że Robert wykonywał czasem dokładnie tę samą sekwencję ruchów.

– Nie ma żadnego Aarona. – Mecenas Morden wydawał się tak wściekły, że zastanawiała się, czy dosłownie nie straci panowania nad sobą. – Świadek wie o tym. Wiedzą o tym przysięgli. To świadek był w tej furgonetce.

Poniedziałek, 9 marca, godzina 18.20

Na kopercie nic nie napisano, ale pani Norton przykleiła do niej żółtą karteczkę. *Clarisso, to przyszło dziś rano. Pewnie do Ciebie? Zapukaj do mnie, jeżeli się mylę.* Jeszcze przed otwarciem wiem, że pani Norton się nie myli. Ona nigdy się nie myli.

Wewnątrz jest kolejna z serii twoich fotografii, jakbyś chciał przerzucać je jedną po drugiej, tworząc prymitywny filmik. Zmieniłeś na niej tylko jedno. Przemieściłeś jedną z moich pończoch, układając ją na kształt litery U. Jej część środkową owinałeś mi wokół

szy. Palce i manszetę pończochy przeciągnąłeś pod ramą łóżka i przywiązałeś je do niej.

Odtwarzam w pamięci oględziny mego ciała, których dokonałam nazajutrz rano. Nie miałam żadnych śladów na gardle. Jestem tego pewna. Zauważyłabym.

Ta pończocha to tylko dekoracja, jeśli można użyć tego słowa, wyłącznie element stanowiący odzwierciedlenie twojego gustu. Ma też znaczenie symboliczne, choć w sferze symboli przesłanie jest mało subtelne: chcesz mnie udusić, możesz to łatwo zrobić, miałeś okazję i nie wykorzystasteś jej, następnym razem nie okażesz się już taki wspaniałomyślny.

Zmuszam się, żeby jeszcze raz uważnie przyjrzeć się fotografii, aby potwierdzić, czy rzeczywiście nie raniłeś mnie tą prowizoryczną pętlą. Jednak choć obraz jest przerażający i groźny, pozostaje ona luźna.

Bardzo się staram zachowywać racjonalnie. Nieważne, że powiedziałeś policji i swemu adwokatowi, że była to dobrowolna zabawa, jak to miało miejsce w przypadku Laury. Nieważne, że to zdjęcie jest jeszcze bardziej ohydne i przerażające niż poprzednie. Liczy się, że nie wytrzymałeś nawet przez weekend, nie naruszając zakazu zbliżania się. Jest to przestępstwo karne, które sprawi, że w ciągu dwudziestu czterech godzin staniesz przed sądem i czeka cię wyrok więzienia. Co najmniej półtora roku. Konstabl Hughes powiedział, że sędzia przestrzegł cię,

że konsekwencje naruszenia zakazu będą poważne. Ponadto otrzymasz dożywotni zakaz jakichkolwiek kontaktów ze mną.

Pozbędę się ciebie. Będę naprawdę bezpieczna i wolna. Wysyłając to, wyświadczyłeś mi właściwie przysługę. Jakoś zniosę udrękę pójścia z tym do konstabla Hughesa.

Wzywam taksówkę i jadę prosto na komisariat policji, gdzie przez resztę wieczoru jestem znów przesłuchiwana; staję się w tym ekspertem, podobnie jak to się chyba dzieje z Lottie.

Potem odwozi mnie do domu ten sam młody policjant, na którego natknęłam się, idąc tam pierwszy raz. Cieszę się, że mam okazję podziękować mu za okazaną życzliwość i pomoc, i za to, że nie kazał mi wtedy wyjść, zanim otworzą. Uśmiecha się sympatycznie, skupiając uwagę na drodze, i mówi, że przecież to jego praca, od tego tam jest, więc cieszy się, że mógł mi pomóc.

Gdy zerka na mnie z ukosa, twarz mi czerwienieje, dlatego patrzę na swoje kolana, w przyпіływie pewności, że on widział te fotografie. Próbuję pogrzebać tę myśl. Próbuję powiedzieć sobie, że nie mam na to absolutnie żadnych dowodów. Próbuję sama siebie przekonać, że jeśli je widział, to z czysto zawodowej konieczności. Próbuję sobie przypomnieć, że oto dałam policji ostatnie i najgorsze z twoich strasznych zdjęć, i właśnie w tej chwili oglądają je inni, więc cóż to za

różnica, jeśli ten młody człowiek wie, jak wyglądam obnażona i związana. Dzięki tobie nie on jeden.

Policjant wjeżdża w moją ulicę, wtedy parkuje samochód i nalega, że odprowadzi mnie do budynku. Odzyskałam już kontrolę nad twarzą i zdołałam opanować ręce. Sprawdza ze mną, czy niczego więcej nie przyniosłeś, potem odprowadza mnie bezpiecznie na schody i do mieszkania.

Muszę uciec się do tabletek, by się uspokoić, ale zapadam w głęboki sen odurzenia, wiedząc, że znów zostaniesz aresztowany. Stanie się to, gdy będę śnić. I nieprędko wyjdiesz.

Clarissa snuła się po bazarze pod gołym niebem. Jego już zatrzymano, przebywał w areszcie śledczym. Tym razem żadnej kaucji. Tego ranka dostała informacje od konstabla Hughesa. Zamierzał wziąć dwa tygodnie urlopu, więc chciał dać jej znać, nim wyjedzie, że nie ma już powodów do niepokoju. Solmes zostanie na jakiś czas wyeliminowany.

Pod botki włożyła grube skarpety. Rankiem pogrzebała z przyzwyczajenia w szufladzie, szukając pończoch, ale potem nie mogła się zdobyć na to, by je nałożyć. Teraz nagie uda marży jej pod płaszczem i sukienką. Doprowadzało ją to do wściekłości.

– Uznałem, że jesteś Panią z Shalott – usłyszała.

Odwróciła się do Roberta, który stał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów za nią, i jej gniew wyparował.

– A czy to dobrze?

– Wypij ze mną kawę. Mamy czas. – Podprowadził ją do miejsca w rogu. – Nie będzie miło, jak Tomlinson znajdzie się na miejscu dla świadka. Musimy się wzmocnić. – Postawił przed nią latte i cukier i pokazał starą książkę.

Było to kieszonkowe wydanie *Pani z Shalott*, tylko tego jednego wiersza, ilustrowane starannie rozmieszczonymi reprodukcjami różnych scen pędzla różnych malarzy.

– Ależ to cudowne – powiedziała. – Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

– Wyszperałem to w antykwariacie – wyjaśnił.

Zatrzymała się nad obrazem Waterhouse'a ukazującym

Panią siedzącą na jej łodzi, dryfującą ku Camelotowi i śmierci. Wygląda, jakby była w niezbyt zaawansowanej ciąży – to objaw jej pożądania Lancelota. Clarissa zastanawiała się, czy nie była to ciąża urojona, wynik pragnienia Pani, by nosić jego potomka. Zwierzyła się z tej myśli Robertowi, potem zmartwiła się: a jeśli on uzna, że ona wciąż widzi wszędzie tylko dzieci i ciążę?

– Nie zwróciłem na to uwagi – odparł, chyba z powstrzymywanym rozbawieniem. – Chcę cię narysować – zawahał się. – Zgodzisz się, jak już będzie po wszystkim?

Wyobraziła sobie, jak by to było: siedzieć tak, jak on chciał, jak ją upozował, pozwalając, by na nią patrzył. I nie tylko patrzył. Także dotykał. A ona jego.

Już bez towarzystwa szpiegującego ich Rafe'a.

– Tak – jej głos zabrzmiał bardzo cicho. Wyciągnęła ku niemu książkę, by ją oddać, sądząc, że to rzadkie i kosztowne stare wydanie, nie śmiąc się nawet zastanawiać, czy kupił je już po tym, jak się poznali, choć wspomniał o sprawie raczej mimochodem. Ciekawa też była, czy przeglądał ostatnio te wiersze i obrazy, jakby była nauczycielką, na której chciał zrobić wrażenie; wzruszył ją ten pomysł.

– Jest twoja – powiedział.

– Nie mogę. – Odłożyła ją delikatnie na stół. – To zbyt szczególna rzecz.

Położył dłoń na książce.

– Wygląda, jakby zrobiono ją dla ciebie.

Przywykła już do odrzucania prezentów, do postrzegania ich jako napaść. Ale w tym przypadku było inaczej.

Ledwie mając śmiałość to zrobić, też położyła dłoń na książce. Leciutko przycisnęła koniuszki swoich palców do jego palców: teraz już nie pozostawał cień wątpliwości, nie mógł uznać, że to przypadkowy kontakt.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Antony Tomlinson ruszył ociężale ku miejscu dla świadka. Miał na sobie ciemne dżinsy i białą koszulę z długimi rękawami, wystającą ze spodni ponad jego wielkim brzuchem. Clarissę wzruszył jego krawat: patos nieudanej próby nabrania ogłady na tę szczególną okazję.

Przedstawił swoją wersję wydarzeń od chwili, gdy wrócili z Dolemanem z nocnego klubu.

– Inni drzemali. Carlotta siedziała przytomna na krześle. Spytała, czy może nam zapłacić za dragi tyłkiem. To był jej pomysł. Spytałem: „Pewna jesteś?”, powiedziała: „Taa”. Zabrała nas do sypialni. Dałem jej działkę cracku i działkę heroiny. Wypaliła jedno i drugie.

Sally Martin zeznała, że Lottie brała jako prostytutka od czterdziestu do osiemdziesięciu funtów, zależnie od tego, czy klient chciał obciążanie czy pełny seks. Według relacji Tomlinsona Lottie miała zaproponować trójkąt w zamian za narkotyki o wartości dwudziestu funtów. Nie kalkulowało jej się.

Mecenas Morden wstał z miejsca niczym bokser chcący puścić w ruch pięści.

– Oskarżony twierdzi, że pani Lockyer mogła w każdej chwili wysiąść z tej furgonetki?

– Tak.

– Prosiłbym przysięgłych, żeby spojrzeli na osiemdziesiątą drugą stronę otrzymanych materiałów.

Znów ta biała furgonetka. I coś na jej bocznych drzwiach. Clarissa nie mogła uwierzyć, że tego wcześniej nie zauważyła. Pochyliła się, by przyjrzeć się bliżej, przesunęła przy tym stopy, nadeptując na torbę, którą włożyła pod blat, zanim usiadła.

Wtorek, 10 marca, godzina 15.20

Ten hałas jest tak nagły i świdrujący. Wszyscy patrzą w moją stronę. Przysięgli zatykają uszy dłońmi.

Jeszcze nie rozumiem, co się dzieje. Jeszcze nie rozumiem, że to wszystko przez ciebie. Znów mnie odnalazłeś.

Wszystko odbywa się jakby w zwolnionym tempie, niczym podwodna pantomima. Robert odwraca się na krześle, wygląda przy tym ponagląco, a zarazem spokojnie. Jego wargi poruszają się bezgłośnie. Kształtują się jakby w słowa „na dole”. Wskazuje mój blat i klepie go dłonią. Annie pochyla się, a gdy się wynurza, jakby dla zaczerpnięcia powietrza, na pulpit przede mną rzuca moją torbę.

Podnoszę ją, wtedy poziom hałasu rośnie. Niczym w jakimś dezorientującym nocnym koszmarze zaczynam przekopywać się przez jej zawartość, nie dbając o to, co wywalam na blat na oczach wszystkich obecnych. Moją portmonetkę, szczotkę do włosów, balsam do ust, wyłączony telefon, wykrój krawiecki, krem nawilżający, cenną książkę Roberta, klucze,

notes.

Syrena przez cały ten czas wyje tak przenikliwie, jakby miała nigdy nie przestać. I wreszcie to mam: srebrny, nie większy niż breloczek do kluczy, skrzeczący mi w dłoni przedmiot. To alarm osobisty, który dostałam od konstabla Hughesa. Zapomniałam, że tam jest. Musiałam trafić butem w linkę wyzwalającą i aktywować urządzenie przez torbę.

Pociągam za linkę, ręce mi się trzęsą, ale nic się nie dzieje. Szukam jakiegoś przycisku, żeby to wyłączyć, ale nic nie znajduję, nie mogę tego zatrzymać, nie pamiętam, co konstabl Hughes mówił o tym, jak to dezaktywować. Palce już mi się wygoiły po oparzeniu, ale znów czuję w nich pulsowanie i sztywność, jakbym wciąż nosiła bandażę. Nagle ręce Roberta dotykają moich, wrywa mi alarm. Robi nim jeden mocny obrót i na sali zapada cisza.

– Strasznie przepraszam – mówię i nagle dociera do mnie, jakie popełniłam wykroczenie, odzywając się w tym pomieszczeniu. W uszach mi dzwoni. Moje słowa są głośne, rozbrzmiewają echem. Jestem pewna, że twarz mam czerwoną jak burak. Zerkam na ławę oskarżonych. Czterech z pięciu spogląda na mnie. Azarola – z nieprzeniknioną twarzą pokerzysty. Tomlinson i Sparkle – ze współczuciem. Godfrey – z pogardą i irytacją. Tylko Doleman patrzy prosto przed siebie niczym wartownik przed pałacem Buckingham.

Może sędzia wtrąci mnie na noc do więzienia za

obrazę sądu. Boję się na niego spojrzeć, ale zmuszam się, tylko szybki rzut oka, i widzę, że ma życzliwy wyraz twarzy.

Mecenas Morden i Harker kierują ku mnie uśmiechy pełne współczucia i zachęty. Mężczyzna siedzący po mojej lewej stronie – który prawie nigdy na nic nie reaguje – niezgrabnie poklepuje mnie po ramieniu w wyrazie solidarności. Ktoś inny podaje Annie dzbanek wody, ona nalewa trochę do plastikowego kubka, wciska mi go w dłonie i obserwuje, jak piję, potem spogląda z satysfakcją i odbiera ode mnie puste naczynie. Robert odwraca się na miejscu, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jestem w jednym kawałku.

Dzień, tak pięknie rozpoczęty przez Roberta i jego książkę, przerodził się w katastrofę. Dosięgnąłeś mnie, nawet będąc w więzieniu. Ale życzliwość, którą czuję wszędzie wokół, zdaje się silniejsza od ciebie. Nawet w sali tak pełnej okropności, strachu i podłości pozostaje silniejsza.

Mecenas Morden kontynuował na znak dany przez sędziego, przechodząc ostatecznie do porządku nad nieoczekiwaną przerwą.

– Proszę odczytać sądowi na głos ostrzeżenie widniejące na przesuwanych drzwiach furgonetki.

Tomlinson przeczytał powoli:

– Uwaga. Te drzwi otwierają się tylko od zewnątrz.

– To znaczy: nie od wewnątrz – uzupełnił mecenas Morden. – A na drzwiach z drugiej strony samochodu jest

identyczne ostrzeżenie. Pani Lockyer nie mogła tak po prostu otworzyć drzwi i wysiąść, prawda?

Wtorek, 10 marca, godzina 16.40

Nie dotarło do mnie nic z tego, co mówił oskarżyciel Morden, choć czuję, że były to rzeczy ważne.

Ze spojrzeniem wbitym w podłogę wychodzę jak oszołomiona z sali rozpraw. Na razie nie snuję marzeń o tym, że pójdę na stację z Robertem. Nie wyobrażam sobie, jak to będzie siedzieć obok niego w pociągu. Nie zastanawiam się, czy zbiore się może na odwagę, żeby go dotknąć niby przypadkiem. Nie knuję, jak by tu otrzeć się o niego, udając, że po prostu nie mogę się oprzeć naciskowi pasażerów. Nie mam głowy pełnej fantazji i planów, jak to zwykle bywa pod koniec każdego dnia. To jedna z moich sekretnych przyjemności.

– Clarisso.

Zeszłam na sam dół schodów. Mrugam, skonfundowana, jakby Robert właśnie mnie zbudził ze snu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że idzie koło mnie, a chyba tak właśnie było.

A jednak znowu przesłoniłeś mi wszystko inne. Przytłoczyłeś mnie. Ale sama ci na to pozwoliłam. Więcej już tego nie zrobię.

– To chyba twoje. – Robert ostrożnie wkłada mi w rękę mój alarm.

– Jutro pewnie zostawię go w domu. – Wrzucam go do torby.

– Jutro będzie lepszy dzień.

Ku swemu zaskoczeniu nawet się uśmiecham.

– Ten zaczął się tak pięknie.

Przypominam sobie, że był to tylko fałszywy alarm.

Że powinnam być wdzięczna, że już mi nie jest potrzebny.

Niepotrzebny mi też notes. Przyrzekam sobie, że od dzisiaj nigdy już nie będę o tobie mówić w drugiej osobie czasu teraźniejszego. Nigdy. Nigdy więcej. Już dla mnie nie istniejesz.

Mecenas Morden wzdrygnął się, jakby się szykował, by stawić czoło czemuś nieprzyjemnemu.

– Czy oskarżony uważa, że Carlotta Lockyer jest atrakcyjną kobietą?

– Nie trzeba uważać, że ktoś jest atrakcyjny, żeby uprawiać z nim seks. Sądziłem, że wyświadczam jej przysługę.

Dłoń Annie opadła na blat z cichym plaśnięciem.

Tomlinson parsknął na widok udawanego osłupienia mecenasa Mordena.

– Miałem dragi. Ona chciała dragów. To był jej pomysł. Powiedziała, że da mi seks za dragi. To trwało tylko kilka sekund, żadna tam przyjemność. Myślałem, że to się nie liczy za seks, ale adwokat mi wyjaśnił, że każde wprowadzenie penisa do pochwy uznaje się za seks bez względu na to, jak krótko trwa.

Mecenas Morden sprawiał wrażenie, jakby miał zwymiotować.

– Skończyłem z tym świadkiem – powiedział.

Robert pokręcił głową, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi sali rozpraw.

– On jest po prostu straszny. – Wypowiedział to bez żadnej modulacji. Wszyscy pozostali kiwnęli potwierdzająco głowami.

– Ja nie mogę – odezwała się Annie. – Co to jest seks? Czy według ciebie, jak ci wsadzę penisa do pochwy, to naprawdę uprawiamy seks?

– Zrób mi przysługę – rzucił Grant.

Kilka minut później Clarissa, Annie i Robert siedzieli w winiarni za rogiem. To Robert zaproponował, by zejść tam na spokojnego drinka. Annie omal nie spadła z krzesła, gdy uniosła wzrok i zobaczyła, że przy ich stoliku stoi Grant, gotów się przysiąc.

– Jesteśmy z tobą bezpieczni, Clarisso – powiedział. – Jak ktoś nas napadnie, to mamy twój alarm.

– Masz jakieś konkretne powody, żeby go nosić? – spytał od niechcienia Robert.

– Zapomniałam o nim – powiedziała zgodnie z prawdą. – Dostałam to od kogoś jakiś czas temu.

– A tak poważnie, Clarisso. – Grant się dosiadł. – Ile ty masz? Metr sześćdziesiąt? Czterdzieści pięć kilo? Widziałas posturę tych chłopców. Pomyśl, jak łatwo mogliby cię unieść.

Przechyliła ogromny kieliszek z czerwonym winem, które zafundował jej Robert. Obserwowała, jak płyn wiruje, czując, że zaczyna jej krążyć we krwi.

– Nie lubię o tym myśleć – powiedział Robert.

Popijał już trzecie piwo, ale jedynym tego efektem było to, że za każdym razem, gdy Clarissa spoglądała na niego, stwierdzała, że wpatruje się intensywnie w jej twarz.

Annie bawiła się wypitą do połowy szklanką piwa.

– To dlatego przydają się alarmy osobiste.

– Osobom, które potrafią ich używać – dodała Clarissa. – Do których najwyraźniej nie należę.

Grant wyciągnął nogi, tak że prawie leżał, i zaplótł ręce.

– Tomlinson jest wielki. Moje gabaryty. A ona jest twoich rozmiarów, Clarisso. Wyobraź go sobie z kolanami na twoich barkach, jak to według niej mieli robić, gdy im obciągała. Pękłabyś.

Wyprostowała się na krześle.

– Ten materac na fotografii był na niskiej ramie. Według wersji wydarzeń Tomlinsona ona leżała na łóżku na plecach, gdy on stał obok, żeby mu obciągała. Nie mogło tak być. Głowę trzymałaby za nisko, nie sięgnęłaby.

– Spróbujmy, Clarisso. Przekonaj mnie. Tu i teraz – spuentował Grant. – Jest mnóstwo miejsca za stołem.

Zerknęła na Roberta. Zaciśnął usta. Zmrużył oczy.

– Może żona pomoże ci w tym śledztwie. – Wzięła płaszcz i torebkę.

– A może masz gumową lalę? – Annie też się szykowała do wyjścia.

– Do jutra – pożegnała się Clarissa. Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie Robertowi. Chodź, proszę, pomyślała. Proszę, proszę, chodź ze mną.

Robert dopił piwo, wstał i powiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć.

– Pójdę z tobą, Clarisso.

– On może być twoim nowym alarmem osobistym – zauważyła Annie.

– To mi się podoba – odparła, zwracając się do obojga naraz.

Wsiadła do pociągu i opadła na siedzenie przy oknie. Robert ulokował się obok. Czowała zapach piwa w jego

oddechu. Chciała tego posmakować. Spojrzał jej prosto w twarz i wypowiedział jej imię w ten prosty, potwierdzający sposób, który tak ją ujął, gdy poznali się nad jej katalogiem japońskich wykrojów. Pochylił się, by ją pocałować w usta, i cofnął się tak szybko, że nie miała nawet pewności, czy to się w ogóle stało.

Gdy pociąg wjechał na stację Bath, pochyliła się nad Robertem, by podnieść z podłogi torbę, wiedząc, że on poczuje woń jej szamponu. Wysiedli z pociągu, on szedł obok niej, w dół po schodach, przez bramki biletowe, potem przez drzwi wejściowe na dworzec. Rękę trzymał na jej ramieniu. Skierował ją do taksówki i zajął miejsce obok niej.

Nie bardzo pamiętała, jak wysiadła z taksówki, dość mgliście zdawała sobie sprawę, jak Robert sypie monety w dłoń kierowcy, gdy ona szukała w torebce kluczy, potem oboje wchodzi do budynku, a ona przedstawia go nawet pani Norton, która wyszła ze swego mieszkania na korytarz, by im przeciąć drogę. Staruszka uśmiechnęła się promiennie do Roberta, gdy ten delikatnie ujął jej dłoń, ale potem szybko odeszli i wspięli się po schodach do mieszkania Clarissy.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, zerwali z siebie wzajemnie płaszcze, ona oplótła go rękoma, smakując go wreszcie jak należy: jego usta, skórę, jego dłonie na swoich włosach. Czowała zapach jego ciała i czystą limonkową nutę wody po goleniu – której chyba całkiem niedawno zaczął używać – piękną i wciąż obecną, choć słabą w końcu dnia. Robert jedną ręką odciągał od tyłu jedwabny dżersej jej sukienki, przyglądając się, jak przywiera do jej piersi, talii

i bioder, podczas gdy drugą przesuwając po tkaninie. Zaczął jej zsuwać sukienkę z barków. Zanim Clarissa pozwoliła jej opaść na podłogę, zrzuciła botki i szpile, próbując bez powodzenia uczynić to z wdziękiem, bo nie chciała, by zobaczył, jak mało są efektowne, i pomyślała przelotnie, dlaczego wciąż nie jest w stanie tknąć pary pończoch i prawdopodobnie nigdy się już na to nie zdobędzie.

Prowadził ją w stronę sypialni, jakimś cudem wiedząc, gdzie to jest, być może kierowany instynktem strażaka w kwestii rozkładu wnętrza w domach. Usiadła na brzegu łóżka, w którym nie spała od dwóch i pół tygodnia, on klęknął na podłodze, z głową przy jej ciele. Zahaczył z boku dłońmi o jej majtki, całując jej brzuch, potem rozpiął stanik.

Patrzyła, jak ściąga sweter przez głowę, szybko. Jeszcze jedna rzecz, którą robił z taką pewnością. Miał bliznę na barku, piętno w kolorze jego warg, o powierzchni jakichś dziesięciu centymetrów kwadratowych, i drugą nieco mniejszą obok, na piersi.

– Stopiony ołów – wyjaśnił, widząc, na co ona patrzy. – Z dachu.

Zastanawiała się, czy to był ten wypadek, o którym czytała, gdy szukała informacji o nim w internecie. Przestraszyło ją to, bo przecież mógł zginąć, coś strasznego mogło go spotkać w każdy zwyczajny dzień – czy noc – pracy, bez względu na to, jak mistrzowsko był wyszkolony w minimalizowaniu ryzyka. Te blizny pozwoliły jej poczuć tę prawdę w sposób, na który nie pozwalały doniesienia serwisów informacyjnych.

– To nic. Jeden z facetów, którzy uczyli mnie, jak wstąpiłem do straży, Al, żałuj, że go nie widziałaś, stawiał przed nami maksymalne wyzwania. Lubił ślady po oparzeniach. Przypominał dzieło sztuki. – Uśmiechnął się. – Chętnie je pokazywał kobietom. Wielu kobietom. Kiedyś zdjął koszulę w barze i zaczął prężyć mięśnie, zaczął...

Jego głos zamarł, gdy uniosła się na kolana, przyciągnęła go ku sobie, przesunęła po obu bliznach palcami, potem wargami, badając je; następnie całowała mu brzuch, płaski i piękny, i jego pępek, co sprawiło, że wciągnął powietrze.

– To nie jest w porządku wobec mojego ubrania, że zostało zdjęte, a twoje nie – powiedziała, co go rozśmieszyło, gdy rozpiniała mu spodnie. Sam je ściągnął, od razu z bokserkami.

Popchnął ją na plecy, na poszewkę koloru zieleni mchu w czerwone kwiaty. Uszyła ją już po tym, jak go poznała. Nici na nią kupiła pierwszego dnia, gdy go spotkała. Mężczyzna, którego nazwisko chciała usunąć ze swej głowy, nigdy nie widział jej, nie dotykał tej poszewki ani nie fotografował, ona sama nigdy jeszcze pod nią nie spała.

– Clarisso – powiedział Robert. – Otwórz oczy. Spójrz na mnie. – Zrobiła to. – Czy wiesz... – wydusił z niej lekkie westchnienie. – To jest seks.

– Tak.

Odgarnął jej włosy z twarzy. Zbliżył wargi do jej ust i wyszeptał:

– W razie gdybyś nie była pewna, jak się to definiuje.

– Jestem pewna.

– Dobrze.

Zbudziła się, gdy pociągnął ją na siebie, choć wyglądał, jakby jeszcze spał, głęboko pogrążony w jakimś marzeniu sennym.

– Robert – powiedziała cicho – Robert. – Pocałowała go, a on zamrugał i otworzył jaskrawoniebieskie oczy.

Przez kilka sekund wydawał się zagubiony. Pamiętała, jak powiedział jej kiedyś, że po przebudzeniu zawsze wie, gdzie się znajduje. Ucieszyło ją, że czasem myli się co do siebie, przynajmniej w takim drobiazgu, choćby na krótką chwilę. Przyszło jej do głowy, że jest doskonały, co nie jest z jego strony w porządku. Nikt nie powinien znać siebie w sposób doskonały, pomyślała. Ktoś, kto znałby się doskonale, byłby przerażający. Nie mógłby się zmienić. Nie mógłby nie mieć racji. Nie byłoby żadnych niespodzianek.

Przyciągnął jej twarz do swojej, chyba jeszcze na poły pogrążony w snach, ale wymamrotał jej imię, uśmiechnął się i powiedział „dzień dobry”. Przesunął niespiesznie dłonią po jej plecach, a gdy ich spojrzenia się spotkały, przygarnął jej biodra do swoich i wówczas nie było już wątpliwości, że zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Odgrywała to wszystko w pamięci, spoglądając sennie na własną twarz w zaparowanym metalowym lustrze. Była w toalecie dla przysięgłych, przylegającej do ich niewielkiej poczekalni, tuż koło sali rozpraw numer dwanaście. To była chyba tak zwana pamięć ciała. Czowała znów to wszystko, jego dłonie na sobie i jego usta, wszystko, co sobie wzajemnie

robili. O czym on teraz myślał, siedząc tam z innymi?

Poczuła przenikliwy ból w podbrzuszu, nisko z lewej strony. Zaczęło się to jeszcze, gdy spała, i nie minęło, gdy Robert ją obudził. Znała tego przyczynę, wiedziała, że to ustąpi za parę godzin.

Usłyszała, jak wstają po drugiej stronie drzwi, a Annie głośno oznajmia woźnemu sądowemu:

– Clarissa jest w kibelku.

Pospiesznie umyła ręce i wyszła.

Toga mecenasa Tourville'a była pomarszczona. Dyszał ciężko, jakby musiał ścigać swojego jedyne go świadka obrony Dolemana po wszystkich schodach aż do sali rozpraw numer dwanaście. Sapiący bez ustanku Tourville miał chyba szczęście, że Jasona Lemana nie trzeba było zbyt zachęcać, by opowiedział swoją historię.

– Ósmego sierpnia zeszłego roku byłem z Carlottą. Zapropnowała mi seks w zamian za dragi. Ściągnęła mi bokserki, jakby się nie mogła doczekać.

Oskarżeni wysunęli się ku przodowi na swoich miejscach. Nawet Doleman wydawał się prawie zainteresowany.

– O ile mi wiadomo, świadek miał założoną prezerwatywę. Kto ją świadkowi założył?

– Ona, ale źle to zrobiła. Musiałem poprawić.

Jasne, doświadczona prostytutka, pomyślała Clarissa.

– Wyszedłem z pokoju, żeby przynieść jej wódki. Jak wróciłem, już jej nie było, a mój portfel był pusty. No to znalazłem ją ulicę dalej i mówię: „Gdzie moja forsa?”. „Wydałam”, powiedziała, „ale będę zarabiać jako prostytutka,

żeby ją odzyskać”. Więc poszliśmy w jedno znane jej miejsce, pogadała z gośćmi, co to jeżdżą przy krawężnikach, wypatrując panienek, ale poczułem, że coś jest nie tak, no to podszedłem, a ona mówi jednemu, że ją zgwałciłem. Podeszła wprost do mnie i dwa razy mnie spoliczkowała.

– A zatem ta prostytutka fałszywie oskarżyła świadka o gwałt. I co świadek z tym zrobił?

– Nic. Nie chciałem się zniżyć do jej poziomu. Nie biję kobiet. Nie krzywdzę kobiet. Powiedziałem sobie: chuj z nią, zmywam się stąd. Ale następnego dnia dopadła mnie policja, sponiewierali mnie i zatrzymali. Nigdy nie postawili mi żadnych zarzutów.

Mecenas Morden obserwował Lemana, jakby ten był czymś pośrednim między insektem a darem ofiarowanym mu przypadkiem przez mecenasa Tourville’a.

– Świadek potępia przemoc wobec kobiet?

Leman pochylił się naprzód i spojrzał wyzywająco na mecenasa Mordena.

– Czasem.

– Ale świadek odsiedział kilka wyroków więzienia za napaść. Wszystkie ofiary były kobietami.

– Żadnych dowodów. To tylko pomówienia. Pomówienia. Kłamstwa.

– Wyroki skazujące sugerowałyby co innego. Czy świadek słyszał o Mary Barnes?

– Wie pan, że tak.

– W zeszłym miesiącu poszła do szpitala. Pęknięta błona bębenkowa. Przemoc wobec kobiet to, zdaje się, u świadka

standardowy sposób postępowania.

– I w tym przypadku policja nie postawiła mi żadnych zarzutów. A Mary jest wciąż moją przyjaciółką, wciąż ze mną mieszka, a to mówi samo za siebie.

Mecenas Morden kiwnął powoli głową i powiedział:

– Owszem. Mówi.

Schodzili po schodach w zwykłej formacji, jaką przyjmowali pod koniec każdego dnia.

Grant zmrużył kasztanowe oczka.

– Jakies sześć procent populacji popełnia wszystkie przestępstwa – powiedział. – Wytępić ich jak robactwo. I problem rozwiązany.

Tego wieczoru Robert towarzyszył Clarissie w drodze ze stacji. Przebiśniegi otaczały grób matki i jej dwóch córeczek. Clarissa zmówiła za nich swoją sekretną modlitwę, mając u boku Roberta.

Przebiśniegi przypomniały jej, jak szybko zima przechodzi w wiosnę. I że za kilka dni proces dobiegnie końca. Cieszyła się, mogąc codziennie widywać Roberta, nie chciała, żeby się to kiedykolwiek skończyło. Gdy wspinali się na wzgórze, w powietrzu wisiał zapach dzikiego czosnku. Wydawało się, że upłynęło zaledwie kilka minut, a już znaleźli się w jej mieszkaniu. Po raz pierwszy zauważyła, że czubek jego głowy znajduje się jedynie kilkanaście centymetrów od niskiego sufitu. Stała przed nim, zaskoczona własną nieśmiałością.

– Robercie, chcesz kawy?

– Ach... Nie. – Długo trwało, zanim powiedział „Ach”, po czym dorzucił „nie” z kpiącym zdecydowaniem.

– Chcesz herbaty?

I znowu to samo. Uśmiech, szybkie przeczące potrząśnięcie głową, krótka przerwa, wreszcie rozbawione i zdecydowane:

– Nie.

Wspięła się na palce i pocałowała go, czując, jak ją obejmuje.

– Jest coś, czego chcesz?

Jego dłonie zsuwały się po jej plecach. Rozpinał zamek sukienki.

– Chcę tylko ciebie.

Nie skończył zdejmować jej sukienki, która zsunęła się tylko z jednej strony, obnażając ramię. Clarissa poprowadziła go do salonu, w stronę sofy, posadziła go, rozpięła mu spodnie, także ich nie zdejmując, ściągnęła sobie majtki i nasunęła się na niego, tak że znalazł się wewnątrz niej, z ustami przy jej ustach, gdy opłotła go i czuła, jak szepcze jej imię przy jej wargach, więc wyszeptała w odpowiedzi jego imię i to, że też chce tylko jego.

Zwróciła głowę na bok, tak że oparła podbródek o ramię, a nos znalazł się blisko włosów. Nie myślała ich tamtego ranka. Chciała zachować na nich zapach jego mydła i ciała, który przeszedł na nią, gdy ocierała się o niego i spała z głową na jego piersi.

Jeszcze raz wciągnęła powietrze, potem wyprostowała się i spojrzała przed siebie, gdy mecenas Harker, obrońca Godfrey'a, wywołał swego jedyne go świadka.

Joanna Sinclair była niska i mocno zbudowana, miała włosy w czarne i blond pasemka, co Clarissie nasunęło na myśl zebra. Kobieta podeszła niezgrabnie do miejsca dla świadka, chwiejnym krokiem na czerwonych szpilkach. Godfrey kiwnął jej niechętnie głową i pochylił się naprzód.

Mecenas Harker przystąpił do zadawania pytań, Annie sapnęła, a Clarissa studiowała barki Roberta, wspominając, co czuła, gdy ich dotykała.

Z najwyższym wysiłkiem wyrwała się z marzeń o Robercie, gdy mecenas Morden wstał, by zadać pytania świadkowi strony przeciwnej.

– O ile wiem, świadek ma na imię Joanna. Czy oskarżony Godfrey zwracał się kiedykolwiek do świadka, używając imienia Jo?

Godfrey udzielił jej instrukcji, wykonując szybki przeczący ruch głową.

– Nie – odparła Sinclair. – Nikt mnie nie nazywa Jo.

– Oskarżony Godfrey utrzymuje, że telefon, który policja

znalazła przy nim w chwili aresztowania, nie należy do niego. Tego telefonu używano w furgonetce, którą wieziono panią Lockyer do Londynu, oraz w mieszkaniu, gdzie ją przetrzymywano. W pamięci aparatu, pod imieniem Jo, jest świadka numer telefonu.

– No i?

– No i oskarżony Godfrey wysłał dwa SMS-y w przeddzień jego aresztowania. Oba do „Jo”. Oba znaleziono na odebranej świadkowi komórce. Oto treść pierwszego: „Jestem w drodze. Czekać na mnie nago”.

Błada twarz Sinclair oblała się rumieńcem pod przesadnym makijażem.

– Nie przypominam sobie, żebym otrzymała taką wiadomość – powiedziała. – Mógł to wysłać do wielu dziewczyn o imieniu Jo.

– Spróbujmy z drugim. „Pogadam z tobą w parku, bo ten telefon musi zamilknąć”. Czy widzi świadek jakieś powody, dla których oskarżony Godfrey miałby chcieć uciszyć ten telefon?

Annie znów mówiła cichym głosem w toalecie.

– Ci dwoje mają małego synka. – Westchnęła. – To prawie Romeo i Julia, no nie? I czeka ich chyba równie świetlana przyszłość.

– Mam nadzieję, Annie, że się mylisz.

Annie wyciągnęła rękę i bardzo delikatnie odgarnęła z oczu Clarissy zabłąkany włos.

– Słodkie biedactwo – powiedziała, kręcąc głową z pełnym czułości zdumieniem. – Ja też mam taką

nadzieję.

Tamtego wieczoru w drodze powrotnej do Bath Clarissa siedziała sama, tak jak sama przyszła na stację tego ranka. Robert wyszedł z jej mieszkania bardzo wcześnie, pocałował ją na do widzenia, gdy jeszcze była na wpół senna, i szepnął, że musi wstąpić do siebie przed sądem.

Gdy wysiadała z pociągu, schodziła schodami, opuszczała budynek dworca, obserwowała Roberta idącego dziesięć kroków przed nią. Już miała do niego zawołać, ale powstrzymała ją nieuleczalna niechęć do narzucania się komukolwiek. Dystans między nimi wzrósł, gdy Robert pośpiesznie przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył dalej, nie oglądając się ani na moment. Potem zupełnie zniknął jej z oczu.

Tydzień siódmy

Suszarnia

Poniedziałkowy poranek spędzili, czekając na chłopaka z włosami o purpurowych końcach.

Niewiele trzeba było, żeby poker rozpoczął się na dobre. Clarissa trzymała się z dala, kończąc ręczne szwy na torebce, którą szykowała dla matki na urodziny. Skopiowała klasyczny styl Chanel z klapką, używając ciemnoniebieskiego jedwabiu, który przywodził jej na myśl burzę o północy.

– Ja też chcę taką – odezwała się Annie. – Przyjmujesz zamówienia?

– I ja – zawtórowała jej Wendy.

Clarissa uśmiechnęła się i na chwilę uniosła wzrok.

– Jesteście obie bardzo miłe.

– Woźny sądowy powinien ci odebrać igłę i nożyczki. – Sophie układała swoje karty, wyraźnie zła. – Dziwne, że ochroniarze cię nie zatrzymali.

– No. Tylko pomyśl, jakie obrażenia mogłaby zadać Sparkle’owi tymi instrumencikami – zauważyła Annie. – Doniesiesz na nią?

– Woźny sądowy widzi, co ona robi – włączyła się Wendy. – I nie przejmuję się. Już wcześniej wiedział, że ona to nosi. Od czasu, jak mi naprawiała spódnice.

Krzesło Clarissy stało tuż za krzesłem Roberta. Nie mógł nie słyszeć tej wymiany zdań. Jego plecy pozostały proste, gdy skupił uwagę na swojej ręce. Mężczyźni głośno się śmiali z jego dowcipów, kiwając potwierdzająco głowami na wszystko, co mówił. Clarissa zastanawiała się, czy każdy

strażak staje się automatycznie powszechnie lubiany.

Próbowała przekonać samą siebie, że myli się, sądząc, że przez cały ranek Robert nie spojrzął jej w oczy, że nie patrzył na nią, a nawet się do niej nie odezwał, odkąd w piątek tak wcześnie wyszedł z jej mieszkania. Ale nie przechwyciła nawet przelotnego błysku jego niebieskich oczu.

Robert opowiadał o aktorze z filmu szpiegowskiego, który niedawno obejrzał.

– Niezły byczek. – Znów rozległ się hałaśliwy śmiech z jego kolejnego dowcipu. Clarissa się nie roześmiała. Nie uważała tego za zabawne.

Ukłuła się igłą. Kropla krwi z jej palca spadła na tkaninę.

– Ciekawe, gdzie on jest? – odezwała się cicho, myśląc o nieobecny koledze przysięgłym. – To nie w jego stylu, żeby nie przychodzić. Coś się musiało stać.

– Clarissa ma rację – poparł ją Robert, od czego serce podeszło jej do gardła.

Grant zarechotał.

– Niech go wsadzą na noc do celi z tym chłopcami. Będzie nową dziwką Sparkle'a. Ale najpierw sędzia wezwie go do swego gabinetu i da mu klapsa.

Pozostali się roześmiali. Robert też, ale Clarissa nie.

Miejsca w ławie przysięgłych zajęli dopiero w południe. Sędzia wyglądał uroczyście.

– Z przykrością stwierdzam, że pan McElwee jest niezdrów. Możliwe jest zmniejszenie liczby przysięgłych do jedenastu czy nawet do dopuszczalnego minimum dziewięciu. Osobiście jednak wolę, o ile nie spowoduje to

zbyt długiej zwłoki, nie tracić żadnego na tak późnym etapie. Dlatego zwalnia państwa aż do środy rano. Lekarz ma nadzieję, że wtedy pan McElwee będzie w stanie tu wrócić. W przeciwnym razie zwolnię go ze składu ławy przysięgłych i podejmiemy obrady bez niego.

W środę rano cała dwunastka weszła jak zwykle do sali rozpraw numer dwanaście.

Proces już prawie skończony, pomyślała Clarissa. Miała wrażenie, że sala wiruje. Obserwowała miękkie brązowe włosy na karku Roberta i ledwie widoczny ślad po spływającej kropelce potu za jego prawym uchem. Miała ochotę go powąchać, wtulić twarz między jego barki. Wkrótce odejdzie stąd, z tego budynku, z powrotem do świata, gdzie nie będzie go już codziennie widywać, do świata, gdzie go nie ma. Jakkolwiek nie miała pewności, jak bardzo podoba jej się ta nowa wersja świata, którą miała stracić, a w której on wyraźnie nie chciał już na nią patrzeć.

Wyobrażała sobie zamieć śnieżną. Cokolwiek, co spowoduje zamknięcie sądu, odwlecze zakończenie, da jej więcej czasu w jego towarzystwie. Liczyła na długie dni zeznań oskarżonych i zeznań strony przeciwnej, ale wszystko się rozwiało, gdy Doleman, Sparkle i Godfrey odmówili kolejno składania zeznań.

Poczuła zabawne drżenie, nisko, pośrodku brzucha. Potem to doznanie minęło.

Oskarżyciel Morden zlustrował przysięgłych, spoglądając każdemu w oczy, po czym rozpoczął swoją mowę końcową.

Clarissa była tak zmęczona, że nie mogła się skupić. Zresztą słuchała dość uważnie, gdy mówił to wszystko po raz pierwszy. Gdy się wreszcie skoncentrowała, Morden już kończył. Była tak niepewna tego, ile minut minęło, odkąd zaczęła, że zastanawiała się, czy nie ogarnia jej choroba.

Uznała się za najgorszego sędziego przysięgłego wszech czasów. Mecenas Williams już siadał, nim jeszcze zdała sobie sprawę, że w ogóle wstał. Potem podniósł się mecenas Belford i znów jej uwaga odpłynęła. Czyżby po siedmiu tygodniach jej mózg osiągnął stan prawdziwego nasycenia?

Mecenas Tourville okazał się jedynym, który nie rzucił na nią zaklęcia snu.

– Oskarżony Doleman nie jest gwałcicielem. Nie jest porywaczem. Nie jest handlarzem narkotyków. Jest ciężko pracującym domatorem, który do chwili aresztowania miał intratną posiadłość. Pozostaje w stałym związku partnerskim z piękną, młodą kobietą. Jest kochającym ojcem ich synka. Pan Doleman jest winny tylko jednej rzeczy. Bardzo źle dobierał sobie przyjaciół. Nie możecie go za to posłać do więzienia. O, nie. Nie możecie.

Clarissa dygotała na peronie, czekając, aż odblokują drzwi pociągu, by mogła wsiąść. Tylko adwokat Sparkle'a i mecenas Harker mieli jeszcze przedstawić mowy końcowe. Potem pouczenia wygłosi sędzia. Będzie musiała zachować większą czujność.

Czyjaś ręka musnęła jej ramię. Obróciła się, stwierdzając z zaskoczeniem, że to Robert. Przeprószył, że ją przestraszył.

– Wróć ze mną. – Próbowała się uśmiechnąć. –

Uzależniasz jak narkotyk.

– Ty też. – Mówił cichym głosem, jakby szeptał do niej w łóżku. – Ale tej nocy nie mogę. Rozumiesz to, prawda? Musimy wszystko rozważyć. W zeszłym tygodniu... powinniśmy byli zaczekać. Cieszę się, że tak się nie stało, ale powinniśmy byli. Jestem ostrożny. Wiem, że nie zachowałem się, jakbym taki był, ale jestem. Powinienem był wyjaśnić. Gdy to się skończy... – powiedział. – Już niedługo.

Miał wprawę w relacjonowaniu złych wiadomości, robił to codziennie w pracy, i były to znacznie gorsze wieści niż te. Poczula ciepło na twarzy. A jednak nie mogła się powstrzymać przed powiedzeniem tego.

– Jeżeli zmienisz zdanie... to znaczy, nawet jeżeli jest późno... – Jednak patrząc na niego, uświadomiła sobie, że to człowiek, który nigdy nie zmienia zdania w żadnej sprawie, ważnej czy błahej, kiedy już raz podjął decyzję. Wiedziała to przecież od początku. Nie chciała go błagać, nie pragnęła mieć go za każdą cenę.

Rozległo się kliknięcie zwalnianej blokady zamka, gdy światła na drzwiach pociągu zmieniły się z bursztynowych na zielone. Robert otworzył dla niej drzwi, a ona weszła do pociągu.

Odwróciła się, by spojrzeć na niego z ukosa. Stał tam, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej.

– Do zobaczenia jutro, Robercie. – Znów spróbowała się uśmiechnąć, ale zamiast tego na jej twarzy pojawił się jakiś słaby i osobliwy grymas. – Muszę... coś załatwić – powiedziała cicho.

– Rozumiem – odparł. – Clarisso, mógłbym...

– Dobranoc – pożegnała się i ruszyła szybko przez wagon. Przyszła kolej na nią, by się nie oglądać.

Myślała, że nigdy nie uśnie, leżąc w swoim starym łóżku, które nie było już tym, gdzie wydarzyły się tamte okropne rzeczy, gdzie zrobiono te fotografie. Teraz było to łóżko, w którym leżał Robert. Przykryła się kołdrą w nowej poszewce. Nie uprała jej, bo nie chciała usuwać jego śladów. Ale zapadła w sen.

Znajdowała się w suszarni, jego ulubionym zakątku remizy strażackiej, miejscu, którego nigdy nie widziała, zakazanym królestwie nieprzeznaczonym dla niej, ale on był z nią, całował ją, unosił, wsunął dłonie pod jej pachy, uniósł jej ręce nad głowę i cofnął się, aby na nią spojrzeć.

– Robert – próbowała powiedzieć, ale to słowo nie wydobyło jej się z ust, a jego już tam nie było.

Suszarnia nie była już suszarnią. Stała się komnatą Sinobrodego, a manekiny przestały być manekinami. Były to martwe kobiety o przesłoniętych twarzach, z krwią na ustach, która sączyła się przez ich całuny niczym jaskrawe ślady po pocałunkach. Kołysały się na pętlach, na których wisiały, jakby delikatnie poruszane lekkim wiatrem. Nie mogła oddychać, nie mogła złapać powietrza. Próbowła unieść rękę do klamki, obrócić ją, ale nie była w stanie. Usiłowała krzyczeć, ale nie mogła poruszyć wargami. Coś przygniatało ją na całej długości ciała. Żółć wzbierała jej w gardle, ale czuła ból, gdy próbowała ją przełknąć. Ręce trzymała teraz nad głową. Szarpnęła się, ale coś wrzynało jej się w nadgarstki.

Otworzyła oczy i ujrzała twarz – ostatnią, jaką miałyby ochotę oglądać.

To niemożliwe, pomyślała. On tu nie może być. Miał siedzieć w więzieniu. Przecież konstabl Hughes tak powiedział. To tylko nocny koszmar. Zbudź się, mówiła sobie.

Próbowała się wykręcać, zrzucić go z siebie, kopnąć, ale on tylko mocniej przygniótł jej ciało swoim, wprawiając ją w przerażenie, że w ogóle nie będzie w stanie się poruszyć. Rozległ się stłumiony nieludzki odgłos. Zrozumiała, że to ona wydaje te zwierzęce dźwięki zamiast słów.

Zacisnęła oczy, by na niego nie patrzeć, starając się siłą woli powrócić znów do snu, powtarzając sobie, że to tylko nocny koszmar, że on musi siedzieć w więzieniu. Musi. Nie wypuściliby go, nie informując jej o tym.

– Otwórz oczy. – Złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu jej głowę; coś wbiło jej się w szyję. – Otwórz oczy, jeśli nie chcesz się udławić, Clarisso. – Otworzyła. Zwolnił nacisk na szyję. – Czekałaś na mnie, prawda? Chciałaś, żebym przyszedł. Po prostu nie mogłaś się zdobyć na to, żeby to powiedzieć.

Serce waliło jej gwałtownie, myślała, że pęknie. Myślała, że bije zbyt szybko, by mogło to robić dłużej, że wykona jeszcze jeden ostatni skurcz i znieruchomieje. Znów spróbowała go odepchnąć, ale poczuła, jakby nadgarstki obdzierano jej ze skóry. Barki napięły się tak bardzo, że myślała, że jej ręce odpadną.

Wtulił twarz w jej brzuch i wsunął ręce pod biodra,

ugniatając przez jedwab nocnej koszuli i przygarniając ku sobie.

– Tak ładnie pachniesz. To dla mnie, prawda? To z myślą o mnie, prawda? I o moich planach związanych z tobą. Wyobrażasz je sobie?

Otarł jej policzki kołdrą.

– Płaczesz, bo ci przykro? – Próbowwała kiwnąć głową na tak, ale poruszyła nią tylko nieznacznie, bojąc się, że się udusi.

Wyciągnął rękę, sięgając do miejsca obok łóżka. Gdy ją cofnął, trzymał w niej nóż o dwustronnym ostrzu; usłyszała własny jęk.

– Porozmawiamy o tym, jak mnie traktowałaś? Obiecałem, że cię ukarzę, prawda? – Opuścił nóż, a koniec szylkretowej rękojeści dotknął jej talii.

– Piękna koszula nocna. – Była podwinięta wysoko na uda. Clarissa szarpała rękoma, chcąc ją ściągnąć w dół. Przyglądał dłonią purpurowy jedwab. Chwycił ją za ramiona. – Uszyłaś ją dla tego strażaka? – Chciała poruszyć głową na nie, ale znów poczuła, jak zaciska jej się pierścień na gardle. Przeciągnął po nim palcem, sprawdzając węzeł, potem go poluzował. – Możesz się udławić, Clarisso. Nie uwolnisz się od tego tak łatwo i prędko. – Podniósł nóż. – Jest bardzo ostry. – Uniósł rąbek i napiął go, potem rozciął całą koszulę przez środek, przeciągając niespiesznie ostrzem ku górze. –

Jesteś przestraszona? – Próbowwała wcisnąć plecy w materac, byle dalej od noża, szlochając bezgłośnie. – I słusznie. Widzę, że jesteś. Podoba mi się to.

Nóż zatrzymał się między piersiami, skierowany ku jej podbródkowi. Wstrzymała oddech, bojąc się, że choćby najłżejszy ruch klatki piersiowej ją zrani.

– Sądziłem, że jesteś prawdziwą księżniczką, ale myliłem się. Jesteś jak inne. Nie przypominasz teraz księżniczki. – Gwałtownie szarpnął nożem prosto w górę, a ona krzyknęła, lecz był to raczej przyprawiający o mdłości pisk, który ustał dopiero, gdy zdała sobie sprawę, że ostrze jej nie dotknęło. – Mogłem cię rozebrać, kiedy jeszcze spałaś po chloroformie, ale wolałem, żebyś była przy tym przytomna. Marzyłem o tym. – Rozciął najpierw jedno z cienkich ramiączek, potem drugie.

Położył nóż koło jej głowy, rozchylił przeciętą tkaninę i ścisnął Clarissie sutek, tak że wydała kolejny stłumiony okrzyk.

– Jak sądzisz, jak się czułem, gdy cię z nim widywałem? Nie obchodziło cię to, prawda? Prowokowałaś mnie, Clarisso. Umyślnie. – Potrzęsnął nią tak mocno, że pomyślała, że pęknie jej kręgosłup, a mózg rozpadnie się wewnątrz czaszki.

– Jesteś gorsza niż moja poprzednia dziewczyna. Cokolwiek bym dla ciebie zrobił, nigdy dość. Kazesz mi odejść i znajdujesz sobie innego. Ni mniej, ni więcej, tylko kolejnego żonatego faceta. Nawet nie pomyślisz o biednej pani strażakowej. – Ślina pienila mu się w kącikach ust. – Pieprzyłaś się z nim, jak byłem w więzieniu, co? Ale znudziłaś mu się, jak cię już zerznął.

Wcisnął dłoń między jej nogi.

– On nie wie, czego potrzebujesz. – Wsuwał palce pod

majtki, uszyte przez nią z tego samego jedwabiu co koszula nocna. Ściągnął swoją koszulę, odpiął pasek. Zacisnęła mocniej uda, ale nożem przeciął jej majtki na biodrach i zerwał. Rozchylił jej nogi jednym szarpnięciem. – Nie ułatwiasz mi panowania nad sobą.

Próbowała go kopnąć. Zdzielił ją pięścią w brzuch. Mocno. Zwiotczała po tym, miała wrażenie, że umrze, dławiąc się własnymi wymiocinami. Czuła smak soli i metalu. Owinął czymś obie jej kostki i przywiązał do słupków łóżka. Próbowała uwolnić nogi, powiedzieć słowo „nie”, raz za razem, ale nie była w stanie wymówić nawet tej jednej sylaby.

Potem robił fotografie. Za każdym razem, gdy błyskał flesz, światło dźgało ją przez zamknięte powieki, a on potrząsał nią; usłuchała jego rozkazu, otworzyła znów oczy i spojrzała na niego. Wreszcie odłożył aparat i wyciągnął się na niej. Wiła się, miotła, próbowała się spod niego wysunąć.

Uniósł pięść i walnął ją z boku w głowę. Nastąpiły eksplozja i hałas, jakby świder pracował w jej czaszce. To muszą być tańczące anioły na suficie, pomyślała. Znów rozległ się ten dobiegający skądś stłumiony płacz.

Coś zimnego oparło się z boku o jej twarz. Wiedziała, jak ważne jest dowiedzieć się, co to takiego, i zachować całkowity spokój, a dopóki tego nie zrobi, pozostać w całkowitym bezruchu. Wtedy zdała sobie sprawę, że to nóż. Uprzytomniła to sobie na ułamek sekundy, zanim poczuła, jak ostrze przechyliła się i rozcina skórę jej policzka.

Poczuła, jak jej ciało całkowicie wiotczeje, ujrzała mgliście,

że zmienia mu się wyraz twarzy, a ręce rozdzierają to, co umieścił jej na ustach. Potem dyszała, łapiąc powietrze, próbując łykać je wielkimi haustami, gdy rozciął pętlę wokół jej szyi, by ją uwolnić; uniosła głowę i barki. Przyłożył jej do ust szklanekę wody, kazał wypić łyk, ale płyn ściekał jej po brodzie, gdy dyszała, skapywał na piersi, mieszając się z czymś czerwonym. Dlaczego było tyle czerwieni? Osuszał jej twarz rozciętą koszulą nocną.

Przez chwilę patrzył na nią, wstrząśnięty chyba widokiem tego, co robi, z twarzą ściągniętą niepewnością i wyczerpaniem, jakby zaintrygowany rozwojem wydarzeń. Głowa mu się trzęsła, zamrugał kilka razy, jakby coś go na chwilę oślepiło, ale teraz znów widział wyraźnie.

Potem zaczął miętosić jej piersi, szczypał je i ssał, gryzł tak mocno, że aż krzyknęła, więc uderzył ją dłonią w usta i kazał się zamknąć. Ściągnął swoje rozpięte już spodnie i bokserki. Położył się na niej, złapał ją za włosy, przyciągnął twarz do swojej. Jego mina przypominała jej obraz ukazujący Apolla, który chłoscze Marsjasza i spogląda czule na swoją ofiarę, jakby ją pielęgnował, a nie zabijał.

– Zbyt długo kazałaś mi na to czekać – szepnął głosem, który brzmiał prawie tkliwie, po czym wszedł w nią siłą.

Łkała cicho, myśląc o tym, że chciałaby zebrać pod paznokciami trochę jego DNA, ale nie mogła, mając unieruchomione nadgarstki. Gdy Rafe skończy, jego DNA znajdzie się w jej wnętrzu, pozostaną tam przynajmniej dowody, gdy znajdą zwłoki.

– Spójrz na mnie. Wypowiedz moje imię.

Bęben pulsował w skroni. Szyję miała zbyt ciężką, powieki nie unosiły się do końca. Pomyślała, że wilgoć w jej oczach to z pewnością krew, wyciśnięta przez ucisk, który odczuwała w głowie.

– Wypowiedz je.

Niedopuszczenie, by jego imię pojawiło się w jej myślach, by wypowiedziały je jej usta, było dla niej jakby ostatnim talizmanem.

– Wypowiedz je – nalegał. – Rób, co ci każę.

Zdała sobie sprawę, że nie pamięta jego imienia.

Powtórzył polecenie, podpowiadając to słowo na końcu zdania, którego się od niej domagał. Powtórzyła je, choć zabrzmiało to niewyraźnie.

– Pocałuj mnie – powiedział.

Próbowała odsunąć głowę, ale nawet milimetrowy ruch sprawiał, że jej mózg trząsł się za bardzo, bolał za bardzo, więc on przywarł do niej wargami, wpychając jej język do ust. Chciała go ugryźć, ale była zbyt przestraszona.

– Powiedz mi, że mnie kochasz.

– Kocham cię.

– Powiedz: Kocham cię, Rafe.

– Kocham cię, Rafe.

– Powiedz mi, co ci robię.

Nie wiedziała, czego od niej oczekuje. Wymieniła jedyną rzecz, która jej przychodziła do głowy. Jedyną prawdziwą.

– Sprawiasz mi ból.

– Dobrze. – Znów chwycił ją za włosy. – A teraz powiedz mi, że zaraz dojdiesz, że żaden inny kochanek nie może ci

zrobić tego co ja, że należysz do mnie, że tak bardzo to lubisz.

Powtarzała to wszystko jak papuga, słuchała, jak jego oddech przyspiesza, spinała się, gdy jego ruchy nabierały gwałtowności.

Gdy było po wszystkim, jego ciało zwiotczało, przygważdżając ją do materaca. Miała wrażenie, że łamie jej żebra, odbija płuca, wierci dziurę w brzuchu w miejscu, gdzie wcześniej ją uderzył. Upłynęło kilka minut, zanim z niej wyszedł.

– Wzięło cię. Widziałem, że tak – powiedział. – Czułem, jak kończysz. Lepiej niż ktokolwiek wiem, co cię kręci, Clarisso.

Wilgotność między nogami odczuwała jak kwas, a ściśnięta klatka piersiowa piekła ją tak, że ledwo oddychała. Odnosiła wrażenie, że ramiona ma wyrwane ze stawów, a kostki okropnie pocierane i obolałe po tym, jak z całej siły próbowała się uwolnić. Ręce i palce jej ścierpły, bo krew z nich odpłynęła.

Trzymał w rękach knebel. Skórzany, wiedziała to, taki jak u kobiety na okładce tamtego magazynu. Znów się rozszłochała. Oddychała z trudem.

– Obiecuję, że będę spokojna – wydusiła chrypliwym głosem, wyciśniętym z obolałego gardła.

– Nie ufam ci. Powiedziałem ci, że już nigdy ci nie zaufam po tym numerze, który odstawiłaś w parku. Nauczysz się, że dotrzymuję słowa. Będzie to ostatnia rzecz, której się nauczysz. – Próbowała odwrócić głowę, szarpała nadgarstkami, by się wyrwać, ale ledwie mogła się poruszyć,

gdy jej zapinał knebel.

– Muszę cię zakneblować, bo zamierzam ci robić jeszcze inne rzeczy. Nie chcemy, żebyś niepokoiła sąsiadów krzykiem. – Padł przy niej na łóżko, położył rękę na jej piersiach, ugiętą nogę zarzucił na jej biodra i zapadł w głęboki sen.

Świst wdychanego i wydychanego powietrza w jej nosie był głośny. Dyszała ciężko, jej klatka piersiowa unosiła się i opadała, nadymała i wiotczała. Była pewna, że go zbudzi, ale mimo wszelkich wysiłków nie potrafiła spowołnić oddechu.

Proszę, nie pozwól mu się obudzić, myślała. Proszę, proszę, nie. Boże, proszę. Pomóż mi, proszę. Słowa te niczym niema inkantacja raz za razem przebiegały jej przez głowę. Zakłęcie mające utrzymać ją przy życiu i przynieść pomoc. Rychło jednak przemogło je inne zakłęcie, którego nie mogła powstrzymać. Nie ma Boga. Po prostu nie ma. Nie może być. Nie ma nadziei. Laura też musiała się modlić i Bóg jej nie ocalił. Pozwolił, by znosiła niewyobrażalne cierpienia.

Z jej oddechem było coraz gorzej. Miała wrażenie, jakby pokój napełniał się dymem, który ją dławził. Próbowwała sobie wmówić, że to tylko gra wyobraźni. Że nie może być żadnego ognia, bo wtedy czujniki uruchomiłyby alarm, a nie słyszała syreny. Ale wiedziała, że nie ma dość tlenu. Nie ma. Po prostu nie ma. Umierając, odgryzie sobie język, niczym zła królowa, która nie mogła mówić ani krzyczeć, gdy zatańczyła się na śmierć w rozgrzanych do czerwoności żelaznych bucikach, które nałożono jej na stopy obcęgami.

Nie rozumiała, dlaczego pokój wiruje. Zacisnęła powieki,

jak najmocniej mogła, potem je otworzyła, ale wciąż tkwiła w centrum trąby powietrznej. Wszystko zasnuwała mgła. Nie była w stanie wyodrębnić ani jednego przedmiotu, który pozwoliłby jej się zakotwiczyć.

Gdy otworzyła potem oczy, nie miała pewności, gdzie się znajduje ani dlaczego tak trudno jej się poruszać, ani co sprawiło, że jest cała obolała. Ale była pewna, że naprawdę wybuchł pożar, a ona umiera od wdychanego dymu i jest prawie oślepią, bo powietrze było od niego aż gęste. Robert mówił kiedyś, że gdyby została uwięziona podczas pożaru, powinna trzymać się nisko przy podłodze. Bo to jedyny sposób, by znaleźć powietrze. To dym zabija, mówił. Próbowwała się poruszyć, wiedząc, że Robert chciałby, aby to właśnie robiła. Usiłowała zsunąć się na podłogę, uwolnić ręce i nogi, ale coś ją przytrzymywało, przygniatało. Może to dach. Raz podczas pożaru dach spadł na Roberta. Może dach spadł, gdy pokój wirował. Zastanawiała się, czy aby nie leży martwa w trumnie, przyciśnięta wiekiem.

Gdzieś z daleka słyszała dzwon. Pomyślała sobie, że to dzwon kościelny zapowiadający jej pogrzeb. Coś przygniatało jej pierś. Otworzyła oczy i zobaczyła, że to ramię. Wtedy przypomniała sobie, gdzie się znajduje, co się wydarzyło i czyje to ramię, i zdała sobie sprawę, że nie wybuchł żaden pożar. Ogarnęło ją dzikie przerażenie, że on zrobił coś bardzo złego z jej głową, co uniemożliwia jej jasne myślenie i zachowanie przytomności. Była pewna, że przeżyła coś w rodzaju absolutnego i niekontrolowanego napadu panicznego lęku, po czym straciła przytomność.

Zrozumiała też, że musi za wszelką cenę zapobiec powtórzeniu się tego, bo ktoś jej kiedyś powiedział, że jeśli człowiek zaśnie z urazem głowy, to umrze.

Rozległ się stukot, potem trzaśnięcie metalu. Rafe poruszył się, rozejrzał gwałtownie i nasłuchiwał, mamrocząc coś i klnąc pod nosem. Walnął ją pięścią w głowę. Zobaczyła gwiazdy przed oczyma, po czym ogarnęła ją ciemność.

Miała wrażenie, że śni. Patrzyła przez migoczącą mgłę, jak Robert pochyła się nad nią, pociągając coś na jej twarzy. Otworzyła usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Strażak stał przy jej kostkach i poruszał jej nogami, układając je tak, by spoczęły równolegle, a nie szeroko rozchylone. Sięgnął ponad nią, wtedy zobaczyła swoje dłonie w jego dłoni. Rozcierał je. Jego twarz, jego piękna twarz była biała. Dlaczego była taka biała? A policzki miał wilgotne. Czyżby padało? Te krople wyglądały jak łzy, ale to nie mogło być prawdą. Czyż Robert nie mówił kiedyś, że nigdy nie płacze? A może powiedział to ten Azarola? Robert coś chyba szeptał. Dlaczego brzmiało to, jakby się dławił? Jego głos brzmiał tak dziwnie. A on owijał ją kołdrą, układając na lewym boku. Trzymał telefon i wystukiwał na nim cyfry, podawał adres jej domu.

Było coś bardzo ważnego, o czym powinna pamiętać. Tak bardzo się starała, ale nie mogła. I wtedy ją olśniło.

– Musisz uważać – próbowała powiedzieć.

Uciszył ją tylko delikatnie. Znów trzymał jej palce, rozcierał je. Były bardzo białe, jeszcze bielsze niż jego twarz.

Ale wtedy dostrzegła cień w progu. Wiedziała, że to cień

tego mężczyzny. Robert spojrział w tę samą stronę, poderwał się na nogi, jak najbardziej oddalając się od łóżka, jakby chciał odciągnąć od niej tamtego.

Mężczyzna machał nożem trzymanym w prawej ręce. Z ostrzem skierowanym do góry i na zewnątrz zbliżył się do Roberta. Ten cofnął się o krok i odchylił do tyłu, ale mężczyzna postąpił naprzód, by nie stracić bezpośredniego kontaktu, i jeszcze bardziej wysunął nóż.

Robert zamarkował uderzenie pięścią z prawej. Gdy mężczyzna wyciągnął nóż w jego stronę, sam obrócił się, lewą dłonią uderzył z góry prawą ręką przeciwnika, a prawą złapał nadgarstek dłoni trzymającej nóż i dźgnął lewym przedramieniem w nos mężczyzny. Nagle rozległ się rozzierający trzask kości, buchnęła jasna krew, a nóż upadł z brzękiem na deski podłogi. Mężczyzna zatoczył się, mrugając w oszołomieniu. Robert walnął go prawą pięścią w lewą skroń, a lewą w szczękę, tak że tamtemu głowa odskoczyła do tyłu. Cofnął się, chwiał się przez chwilę niczym przegrany na ringu bokserskim, po czym runął na podłogę, uderzając tak mocno bokiem, że zatrzęsł się cały pokój.

Robert kopnął nóż w bok i podszedł do mężczyzny. Tamten leżał, nie wykonując zupełnie żadnych ruchów poza urywanym wznoszeniem się i opadaniem klatki piersiowej. Robert uważnie mu się przyjrzał, wypatrując oznak przytomności, jakby mężczyzna był wściekłym psem, do którego nie należy się odwracać plecami. Pochylił się i podniósł wiotką lewą rękę leżącego, potem ją puścił,

obserwując, czy spadnie z donośnym łoskotem. Szczególnie niepokoiły go palce, jakby chciał się upewnić, że nie nastąpiło najłżejsze drgnięcie.

Clarissa poczuła znów krew spływającą jej z policzka i ostry skurcz żołądka. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jęknęła, dopóki Robert nie odwrócił się tyłem do mężczyzny, wołając jej imię, i postąpił krok w jej stronę. Było to tylko kilka sekund nieuwagi, a jednak zbyt wiele. A wszystko to nastąpiło z jej winy.

Mężczyzna wyciągnął prawą rękę za głowę i sięgnął pod nocny stolik. Gdy cofnął dłoń, trzymał w niej drugi nóż, którego większość masy stanowiła czarna gumowana rękojeść, a nie ostrze, krótkie i szerokie. Mężczyzna usiadł i wbił broń od tyłu w górną część uda Roberta.

Ten krzyknął, wydając zwierzęcy odgłos, który przeniknął ją na wskroś. Od razu osunął się na kolana.

Mężczyzna plunął karmazynową cieczą z ust i wydmuchał ją z nosa. Wyciągnął rękę, nóż załśnił mu srebrzyście nad głową, wzniesiony wysoko, by dobić Roberta. Gdy ostrze opadało, strażak obrócił się, chwycił obiema rękoma prawy nadgarstek przeciwnika, szarpnął nim, powalił go na plecy i przysiadł na nim, przygważdżając brzuch kolanem.

Robert wyraźnie nie zwracał uwagi na swoją drugą nogę, która leżała bezwładnie na podłodze. Jasnobrązowy sztruks spodni poczeriał od krwi. Granatowa dżersejowa bluza strażaka zwilgotniała od potu pod pachami, na piersi, na plecach.

Mężczyzna zdzielił Roberta lewą pięścią w twarz,

rozcinając mu wargę. Ale nic nie skłoniłoby strażaka do wypuszczenia prawego nadgarstka przeciwnika. Ani do zaprzestania prób zmuszenia go, by rzucił nóż. Ani do przerwania walki o to, by utrzymać ostrze z dala od swego ciała.

Tyle było krwi. Skapywała Robertowi z podbródka. Zbierała się w kałużę na deskach podłogi. Krew mężczyzny pozostawiła ślad na jego nosie, rozpryskując się na jego nagiej piersi i podbródku, a także rękawie kurtki Roberta.

Mężczyzna uderzył lewą dłonią obie ręce Roberta, starając się zachować kontrolę nad nożem. Broń dygotała między nimi, gdy każdy próbował pchnąć ją w stronę przeciwnika, zwrócić ku niemu ostrze. Mężczyzna leżał na plecach, więc musiał pchać nóż do góry, wbrew sile ciężenia. Była to jedyna przewaga Roberta, ale to nie wystarczyło. Rozgrywali jakiś okropny pojedynek siłowania się na rękę, a Robert powoli przegrywał, coraz bardziej osłabiony wpływem krwi. Twarz mu poszarzała. Na czole perliły się kropelki potu. Stęknął.

Żaden z nich nie zauważył, jak Clarissa zsunęła się z łóżka. Podniosła pierwszy nóż za szylkretową rękojeść z miejsca, gdzie wykopał go wcześniej Robert. Podeszła do nich chwiejnie, wyglądając jak młoda wampirzyca po raz pierwszy wstająca z grobu. Węzyki krwi spływały jej po wewnętrznej stronie ud. Krew ciekła z twarzy na szyję i dalej, na piersi i brzuch. Krew skołtuniła jej blond włosy, barwiąc je na ciemnoczerwono.

Ci życzliwi i pomocni policjanci okłamali ją, karmiąc całą

tą fałszywą, zwodniczą nadzieją, mówiąc, że jest bezpieczna, gdy tak nie było, gdy naprawdę nigdy nie była bardziej zagrożona. Ich działania nie przyniosły rezultatu. Tylko ona sama mogła sprawić, że ten mężczyzna rzeczywiście zniknie. Tylko ona mogła wymazać go tak całkowicie, że nigdy więcej nie zdoła powrócić. To był jedyny sposób. Nic innego nie sprawi, by dał jej spokój. Nic innego nie pomoże Robertowi. Gdy następnym razem spadnie na niego nóż mężczyzny, zabije go. Zdawała sobie sprawę, że tak będzie. Dokładnie wiedziała, co ma robić. Rozumiała też, że dostanie tylko jedną szansę.

Była naprawdę świetna w biologii człowieka, jak sama kiedyś mówiła Robertowi. Jej obsesja na punkcie rozmnażania zrodziła fascynację całym ciałem, ale interesowała się tym już w szkole. Wszystkie szczegóły zapadły jej w pamięć. Przypomniła sobie budowę serca, fotografie i ilustracje. I wykresy anatomiczne, które zawsze wydawały jej się takie piękne. Studiowała je bezustannie, gdy jej ojcu wszczepiono by-pass.

Mężczyzna miał na sobie tylko bokserki. Widziała te rysunki, jakby wykonano je warstwami na jego klatce piersiowej: serce i jego oznaczone komory pod klatką żeber, klatkę żeber pod skórą. Widziała je mimo łomotania, jakie czuła w głowie, i zamglonego wzroku. Nawet nie musiała próbować. Wiedziała, że między żebrami jest wolna przestrzeń, tuż powyżej prawej komory serca. Wiedziała, że to najbardziej niebezpieczne miejsce. Skupiła uwagę na tym celu, położonym na linii sutków, nieco w bok od środka ciała,

starając się, by nie rozpraszał jej ból widoczny na twarzy Roberta.

Nie spuszczała oczu z tego miejsca, wymierzając nóż w pierś mężczyzny z całą siłą swego osuwającego się ciała. Łatwo jej było paść na kolana na podłogę tuż ponad jego głową; bo jej ciało chciało właśnie tego. Przez ułamek sekundy czuła opór, jak w chwili, gdy wbijała bardzo ostry nóż w skórę melona, potem metal zanurzył się głęboko, jakby ciało mężczyzny było mięszem owocu. Ostrze zatopiło się aż do końca, zatrzymując się dopiero, gdy rękojeść doszła do skóry.

Mężczyzna sapnął i wciągnął powietrze, ale trwało to tylko moment. Jego wargi nie były już blade. Były sine. Pojawiły się na nich pęcherzyki czerwieni. Krew nie trysnęła z rany od noża, jak się spodziewała. Sączyła się równomiernie, tworząc jakby spodeczek wokół rękojeści. Jej ręce nie poruszały się z tą samą pewnością co zwykle, a nóż stawał się tak mokry, ciepły i śliski, że z trudnością mogła go utrzymać. Ale wiedziała, że nie wolno jej puścić. Bez względu na wszystko. Wiedziała to. Wciąż próbowała go przyciskać z obawy, że może się nie udać. Na wypadek gdyby źle oszacowała albo nie trafiła w miejsce, w które mierzyła. Tak jakby on miał odzyskać siły, gdyby puściła. Jakby miał znów chwycić ten drugi nóż i wbić go w Roberta. Jakby zrobiony przez nią otwór miał się zasklepić, a on sam zerwać się i rzucić na nią, jeśli nie zyska absolutnej pewności, że nóż wykonał zadanie.

Mężczyzna przewrócił oczami i znieruchomiał. Oczy były

wciąż otwarte, ale wiedziała, że już jej nie widzi. Nareszcie na nią nie patrzył. Naprawdę nie. Wiedziała, że już nigdy na nią nie spojrzy.

Robert objął ją, puściła nóż. Siedział na podłodze, przyciągając ją do siebie i odsuwając ich oboje jak najdalej mógł od tego człowieka. Na podłodze zostawiał czerwony ślad, gdy ciągnął ranną nogę. Obejmował i kołysał Clarissę, jednocześnie zdzierając z siebie dżersej, by ją nim owinąć. Oboje byli pokryci krwią. Powtarzał jej imię, jakby próbował przywołać ją, nie wiedzieć skąd. Ale ona sama czuła, że odpływa, a jego głos dobiega z oddali, choć jego wargi wciąż wymawiały to słowo.

Pokój wypełnił się obcymi ludźmi w strojach policjantów i ratowników medycznych, pojawiła się też pani Norton, cała zapłakana. Clarissa czuła, jak wydzierają ją Robertowi, słyszała, jak mówią mu, że sam wymaga pilnej pomocy medycznej. Próbowwała wykrzyknąć jego imię, by go jej nie odbierali, ale nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Raptem w jej głowie nastąpiła eksplozja bólu, a świat ogarnęła ciemność.

Osiemnaście tygodni później

Dziewczyna bez rąk

Poniedziałek, 20 lipca

Psycholog kliniczna poradziła mi, żebym zaczęła prowadzić nowy notatnik. Wykonała go ręcznie moja matka, okładka jest z szarośliwkowej tkaniny w konwalie. Psycholog nazywa to *Dziennikiem rekonwalescencji*. Podczas naszych spotkań migam jej przed oczami odręcznie zapisanymi stronami, aby pokazać, jak rozsądną i trzeźwo myślącą jestem pacjentką. Gdybym jednak naprawdę pozwoliła jej to przeczytać, pewnie postawiłaby mi wielką, grubą pałę. Za to, co piszę – i do kogo.

Wtorek, 21 lipca

Mój ojciec gra w golfa z innym emerytowanym nauczycielem. Matka siedzi obok mnie w pozbawionej charakteru szpitalnej poczekalni. Czyta gazetę, gdy ja staram się myśleć o czymkolwiek innym niż wyniki testów, które zaraz otrzymam.

A myślę o tobie. O wiele za dużo czasu spędziłam, myśląc o tobie.

Minęło osiemnaście tygodni, odkąd widziałam cię po raz ostatni. Osiemnaście tygodni, odkąd mnie uratowałeś.

Osiemnaście tygodni, odkąd adwokat tamtego

mężczyzny skłonił ich, wykorzystując kruczki prawne, by go wypuścili, a wtedy on mógł włamać się do mojego mieszkania.

Policja aresztowała go w czwartek rano, piątego marca, pod zarzutem nękania i stosowania przemocy. Ale sędzia wydał zakaz zbliżania się dopiero w piątek po południu, szóstego marca. Katastrofalny błąd polegał na tym, że nie doprowadzono go do sądu w nakazanym prawem terminie dwudziestu czterech godzin. Oznaczało to, że zakaz zbliżania się, który on złamał kilka dni później, nie miał mocy prawnej, dlatego nie mogli go zatrzymać w areszcie za naruszenie go.

Czy doszłoby do tego, gdyby konstabl Hughes nie był nieobecny? Myślę, że nawet on nie mógłby zapobiec wypuszczeniu tego mężczyzny z uwagi na kruczki prawne. Ale mógł mnie uprzedzić, że go zwolnili. Mógłby znaleźć jakiś sposób, by umieścić go znów w więzieniu. Albo wysłać kogoś, kto by nade mną czuwał, powstrzymał go, zanim zrobił to, co zrobił. Odtworzyłam sobie przebieg tej nocy, w każdym razie większej jej części, dzięki pomocy oficer kontaktowej policji do spraw przestępstw seksualnych. Ale bezustannie rozważam te ewentualności, owe niezliczone „gdyby”.

Zostaję wyrwana z tych myśli, gdy z pokoju wychodzi lekarz, żeby mnie przyjąć. Wita moją matkę, a ona wręcz rumieni się, zachwycona jego atencją, choć jest równie przestraszona czekającymi nas nowinami, jak ja. Ściskam ją za rękę na do widzenia i wstaję, by udać się za doktorem Haynesem. Plecy mam mokre, odczuwam na zmianę

uderzenia gorąca i dreszcze.

Czasem zastanawiam się, czy czuję się tak źle z powodu rzeczy, które się wydarzyły, ale doktor Haynes tego nie potwierdza. Wyjaśnia, że tak silne nudności mają nawet nazwę. *Hyperemesis gravidarum*. Dodaje, że zdaniem niektórych specjalistów zmarła na to pisarka Charlotte Brontë. Podoba mi się, że wie takie rzeczy. Mówi, że ma to uzasadnienie fizjologiczne. Wielokrotne hospitalizacje w celu uzupełnienia wody i elektrolitów w organizmie oraz leki przeciwwymiotne, które muszą codziennie przyjmować, mają swoje skutki fizjologiczne. Nie sądzę jednak, by moja psycholog kliniczna zgodziła się w tym punkcie z doktorem Haynesem.

Doktor wygląda jak absolwent elitarnego uniwersytetu, jest bardzo życzliwy, do tego całkiem przystojny, w stylu inteligentnego superbohatera. W innych okolicznościach prawie na pewno bym się w nim zadurzyła. W innych okolicznościach nigdy nie poznałabym ciebie.

Doktor Haynes obrzuca mnie poważnym spojrzeniem.

– Pani Clarisso, otrzymałem pani wyniki.

Myślałam, że wyciszę się przez te dwa tygodnie, czekając na tę chwilę. Ale czuję w sercu lodowate sople.

Lekarz wyciąga rękę przez biurko, aby dotknąć mojej dłoni.

– Testy genetyczne wykluczyły, by Rafe Solmes mógł być ojcem pani dziecka.

Czuję, jak drżą mi wargi i dłonie, wibrują też powieki. To pewnie dlatego, że organizm reaguje sensacjami fizycznymi

na odczuwaną przeze mnie ulgę. Ale lekarz wyjaśnia, że drżenie i dygotanie mogą być rzadkim objawem ubocznym środków przeciwwymiotnych, i choć ma nadzieję, że to tylko jednorazowy epizod, spróbuje podać mi inny lek. Mówi, że jestem bardzo blada, każe napić się wody, położyć na kozetce i parę minut odpocząć. Siada i pisze coś w moich papierach, choć kilka razy przerywa, aby sprawdzić mi puls i ciśnienie krwi.

Jeszcze zanim otrzymałam dowód, wierzyłam. Wiedziałam, że będę mieć to dziecko, jak tylko wtedy skończyliśmy, gdy zbudziłeś mnie po naszej pierwszej wspólnej nocy. Ale nie powinnam była pozwalać sobie na takie myśli. Bo myśl o naszej pierwszej wspólnej nocy sugeruje, że było ich wiele. A były tylko dwie. I tak już pozostanie, powtarzam sobie.

Nareszcie doktor Haynes pozwala mi wstać, a ja natychmiast zaczynam paplać:

– Wiedziałam w głębi duszy, że to nie jego dziecko. Policja prosiła, żebym zrobiła test, a ja się bałam odmówić. Nie chciałam, by sobie pomyśleli, że miałam motywację, by go zabić, żeby nie mógł trzymać mnie w szachu, wykorzystując dziecko.

– No cóż, teraz nie mogliby już tak pomyśleć. Wyniki badania USG wieku ciążowego i poziomu hormonów wczesnościążowych wskazują, że jest pani w dwudziestym pierwszym tygodniu ciąży. Oznacza to, że komórka jajowa została zapłodniona dziewiętnaście tygodni temu. Konkluzja mojego raportu jest taka, że zaszła pani w ciążę tydzień przed napaścią. W chwili śmierci Solmesa nie mogła pani wiedzieć,

że jest pani w ciąży. Konsultowałem się z innymi specjalistami. Ich opinie są tu zgodne. Włączono je do raportu.

Mieli mnóstwo jego DNA dla porównania z DNA dziecka. Nie potrzebowałam twojej zgody na test. Nie potrzebowałam też twojego DNA. Teraz, gdy oficjalnie go wykluczyli, ty jesteś jedynym kandydatem. Drogą eliminacji.

– Są jeszcze inne dobre wiadomości. Nie wykryto żadnych wad genetycznych.

Tak mnie niepokoił test ojcostwa, że nigdy się nie zatroszczyłam o zdrowie dziecka. Cóż ze mnie będzie za matka?

Lekarz milczy przez chwilę.

– Mogę pani powiedzieć, jaka jest płeć dziecka, jeżeli chce pani wiedzieć.

– Myślę, że to dziewczynka, prawda? – mówię.

Doktor Haynes uśmiecha się tak bardzo, że chyba naprawdę się tym przejmuje.

– Owszem.

– Myślę, że ma ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy, jak jej ojciec. Pewnie jest bardzo piękna.

Śmieje się.

– Będziemy musieli poczekać, aż się urodzi, żeby stwierdzić, czy ma pani rację co do włosów i oczu, ale nie ulega wątpliwości, że będzie piękna. Zechce pani spojrzeć? Wiem, jak bardzo się pani niepokoiła igłą do amniopunkcji i ryzykiem poronienia.

Doktor wyciska mi chłodny żel na brzuch, a ona pojawia

się na ekranie, ledwie sonda dotknęła mojej skóry.

Usta ma dokładnie takie jak ty, Robercie. Układa je w pączek róży i posyła mi całusa. Odpowiadam tym samym.

Środa, 22 lipca

Jest tu oficer kontaktowa policji do spraw przestępstw seksualnych. Nie ma na sobie munduru, tylko granatową spódnicę i kremową koszulę, które elegancko prezentują się na jej smukłej sylwetce.

W porównaniu z nią mam mocno zaokrąglone kształty. To dla mnie nowe doświadczenie. Moje piersi są teraz pełniejsze pod bluzką z białej gazy, podobną do tej, którą Lottie miała na sobie pierwszego dnia w sądzie. Mój brzuch przypomina niewielki pagórek wznoszący się nad elastycznym paskiem kolejnej spódnicy, którą uszyła mi matka.

Pani oficer ma na imię Eleonor i chce, żebym tak się do niej zwracała. Żadne tam konstabl Taka czy sierżant Owaka. Po prostu Eleonor.

Powiedziałbyś mi, że ani na moment nie powinnam zapominać, że nawet jeśli te wszystkie wyrozumiałe kiwnięcia głową są szczerze, to Eleonor wciąż wypatruje i nasłuchuje wszelkich okrucich informacji, które pozwoliłyby wysłać prokuraturze obszerne i pikantne akta na mój temat. Powiedziałbyś, że nie powinnam brać za dobrą monetę wyjaśnień policji, że przydzielono mi Eleonor, ponieważ traktują mnie jak ocalałą ofiarę, która potrzebuje jednej osoby odpowiedzialnej za wszelkiego rodzaju kontakty z policją. Powiedziałbyś, że policja wciąż przysyła tu Eleonor, bo traktują mnie jak podejrzaną.

Siedzimy z nią w salonie moich rodziców na dwóch fotelach ustawionych w wykuszu okiennym, miejscu, skąd zwykle oglądam morze. Na stoliku między nami stoją dwie filiżanki herbaty, które moja matka umieściła tam, zanim wycofała się z ojcem do ogrodu.

Eleonor zakłada czarne włosy za uszy, jej czarne oczy rzucają mi spojrzenie pełne delikatnej bezpośredniości.

– Obiecałam, że nie będę przed panią zatajać żadnych informacji, które wolno mi ujawnić – zagaja.

– Chodzi o prokuraturę? – staram się mówić spokojnym głosem. – Chcą wnieść przeciw mnie oskarżenie w związku z jego śmiercią?

– Policja musi jeszcze zebrać ostatnie dowody, zanim prześlą pełne akta, żeby prokuratura mogła podjąć ostateczną decyzję, czy wnieść oskarżenie. Sądzę, że czekają na jakiś raport od pani położnika.

– Już został wysłany.

– Świetnie. – Kiwa głową. – Potrzebny jeszcze będzie raport końcowy koronera. Policja musi działać bardzo drobiazgowo właśnie dla pani dobra. To poważna i złożona sprawa, pani Clarisso, obejmująca gwałtowną śmierć. W interesie publicznym leży zawsze przeprowadzenie dochodzenia z należytą starannością.

– Po prostu chciałabym mieć już to wszystko za sobą.

– Rozumiem, że pani trudno, że to wciąż ciąży pani, ale chciałabym jeszcze raz podkreślić, że prokuratura bardzo rzadko wnosi oskarżenie w sprawie śmierci intruza w cudzym domu. Zwłaszcza gdy stosował on przemoc i miał broń. Są

mocne przesłanki, że użyła pani siły, by bronić siebie i innej osoby. Ważnym czynnikiem jest też ograniczona poczytalność wskutek urazu głowy.

– W porządku – mówię powoli, chociaż wcale nie czuję się w porządku.

Eleonor bierze oddech.

– Wspominałam już pani, że pięciu oskarżonych w tamtym procesie uznano za niewinnych wszelkich stawianych im zarzutów.

Sędzia pozwolił, żeby pozostałych dziesięciu przysięgłych rozpoczęło obrady bez nas. Wszystkich pięciu oskarżonych wyszło na wolność, gdy leżałam jeszcze w szpitalu pod ochroną policji, a ty przechodziłeś operację nogi.

– Co nie stanowi wielkiego zaskoczenia, zważywszy na fakt, jak ich obrońcy rozrywali tę Lockyer na strzępy. – Spuszczam wzrok na kolana. – Była taka dzielna – mówię bardzo cicho, wciąż nie podnosząc oczu. Ale potem to robię. Zmuszam się do tego. I widzę, że Eleonor ściga brwi.

Rozpina zamek błyskawiczny swojej brązowej skórzanej teczki.

– Policja uznała, że chciałaby pani to zobaczyć. – Podaje mi wycinek z gazety.

Dochodzenie w sprawie śmierci znanej 28-latki z Bath zakończyło się orzeczeniem o zgonie w następstwie nieszczęśliwego wypadku. Nieszczęsna Carlotta Lockyer zmarła 10 maja wskutek

przedawkowania narkotyków. Koroner George Tomkins stwierdził, że w organizmie ofiary znaleziono znaczne ilości heroiny i kokainy crackowej, a ich toksyczne działanie zostało jeszcze wzmocnione przez duże stężenie metadonu we krwi. John Lockyer, lat 78, zeznał, że jego wnuczka z powodzeniem zakończyła program detoksykacji, ale wróciła do nałogu niedługo przed śmiercią. Znalazł jej ciało na podłodze w łazience, gdy wrócił z kościoła.

Obejmuję się ramionami i kołyszę – to gesty samopocieszenia, które jeden z policyjnych świadków zauważył u Lottie. Szlocham żałośnie. Żółć podchodzi mi do gardła i ścieka po brodzie; ocieram ją chusteczką higieniczną. Eleonor cierpliwie czeka, aż się uspokoję. Nie wiem, ile czasu mija. Wydmuchuję głośno nos.

– Widzę, że jest pani z tego powodu bardzo, bardzo smutno – mówi Eleonor. – Mnie też jest smutno. Także moim kolegom. To była dzielna młoda kobieta i stoczyła straszną walkę.

Spoglądam gniewnie w oczy Eleonor przypominające nocne niebo, próbując bez powodzenia wyprowadzić ją z równowagi.

– Widzę też, pani Clarisso, że jest pani bardzo zagniewana. To zrozumiałe.

– Ten artykuł to lipa. Opublikowano go w zeszłym tygodniu, po rzekomym dochodzeniu z trzynastego lipca. Te dochodzenia nie kończą się tak szybko, ledwie dwa miesiące

po czyjejś śmierci. Sama pani mówiła, że wciąż czekamy na raport koronera na temat tego mężczyzny. Zmarł cztery miesiące temu. To dwa razy dłuższy okres. Lottie jest gdzie indziej, gdzieś daleko, a policja chce, żeby ci ludzie myśleli, że ona umarła, żeby mogła rozpocząć nowe bezpieczne życie. Ten artykuł to kłamstwo mające ich oszukać. – Chwytam się nadziei. Może Laura też zrobiła coś podobnego.

– Nie sądzę, choć to pomysłowa teoria i chciałabym, żeby pani miała rację. Wszyscy byśmy chcieli.

– Nie powiedziałaaby mi pani. Może nawet sama by pani tego nie wiedziała.

– To prawda w obu przypadkach – zgadza się Eleonor.

Ojciec nie powinien był nadać mi imienia Clarissa. Znacznie bardziej pasowałoby Pollyanna. Ale nie ma tu miejsca na żadną zabawę w radość. Laura jest stracona, przypuszczalnie na zawsze, podobnie jak Lottie. Nie zdołam teraz ocalić żadnej z nich, wymyślając głupie historie.

Czwartek, 23 lipca

To poranek terapii z panią Lewen, moją psycholog kliniczną. Musiałam obiecać, że będę ją odwiedzać co tydzień. To był jedyny sposób, żebym mogła wyjść ze szpitala w Bath i załatwić wszystkie sprawy z policją i lekarzami tu, w Brighton.

„Współpraca pacjenta” to fraza, którą tak często słyszałam.

Nie cierpię słowa „współpraca”.

Lewen dobiega sześćdziesiątki, ma brązowe włosy, krótkie i kędzierzawe, i kilkanaście kilogramów nadwagi. Nosi

kaftany w jaskrawych kolorach. Dzisiejszy jest żółto-pomarańczowo-purpurowy. Lewen wygląda jak Matka Ziemia, ale nie wydaje mi się, by nią była.

Na jej ścianie wisi oprawiony w ramki plakat z filmu *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*. Główni bohaterowie, ze splecionymi rękoma, mają puścić się w podskokach po drodze z żółtej cegły. Lewen uważa, że ten film zawiera „życiową lekcję” dla każdego, kto go obejrzy. Nie sądzę, by Lewen przypadła ci do gustu.

Pani psycholog sadowi się w brzoskwiniowym fotelu i uśmiecha się wyczekująco. Ja siadam z podkulonymi nogami na kanapie naprzeciw. Kanapa też jest brzoskwiniowa. Cała tapicerka mebli jest w tym rzekomo uspokajającym kolorze. Nie cierpię go. Nawet ściany są pomarańczowe. Jeśli ta Lewen każe mi kiedyś wysłuchać *Somewhere Over the Rainbow*, to będzie mieć pawia na pomarańczowym dywanie.

Tematem poprzedniego tygodnia była moja twarz. Powietrze krzepło od żargonu chirurga plastycznego. Lewen kazała mi powtarzać jego zdania, jakby były lekarstwem.

Dobra nowina jest taka, że twarz szybko się goi. Moja blizna, ukośne cięcie przez policzek, ma dwa centymetry długości. Sama mierzyłam.

Mamy szczęście, że była to prosta rana. Moja blizna jest opuchnięta, ściągnięta i zmarszczona na brzegach.

Blizny stają się znacznie bledsze i bardziej płaskie w ciągu pierwszego roku. Moja jest czerwona i wypukła.

Powierzchniowe nerwy twarzy odzyskują sprawność,

ale może to potrwać sześć do ośmiu miesięcy. Moja twarz wyraźnie nie porusza się wokół blizny jak należy, przypomina to reakcję ust na zastrzyk nowokainy.

Dzisiaj moje początkowe milczenie jest za długie nawet dla Lewen. Zazwyczaj lubi, żebym się pierwsza odezwała, tym razem jednak spokojnie zachęca mnie, pytając, o czym myślę.

– O Robercie. – Ledwie padło to słowo, wbijam spojrzenie w moją słabą czarną herbatę earl grey. Upijam łyk i wyobrażam sobie, że żołądek przestaje mi podchodzić do gardła.

Lewen mobilizuje mnie dalej.

– Czuje się już pani swobodniej, teraz, w trzecim trymestrze. Cięża wydaje się niezagrożona. Nie sądzi pani, że Robert ma prawo wiedzieć?

Lewen ma skórę różowitką i lekko szorstką, jej policzki są zarumienione. Zastanawiam się, czy cierpi na nadciśnienie.

Kręcę głową.

– Nie chciałby dziecka.

– Nie wie pani tego. A wciąż pani za nim tęskni, pani Clarisso.

Nie żyje od dwóch lat, powiedziałaś. W ciągu minuty, odkąd się poznaliśmy, powiedziałaś mi, że straciłaś żonę tak dawno temu. W ciągu minuty, odkąd się poznaliśmy, zafundowałaś mi najbardziej bezczelne kłamstwo, jakie kiedykolwiek słyszałam. Czy tę bajeczkę automatycznie serwujesz każdej kobiecie, która może cię ewentualnie zainteresować? Później dodałaś, że był to wypadek drogowy.

Określiłeś nawet porę dnia.

Pani strażakowa, powiedział tamten mężczyzna, przykładając mi nóż do serca, zanim dotknął nim mojej twarzy.

Musiałam cię zdemaskować. To, co mnie spotkało, musiało cię zdemaskować. Dlatego nie mogłeś ukryć przed nią faktu, że istnieję. Ta straszliwa rana od noża i utrata krwi. Przesłuchania i wizyty policjantów. Zeznanie w roli świadka. To, co mnie spotkało, także ciebie wyrwało z normalnego życia.

Nie wolno upubliczniać nazwisk ofiar gwałtu. Nawet jeśli jednocześnie mogą one być mordercami. To, co mnie spotkało, nie pozwoliło, by moje nazwisko przeciekło do prasy, ale nie sądzę, by udało ci się utrzymać je w tajemnicy przed bliskimi.

Wyobrażam sobie twoją żonę. Skończ to, musiała powiedzieć. Po prostu skończ. Już nigdy więcej jej nie zobaczysz, musiała powiedzieć. Może nie miałeś innego wyboru, jak pozwolić mi odejść.

Eleonor wspominała, że twoja noga się goi, ale już zawsze będziesz kuleć. Dodała, że będą też potrzebne kolejne operacje. Sam pewnie toczysz własną walkę z zespołem stresu pourazowego.

Czy twoja żona wozi cię na wizyty do szpitala? Pomaga w fizjoterapii? Wymierza ci karę? Czy twoje małżeństwo to przetrwa? Czy chcesz tego? Staram się, żeby te pytania mnie nie przytłoczyły, ale nie jest to łatwe. Próbuję się nie zastanawiać, jak ona wygląda.

Po związku z Henrym przysięgam sobie, że już nigdy nie

pozwołę sobie zakochać się w żonatym mężczyźnie. I nigdy nie zrobię innej kobiecie tego, co zrobiłam jego żonie. Twoje kłamstwo odebrało mi tu prawo wyboru. Gdybym wiedziała, nawet bym cię nie dotknęła. Gdybym wiedziała, nie byłoby naszego dziecka.

Mimo wszystko wyobrażam sobie, jak całuję twoją nogę, próbując przynieść ci ulgę.

– Przecież mogłaby się pani skontaktować z Robertem – mówi Lewen. – Upewnić się, jak wygląda sytuacja z jego żoną. Mężczyzna, który panią skrzywdził, to nie było wiarygodne źródło informacji.

– Oficer kontaktowa policji do spraw przestępstw seksualnych potwierdziła, że Robert jest nadal żonaty. Mieszka z żoną.

Eleonor powiedziała mi, że twoja żona przebywała w Londynie przez te dwie noce, które spędziłeś ze mną. Wezwano ją nieoczekiwanie kolejny raz w wieczór, gdy zmieniłeś zdanie, zjawileś się i ocaliłeś mnie. Czy cieszysz się z tego, co zrobiłeś?

– A jednak może pani dowiedzieć się o nim więcej, a także o tym, dlaczego postąpił tak, jak postąpił.

– Powinnam uznać, że to całkiem oczywiste.

Jak ona się musi czuć, wiedząc, że jej zmiana planów w ostatniej chwili pomogła uratować mi życie?

– Niech pani nie będzie cyniczna, pani Clarisso. Ludzie robią różne rzeczy ze złożonych powodów. Z tego, co pani mówiła o Robercie, wynika, że to człowiek dobry, nawet bohaterski. Nie przeczę, że zachował się wobec pani

niewłaściwie, ale musiała mu pani nieźle namieszać w głowie, skoro postąpił w sposób tak niezgodny z jego charakterem.

Czy była to obietnica siedmiu tygodni wyrwanych z twojego życia? Ze mną jako dodatkiem, by czas procesu stał się jeszcze bardziej pamiętny i ekscytujący? Może chciałeś zapewnić sobie tym horrendalnym kłamstwem mój udział w tym wszystkim? Powiedziałeś, że zauważyłeś mnie w pociągu wtedy, pierwszego dnia. Może właśnie tam zdecydowałeś, że mnie omotasz, bo wiedziałeś, że za sześć tygodni twoja żona wyjeżdża: nie chciałeś przepuścić takiej okazji. Może nawet zobaczyłeś, jak czytam Keatsa, i właśnie dlatego powiedziałeś, że go lubisz – ty wszystko zauważasz.

Pewnie sobie wyobrażałeś, że jak skończą się te wakacje, wszystko znów będzie po staremu. Pewnie sobie wyobrażałeś, że nie zostanie po mnie w twoim życiu najmniejszy ślad.

– Wszystko, co mi pani opowiedziała o Robercie, wszystkie jego działania sugerują, że jego uczucia wobec pani były bardzo silne, że stała się pani dla niego kimś ważnym. – Lewen posiada irytującą zdolność odgadywania moich myśli. – Może wcale się tego nie spodziewał. Bez względu na to, jak z panią postąpił...

– Jakkolwiek ze mną postąpił, wszystko to przestaje się liczyć wobec faktu, że uratował mi życie, a robiąc to, okaleczył się na zawsze. Cała reszta, całe to wielkie kłamstwo na temat jego żony okazuje się względnie nieistotne.

Lewen wydaje się ze mnie zadowolona mimo okazywanej przeze mnie niecierpliwości.

– Pani też go ocaliła – zauważa cicho.

– Ale to z mojego powodu znalazł się w niebezpieczeństwie. Trudno to uznać za ocalenie.

– Może on wstydzi się pani po tym, co zaszło. Chce pani dać trochę psychicznej przestrzeni, żeby pani mogła wrócić do siebie, nie chce pani wystraszyć. Pani Clarisso, on jest ojcem pani dziecka. Powinna go pani znaleźć i z nim porozmawiać.

– Nie sądzi pani, że ta wiadomość może stanowić dla niego drobny wstrząs? Zresztą nie chcę, żeby był ze mną tylko ze względu na dziecko. Już nie wspominając o tym, że nie zamierzam odbierać go żonie... I tak mam wobec niej wyrzuty sumienia. No i nie mogę go przecież ścigać. Nie mogę... narzucać się komuś. To właśnie robił wobec mnie tamten mężczyzna.

Eleonor opowiadała mi, że w jego domu znaleziono kapliczkę, a na niej niezliczoną ilość fotografii. Znał moje życie lepiej niż ja sama.

– Ale Robert pozostaje dla pani wielką zagadką – mówi Lewen. – Musi pani tę sprawę wyjaśnić, żeby iść dalej w życiu. Musi pani zrozumieć, co on zrobił i dlaczego i co sobie teraz myśli.

– Myli się pani – odpowiadam. – Myślę, że jednak go rozumiem. I właśnie mi pani w tym pomogła. Robert nie jest dla mnie największą zagadką.

Lewen robi wrażenie zaskoczonej.

– A co jest?

– Laura.

Wyobrażam sobie panią Betterton siedzącą z moją matką, obydwie szlochają, objęte, a pan Betterton i mój ojciec stoją przy nich i wyglądają poważnie, smutno i niezręcznie.

– Myślałam, że jej rodzice mnie znienawidzą – mówię. – Że nigdy mi nie wybaczą. Tego, że tylko ja przeżyłam. Tego, że nie jestem Laurą.

Lewen każe mi wypić kilka łyków herbaty, zanim podejmiemy temat, a ja nie protestuję.

– Nie odczuwa pani żalu z powodu jego śmierci, prawda? – pyta.

Bettertonowie powiedzieli nam, że według policji to nie Laura była na okładce tego magazynu. Napęła mnie to ulgą, ale to bardzo jednostronne pocieszenie, bo wciąż prześladowuje mnie pytanie, kim była ta kobieta. Bettertonowie powiedzieli nam też, że kryminaliści znaleźli w jego domu pornograficzne zdjęcia Laury, ukryte pod deskami podłogi. Czy tam włożyłyby ostatnie zdjęcia zrobione mnie?

Mógłby uniknąć odpowiedzialności za zamordowanie mnie dzięki uzasadnionym wątpliwościom, sugerując, że ty jesteś sprawcą. Twoje ślady pozostały wszędzie na moim łóżku. Mógłby powiedzieć, że on i ja odbyliśmy zbliżenie za obopólną zgodą, a potem on wyszedł, zostawiając mnie żywą i szczęśliwą, a ty zjawiłeś się po jego odejściu, torturowałeś mnie i zabiłeś. Wiele się nauczyłam na sali rozpraw numer dwanaście.

Całkiem niedawno policja odkryła, że siedem lat temu on spędził lato w Kalifornii. Było to ostatnie lato Laury. Ślad jest już zimny, ale może nie całkiem zwiertzały. Policja

amerykańska otwiera wreszcie śledztwo w sprawie jej zniknięcia. Są w kontakcie z policją brytyjską, która starannie analizuje wszystkie materiały.

Czy ja żałuję, że on nie żyje?

Trudno mi sobie wyobrazić głupsze pytanie. Żadną miarą nie mogę udzielić szczerzej odpowiedzi. Gdybym to zrobiła, Lewen przekazałaby zapewne policji, że jestem zatwardziałą psychopatyczną morderczynią. Naprawdę nie chcę, żeby to trafiło do akt, które znajdą się potem w prokuraturze. Ani żeby jej doradcy socjalni odebrali mi dziecko.

Ale wycinam dla Lewen spory kawałek prawdy i podaję jej na tacy.

– Prześladowuje mnie myśl, że zniszczyłam jedyną szansę, by Bettertonowie mogli się dowiedzieć, co się stało z Laurą. On mógłby im to powiedzieć. Teraz już nigdy tego nie robi.

Nie chcę wracać na uniwersytet, choć nie wiem jeszcze dokładnie, co zrobię, gdy posklejają mnie znów w całość, a pęknięć nie będzie za bardzo widać. Jeśli istnieje sposób, żeby pomóc w poszukiwaniu Laury, to właśnie tym chcę się zająć. Może dzięki pisaniu albo nagłośnieniu sprawy, albo założeniu jakiejś fundacji budzenia świadomości w jej imieniu, wspólnie z jej rodzicami.

– To naturalne odczucia, pani Clarisso – mówi Lewen. – Bardzo ludzkie.

Może jednak nie powie, że jestem psychopatką.

– Nie mam jednak pewności, czy jest pani wobec siebie całkiem szczerą, mówiąc, że Robert nie stanowi dla pani wielkiej zagadki.

Zaraz powie, że żyję złudzeniami. Muszę jednak przyznać w duchu, że ta Lewen jest pod pewnymi względami całkiem mądra.

Piątek, 24 lipca

Świeżo wygojona tkanka łatwo ulega oparzeniom. Kolejne ostrzeżenie chirurga plastycznego. Z tego powodu, gdy idę z rodzicami bulwarem nadmorskim, mam na głowie słomkowy kapelusz, miękki i ogromny, aby osłonić twarz przed słońcem... Moja sukienka w stylu empire przywodzi na myśl lato. Tylko moja matka potrafi uszyć sukienkę, która posiada na pozór sprzeczne cechy: jednocześnie wyciąga się, opina mnie i spływa jak woda. Bładoniebieski dżersej miękko szeleści. Bryza układa lekką tkaninę wokół mojego brzuszka. Pospiesznie mijamy smród kiosków z fast foodami i wchodzimy na drewniane deski mola.

Przesuwam spojrzeniem po budynku z automatami do gry. W środku, tuż przy wejściu, w cieniu, stoi wysoki mężczyzna. Wygląda na to, że mnie obserwuje. Nie widzę jego twarzy, ale odnoszę wrażenie, że postawą przypomina ciebie, więc ruszam ku niemu jak w transie. Odwraca się i szybko wchodzi do środka, utykając. Zaczynam biec, ledwie zauważam, że spada mi kapelusz, prawie nie słyszę, jak wołają za mną rodzice. Zapominam, że jestem w ciąży, że straciłam formę po tylu miesiącach przymusowego odpoczynku, zapominam o wszystkim poza moim szalonym przekonaniem, że ten mężczyzna to ty.

Zatrzymuję się nagle przy szklanym zbiorniku z zabawkami kosmitami, nad którymi zawisły ogromne

szpony. Przechodzę dookoła, potem jeszcze raz, i jeszcze raz, sądząc, że jeśli ogarnę spojrzeniem całą salę, to cię zauważę. Brzęki i stuki nedorzecznych maszyn dzwonią mi w uszach, gdy lustruję tłumy. Ktoś krzyczy, bo rozbił makietę samochodu. Jarmarczne organy brzmią tak ogłuszająco, jakbym była w jakimś upiornym lunaparku. Kolorowe żarówki automatów do gier migają jaskrawo. Powietrze pulsuje od światła stroboskopowych.

Serce mi wali, kręci mi się w głowie, dostaję czkawki. Pierś mam wilgotną, pokrytą plamami. Wszystko to może być efektem nagłego wysiłku. Albo działaniem ubocznym leku przeciw wymiotom. A może obu rzeczy naraz.

Nigdy nie znajdę tamtego mężczyzny. Było szaleństwem uznać, że to ty. Ten koszmarny przybytek jest niemożliwie ogromny, zbyt wiele tu wyjść, którymi mógł się wymknąć. Nawet gdybym miała przeszukać całe długie molo, zbyt łatwo byłoby ukryć się i zniknąć po jednej stronie albo po drugiej, w którymś z niezliczonych urządzeń rekreacyjnych czy budynków.

Rodzice są już przy mnie, zaintrygowani i zmartwieni, odciągają mnie delikatnie, wyprowadzają z mola, mówiąc, że mój kapelusz zwiało do morza. Ostrożnie kroczymy po drózkach brukowanych cegłą. Ojciec prowadzi nas przez kręte alejki, trzymając się cienia. Spacerujemy pod kopułami, iglicami, minaretami i wysokimi kominami starego pałacu. Przeciągam palcami po żółtych płatkach żarnowca.

Rodzice sadzają mnie przy krzewie złotokapu w spokojnej części ogrodów. W niedzielę przychodzą na lunch Rowena

i Annie, a Annie przyprowadzi panią Norton, więc moja matka chce kupić kilka specjałów. Ciągnie ze sobą ojca, żeby jej pomógł nieść zakupy.

Cieszę się, że zostanę na chwilę sama, by obserwować biedronki i motyle. Jestem okropnie senna. To pewnie znowu wina środków przeciw wymiotom. Kładę się na trawie. Robi się takie rzeczy w tym nadmorskim mieście. Przypomina mi się, że nie powinnam leżeć na plecach, dlatego obracam się na prawy bok i wspieram na ugiętym łokciu, z głową na dłoni. Gołębie roją się nad krzewami bzu. Nasuwają mi na myśl hordy skrzydlatych małąp z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Psycholog Lewen zawsze mi powtarza, że te małypy mają ucieleśniać moje demony i lęki. Nie mówię jej, że według mnie są po prostu śmieszne.

Dudni mi w tyle czaszki i znów przypomina mi się ulubiony film Lewen, tym razem intensywne interludium, gdy bohaterka porzuca odcienie sepii i nieziemski spokój, żeby wejść w świat technicoloru. I tak już intensywne odcienie różu, czerwieni i purpury obramiających krętą ścieżkę rabat piwonii, czystek, goździków brodatych i naparstnic zdają się nabierać głębi. Na drugim końcu ścieżki stoi mężczyzna.

Mężczyzna z mola. Bardzo wysoki, jak ty. I jak ty bardzo szczupły, choć może odrobinę chudszy. Ma też twoje szerokie ramiona. Gdy robi kilka kroków w moją stronę, widzę, że utyka, jak ty teraz. Mimo to mam wrażenie, że pięknie się nosi. Za nim świeci słońce późnego popołudnia. Zbyttno mnie oślepia, żebym mogła rozróżnić rysy mężczyzny, poza niebieskimi oczyma, które wyróżniają się,

jakby odbijały barwę pobliskich ostróżek ogrodowych. Stoi w rozedrganym powietrzu.

Serce zaczyna mi walić w piersi. Słyszę to. Pewna jestem, że naprawdę to słyszę. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Głowa mi ciąży. Ześlizguje się z kolebki dłoni i opada na trawę. Gdy otwieram oczy, leżę na lewym boku, w pozycji bocznej ustalonej, nie mając pojęcia, jak się w niej znalazłam. Kilka razy mocno mrugam, próbując odzyskać ostrość widzenia. Siadam i rozglądam się wokół, wciąż odnosząc wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Ale nie widzę tego mężczyzny.

Mówię sobie, że nigdy go tam nie było. Nie mógł tam być. Wciąż zbyt łatwo przyjmuję, że jestem śledzona, nawet gdyby miał to być ktoś, kogo chciałabym zobaczyć. To rodzaj zawrotów głowy, a ja wiem, że jesteś złudzeniem. Pamiętam, że halucynacje to jeden z niezmiernie rzadkich skutków ubocznych tego leku przeciw wymiotom. Na ich liście jest też zmniejszenie ostrości widzenia. Jak również zawroty głowy i kołatanie serca. Mam chyba to wszystko. Muszę poprosić doktora Haynesa, żeby jeszcze raz zmienił mi lek. Ale to drobiazgi. Przejściowe sprawy. Można im zaradzić. Jestem tutaj i żyję.

Kładę dłoń na brzuchu. Mała ostro kopie mnie w pęcherz, jakby chciała powiedzieć, że wszystko w porządku, a ja wydaję odgłos będący zarazem płaczem i śmiechem. Myślę o baśni, którą kiedyś czytywał mi ojciec. O dziewczynie, której odrąbano ręce i która potem znosi wiele cierpień. Wszystko, co traci, zostaje jej zwrócone, a w nagrodę otrzymuje więcej, aniżeli kiedykolwiek miała. Ręce też jej

odrastają.

Ale w tej opowieści zapomniano, że każdy z jej nadgarstków otacza blizna. Nosi te nieusuwalne bransoletki do końca życia. I nie chce ich zasłaniać, choć z czasem powoli bledną.

Podziękowania

Nic nie zrobiłam sama. Jestem głęboko wdzięczna mojemu agentowi Euanowi Thorneycroftowi za to, że wierzy w książkę *Wiem o tobie wszystko* i jest jej orędownikiem, i za wszystkie niezwykle rzeczy, które robi. Bez niego powieść ta by nie powstała. Zespół agencji A.M. Heath jest niezrównany. Euan Thorneycroft i Pippa McCarthy służyli mi pomocą edytorską, dzięki której *Wiem o tobie wszystko* stała się znacznie lepsza. Jennifer Custer i Héléle Ferey z pasją promowały prawa do przekładu w innych krajach; to ogromny przywilej dla pisarza móc przemawiać do czytelników w innych językach. Pippa McCarthy i Vickie Dillon pomagały mi w niezliczonych sprawach, którym bez nich bym nie podołała.

To wielki zaszczyt wydać książkę w wydawnictwie HarperCollins. Współpraca z tak wieloma wyjątkowo uzdolnionymi ludźmi to coś rzadkiego i bardzo szczególnego. Sarah Hodgson w Wielkiej Brytanii, Claire Wachtel w Stanach Zjednoczonych i Iris Tupholme w Kanadzie służyły inspirującymi i mądrymi wskazówkami redakcyjnymi. Mieć którąkolwiek z nich za redaktorkę byłoby ogromnym przywilejem – mieć wszystkie trzy to już zdumiewające szczęście. Ich spostrzegawczość i wizja są niezwykle, podobnie jak rozważa, troska i uwaga.

W HarperCollins UK jestem szczególnie wdzięczna Kate Stephenson za całą jej ciężką pracę podczas nadzoru procesu produkcji *Wiem o tobie wszystko*, za jej niezrównaną

kreatywność, w tym za zapierające dech w piersi napisy reklamowe, które zaproponowała na okładkę, jak również za jej cierpliwość i życzliwość; Louise Swannell – za pełną połotu pracę nad promocją książki; Anne O’Brian – za niewiarygodnie staranną i elegancką redakcję stylistyczną; Benowi Gardinerowi – za uroczy projekt książki i skład tekstu; Dominicowi Forbesowi – za przykuwającą uwagę okładkę; Adrianowi Hemstalkowi – za sprawienie, że *Wiem o tobie wszystko* ukazało się w potaci wydrukowanej książki; Laurze Fletcher i jej wspaniałemu zespołowi ds. sprzedaży: Sarah Collett, Lisie Hunter i Tomowi Dunstanowi; Lucy Upton – za błyskotliwą kampanię reklamową; Damonowi Greeneyowi – za koordynację sprzedaży powieści na międzynarodowych rynkach wydawnictwa HarperCollins, oraz Eamonowi McCabe – za artyzm fotografii.

W HarperCollins USA jestem szczególnie wdzięczna Michaelowi Morrisonowi i Jonathanowi Burnhamowi za wsparcie i entuzjazm; Hannah Wood – za koordynowanie tylu spraw w tak piękny sposób, za to, że tak profesjonalnie pomogła mi przebyć drogę od rękopisu do książki i za jej twórczy wkład, w tym wspaniały opis, który przygotowała dla amerykańskiego katalogu; Richardowi Ljoenesowi – za jego zniewalająco piękną okładkę; Michaelowi Correyowi – za wyborny projekt graficzny stron powieści; Heather Drucker, mojej niezmiernie utalentowanej i ślicznej specjalistce od reklamy; Kathy Schneider i Katie O’Callaghan – za fantastyczną kampanię marketingową; Emily Walters i Cindy Achar – za postrzeżenie powieści

przez pryzmat procesu produkcyjnego oraz mojej adiustatorce Mary Beth Constant – za jej bystre oko, skrupulatny osąd i przenikliwą inteligencję.

W HarperCollins Canada jestem szczególnie wdzięczna Dougowi Richmondowi za czuwanie nad całością spraw; Marii Golikovej, która przygotowała elegancką kanadyjską reklamę katalogową; Sonyi Koson, mojej wspaniałej specjalistce od reklamy, i zespołowi: Noelle Zitzer, Marii Golikovej, Allegrze Robinson i Kelly Hope – za ich wspólny wysiłek, by doprowadzić do końca produkcję kanadyjskiego wydania *Wiem o tobie wszystko*.

Ogromny wpływ na kształtowanie się książki wywarły inteligencja i wyobraźnia Richarda Kerridge’a. Jestem mu serdecznie wdzięczna za jego stały mądry osąd, staranne wsparcie i błyskotliwą radę. Gerard Woodward jest wspaniałomyślnym i mądrym przyjacielem i mentorem; jego wsparcie dla *Wiem o tobie wszystko* znaczyło dla mnie więcej, niż mogę wyrazić. Przyjaźń Sheryl była dla mnie podporą, odkąd pamiętam. Colin Edwards i Julia Green były życzliwe, delikatne i rzeczowe, gdy ich potrzebowałam. Richard Francis i Christopher Nicholson byli dla mnie dostępni, ilekroć szukałam ich mądrej rady. Richard Kerridge, Gerard Woodward i Richard Francis także pomagali mi wnikliwymi uwagami na temat powieści, podobnie jak Tim Liardet, Suzanne Woodward, Miranda Liardet i Ross Davis. Jestem ogromnie zobowiązana strażakom, którzy pomogli mi podczas pisania książki i cierpliwie odpowiadali na moje liczne pytania; ucieleśniają oni wszystko, co dobre. Za

wszelkie błędy sama ponoszę odpowiedzialność.

Mój ojciec to najbardziej cierpliwy czytelnik, jakiego można sobie wyobrazić. Moja matka ma dar niewzruszonej mądrości i wyczucia prawdziwego piękna. Miłość i wsparcie moich rodziców zawsze były dla mnie niezwykle istotne. Wujek Gary i ciocia Barbara ofiarowali mi cenną książkę z baśniami i wiele innych rzeczy. Moja siostra Bella zawsze mówi mi prawdę i staje po mojej stronie – jest wszystkim tym, co wyraża jej imię, bez niej byłabym zgubiona. Mój brat Robert okazał swoją zwykłą dobroć i poczucie humoru, gdy uparłam się, by nazwać jego imieniem jednego z moich bohaterów. Moje trzy córki są magiczne pod każdym względem i sprawiają, że wszystko staje się piękniejsze i bardziej znaczące.